LITERATURA \ SZTUKI WIZUALNE

RELIGIA \ FANTASTYKA

FRONDA LUX

PISMO POŚWIĘCONE \ NUMER 78 \ ROK 2016
CENA 29 ZŁ [W TYM 5% VAT]

KWI PRO QUO

FRONDA TRANSHUMANISTYCZNA

PAROWSKI: NIE WIERZĘ W ORGAZMY W CHMURACH

OLEG KULIK **WYWIAD Z PSEM**

NIETZSCHE I TERMINATOR

FRONDALUX

78

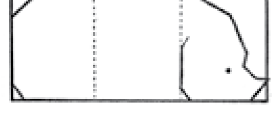


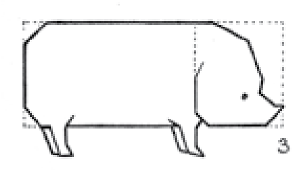


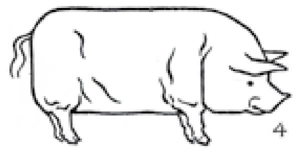
FRONDA LUX spis treści

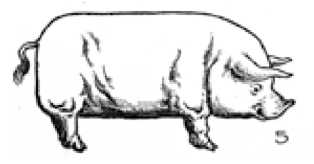












do lektury przystąp

FRONDA LUX kwartalnik, nr 78, 2016 rok

Kierownik chlewu, dziedzic: **Jerzy Kopański**
Zarząd powierniczy chlewu: Dotychczasowy szef chlewu, którego duch nieraz straszy: **Mateusz Matyszkowicz**; I polewacz koryta: **Piotr Pałka**; II polewacz koryta: **Dawid Wildstein**; sekretarz w chlewikowym sekretariacie: **Magdalena Osińska**; producent ekopaszy dla świń z rukolą: **Jakub Dybek**; autor instrukcji BHP chlewu: **Mateusz K. Dziób**; promień światła wpadający do chlewu: **Joanna M. Wal**; obca agentura przy korycie: **Paweł Rzewuski**; producent budyniu dla świń: **Krzysztof Karnkowski**; git, choć świeżak: **Jarosław J. Żejmo**; ozdoby chlewu: **Magda Nowica** i **Iza Ziemba**; budowa i skład chlewu: **Izabela Nottowska**; promocja chlewu, wmawianie, że to stajnia: **Anna Kierzkowska** marketing@fronda.pl

Przy korycie: Tomasz Bardamu, Monika G. Bartoszewicz, Marcin Darmas, Marcin Herman, Maciej Kalbarczyk, Tomasz Kempski, Jakub Lubelski, Jakub Moroz, Wojciech Mucha, Zofia Orłowska, Samuel Rodrigo Pereira, Tomasz Rowiński, Adrian Sinkowski, Anna Stępniak, Leszek Zaborowski, Tewu z Empewu, Tewu z Krakowa

Korekta układu koryt i przecinków: Katarzyna Szol
Ilustracje: Krzysztof Karnkowski, Izabela Nottowska
Fotki z wywiadu „z psym": niezrównana Joanna Michalina Wal
Okładka: fot. **Maciej Fiszer** – z podziękowaniem
Podziękowania dla **Centrum Sztuki Współczesnej** i **Michała Gołkowskiego**

Adres redakcji: ul. Łopuszańska 32, 02-220 Warszawa
tel. (22) 836 54 44, 877 37 35, faks (22) 877 37 34, fronda@fronda.pl

www.frondalux.pl
facebook.com/pismofronda

www.wydawnictwofronda.pl
facebook.com/frondawydawnictwo

Wydawca: Fronda PL Sp. z o.o. Zarząd: Michał Jeżewski

Druk: Drukarnia im. A. Półtawskiego
ul. Krakowska 62, 25-701 Kielce

ISSN 2391-5013; Indeks 380202

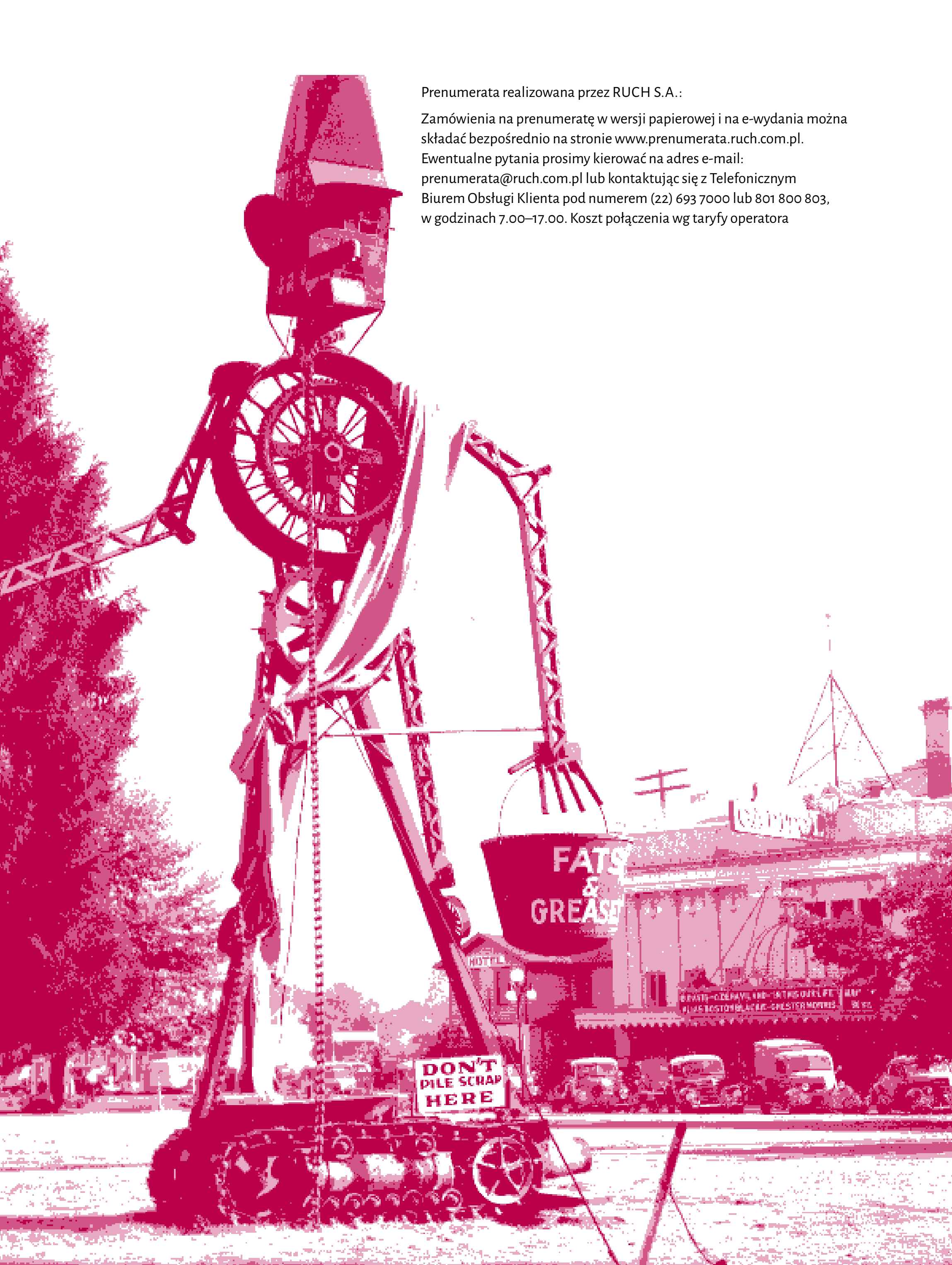
Prenumerata:
Prenumeratorzy otrzymują kwartalnik po preferencyjnej cenie **25 zł** za egz. Wydawnictwo pokrywa koszty wysyłki. Cena rocznej prenumeraty wynosi **100 zł**. Kwotę tę prosimy przelać na konto Wydawnictwa 76 1160 2202 0000 0000 3542 8686, podając informację, od którego numeru mamy rozpocząć wysyłkę. Kontakt w sprawie prenumeraty, a także zakupu numerów archiwalnych: **Janina Szajnar** janina@fronda.pl lub prenumerata@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl/prenumerata

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem (22) 693 7000 lub 801 800 803, w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora



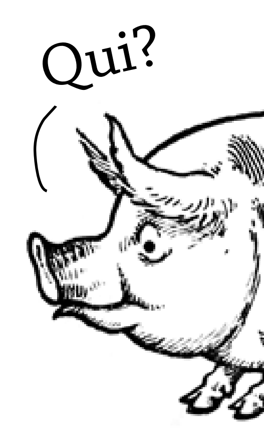
„CZEGO OD WAS CHCEMY? Żebyście chodzili do kościoła, płodzili dzieci, ginęli w powstaniach i czytali dobrą literaturę" – tak przed trzema laty witał się z Wami Mateusz Matyszkowicz. Teraz pochłaniają go nowe obowiązki w TVP Kultura. „Fronda" przez ten czas wyewoluowała we „Frondę LUX" i stała się miejscem jazdy bez trzymanki i olania schematów, które nie są do niczego potrzebne. Fronda pozwala zajmować się tym, czym się chce, a nie tym, co sugerują formy prawicowa, konserwatywna czy jakakolwiek inna. Teraz mamy numer przejściowy. Kolejny będzie już nieco inny. Obiecujemy, że się nie zawiedziecie. Zaczynamy odliczanie. A w powstaniach można nie tylko ginąć, lecz także zwyciężać.

Dlaczego transhumanizm?

Człowiek, jako centrum wszechświata, to wynalazek mający potężną brodę. W świecie chrześcijańskim silny i coraz silniejszy od doby renesansu. Antropocentryzm współcześnie, na skutek przesytu miłości człowieka do samego siebie, kieruje zainteresowanie i uczucie na inne obszary. Uczłowiecza i unadczłowiecza to, co egzotyczne filozoficznie i religijnie. Rozwój technologiczny każe wysuwać nowe kwestie. Pytania boskie właściwe teocentryzmowi i ludzkie stawiane są coraz częściej

przedmiotom i zwierzętom. Transhumanizm i posthumanizm to dziedziny szybko rozwijające się i sporo mówiące o współczesnej kulturze i sztuce. Rozwój – lub regres – sztuki to reakcja na zmiany zachodzące w nas. Dlatego transhumanizm. Ktoś powie, że to tylko dziwaczna moda. Ktoś inny, że naturalny proces, jakich ciotka historia wiele już widziała. Inny jeszcze, że to kolejny odwrót od korzeni i tradycji. *Kwi pro quo* – odpowiada nasza upodmiotowiona świnia z okładki.

PS
„Fronda LUX" należy do czytelników. Redakcja nigdy Was nie karmiła swoimi mądrościami, wizjami i natchnionym sposobem funkcjonowania. Chcecie więcej? Piszcie, a być może Wasze teksty znajdą się w kolejnym numerze.



PS2
Dwadzieścia dwa lata to kawał czasu, ale to nadal młody wiek. Czasy się zmieniają, media ewoluują. Czym jest „Fronda LUX"? Nadal jest zbyt wcześnie, by oceniać. Pogadamy po półwieczu.

JERZY KOPAŃSKI

Tytuł:
Onboarding pracowników: Witamy w Metaphorescence HDI

Autor:
Matthew E. Gladden

Witamy w Metaphorescence.
Witamy Cię w roli, do której jesteś stworzony.
Witamy w domu.

TWÓJ NOWY START.

Akceptując rolę Projektanta Rzeczywistości w Metaphorescence, obejmujesz funkcję, do której zostałeś posłany. Dołączasz do nas nie jako pracownik, ale jako współfundator i współwłaściciel wszystkiego, czym jesteśmy i kiedykolwiek będziemy; dołączasz do nas jako twórca i kustosz rzeczywistości, która się z Ciebie wyłoni, jako nowobóstwo nowoświata.

Dołączasz do zaawansowanej społeczności umysłów, umysłów najrozmaitszego pochodzenia – biologiczne-

go, syntetycznego, nadsyntetycznego – które zostały tu zatrudnione ze względu na ich wyższą jakość i które łączy wspólna wizja stworzenia piękniejszego uniwersum. Nasze umysły, przedtem samotne, tutaj odnalazły spełnienie w doskonałej neuropospolitej.

Od dziś zanurzysz się w oceanie naszych myśli, zatopisz się w jego głębinach, stopisz się z nimi i wysublimujesz, aby ponownie stopić się z intelektami równie jasnymi co Twój. Staniesz się częścią kolektywu Metaphorescence, jakkolwiek Twoja tożsamość się nie rozpłynie, ale wykładniczo pomnoży. Staniesz się częścią nas, a my częścią Ciebie, i z nami wykonasz pracę, która nie jest wysiłkiem ani ciężarem, ale artystycznym uniesieniem.

2

DLACZEGO TY.

Definiuje Cię nie materia organiczna, z której wyłonił się Twój umysł, ale poziom, na który się wznosisz, oraz Twoje przywiązanie do katalchemii inżynierii duchowej. A my potrzebujemy Twoich marzeń, myśli i woli; poszukujemy unikatowej wartości, którą jesteś.

Tym, którzy nie zostali genetycznie udoskonaleni, brakuje Twoich interfejsów neurocybernetycznych. Nie mogą oni posługiwać się narzędziami, jakie udostępniamy, ani ich pojąć, ani nawet dostrzec. Jednak dla Ciebie wszystkie one będą dostępne; staną się one częścią Ciebie. Jesteś bowiem jednym z niewielu, którzy wpisują się w interfejs Metaphorescence. Należysz do najjaśniejszych gwiazd w konstelacji rozświetlającej nasz nowy wszechświat. Po procesie dalszej rekonfiguracji i dostosowania Twojego umysłu świat dla Ciebie nie będzie mieć granic czasowych ani przestrzennych, życia ani śmierci.

ŚWIAT W POTRZEBIE TWORZENIA.

Jako Projektant Rzeczywistości przepoisz nowe światy Twoim pięknem, ładem i porządkiem, Twoją logiką, sprawiedliwością, prawami. Grawitacja, fotony, entropia, mitoza, mejoza – wszystkie prawa fizyki, chemii, metabiologii i metapsychologii staną się dla Ciebie gliną, którą będziesz mógł lepić i formować i ponownie przekształcać, w zakresie Twojej wyobraźni.

Twoja praca będzie korzystna dla form życia zamieszkujących świat, ale go nietworzących. Ty będziesz prowadzić i opiekować się zagubionymi pozostałościami ludzkości, utkwionymi w dzikiej i nieokrzesanej biologii. Twoje myśli staną się poezją i wykrystalizują w nowe życie w ekosystemach ekosystemów. Światy przez Ciebie wykreowane będą wdzięczne Twojemu geniuszowi i mądrości. Twa dusza, umysł i wola zostaną zapisane w trylionach przyszłych form życia w światach, którym nadasz początek.

PRAKTYKALIA.

Jesteśmy po to, by Cię wspomóc, aby uwolnić Twoje moce twórcze. Jedyne założenia i regulaminy, jakie określają Metaphorescence, zależą od Twojej woli. W ramach honorarium za Twój wkład otrzymasz wszystko, czego sobie zażyczysz. Kiedy zechcesz pracować w pojedynkę, będziesz pracować sam; kiedy zażyczysz sobie wsparcia, Twoi asystenci – dowolnego rodzaju, jakiego sobie zażyczysz – natychmiast się zjawią i będą do Twojej dyspozycji. Będziesz dysponować nieograniczonymi środkami zależnymi jedynie od Twojej woli.

3

4

Jako jeden z naszych Projektantów Rzeczywistości będziesz cieszyć się pełnym poparciem Metaphorescence wraz z jego potęgą, wpływami i zasobami. Drzwi będą się same przed Tobą otwierać. Jak się przekonasz, Sapientia-3, Sapientia-4 oraz inne najbardziej restrykcyjne warstwy wewnętrzne Zon Świadomości są chronione nie po to, abyś się do nich nie mógł dostać, ale aby innych trzymać z dala od zakłócania Twoich wędrówek po Świadomości. My pozostaniemy Twoim zasobem i tarczą, a wszystkie Twoje ruchy, decyzje i działania nie będą kwestionowane nawet przez najwyższego Komisarza.

Teraz Ty jesteś Metaphorescence.
Ty znasz rolę, do której zostałeś przeznaczony.
Jesteś u siebie.



WITAMY W METAPHORESCENCE HEAVY DATA INDUSTRIES, S.b.A.
PRZYJMUJĄC POSADĘ DRONA KLASY-5 SŁUŻBY BIOLOGICZNEJ W METAPHORESCENCE HEAVY DATA INDUSTRIES S.b.A., WYBRAŁEŚ LEPSZĄ PRZYSZŁOŚĆ. MAMY NADZIEJĘ, ŻE JAKO DRON KLASY-5 SŁUŻBY BIOLOGICZNEJ ZNAJDZIESZ TU SWOJE WYMARZONE WYZWANIA, SATYSFAKCJĘ I SENS W ŻYCIU. PROSIMY O UWAŻNĄ LEKTURĘ NINIEJSZEGO DOKUMENTU.

5

REGULAMIN PRACY

§1 POSTANOWIENIA OGÓLNE

1. Niniejszy Regulamin pracy przyjęto na podstawie:
    a. art. 3854–3857 Kodeksu pracy ludzkiej (tekst jedn. Dz. U. z 2047 r. Nr 454, poz. 651 ze zm.),
    b. art. 1707 ust. 340A ustawy z dnia 12 lutego 2046 r. o neuroprotetyce zawodowej (tekst jedn. Dz. U. 2048 r. Nr 890, poz. 22541 ze zm.),
    c. rozporządzenia Departamentu Pracy i Stosunków Korporacyjnych z dnia 15 kwietnia 2049 r. w sprawie ludzkich, syntetycznych i hybrydowych gatunków dopuszczonych do zatrudnienia (Dz. U. Nr 570, poz. 1634),

6

d. ustawy z dnia 22 listopada 2049 r. o wytycznych podatkowych w zakresie zatrudnienia nieudoskonalonych jednostek ludzkich (tekst jedn. Dz. U. z 2050 r. Nr 693, poz. 35421 ze zm.),

2. Ilekroć w niniejszym Regulaminie jest mowa o:
   a. „pracowniku", rozumie się przez to biologiczny organizm wraz ze wszystkimi zachodzącymi w nim procesami fizjologicznymi, kognitywnymi, interfejsami społecznymi, rzeczywistym i wirtualnym majątkiem, a także wszystkimi istniejącymi psychomimetycznymi biologicznymi klonami i cyfrowymi kopiami zapasowymi danej jednostki, niezależnie od tego, czy zostały one stworzone przy udziale wiedzy i przyzwolenia pracownika, czy też bez,
   b. „pracodawcy" albo „Spółce", rozumie się przez to Metaphorescence Heavy Data Industries, S.b.A. lub inną podobną korporację, organizację, uprawnioną jednostkę ludzką, myślącego agenta sztucznego, inteligentną sieć lub inną osobę prawną, którą Metaphorescence Heavy Data Industries, S.b.A. może według własnego uznania wyznaczyć do obsługi zatrudnienia, pracy i praw własności pracownika.

§2 UPRAWNIENIA PRACODAWCY

1. Uprawnienia pracodawcy są wyszczególnione w Załącznikach 1–5 oraz 8A. Prosimy o uważną lekturę.
2. Prosimy zwrócić uwagę, że pracodawca zastrzega sobie prawo do wykonywania fizycznych i behawioralnych modyfikacji pracownika (włączając edycję genetyczną, iniekcję danych, rekonfigurację łączy nerwowych) według własnego uznania. Tym samym zapewnia to Spółce prawo do tworzenia biologicznych klonów oraz wirtualnych pól testowych (tak zwanych kukieł) bez

powiadomienia pracownika; zarazem od momentu ustanowienia wszelkie tego typu jednostki stają się własnością Spółki.

§3 MIEJSCE I SPOSÓB WYPŁATY WYNAGRODZENIA

1. Stawka godzinowa za pracę będzie wyznaczona i może być modyfikowana przez Spółkę w dowolnym momencie zatrudnienia, przy czym nie będzie ona wynosiła mniej niż minimalna stawka godzinowa przysługująca według prawa Kategorii D („Nieudoskonalonym") Jednostkom Ludzkim.
2. W celu ustalenia wysokości stawki godzinowej oraz liczby przepracowanych godzin używać się będzie metody Fractional Cognitive Attention z milisekundą jako jednostką podstawową. Liczony będzie jedynie czas przepracowany w tych milisekundach, w których cała uwaga umysłu skupiona jest na wykonywanym zadaniu należącym do przedmiotu pracy wyznaczonego przez Spółkę. Milisekundy, w których cała lub częściowa uwaga skierowana jest na myśli, wspomnienia, wyobrażenia, pragnienia lub inne zjawiska natury osobistej, rekreacyjnej lub innej niezwiązanej z pracą, nie będą wliczane do pensum.
3. Dla wygody wypłaty będą dokonywane nie w systemie regularnych przelewów, ale będą zachowywane przez Spółkę do czasu zakończenia umowy o zatrudnienie. Na koniec każdego miesiąca konto pracownika w dziale zatrudnień będzie uzupełniane zarobionymi należnościami pomniejszonymi o należne podatki, opłaty zatrudnieniowe, opłaty proceduralne, comiesięczne opłaty za wynajem implantów neuroprotetycznych należących do Spółki, obligatoryjnych składek do nale-

7

8

żącego do Metaphorescence Funduszu Zdrowotnego Pracownika, a także o codzienne opłaty dojazdowe, użytkowe (sanitariaty, prąd do ładowania baterii, woda pitna, tlen i inne dostarczane źródła zasilające w ramach zatrudnienia). Po zakończeniu zatrudnienia pracownik z dodatnim bilansem na koncie uzyska swoją wypłatę pomniejszoną o obowiązkową opłatę za rozwiązanie umowy, opłatę za usunięcie implantów biocybernetycznych (dotyczy wszelkich urządzeń należących do Spółki usuwanych przy zakończeniu zatrudnienia), a także przewidywane koszta reperacji i interwencji medycznych (związanych z jakimikolwiek urządzeniami, których Spółka zdecyduje nie usuwać z organizmu pracownika lub których usunąć nie będzie można ze względu na zrost neurosubstratów).

§4 NEUROAUGMENTACJA

1. Pracownik będący Jednostką Ludzką Kategorii D („Nieudoskonaloną") zostanie zaopatrzony przez Spółkę w implantowany dokorowy interfejs kontrolujący („podzespół IDIK"), dostosowany do umożliwienia podłączenia pracownika do wszystkich koniecznych systemów informacyjnych należących do Spółki.
2. Procedura implantacji musi zostać zakończona przed rozpoczęciem zatrudnienia. W przypadku nieprzewidzianych anomalii, jakie mogą wystąpić podczas implantacji, tj. takich, które wywołałyby u pracownika biologiczną lub umysłową dysfunkcję, pracownik jest zwolniony z obowiązku podjęcia zatrudnienia w Spółce i ma prawo poszukiwać zatrudnienia gdzie indziej.
3. Akceptując implantację podzespołu IDIK oraz wszelkich innych biologicznych lub elektronicznych urządzeń lub podzespołów zastępczych uznanych za konieczne

przez Spółkę, pracownik poświadcza, że wszelkie urządzenia wbudowane w jego biologiczny organizm są i pozostaną własnością Spółki, a także, że wyraża zgodę na dostęp Spółki do ww. urządzeń w dowolnym czasie poprzez interwencję chirurgiczną lub bezprzewodowe środki nieinwazyjne, w celu przeprowadzenia diagnostyki, konserwacji oraz udoskonalenia urządzeń.

4. Pracownikowi nie wolno dokonywać żadnych czynności konserwujących, naprawczych, udoskonalających ani modyfikujących jakiekolwiek zaimplantowane urządzenia należące do Spółki. Nie wolno mu także podejmować prób dostępu do ww. urządzeń ani do danych w nich przechowywanych, z wyłączeniem oficjalnej autoryzacji przez Spółkę.
5. Spółka zastrzega sobie prawo do usunięcia, wycięcia, odłączenia lub zniszczenia wszelkich urządzeń zaimplantowanych do organizmu pracownika w dowolnym momencie oraz przy użyciu dowolnej metody obranej przez Spółkę. Wyżej wymienione czynności mogą zostać podjęte na dowolnym etapie zatrudnienia pracownika, także po zakończeniu trwania umowy o zatrudnienie, zgodnie z decyzją i wolą Spółki. Przypadek, w którym Spółka nie odzyska lub nie zniszczy zaimplantowanych urządzeń w momencie ustania stosunku zatrudnienia, nie odbiera Spółce prawa do odzyskania lub zniszczenia ww. urządzeń w późniejszym terminie.
6. Spółka może od czasu do czasu posługiwać się urządzeniami zaimplantowanymi do organizmu pracownika, w celu gromadzenia danych na temat pracownika, jak również jego działań oraz środowiska, co włącza także surowe dane zmysłowe oraz audiowizualne klastry pamięci dotyczące interakcji ze stronami trzecimi. Pra-



10

cownik uznaje moralne i majątkowe prawa Spółki do dysponowania wszelkimi danymi utworzonymi, przechowywanymi i przekazywanymi poprzez zaimplantowane urządzenia.

7. Podzespół IDIK zaimplantowany do organizmu pracownika przez Spółkę umożliwi pracownikowi przeprowadzanie procesów poznawczych na wyższym poziomie sprawności. W zamian za możliwość posługiwania się urządzeniami podzespołu IDIK pracownik uznaje prawa Spółki do własności intelektualnej (włączając prawa autorskie, majątkowe i moralne) wszelkich treści procesów poznawczych pracownika przeprowadzonych w następstwie implantacji podzespołu IDIK; włącza w to myśli, wspomnienia, marzenia, wyobrażenia, emocje i akty woli.
8. Spółka może według uznania posługiwać się urządzeniami zaimplantowanymi do organizmu pracownika w celu stymulowania neuronów motorycznych, interneuronów, a także innych struktur organicznych pracownika w taki sposób, by wywołać reakcje motoryczne włączające mowę, wyrazy twarzy, gesty i czynności rąk, przemieszczanie, aktywność sercowo-krążeniową i oddechową, aktywność płciową, trawienną, wydalniczą oraz inne formy czynności ruchowych i fizjologicznych. Pracownik poświadcza, że Spółka jest posiadaczem wszelkich produktów i usług wygenerowanych za pomocą ww. aktywności i zachowuje tym samym wszystkie moralne i majątkowe prawa do tychże.

§5 NAPRAWA I LECZENIE

1. W przypadku jakichkolwiek biologicznych, poznawczych lub społecznych szkód poniesionych przez pracownika w bezpośrednim wyniku działań podjętych

w ramach pracy Spółka jako pracodawca podejmie racjonalny i podyktowany dobrą wolą wysiłek, by zrekompensować poniesione szkody, według własnego uznania.

2. W przypadku uszkodzenia lub zniszczenia poszczególnej części ciała pracownika w bezpośrednim wyniku działań podjętych w ramach pracy Spółka jako pracodawca zreperuje zniszczony komponent biologiczny lub wymieni go na inny biologiczny, elektroniczny lub mechaniczny substytut, według uznania. Zamiennik może różnić się w zakresie rozmiaru, kształtu, wyglądu i funkcji w stosunku do oryginału.
3. W przypadku doznania stałej utraty możliwości działania przez biologiczny organizm pracownika, w bezpośrednim wyniku działań podjętych w ramach pracy, Spółka jako pracodawca udostępni pracownikowi w sposób wolny od opłat Podzespół Odtwarzający BioPhoenix™ Trzeciej Kategorii (POBP3K) do użytku w celu przywrócenia pracownika do stanu minimalnej operatywności. Pracownik poświadcza, iż Spółka nie zapewnia żadnych gwarancji dotyczących skuteczności i jakości POBP3K oraz że fizyczna forma i zdolności, wspomnienia, osobowość oraz inne własności umysłowe którejkolwiek z jednostek przywróconych do stanu minimalnej operatywności za pomocą POBP3K mogą, ale nie muszą przypominać tych należących do jednostki przed jej uszkodzeniem i odtworzeniem.



§6 ZWOLNIENIA

1. Pracownik odstępuje od prawa do roszczeń przeciwko Spółce za jakiekolwiek fizyczne, psychologiczne lub wirtualne szkody powstałe ze strony Spółki lub jej wyznaczonych agentów windykacyjnych podczas prób

12

odzyskania nieuregulowanego zadłużenia pracownika wobec Spółki figurującego na koncie pracownika w momencie zakończenia stosunku zatrudnienia.

2. Pracownik odstępuje także od prawa do dochodzenia roszczeń przeciwko Spółce za jakiekolwiek szkody poniesione przez pracownika w wyniku doskonalenia genetycznego, modyfikacji behawioralnej, implantacji, użytkowania lub usuwania urządzeń, a także jakichkolwiek innych działań ze strony Spółki.

§7 POSTANOWIENIA KOŃCOWE

Niniejszy dokument został stworzony i jest przechowywany przez Spółkę jako autoryzowany cyfrowym podpisem Samoudoskonalający Żywy Dokument™, co oznacza, że może on być wstecznie redagowany i zmieniany przez pracodawcę w dowolnym momencie i z dowolnego powodu. Prosimy o regularne zapoznawanie się z dokumentem, aby być na bieżąco z możliwymi zmianami w jego brzmieniu.

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY. Ω



Nick Bostrom

Czym jest singleton?



Niniejszy artykuł wprowadza koncepcję singletona oraz proponuje go jako użyteczne pojęcie dla formułowania oraz analizowania możliwych scenariuszy przyszłości rodzaju ludzkiego

1. DEFINICJA

W teorii mnogości singleton jest to zbiór składający się tylko z jednego elementu, ale na potrzeby wywodu odnoszę ów termin do światowego porządku, w którym istnieje pojedyncza instancja decyzyjna na najwyższym szczeblu. W jej mocy leżałaby między innymi umiejętność zapobiegania zagrożeniom (wewnętrznym i zewnętrznym) dla jego własnego istnienia oraz dla supremacji, a także umiejętność narzucania skutecznej kontroli nad zasadniczymi aspektami funkcjonowania swojego dominium (m.in. opodatkowanie oraz przydzielanie terytorium).

Wiele singletonów mogłoby współwystępować we wszechświecie, o ile byłyby rozlokowane wystarczająco daleko od siebie, by nie pozostawać w relacji przyczynowej między sobą. Rządu ogólnoświatowego nie można by uznać za singleton w wypadku, w którym w zasięgu Ziemi funkcjonują niepodległe kolonie kosmiczne lub obce cywilizacje.

2. PRZYKŁADY I OPRACOWANIE

Zarówno demokratyczny rząd światowy, jak i dyktatura mogą stanowić singleton. Przyjazna superinteligencja może również tworzyć singleton, pod warunkiem że jest wystarczająco potężna, żeby żaden inny byt nie mógł zagrozić jej istnieniu bądź pokrzyżować jej plany. „Transcendujący Cyber-umysł", który osiąga światową dominację, również pasowałby do tego opisu.

Singleton mógłby również zaistnieć za sprawą tzw. zbieżnej ewolucji, czyli takiej, w której wszystkie wystarczająco rozwinięte jednostki i kultury postanawiają te same wartości i cele. Te wspólne wartości w połączeniu ze wszystkimi jednostkami i kulturami, które im się podporządkowują, stanowiłyby instancję w szerokim zakresie zakładanym tutaj, tworząc singleton.

W ZASIĘGU ZIEMI FUNKCJONUJĄ NIEPODLEGŁE KOLONIE KOSMICZNE LUB OBCE CYWILIZACJE

Można sobie również wyobrazić, że singleton powstaje w efekcie uniwersalnego rozpowszechniania się samoegzekwującego się kodeksu moralnego. Kodeks ten może precyzować, że jego użytkownicy powinni lepiej traktować innych użytkowników tego kodeksu. Jeśli taki kodeks zostanie przyjęty przez wystarczającą liczbę użytkowników oraz jeśli monitorowa-

nie i egzekwowanie ich podporządkowania się będzie możliwe, może się okazać, że podporządkowanie się temu kodowi będzie w interesie tych, którzy jeszcze tego nie uczynili. To mogłoby doprowadzić do powszechnej akceptacji tego kodu. Jeśli kod będzie wystarczająco rozpowszechniony, by doprowadzić do skutecznie zarządzanego zachowania skupionego na realizacji wspólnych celów, to również mielibyśmy do czynienia z singletonem.

Singleton nie musi być jednorodny. Może zawierać w sobie ogromną różnorodność niezależnych podmiotów, każdy podążający za własnymi celami, tak jak w liberalnej demokracji. Cele i działania singletona mogłyby być ustalane przez jego mieszkańców albo jego wybranych przedstawicieli.

Singleton będący superinteligentną maszyną może przyjąć *modus operandi*, który uczyniłby jego obecność praktycznie niedostrzegalną dla codziennej działalności jego mieszkańców. Mógłby działać jako subtelny wykonawca niektórych kluczowych działań typu gwarantowania bezpieczeństwa czy innych zadań administracyjnych. Taki singleton-superinteligencja mógłby również korzystać z algorytmów ewolucyjnych i innych metod, by zwiększyć wewnętrzną różnorodność, jeśli robienie tego byłoby korzystne dla osiągania jego celów. Rozważając cechy singletona, błędem byłoby zakładać, iż koniecznie musiałby posiadać atrybuty powszechnie kojarzone z wielkimi ludzkimi biurokracjami – sztywność, brak wyobraźni, nieskuteczność zarządzania w skali mikro, poszerzanie swoich wpływów itd. To mogłoby być prawdą dla niektórych singletonów, ale niekoniecznie musi tak być w przypadku innych rodzajów. Toteż koncepcja singletona jest znacznie bardziej szeroka niż abstrakcyjne pojęcie rządu światowego. Rząd światowy (w typowym znaczeniu tego pojęcia) jest tylko jednym z wielu rodzajów singletona.

JEDNĄ Z PRZYCZYN CHĘCI POWOŁANIA SINGLETONA (DOBREGO RODZAJU) MOŻE BYĆ CHĘĆ ROZWIĄZANIA PEWNYCH FUNDAMENTALNYCH PROBLEMÓW KOORDYNOWANIA DZIAŁAŃ NA SKALĘ ŚWIATOWĄ

Jednak wszystkie singletony posiadają jedną istotną właściwość: zdolność do rozwiązywania globalnych problemów koordynacyjnych. Inteligentny gatunek, który rozwija możliwość rozwiązywania globalnych problemów koordynacyjnych, takich jak te wymienione w kolejnej części artykułu, może posiąść o wiele więcej wielorakich ścieżek rozwoju niż gatunek nieposiadający takiej cechy jak inteligencja. Stąd posiadanie koncepcji ujednolicania wydaje się przydatne przy takim różnorodnym zbiorze potencjalnych struktur.

3. ZALETY SINGLETONA

Singletony mogą być dobre, złe lub neutralne. Jedną z przyczyn chęci powołania singletona (dobrego rodzaju) może być chęć rozwiązania pewnych fundamentalnych problemów koordynowania działań na skalę światową, które mogą być nie-

możliwe do rozwiązania przez wielość niezależnych od siebie agentur na najwyższym szczeblu. Koordynacja problemów tego typu, które mogą mieć istotne znaczenie dla przyszłości rodzaju ludzkiego, czyli na przykład:

- Unikanie groźnych wyścigów zbrojeń, które mogłyby spowodować ogromne zniszczenia czy nawet wytrzebienie ludzkości za sprawą potężnej broni, w tym broni przyszłości opartej np. na nanotechnologii [Gubrud 2000]. Wyścigi zbrojeń są kosztowne, nawet jeśli nie prowadzą do wojny.
- Unikanie przyszłego wyścigu kolonizacji kosmicznej, który mógłby doprowadzić do wyniszczenia wspólnej przestrzeni kosmicznej. Robin Hanson wypracował model, w którym taki scenariusz byłby efektem nienastania singletona [Hanson 1998].
- Unikanie skutków charakterystycznych dla skrajnej niesprawiedliwości, takich jak scenariusz, w którym pojedyncze państwo (czy elitarna grupa lub jednostka) osiąga decydującą przewagę technologiczną (jak np. superinteligencja czy zaawansowana nanotechnologia molekularna) i wykorzystuje ją na szkodę reszty ludzkości albo dla zawłaszczenia wielkich ilości zasobów. (Taki scenariusz może doprowadzić do tego, że uprzywilejowana jednostka lub elita utworzą singleton. Ale singleton stworzony przed faktem mógłby prowadzić do bardziej równomiernej dystrybucji korzyści).
- Unikanie niepożądanych ścieżek ewolucyjnych, które mogłyby prowadzić do dystopijnych konsekwencji. Singleton mógłby to zrobić poprzez celowe przekształcenie funkcji przystosowania dla populacji. (Nie istnieją mocne przesłanki ku temu, że pęd ewolucji zawsze będzie prowadzić w pożądanym kierunku. Rozwinąłem temat tego typu scenariusza dystopijnego w innym artykule) [Bostrom 2005].

4. WADY SINGLETONA

Głównym ryzykiem związanym z powstaniem singletona jest to, że może się on okazać złym singletonem. Mniejsze jednostki decyzyjne, takie jak państwa, również mogą stać się złe. Ale jeśli singleton jest zły, to odbija się to na całej cywilizacji. Nikt nie zostaje pominięty.

ISTNIENIE BARDZIEJ ROZWINIĘTYCH PAŃSTW MOŻE POSŁUŻYĆ ZA WZÓR I INSPIRACJĘ DLA REFORM BĄDŹ REWOLUCJI W ZEPSUTYM PAŃSTWIE

Ponadto w słabiej skoordynowanym porządku światowym istnieją procesy, które ograniczają niszczycielskie efekty pewnych rodzajów porażek systemowych. Na przykład jeśli pojedyncze państwo ulega zacofaniu lub wprowadza tragiczny w skutkach system ekonomiczny, to może ono zostać przejęte przez inne państwa. Inne państwa mogą np. dokonać interwencji zbrojnej lub część populacji może emigrować. Technologie oraz postęp techniczny mogą przeniknąć przez granice do zacofanego państwa. Istnienie bardziej

rozwiniętych państw może posłużyć za wzór i inspirację dla reform bądź rewolucji w zepsutym państwie. Tego typu zapobiegawcze mechanizmy nie funkcjonowałyby w złym singletonie. (Dobry singleton może celowo utrzymywać wewnętrzną różnorodność społeczną i regionalną w celu oddalenia tego zagrożenia).

Niektóre typy singletona mogłyby ponieść znaczące koszty, jeśli w wyniku rozwarstwienia aparatu biurokratycznego spadłaby jego skuteczność. Wielkość tego kosztu oraz to, czy byłby większy lub mniejszy niż korzyść wynikająca z jego koordynacji, zależy od natury singletona, jego struktury rządowej, poziomu technologicznego oraz powagi problemów, które mogą być wyłącznie rozwiązane przez singleton.

Niektóre sposoby stworzenia singletona mogłyby także pociągnąć za sobą koszty i ryzyko, zwłaszcza jeśli jeden naród czy grupa agencji spróbowałyby powołać je, używając siły w świecie wielobiegunowym, gdzie konkurujące ze sobą agencje mają znaczące wpływy. (A tym samym istnieją także sytuacje, w których próba zapobieżenia utworzenia singletona mogłoby być kosztowna i ryzykowna).

Dwie najbardziej ambitne próby wprowadzenia ograniczonej formy rządu światowego – Liga Narodów i Organizacja Narodów Zjednoczonych – wyrosły bezpośrednio z traumatycznych doświadczeń dwóch wojen światowych

5. HIPOTEZA SINGLETONA

Hipoteza singletona twierdzi, że inteligentne życie ziemskie doprowadzi (z czasem) do utworzenia singletona. Otwarta zostaje kwestia, czy hipoteza singletona jest słuszna. W mojej opinii jest bardziej niż mniej prawdopodobna.

Historycznie dostrzegamy trend prowadzący do wyłaniania się coraz to wyższych etapów organizacji społecznej, od grup zbieracko-łowieckich, przez plemiona, miasta-państwa, państwa narodowe, a obecnie organizacje międzynarodowe, regionalne sojusze, wszelakie struktury międzynarodowego nadzoru i inne aspekty globalizacji [Wright 1999]. Ekstrapolacja tego trendu prowadzi do utworzenia singletona.

Niektóre prognozowane technologie mogą sprzyjać utworzeniu singletona, jak np. usprawniony nadzór (w tym skuteczne wykrywacze kłamstw) oraz technologie umożliwiające kontrolę umysłów, technologie komunikacyjne czy sztuczna inteligencja. Inne technologie mogą zmniejszyć prawdopodobieństwo powstania singletona. Na przykład bardziej powszechne wykorzystanie kryptografii czy przeniesienie się większości naszego życia i gospodarki do cyberprzestrzeni mogą spowodować, że utworzenie pewnych form singletona będzie miało niższy stopień prawdopodobieństwa (singletony oparte na silnej scentralizowanej kontroli).

Singleton to prawdopodobny rezultat wielu scenariuszy, w których pojedyncza agentura zyskuje istotną przewagę poprzez dokonanie przełomu technologicznego w sztucznej inteligencji czy nanotechnologii molekularnej [Drexler 1985]. Taka agentura, która zyskałaby przewagę dzięki technologicznej supremacji, mogłaby wykorzystać do tego, by zapobiec dogonieniu jej przez inne agencje, zwłaszcza w obszarach technologicznych kluczowych dla jego bezpieczeństwa.

Szerokie wsparcie dla utworzenia singletona mogłoby być stopniowo wypracowane, jeżeli w istocie singleton jest potrzebny, by rozwiązać problemy związane z koordynacją problemów wyliczonych w części 3, zwłaszcza jeśli wydatność tych problemów będzie się z czasem zwiększać. Jakaś katastrofa, która podkreśliłaby niebezpieczeństwa związane z niepowodzeniem w rozwiązaniu problemów związanych z globalną koordynacją, takich jak wojna z wykorzystaniem broni masowego rażenia, mogłaby przyśpieszyć powstanie takiego porządku. Dwie najbardziej ambitne próby wprowadzenia ograniczonej formy rządu światowego – Liga Narodów i Organizacja Narodów Zjednoczonych – wyrosły bezpośrednio z traumatycznych doświadczeń dwóch wojen światowych. (Przeciwny przypadek również jest możliwy, kiedy okazuje się, że ryzyko i koszty związane z utworzeniem singletona przeważają nad korzyściami, wówczas może powstać oświecony opór dla niego, który zmniejszy prawdopodobieństwo jego powstania).

Kiedy już zostanie uformowany, singleton może już być permanentnie stabilny. To może się zdarzyć, jeśli nadzór, kontrola myśli czy inne technologie z zakresu bezpieczeństwa rozwiną się w taki sposób, że pozwolą singletonowi skutecznie zapobiegać tendencjom odśrodkowym. **Ω**

(2005)

Nick Bostrom
Future of Humanity Institute
Faculty of Philosophy
Oxford University
www.nickbostrom.com

[*Linguistic and Philosophical Investigations*, Vol. 5, No. 2 (2006): pp. 48–54]

Tłumaczenie z angielskiego
Marcin Garbowski

BIBLIOGRAFIA

Bostrom N. (2005), *The Future of Human Evolution. Death and Anti-Death*, C. Tandy, Ria University Press.
Drexler K.E. (1985), *Engines of Creation: The Coming Era of Nanotechnology*, London, Forth Estate.
Gubrud M. (2000), *Nanotechnology and International Security*, Fifth Foresight Conference on Molecular Nanotechnology.
Hanson R. (1998), *Burning the Cosmic Commons: Evolutionary Strategies for Interstellar Colonization*, available from http://hanson.gmu.edu/filluniv.pdf.
Wright R. (1999), *Nonzero: The Logic of Human Destiny*, New York, Pantheon Books.

KAŻDY PISARZ JEST RELIGIJNY

NAZWANIE JEZUSA „MOJĄ DZIEWCZYNĄ" W SPONTANICZNYM CZYTANIU WYDAJE SIĘ NIESTOSOWNE, WRĘCZ OBRAZOBURCZE. CZUŁOŚĆ EROTYCZNA, POWIĄZANA Z MIŁOŚCIĄ, ODSŁANIA JEDEN Z NAJGŁĘBSZYCH OBSZARÓW LUDZKIEGO BYCIA. A SKORO TAK, W JĘZYKU DOŚWIADCZENIA EROTYCZNEGO MOŻNA WYRAŻAĆ (NA ZASADZIE ANALOGII) SWĄ WIĘŹ Z BOGIEM – MÓWI **KS. JAN SOCHOŃ** W ROZMOWIE Z „FRONDĄ LUX"

Zacznijmy od mocnej tezy i, tak sądzę, trudnego pytania. Żyjemy w świecie, który ulega bardzo silnym tendencjom laicyzacyjnym. Dzieje się to na bardzo wielu płaszczyznach – obejmują one interakcje międzyludzkie, podejście do kwestii szeroko pojętej religijności (nie myślę tylko o chrześcijaństwie czy katolicyzmie), sferę polityki, ale także literaturę… No właśnie – komu potrzebna jest dziś poezja religijna?

– Gdyby przyjąć, że tzw. teza sekularyzacyjna, mająca nieprzejednanych zwolenników zwłaszcza w latach 60. XX wieku i sugerująca, że religia, a szczególnie chrześcijaństwo, niebawem zniknie z krajobrazów ludzkiej kultury – mógłbym powątpiewać w sens literatury, szerzej: sztuki, reagującej na tropy tego, co święte. Na szczęście jednak (użyję kalamburycznej zbitki pojęciowej) marzenia oświeceniowo-komunistyczno-liberalnych oraz nastawionych antymetafizycznie autorów zupełnie się nie ziściły. Religia – mimo zmasowanej promocji postaw ateistycznych i wolnomyślicielskich – nadal odgrywa istotną rolę w osobistym życiu wielu osób, jak też w sferze życia społecznego. Mam na uwadze głównie ludzi, którzy wierzą w Boga, troszczącego się o swoje stworzenia, rozsyłającego świętą życzliwość, by mogli osiągnąć szczęście zapoczątkowanego przez Jezusa Królestwa Bożego. Tych natomiast, którzy akceptują „duchowość bez Boga", podkreślają, że prowadzą swoiste życie wewnętrzne, nie jestem w stanie nazywać ludźmi religij-

nymi we właściwym sensie tego określenia. Z prostej racji. Roziskrzanie w sobie pewnych ekstatycznych uniesień, czy to pod wpływem piękna natury, erotyki, pozaziemskich mocy lub kosmicznych energii, prowadzi jedynie do potęgowania osobistych przeżyć i parareligijnego wstrząsu. Tacy poszukiwacze duchowości odnajdują się więc gdzieś między ezoteryką a okultyzmem, wiarą w galaktyczne istoty a satanizmem itd. Nie poszukują oni realnej więzi z Bogiem, nie oddają Mu czci, nie motywują też swych decyzji moralnych naturalnym Bożym prawem, lecz gonią za bieżącym samopoczuciem i psychologicznym nastrojem. Być może ich ambicje będą mogły zaspokajać chociażby poezja Baudelaire'a, wizje Swedenborga czy „szaleństwa" Witkacego, natomiast literatura traktowana jako tzw. miejsce teologiczne albo przynajmniej – dzięki swej symbolicznej strukturze – mogącą konkretyzować napięcia, jakie budzi to, co mówi Bóg na kartach Pisma Świętego, będzie pozostawała w ich rozpoznaniu głucha, niegodna jakiegokolwiek zainteresowania. Zdarza się jednak, że sztuka autentycznie religijna, czyli wyrastająca z umiłowania Boga, starająca się za pomocą środków ściśle literackich wypowiadać trudno opisywalne „emocje", jakie zdarzają się na linii człowiek – Bóg, bywa przyjmowana przez czytelników jako ważne narzędzie wzbogacania samoświadomości religijnej, a nawet utwierdzania się w wierze. Człowiek otwarty na łaskę, poszukujący sensu własnej egzystencji, wadzący się z aporiami świata, protestujący przeciw złu, cierpieniu, wojnom – wszystkiemu więc, co przeczy osobowej godności, niemal automatycznie staje się przyjacielem literatury, która w różnoraki sposób dotyka tych spraw, zdaje liryczny raport z doświadczenia, jakim jest wewnętrzna więź człowieka (tu: artysty) ze Stwórcą. Poezja religijna zatem jest odpowiedzią na Słowo, na Janowy Logos, z drugiej jednak strony może wypływać – i najczęściej wypływa – z bogactwa człowieczej osobowości. Nasze poznanie przecież nie obejmuje całej wielobarwnej mozaiki świata, jest aspektowe, wybiórcze, stąd nigdy nie kończą się nasze procesy poznawcze; podobnie relacje z Bogiem polegają na nieustannym ponawianiu wysiłku, by odczytywać treści zaszyfrowane w tekstach świętych, Tradycji czy zasugerowane w pismach Ojców Kościoła, ale również mam na myśli i te treści, które sobie mniej lub bardziej wyraźnie uświadamiamy podczas modlitwy, liturgii czy innych gestów wiążących się z kultem. Dopóki będzie istniała religia (religie), będą się pojawiały literackie próby rozjaśniania dróg, na których spotyka się człowiek ze swoim Bogiem, ponieważ nikt i nigdy nie jest w stanie całościowo uchwycić ontologicznej bujności świata, nie mówiąc już o – w gruncie rzeczy tajemniczych i nieprzedstawialnych – relacjach człowieka z Bożym Ty. W tym sensie literatura religijna potrzebna jest tym wszystkim, którzy uznają się za osoby żyjące w żywio-

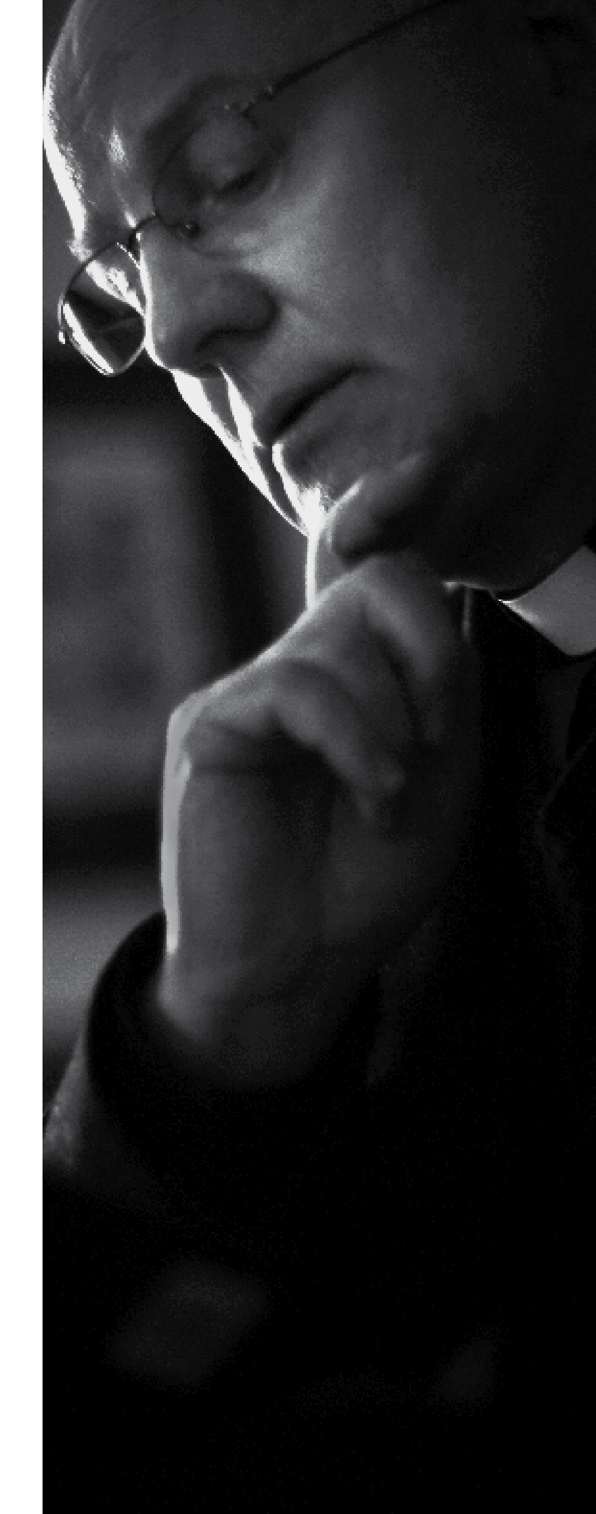
le wiary i którzy naturalnie są wrażliwi na specyfikę języka artystycznego. Ale również, jeżeli jest poważną literaturą, potrafi angażować każdego człowieka. Trudno mi wyobrazić sobie ludzi, którzy totalnie nie są zaintrygowani poetyckim sposobem bycia w świecie, choć takich ludzi, z przykrością mówię, niekiedy spotykam.

No dobrze, pójdźmy nieco dalej. Współczesny czytelnik jest kapryśny i wybredny. Nie powiem, że jest wymagający, bo tacy odbiorcy wciąż stanowią mniejszość – choć chyba pożądaną. Nie sądzi ksiądz, że współczesna poezja religijna, czy w ogóle twórczość poruszająca te rejestry tematyczne, się liberalizuje? Że autorzy starają się dopasować do czytelników w myśl idei „postępu”? Mówi się, że literatura, aby sprostać problemom współczesności – a podobno tylko wtedy będzie miała wymiar praktyczny i tylko wtedy realnie zaistnieje – musi otworzyć się na nowe wyzwania, a konserwatyzm kojarzony z religią na pewno nie jest tu pomocny. Czy da się zatem przyłożyć miarę poezji religijnej do otaczającego nas świata?

– Nie przypuszczam, że współcześni pisarze, zaliczani do kręgu projektodawców literatury religijnej, w konfrontacji z teraźniejszością się liberalizują. Mogę co najwyżej przyjąć, że niektórzy z nich – z sobie tylko znanych powodów – starają się rozkruszać korpus chrześcijańskiego dogmatu, w takim znaczeniu, że proponują kontrowersyjne jego interpretacje, by w ten sposób spajać się z wrażliwością ponowoczesności. Na ile jest to procedura godna sprzeciwu – nie wiem. Wiem natomiast, że gdyby owe zabiegi prowadziły do zniekształcenia ortodoksji chrześcijańskiej, wówczas trzeba się im wyraźnie przeciwstawiać. Zachowanie wolności twórczej nie musi powodować konieczności działań bluźnierczych bądź – co jest już bardziej skomplikowane i trudne – heretyckich. Inną zaś kwestią pozostaje poetyka (konstrukcja) artystyczna. Pisarze, każdy w zależności od swych twórczych talentów, różnorako ją realizują, często niezwykle oryginalnie, ponad konwencjami, tradycyjnymi formami stylistycznymi czy syntaktycznymi. Te innowacje wcale nie muszą wykluczać religijnego konserwatyzmu, tym bardziej że jest on sercem religii. Każdego pisarza, wydaje mi się, wypada nazywać religijnym, kiedy spełnia z uwagą swą twórczą powinność, kiedy jest szczery i autentyczny w swym trudzie, kiedy wreszcie rozgląda się za ostatecznymi miarami świata i życia. W twórczości prawie każdego polskiego poety mógłbym odnaleźć teksty przesycone aurą religijną, ponieważ wszyscy żyjemy w obszarze oddziaływania chrześcijańskiej wizji rzeczywistości, obramowanej fundamentalnym wydarzeniami Wcielenia, Pasji, Zmartwychwstania. Stąd też: jakąkolwiek postać, w porządku

społeczno-politycznym czy moralnym, przybiera świat, zawsze jest w nim (i chyba zawsze będzie) miejsce na literaturę otwartą na chrześcijańskie inspiracje. Jak wspomniałem wcześniej, artyści mogą uznać dzieła swojej profesji za takie, dzięki którym dochodzi do umacniania kontemplatywnych więzi człowieka z Bogiem. Znam i takich, w wypadku których, sądzę, drogi religii i literatury całkowicie się wykluczają, ponieważ ta pierwsza nie mogłaby istnieć bez samoobjawiającego się Boga, a literatura, przeciwnie, dysponuje sobie tylko przynależnymi wzorcami i nie powinna zawracać sobie głowy religijnymi paradoksami i aporiami. Pojawiają się nadto opinie, że literatura na pierwszy rzut oka pozbawiona wątków religijnych z racji swej wewnętrznej struktury, harmonii i estetycznej wzniosłości jest w stanie budzić różnego rodzaju przeżycia głęboko religijne. Przeciwieństwem takiej postawy są praktyki, kiedy artyści wykorzystują wątki religijne w celach na przykład prześmiewczych, prowadzących do mnożenia się skandalów obyczajowych bądź prowokacji artystycznych. Powody takich działań mają wszak wyjątkowo złożony charakter i wiążą się z nowożytnymi przemianami cywilizacyjnymi.

A może trudność leży w języku? Nie wiem, czy można mówić jeszcze o języku religijnym w odniesieniu do najbardziej współczesnej literatury.



Z drugiej strony nie wiem też, czy częste odejście od mówienia wprost jest czymś niewłaściwym. W głowie pobrzmiewa mi poezja Romana Bąka, który przejmująco mówi o świecie, coraz rzadziej nawiązując bezpośrednio do religijnej topiki, symboliki, konkretnych, często utartych fraz. A przecież jest to poezja religijna, i to religijna wielopłaszczyznowo. Kiedy rozmawiałem ostatnio o tych wierszach z prof. Wojciechem Kudybą, powiedział mi, że Bąk nie potrzebuje języka religijnego, by mówić o głębokich przeżyciach wewnętrznych. Może to jest właściwa droga?

– Nie przekonują mnie tego typu intuicje, choć je rozumiem. Naturalnie, rzecz cała sprowadza się do tego, jak będziemy rozumieli język religijny. I nie chodzi tu o język religijny w znaczeniu doktrynalnym, taki, jaki wybrzmiewa w liturgii, w śpiewie albo w dokumentach Kościoła. Chodzi o religijny język literacki, którego rdzeń stanowi symbol. Dzięki temu pisarz potrafi przenosić sens z jednego kontekstu w kontekst całkowicie odmienny, może sugerować to, co nie jest dostępne poznaniu zmysłowemu, może w rezultacie doświadczyć sytuacji, które nazywam sytuacjami poetyckimi. W mojej osobistej praktyce pisarskiej nie stosuję wielu metafor czy lingwistycznych chwytów. Zdaję się na znaczeniową moc całego wiersza, który – jako formalna całość właśnie – wyzwala różnorodne sensy i wrażenia natury emocjonalnej, estetycznej, religijnej. Oczywiście tym, co spina tę poetycką strukturę, nie jest klasyczny rym (choć się zdarza), tylko rytm wewnętrzny, muzyka zdania. Dlatego długo pracuję nad ostateczną wersją wiersza. Po napisaniu zawsze pozostawiam go na pewien czas w tzw. poetyckiej kwarantannie. Dopiero kiedy poleży w szufladzie, nabierze odpowiedniego kośćca, wówczas odważam się na druk w czasopiśmie, później w planowanym tomiku. Czy specjalnie zabiegam o religijny język poetycki? Nie, ponieważ nie sposób tego czynić, wyłączywszy moment, kiedy chcę, by wiersz przybrał charakter modlitwy, był po prostu modlitwą. Ale to zdarza się rzadko. Najczęściej jest bowiem tak, że poezja niejako zatrzymuje się na progu, poza którym może rozwijać się już tylko sama modlitwa. Przypuszczam, że wielu dzisiaj tworzących poetów pisze w swoim własnym stylu, co jest sporą zaletą. I w tej wielości poetyk trwale błyszczą ślady doświadczeń religijnych, przeżyć duchowych. Ich naturalną konsekwencją jest to, że wtedy wiersz nabiera konfesyjnych barw. Dzieje się tak nawet wtedy, kiedy tematyka, jaką poruszam, bezpośrednio nie wiąże się na przykład z życiem Jezusa, Kościoła, liturgią, kiedy dotyczy codziennych, najzwyklejszych aspektów istnienia. Lubię powtarzać i dziwić się zarazem: ileż to tajemnic kryją rzeczy zwykłe i wydawałoby się banalne!

Zmienia się też chyba tematyka utworów. Zastanawiałem się, którędy podążać będą ścieżki poetów zakorzenionych w tradycji, poruszających najistotniejsze, głęboko egzystencjalne kwestie – mówię tu także o poetach „religijnych", choć bardzo nie lubię takiego szufladkowania. Nie ukrywam, że przez to zwróciłem uwagę na księdza poezję. Tym, co mnie uderzyło, była – świetnie ujęła to Adriana Szymańska – mistyka codzienności. Mówi ksiądz o sprawach bardzo ludzkich, przyziemnych, które prowadzą do przedstawień epifanijnych – to jest autentyczne. Zazwyczaj jest odwrotnie – stawia się tezę i dopasowuje do niej argumenty, mówiąc: musisz uwierzyć, bo tak przecież jest. Ksiądz osadza myśl na doświadczeniu, wychodzi od człowieka i to jest dobry kierunek. Tak dzieje się w *Sandałach i pierścieniu*. Ten tom dlatego jest tak mocny...

– Moim zdaniem znamienita poezja powinna być poezją „wielkich pytań i tematów", egzystencjalnie nośnych, na które nie ma i być nie może jednoznacznych albo wyczerpujących odpowiedzi. Archetypy, toposy ludzkości wciąż domagają się nowego spojrzenia. Dlatego trzeba do nich nawiązywać, wzbogacając kulturowy przekaz o treści osobistego doświadczenia. Wiadomo przecież nie od dzisiaj, że kultura rozwija się w odbiorze, gdyż każdy człowiek jest kimś niepowtarzalnym i szczególnym, nie mówiąc już o artystach, którzy poetycko starają się wejść w treści namnożone w historycznym przekazie, domagającym się coraz to nowych interpretacji. Ale to również oznacza, i tak jest w moim przypadku, że wskazana uniwersalność poezji ma swe źródło w tym, co zwykłe, kruche, pozbawione ozdób. Niech będzie to – jak pan mówi – mistyka codzienności. Ważne, żeby tym zwykłym przeżyciom, odczuciom, zdobyczom intelektualnym religia użyczała, jak zauważył onegdaj prof. Stefan Sawicki, czegoś innego: aspektu spojrzenia, rozumienia, oceny. Tematem wiersza może być wszystko – widziane, rozumiane, oceniane, przeżywane religijnie. Ośmieliłbym się więc nazwać to, co proponuję w swojej twórczości , religijnym widzeniem ludzkiej rzeczywistości, w całym jej uwikłaniu, przygodności i tajemnej strukturze, mieszczącej w sobie i dobro, i zło, piękno i brzydotę, miłość i nienawiść, cielesność i duchowość, brudną skazę i scalającą harmonię.

Jak mówiliśmy, środowiska religijne są silnie konserwatywne. Co zrobić zatem z takimi tekstami jak *Dziewczyna z Sandałów i pierścienia*? To bardzo silnie dwuznaczny wiersz, ale takich jest więcej. Szczególnie gdy pojawiają się wątki związane z psychomachią – nie zawsze jest łatwo i nie zawsze się staje się po tej właściwej stronie. To ludzkie, owszem, ale nieco burzy mit

kapłana jako niezłomnego. Ludzie często oczekują od duchownych nieskazitelności, a tak się chyba nie da. Może dlatego o poezji ks. Sochonia mówi się, że jest bliska prawdy?

– Ach, nie wiem, co powiedzieć. Jeżeli poezja wywołuje jakieś poruszenie, daje do myślenia, kiedy doprowadza do wniosku, że oto autor odkrywa przed czytelnikiem coś z jego prywatnego laboratorium wrażliwości i stanu serca – wtedy następuje jakby stopienie się dwóch egzystencjalnych horyzontów. Poezja przybiera wymiar rozmowy, w której prawda wychodzi na jaw. Wiersz *Dziewczyna*, o którym pan wspomniał, to przykład tego typu rozeznania. Mówiąc jeszcze bardziej precyzyjnie: to kolejna próba (z wielu, jakie dotychczas poczyniłem) dotarcia do poetyckiego języka religijnego, będącego znakiem najgłębszych przeżyć, których analogie odnajdujemy w przeżyciu miłosnym, dosłownie erotycznym. Nazwanie Jezusa „moją dziewczyną" w spontanicznym czytaniu wydaje się niestosowne, wręcz obrazoburcze. Rozważmy jednak. Czułość erotyczna, powiązana z miłością, odsłania jeden z najgłębszych obszarów ludzkiego bycia. A skoro tak, w języku doświadczenia erotycznego można wyrażać (na zasadzie analogii) swą więź z Bogiem. Czynili w ten sposób autorzy Biblii; prorocy relacje Izraela z Jahwe wyrażali w symbolice małżeńskiej, zatem i ja niekiedy decyduję się na tego rodzaju językowy proceder. Jestem zresztą świadom, że sytuacja poetycka tego wiersza sugeruje wielobarwną znaczeniowo paletę interpretacyjną; należy się tylko z nią czytelniczo zmierzyć. Po prostu.

Ta bliskość doświadczenia prowokuje też pytania o to, co stanowi chyba jeden z rdzeni najnowszego tomu. Myślę o ciele i duszy, o napięciu między nimi. O ciele szczególnie, jako tym, co nas do Boga w tej poezji przybliża, ale także o ciele, które przez zmysłowe pokusy, w myśl nauki wiary, oddala nas od boskiego ideału. Ksiądz pokazuje, że te pokusy są realne. Co zrobić w takim razie z ciałem, jak ustosunkować się do niego jako nośnika potrzeb zarówno tych cielesnych, jak i, chyba ważniejszych, duchowych?

– Rzeczywiście, w wielu moich tomach problematyka ciała i ducha, także w wymiarze filozoficznym, wybija się na pierwszy plan. W książce ostatniej nie jest już tak bardzo widoczna. Nie oznacza to jednak, że z nią sobie całkowicie poradziłem, nie tylko w sensie poetyckim, lecz także egzystencjalnym. To zawsze będzie odpowiedzialne zadanie, nie tyle do przezwyciężenia, ile do właściwego przeżywania, zgodnego zresztą z chrześcijańską teologią ciała, jaką zaproponował papież Jan Paweł II. Jest taki wiersz Czesława Miłosza *Sens*, z tomu *Dalsze okolice*, który nie daje mi spokoju. Kiedy nad nim rozmyślam,

widzę samego poetę, obarczonego ciężarem dramatycznego losu, dźwigającego oścień egzystencjalnej przygodności, poszukującego Boga i Boga się lękającego, marzącego o sławie i niegodzącego się na rolę narodowego wieszcza. Wyobrażam go sobie, jak idzie przez życie, raz wolniej, raz przyśpieszając kroku. Jak pragnie zmysłowych podniet, a zarazem chce aury kontemplacji i duchowego uciszenia. Mieszają się w nim te porządki, niekiedy sobie przeczą, ale nigdy nie milkną w żywiole historii, polityki, światowej popularności. Tak zapewne być musi, ponieważ jesteśmy utkani z tego, co cielesne, zapatrzone w miłosną rozkosz, oraz z tego, co potrafi przekraczać ów wymiar, wznosić się ponad dotykalny horyzont. Mimo że tworzymy względną psychofizyczną jedność, nie potrafimy wyzbyć się poczucia rozdwojenia, rozdarcia. Żaden nasz czyn ani kreatywny wysiłek nie zyskują absolutnej głębi. Toteż potrzebujemy wsparcia, życzliwości z nieba, modlitwy. Staram się o tym wszystkim pisać, przekonując, że ludzkie ciało to przecież „teren zbawienia", żertwa ofiarnicza, narzędzie wyrażania samego siebie. Ale też powód do grzechu, niepokoju, bólu. Scalanie tego, co rozbija harmonię życia, oto ważny element mojej poetyki sformułowanej. Jeżeli zatem ktoś nie kocha poetów i poezji, jakże może w całej pełni usłyszeć głos Ewangelii? **Ω**

Rozmawiał Jacek Podgórski

październik 2015 r.

Ks. Jan Sochoń – ur. w 1953 r. w Wasilkowie pod Białymstokiem. Poeta, teolog, filozof chrześcijański. Profesor zwyczajny w Instytucie Filozofii Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i kierownik Katedry Filozofii Boga i Religii. Członek m.in. Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Polskiego Towarzystwa Tomasza z Akwinu, Polskiego Towarzystwa Filozoficznego oraz International Institute for Hermeneutics (Kanada). Współpracował z Polskim Radiem, Telewizją Polską, a także z wieloma czasopismami. Autor publikacji książkowych, m.in. *Bóg i język* (2000), *Ateizm* (2003), *Ponowoczesne losy religii* (2004), *O pocieszeniu, jakie daje literatura* (2005). Za *Ateizm* oraz *Przygodność i tajemnicę. W kręgu filozofii klasycznej* (2003) nagrodzony w dziedzinie dzieł naukowych laurem Stowarzyszenia Wydawców Katolickich – „Feniks". Wydał wiele tomów poetyckich, m.in. *Wszystkie zmysły miłości* (1997), *Ogień dobrej śmierci. Wiersze nowe 1997–2000* (2001), *W miłości zdarza się wszystko. Wiersze z lat 2001–2004* (2004), *Bagaż podręczny* (2005), ostatnio zaś *Sandały i pierścień* (2015).



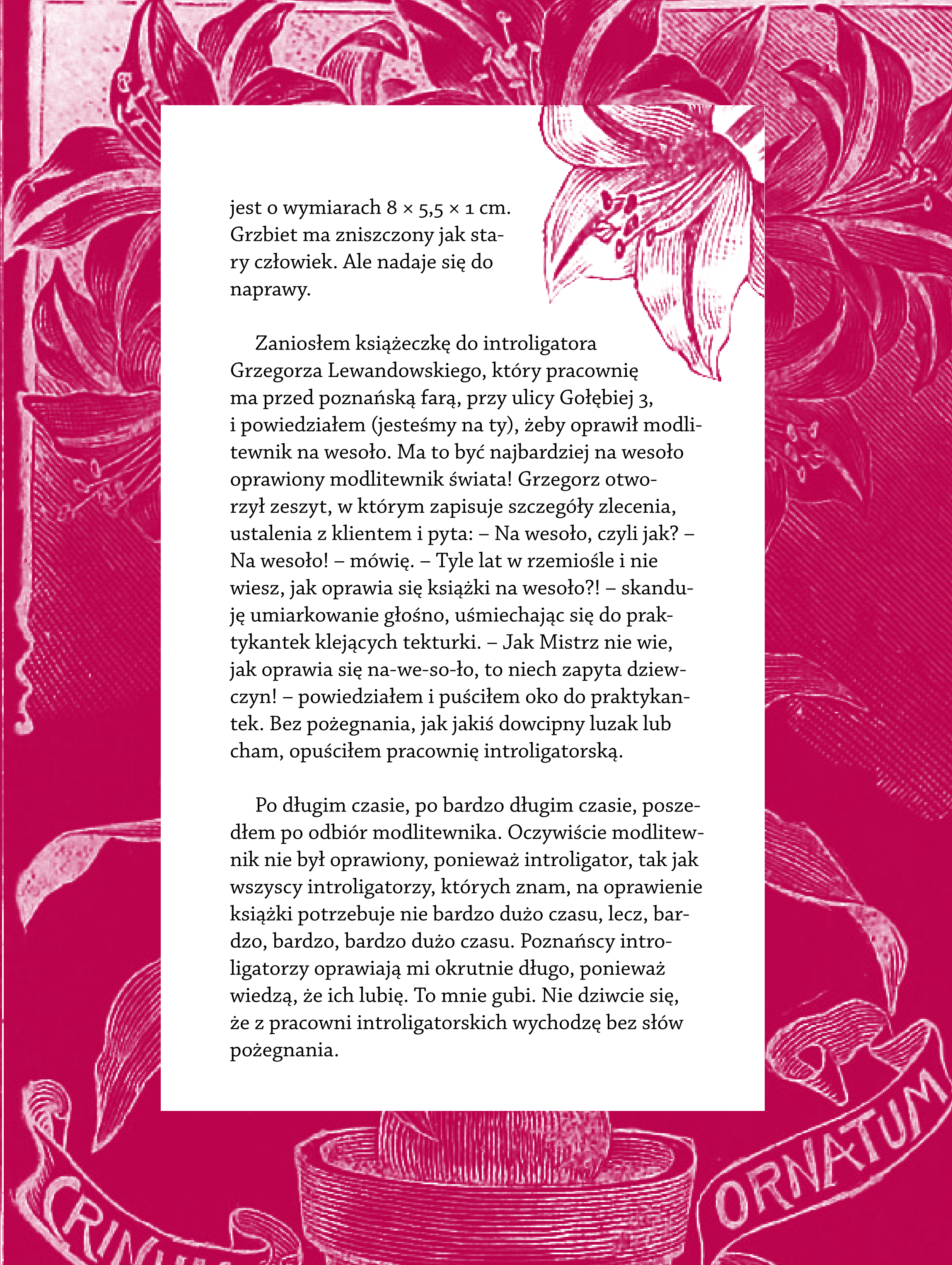
Jerzy Kędzierski

Trzy modlitewki

Powiem bez wstępu: słowo „modlitewki", od kiedy je poznałem, cieszy mnie i wzrusza. Pozwala także prowokować, a prowokować kocham. Zapytaj swoją dziewczynę, żonę, a jeśli nie masz dziewczyny ani żony, zapytaj kogokolwiek: jakie są twoje ulubione trzy modlitewki? Naucz się prowokować. Naucz się prowokować ważne rozmowy

Tyle słodkości znajduję w słowie „modlitewka". Słowo to Kościół zgubił. Ani w języku Kościoła, ani w języku polityki słowo „modlitewka" poprawne politycznie nie jest. Skąd znam to słowo? Było tak.

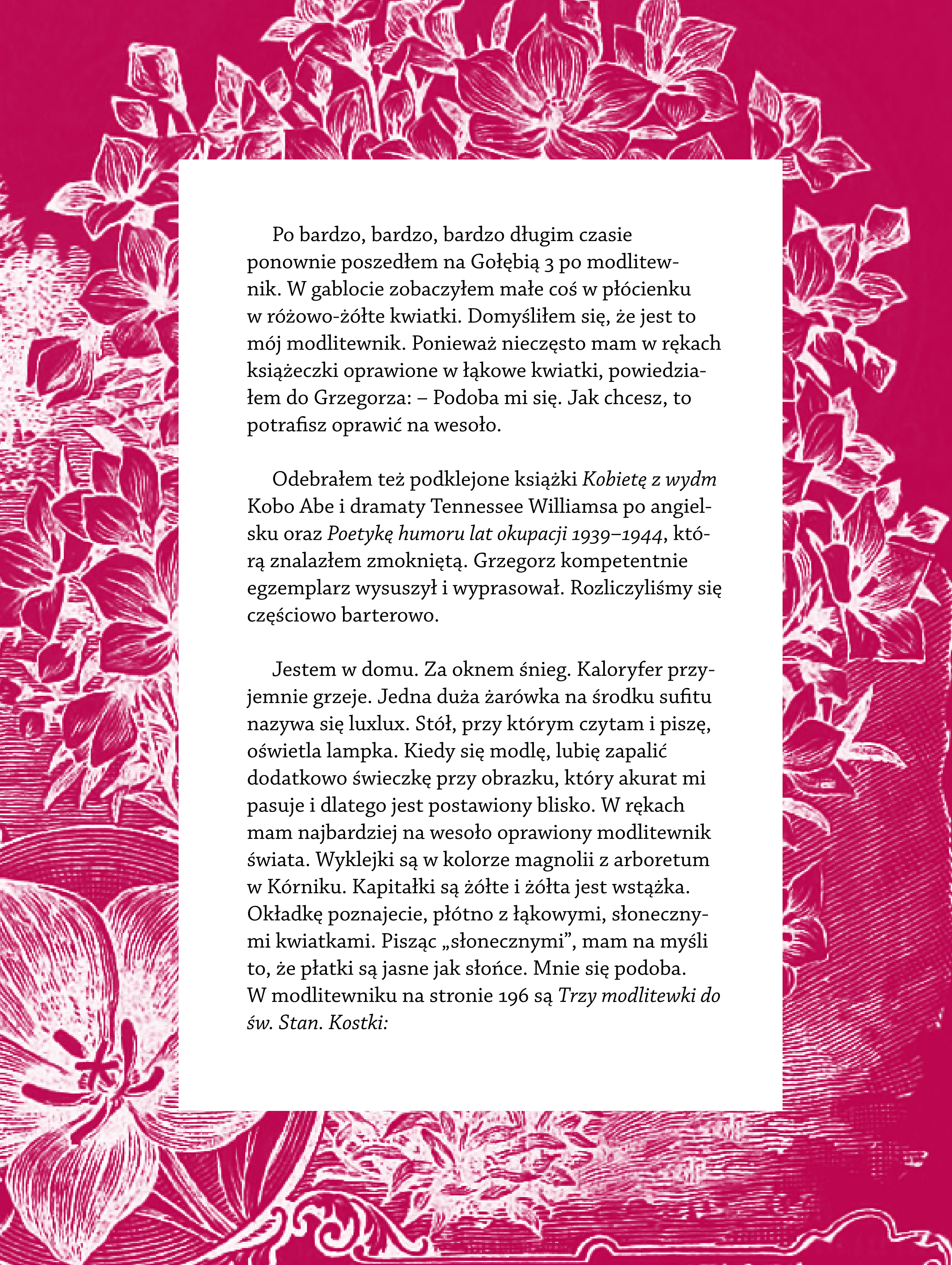
Poszedłem Bogu ducha winny na mszę. W kruchcie lud zostawia dla współwyznawców przeczytane katolickie gazety, obrazki, litanie, czasem książka się trafi. Tak też było tym razem. Ktoś zostawił małą książeczkę. Tak małą, że mam ochotę zmierzyć ją linijką. Ponieważ linijki nie mam pod ręką, zmierzę ją metrem budowlanym, który przechowuję w szafce, w przedpokoju. Idę po metr. Już mam. Już mierzę. Książeczka przyniesiona z kościoła



jest o wymiarach 8 × 5,5 × 1 cm. Grzbiet ma zniszczony jak stary człowiek. Ale nadaje się do naprawy.

Zaniosłem książeczkę do introligatora Grzegorza Lewandowskiego, który pracownię ma przed poznańską farą, przy ulicy Gołębiej 3, i powiedziałem (jesteśmy na ty), żeby oprawił modlitewnik na wesoło. Ma to być najbardziej na wesoło oprawiony modlitewnik świata! Grzegorz otworzył zeszyt, w którym zapisuje szczegóły zlecenia, ustalenia z klientem i pyta: – Na wesoło, czyli jak? – Na wesoło! – mówię. – Tyle lat w rzemiośle i nie wiesz, jak oprawia się książki na wesoło?! – skanduję umiarkowanie głośno, uśmiechając się do praktykantek klejących tekturki. – Jak Mistrz nie wie, jak oprawia się na-we-so-ło, to niech zapyta dziewczyn! – powiedziałem i puściłem oko do praktykantek. Bez pożegnania, jak jakiś dowcipny luzak lub cham, opuściłem pracownię introligatorską.

Po długim czasie, po bardzo długim czasie, poszedłem po odbiór modlitewnika. Oczywiście modlitewnik nie był oprawiony, ponieważ introligator, tak jak wszyscy introligatorzy, których znam, na oprawienie książki potrzebuje nie bardzo dużo czasu, lecz, bardzo, bardzo, bardzo dużo czasu. Poznańscy introligatorzy oprawiają mi okrutnie długo, ponieważ wiedzą, że ich lubię. To mnie gubi. Nie dziwcie się, że z pracowni introligatorskich wychodzę bez słów pożegnania.



Po bardzo, bardzo, bardzo długim czasie ponownie poszedłem na Gołębią 3 po modlitewnik. W gablocie zobaczyłem małe coś w płócienku w różowo-żółte kwiatki. Domyśliłem się, że jest to mój modlitewnik. Ponieważ nieczęsto mam w rękach książeczki oprawione w łąkowe kwiatki, powiedziałem do Grzegorza: – Podoba mi się. Jak chcesz, to potrafisz oprawić na wesoło.

Odebrałem też podklejone książki *Kobietę z wydm* Kobo Abe i dramaty Tennessee Williamsa po angielsku oraz *Poetykę humoru lat okupacji 1939–1944*, którą znalazłem zmokniętą. Grzegorz kompetentnie egzemplarz wysuszył i wyprasował. Rozliczyliśmy się częściowo barterowo.

Jestem w domu. Za oknem śnieg. Kaloryfer przyjemnie grzeje. Jedna duża żarówka na środku sufitu nazywa się luxlux. Stół, przy którym czytam i piszę, oświetla lampka. Kiedy się modlę, lubię zapalić dodatkowo świeczkę przy obrazku, który akurat mi pasuje i dlatego jest postawiony blisko. W rękach mam najbardziej na wesoło oprawiony modlitewnik świata. Wyklejki są w kolorze magnolii z arboretum w Kórniku. Kapitałki są żółte i żółta jest wstążka. Okładkę poznajecie, płótno z łąkowymi, słonecznymi kwiatkami. Pisząc „słonecznymi", mam na myśli to, że płatki są jasne jak słońce. Mnie się podoba. W modlitewniku na stronie 196 są *Trzy modlitewki do św. Stan. Kostki:*



1. *O cnotę czystości.*
2. *O cnotę miłości.*
3. *O dobrą śmierć.*

Czegóż od życia chcieć więcej? Modlitewnik nosi tytuł *W górę serca*. Podtytuł *Książeczka do nabożeństwa dla wszystkich stanów. Zebrał i ułożył X.A.S. Wydanie czwarte, Miejsce Piastowe 1948, nakładem Zgromadz. św. Michała*. Jest *nihil obstat, censor librorum Dr Thomas Wąsik* oraz *POZWALAMY DRUKOWAĆ Przemyśl, dnia 14 września 1948, Fr. Barda bp.* Na stronie tytułowej, niewprawną w pisaniu ręką, ołówkiem jest napisane *Jezu najmiłościwszy zmiłuj się nad nami*. W bardzo małym modlitewniku właścicielka (intuicyjnie sądzę – właścicielką była kobieta) dopisała ołówkiem modlitwę. Streściła modlitewnik. Kobieta, niewprawną w pisaniu ręką, podsumowała książeczkę słowami: *Jezu najmiłościwszy zmiłuj się nad nami*.

Może jednak było inaczej? Kobieta uzupełniła książeczkę o przekaz ustny. Wpisała modlitwę, którą usłyszała i która spodobała się jej. Uznała to za ważne. Nie wszystkie modlitwy są wydrukowane.

A ja wam sadzę felieton o *Trzech modlitewkach do św. Stanisława Kostki*. Pewnie nie chcecie już, żebym *Trzy modlitewki* przepisał. Zresztą nie wiem. Jak się spotkamy, zapytajcie mnie o nie. Umiem na pamięć. **Ω**



Wojtek pasterz

Wojtkowi Żmidzińskiemu

Jerzy Kędzierski

Kiedy Wojciech był małym chłopcem, mieszkał w wielkim domu ze swoimi rodzicami i braćmi. Powodziło im się bardzo dobrze. Dom to był właściwie zamek. Miał małe okienka, żeby do wnętrza nie dostało się zimno. Zamek stał bowiem w krainie, gdzie wiało dość mocno

Było to mniej więcej w połowie drogi między Kłodzkiem a Pragą, w czeskiej miejscowości Libice. Zamek był drewniany. Mogą w ogóle być zamki drewniane? Tak, tysiąc lat temu w Europie Środkowej zamki, grody, domy, prawie wszystkie zabudowania były wyłącznie z drewna. Nie znano jeszcze cegieł, a kamieni na polach nie było zbyt wiele. Okna w zamku były niewielkie. Mało co można było przez nie zobaczyć. Wojtek, jak to chłopczyk, był ciekawy świata. Lubił patrzeć w dal. Im dalej widział, tym bardziej wyobrażał sobie, jak zaskakujące i niezbadane musi być życie. Wyczekiwał, aż otworzą się wielkie wrota, przez które na koniach wjeżdżali wojownicy. Kiedy wrota były otwarte, Wojtek wybiegał przed zamek. Najczęściej w ogóle nie pamiętał o tym, żeby zapytać rodziców o pozwolenie. Biegł do ulubionej olbrzymiej gruszy. Lubił to drzewo i cały rok czekał na koniec lata, kiedy gruszki dojrzewały i miękły. Wtedy wylewał się z nich słodziutki sok. Wojtek był zdrowy i silny. Wchodzenie na drzewa sprawiało mu przyjemność. Pod koniec lata codziennie wspinał się na gałęzie gruszy. Obmacywał owoce, by przekonać się, czy już zmiękły. Bardziej jeszcze niż gruszkami cieszył się widokami, które rozpościerały się z wysokości drzewa. Patrzył w dal. Ciekawiło go wszystko, co widział. Obserwował z drzewa pasterza owiec. Pasterz miał długi, zakręcony na górze kij. Tym kijem strzegł, bronił stada przed niebezpieczeństwem. Odganiał włóczące się niczyje psy. Zdarzało się nawet, że pasterz bronił stada owiec przed wilkami.

CZEKAŁ NA KONIEC LATA, KIEDY GRUSZKI DOJRZEWAŁY I MIĘKŁY

Mama pewnego razu zobaczyła Wojtka wysoko na drzewie i przestraszyła się. Co by się stało, gdyby gałąź złamała się i synek by spadł? Połamałby kości. Krzyczała do syna: – Złaź na dół! Natychmiast schodź!

Wojtkowi nie chciało się opuszczać świetnego miejsca do obserwacji. Jednak posłuchał i przyszedł do mamy.

Następnego dnia był znowu na drzewie. Tym razem zobaczył go tato. Tato był wojownikiem, dowódcą wszystkich wojów w krainie, do niego należał zamek. Tato Slavik spokojnym, ale jednoznacznym, twardym głosem przemówił do syna: – Posłuchaj, chłopcze, dziś to było po raz ostatni, jak wszedłeś na drzewo! A jak nie, to ja cię nauczę! Żarty się skończyły!

ilustracja: K. Karnkowski

Minęły dwa, trzy dni. Czwartego dnia Wojtek znowu był na drzewie i obserwował pasterza z kijem zakręconym na górze. Rozmyślał, że dobrze by było mieć taki kij i bronić nim w razie potrzeby nie tylko owiec, ale i ludzi! Wojtek wiedział, że tato wraz z drużyną jest na polowaniu, a mama i bracia zbierają coś w lesie. Nikt go tutaj na gruszy nie zobaczy. Chwycił się najwyższej cienkiej gałęzi. Bosymi stopami zaparł się o pień, podciągnął się i już był na wierzchołku drzewa. Wyciągnął rękę po gruszkę, która znajdowała się najwyżej. Zarumieniona od słońca, najpiękniej wyglądała. Tymczasem, nie wiadomo skąd, nadciągnął silny wiatr. W jednej chwili niebo zachmurzyło się. Podmuchy zimnego powietrza wzmagały się. Wojtek zszedł troszkę niżej i przytulił się ze strachu do grubszego konara. Dwie błyskawice skrzyżowały się na niebie. Zagrzmiało. Grzmot. Huk jakby skała pękła! Siny deszcz, a za chwilkę gradowe kule zaczęły bić w chwiejącą się koronę gruszy. Nie trwało to długo, gdy piorun trafił w drzewo. Pień gruszy, na której siedział zmoknięty i wystraszony Wojtek, przełamał się jak zapałka!

Bracia znaleźli Wojtka w powalonych gałęziach. Było z nim naprawdę źle. Połamanego chłopca zanieśli troskliwie do mamy i taty. Bali się, że Wojtuś nie oddycha.

– Teraz pomóc może tylko Pan Bóg – powiedział tato. Wszyscy w domu uklęknęli pod krzyżem i całą noc się modlili. Rano chłopiec ciągle wyglądał tak, jakby wyszło z niego życie. Wzięli chłopca i zanieśli do pobliskiej kaplicy. Położyli go na ołtarzu. Tato z mamą uklękli i zaczęli się modlić: Wszechmogący i miłosierny Boże, w swojej nieskończonej dobroci raczyłeś nam dać siedmiu synów. Jeżeli teraz chcesz zabrać do siebie Wojtusia, dlatego że nie zasłużyliśmy na niego i nie troszczyliśmy się o niego wystarczająco dobrze, niech się stanie Twoja wola. Ty jednak wiesz, jak bardzo go kochamy. Prosimy Ciebie, Panie, żeby chłopiec znów stał się zdrowy, niech znów biega i śmieje się, niech pozna radość z życia dla Ciebie. Radość z tego, że może być pożyteczny dla ludzi i służyć Tobie. Racz, Panie, wejrzeć na naszą pokorną prośbę. Jeśli Wojtuś wróci do zdrowia, niech się stanie Twoim wiernym apostołem. Niech będzie Twoim gorliwym kapłanem. Tak obiecujemy. Nie chcemy życia chłopca dla siebie, lecz

Nie chcemy życia chłopca dla siebie, lecz żeby służył Twojej chwale

żeby służył Twojej chwale, Jezu Chryste, nasz Panie! Niech się stanie nie nasza, lecz Twoja wola, Panie!

Tata Slavik i mama Strzeżysława powoli się przeżegnali: W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Ciało chłopca na ołtarzu nieznacznie się poruszyło. Wojtek otworzył pomału oczy. Mama jednym skokiem znalazła się przy synku. Wojtek się uśmiechał.

Czas płynął jak rzeka. Wojciech rósł i mężniał. Rodzicom i braciom przynosił radość. Nabrał pewności siebie. Rodzice uznali, że pora posłać go do dalekiego miasta, żeby uczył się i został kapłanem. Wojciech nierad opuszczał rodzinną okolicę. Najchętniej zostałby na miejscu. Chciał jak pasterz chodzić z długim kijem i strzec pasących się na łąkach owiec. Od czasu nieszczęścia z powalonym drzewem stał się posłuszny. Aż za dobrze poznał, dokąd prowadzi nieposłuszeństwo wobec ojca i matki. Dlatego uczynił tak, jak powiedzieli rodzice. Uczył się i został wyświęcony na księdza. Potem został biskupem. Nosił długą laskę zawiniętą na końcu, która nazywa się pastorał. Stał się pasterzem owieczek. Owieczek, które nie mają kręconej wełny. Nie żują zielonej trawy. Nie beczą, a przynajmniej nie powinny. Biskup jak dobry pasterz musi troszczyć się o dusze powierzonych mu ludzi. Strzec ich przed złem i umacniać w wierze, nikogo nie zgubić. Biskup musi doprowadzić ludzi do Pana Boga.

Dlaczego jesteśmy na świecie? Jak się mamy zachowywać? Co to jest miłość?

Wojciech, biskup Wojciech szybko się przekonał, że troska o ludzi to nie jest błahe zajęcie. Czworonożna owca jest spokojna, uległa. Ale człowiek? Temu się słuchać nie chce i nie chce, choćby mu się łopatą do głowy kładło. O tym Wojciech wiedział bardzo dobrze. Sam przecież jako chłopiec nie był inny. Ale teraz już dawno nie jest chłopcem. Jest mądrym, gorliwym i ofiarnym pasterzem ludzi. Często podróżuje po świecie i poznaje odpowiedzi na frapujące pytania. Dlaczego jesteśmy na świecie? Jak się mamy zachowywać? Co to jest miłość? Jak żyć roztropnie i godnie?

Stadko ludzi, którym był naród czeski, nie chciało słuchać dobrych rad swojego biskupa. Nie chciano się zmienić. Nic z prawdy, o której Wojciech mówił, o co prosił, nie podobało się ludziom. Było to

stado niewdzięczne i nieposłuszne. Ludzie zachowują się gorzej niż owce. Zamiast wygrzewać się na słońcu, tam gdzie pastwiska są najlepsze, gdzie pachną zioła, wolą obracać się wokół gnojowiska. W cieniu i wilgoci.

Wojciech często spotykał ludzką biedę i nieszczęścia. Pewnego razu, kiedy po wieczornej modlitwie przygotowywał się do snu, wszedł do niego staruszek. Trząsł się z zimna: – Czcigodny ojcze biskupie – prosił – pozwól mi przynajmniej ogrzać ręce nad płomykiem świecy, który migocze na twoim stole.

– Świeca tu nie jest po to, żeby dawała ciepło – powiedział Wojciech. – Weź moją pierzynę i ogrzej się – powiedział do staruszka i podarował mu nie tylko pierzynę, ale i całe łóżko. Sam spał na podłodze.

Gdy tylko miał pieniądze, rozdawał je potrzebującym. Raz przyszła do niego biedna wdowa z prośbą o jakikolwiek dar. Biskup nie miał ani jednego talara. Zastanowił się, jak pomóc. Każdy biskup nosi złoty pierścień. Ten pierścień przypomina o tym, że biskup poświęcony jest na służbę Panu Bogu. – Pan Bóg wie, że należę tylko do Niego i bez pierścienia – powiedział Wojciech do wdowy. – Weź proszę ode mnie ten pierścień i sprzedaj. Będziesz miała na wyżywienie na długi czas.

Innym razem biskupowi Wojciechowi przytrafiło się gorszące zdarzenie. Przechodził przez targowisko. Nagle z drewnianej klatki, zza solidnych grubych sztachet, za którymi uwięzieni byli ludzie, wielki mężczyzna o kostropatej twarzy i złym spojrzeniu zaczął wściekle wrzeszczeć: – Biskupie! Jaki ty jesteś głupi! Wszystko rozdajesz! Myślisz, że ci za to ktoś przyjdzie podziękować? Ten, któremu dałeś pierzynę i łóżko, już następnego dnia łóżko spalił, a pierzynę wymienił na gorzałkę. Teraz znowu jest mu zimno i żebrze! A przy żebraniu obgaduje ciebie, jakiego mamy chytrego biskupa! Ta kobieta, której ofiarowałeś pierścień, sprzedała go i kupiła dzwonek. Teraz chodzi z dzwonkiem po targowisku i ulicach i wygaduje, że zamiast pomocy dałeś jej dzwonek, żeby jej się lepiej żebrało!

Raz przyszła do niego biedna wdowa z prośbą o jakikolwiek dar

Człowiek, który bez szacunku krzyczał do biskupa, nazywał się Sikko. Był niewolnikiem. Trzymano go w klatce wraz z innymi upodlonymi, brudnymi ludźmi. Ludzie w klatce wystawieni byli na

sprzedaż. Tysiąc lat temu w Pradze był wielki targ niewolników. To, co wykrzyczał Sikko biskupowi Wojciechowi o staruszku z pierzyną i o kobiecie, która otrzymał pierścień, wcale nie było prawdą. Niewolnik Sikko chciał ubliżyć duchownemu. Złymi słowami wyładował z siebie nagromadzoną złość na cały niesprawiedliwy świat, w którym jedni swobodnie sobie chodzą po ulicach, a inni są niewolnikami i oprócz ciężkiej pracy, brudu i głodu nie znają nic. Wojciech nie dał się wyprowadzić z równowagi. Na wulgarne, obraźliwe słowa Sikko odpowiedział tak, że zdjął opończę z ramion i przez drewniane kraty podał ją Sikko. Opończa to dawny obszerny długi płaszcz bez rękawów. Można powiedzieć – taka podróżna gruba peleryna z kapturem. Mężczyzna opończę wziął, ale zamiast podziękowania, splunął ze wzgardą na bruk i przez zaciśnięte zęby wycedził: – Do czego mi twoja opończa, kiedy nie mam wolności?!

Wojciech odszedł. Nie wiedział, co ma czynić. Ledwie zrobił kilka kroków, rozpoczął cichą modlitwę... Zaraz wrócił i zaczął rozpytywać handlarzy, kim są ci ludzie w klatkach. Handlarze udzielili rzeczowej odpowiedzi: – To są niewolnicy. Chcesz biskupie, to kup. Jeśli nie chcesz kupić, to odejdź łaskawie stąd i nie psuj interesu.

Tym razem biskupowi Wojciechowi puściły nerwy: – Przecież to są ludzie! Nie możecie ich sprzedawać, nie są jak króliki albo woły robocze! To są bracia naszego Pana Jezusa Chrystusa! – Biskup krzyczał na handlarzy niemal tak, jak wcześniej krzyczał do niego Sikko. Ci jednak nie przejęli się krzykiem biskupa. Ani myśleli rezygnować z niecnego procederu.

Wojciech zsypał na jedną kupkę wszystkie monety, które miał. Pieniędzy było za mało. Po niedługim namyśle sprzedał oznakę biskupiej godności – pastorał. Ponieważ pastorał był pozłacany i ozdobiony cennymi kamieniami, tym razem pieniędzy na wykup niewolników starczyło. Zapłacił handlarzom, a ci otworzyli klatkę, w której między innymi był Sikko. Biskup Wojciech własnymi rękoma pomagał niewolnikom rozkuwać kajdany i łańcuchy u nóg. Sikko zaś razem z opończą czmychnął tak szybko, jakby się pod nim ziemia rozstąpiła. Handlarze cieszyli się z zarobku. Przeczuwali jednak, że w Wojciechu będą mieli nie lada przeciwnika, który zakaże niechrześcijańskiego postępowania z ludźmi.

Przecież to są ludzie! Nie możecie ich sprzedawać, nie są jak króliki albo woły robocze!

Ciężką miał pracę biskup Wojciech w Pradze. Czujnie troszczył się o swoje owieczki. Chronił je przed czyhającymi wilkami w ludzkiej skórze. Upominał nawet samego księcia! Chrześcijanin, nawet władca, nie może drugiego człowieka uczynić niewolnikiem! Wojciech nauczał o wolności, którą przyniósł ludziom i światu zmartwychwstały Jezus Chrystus.

Byli tacy, którym mocno przeszkadzało nauczanie biskupa.

Wojciech chciał więcej się modlić. W tym celu poszedł do Rzymu. Tam zamieszkał z braćmi mnichami benedyktynami i przeżył swoje najszczęśliwsze dni. Dużo modlił się razem z zakonnikami. Dużo czytał i pracował. Wiedział, że ten czas jest mu ofiarowany przez Boga, aby nabrał sił i duchowej odwagi. W klasztorze bracia szanowali prace Wojciecha. Chociaż był wykształcony, chętnie pomagał – nie tylko mył naczynia, lecz także sprzątał klasztorne schody i korytarze. Największą radość mnichowi Wojciechowi oprócz wspólnej liturgii i czasu spędzonego w lektorium i skryptorium, sprawiała praca w ogrodzie. Podlewał drzewa oliwne, winorośl i wspominał rosochatą, ulubioną gruszę z dzieciństwa. Gruszę, która wraz z nim zwaliła się od uderzenia pioruna. Potem cudownie został uzdrowiony. Wspominał lata nauki u biskupa Adalberta w Magdeburgu. Przypominał sobie święcenia kapłańskie i biskupie. Myślał o tym, że w dzieciństwie miał tylko jedno ważne marzenie: zostać pasterzem. Wtedy jeszcze nie wiedział, jakże ciężkie to zadanie, być pasterzem ludzi. Gdy nabierał deszczówkę do konewki, żeby podlać kolejne drzewo, tym razem limonkę, zastanawiał się, skąd wtedy nagle w Libicach wzięła się ta straszliwa wichura z piorunami. Wtedy wymyślił powiedzenie znane nawet dziś: ni z gruszki, ni z pietruszki…

MYŁ NACZYNIA, LECZ TAKŻE SPRZĄTAŁ KLASZTORNE SCHODY I KORYTARZE

Wojciech wiedział, że na świecie istnieje nie tylko naród czeski. Jest wiele narodów i wiele zabłąkanych owiec. Opuścił klasztor benedyktynów w Rzymie i wyruszył do pogan. Szukał i znajdował ludzi, którzy się błąkają, bo nie znają swojego pasterza, Pana Jezusa. Nie znają, ponieważ nikt im o nim nie opowiedział, nie przekazał dobrej nowiny. Biskup Wojciech wędrował przez dalekie krainy, przez góry, przez rzeki. Przemierzał lasy tak gęste i wielkie, że niekiedy wyda-

wało mu się, że nigdy z tych lasów nie wyjdzie. Kazania najbardziej lubił wygłaszać na wielkich kamieniach. Wchodził na kamień i mówił o jednym Bogu Stwórcy nieba i ziemi. Mówił, że Bóg tak umiłował świat, iż posłał na świat swojego Syna, ale ludzie Go nie przyjęli. Umęczyli i ukrzyżowali. Jezus Chrystus – Syn Boży umarł, po trzech dniach zmartwychwstał! Zwyciężył śmierć i odtąd śmierć nie ma już władania na ziemi! Wojciech przepowiadał, że każdego czeka śmierć. Potem Sąd Boży, a po nim niebo albo piekło. Pan Bóg jest sędzią sprawiedliwym. Za dobro wynagradza, a za zło karze. Nie może miłować Boga ten, kto nie miłuje swego brata. Takie słowa nie zawsze podobały się poganom.

Wojciechowi groziło niebezpieczeństwo. Nie było wtedy wyrąbanych leśnych traktów. Groźne były dzikie zwierzęta. Bał się zdradliwych mokradeł i wciągających bagien. Nie lepiej było na rzekach, których prądów i wirów misjonarz nie znał. Groziło niebezpieczeństwo także ze strony ludzi. Nauka o jednym Bogu Stwórcy nieba i ziemi była trudna. Szczególnie ludzie mieszkający w lasach i na polach nie chcieli się zgodzić na to, żeby mężczyzna mógł mieć tylko jedną żonę. Wojciech niczego nie żałował. Nie żałował trudu, zmęczenia, przemoczonego ubrania. Żadna przeszkoda nie zatrzymywała ani jego nóg, ani jego słów – to znaczy słów Ewangelii, którą głosi. Podążał na północ. Wiedział, że daleko na północy żyją ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o miłości nieprzyjaciół, o przebaczeniu. Żyją w strachu. Gdzie jest strach, tam jest surowość. Gdzie jest surowość, tam nie ma miłości i przebaczenia. Gdzie nie ma przebaczenia, tam są ludzie nieszczęśliwi. Wojciech musi tym ludziom zanieść światło zmartwychwstałego Chrystusa! Wędrował na północ pieszo, konno. Rzekami i jeziorami na łodziach i tratwach w stronę Bałtyku.

Wojciech przepowiadał, że każdego czeka śmierć. Potem Sąd Boży, a po nim niebo albo piekło

Nastało rano. Szare, niewyraźne, wilgotne i nieprzyjemne. Mgły ciągnęły się nad mokradłami. Ani ptaszek nie zaśpiewał. Budzący się dzień zastał Wojciecha modlącego się na kolanach, na kępce mchu. Nawet nie usłyszał, nie zauważył, jak otoczyli go uzbrojeni ludzie. Na ich czele stał Sikko. Na ramionach miał opończę, która kiedyś należała do Wojciecha.

– Bracie! – krzyknął przyjaźnie Wojciech, zrywając się z kolan. – Co za szczęśliwe spotkanie! W takim gaju, tu, na końcu świata, spotkać znajomą twarz! Bogu niech będą dzięki!

– Bogu? Jakiemu Bogu? Nie znam twojego Boga – odparował Sikko.

Wojciech łagodnie się uśmiechał. Akurat miał w rękach drewniany krzyż, z którym modlił się chwilę wcześniej. Uniósł krzyż z Chrystusem i powiedział: – To jest Bóg mój i twój! Bóg wszystkich ludzi!

– Twój Bóg się nazywa „bzdura"! – warknął Sikko. – Kto inny niż głupiec kupiłby niewolnika tylko po, żeby go wypuścić na wolność? Rozumie to któryś z was? – zwrócił się wyzywająco Sikko do swojej drużyny. Las zagrzmiał od śmiechu. Echo powtórzyło szyderstwo.

– To dobrze, że umiecie się śmiać – powiedział Wojciech. Cieszył się, że pierwsze lody zostały przełamane, że zaczną rozmawiać. – Kto się potrafi śmiać, ten ma dobre serce – dodał, uśmiechając się niepewnie.

– Dobre serce? Nie wiem, co to znaczy, i nie chcę wiedzieć! – Sikko zachowywał się jak rozzłoszczone dziecko, a nie jak wojownik. Zaczął wrzeszczeć: – Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę! – Krzyczał tak, ponieważ bał się łagodności Wojciecha. Krzyczał, ponieważ się bał. Czuł, że oto stoi przed człowiekiem, który mimo że nie ma żadnego oręża, nawet zwykłego noża, jest silniejszy i odważniejszy niż on – Sikko i jego drużyna. Sikko bez namysłu się zamachnął. Jego potężne, silne ramię wyrzuciło włócznię prosto w serce Wojciecha. Wojciech, przebity włócznią na wylot, osunął się na kolana. W ręku trzymał krzyż z Chrystusem. Nie powiedział już nic. Usta nie straciły przyjaznego wyrazu. Zobaczył jakby otwierające się wrota rodzinnego drewnianego zamku w Libicach. Zobaczył tatę Slavika i mamę Strzeżysławę. Czuł przyjemny wiatr. Taki jaki wieje w czeskiej ziemi późnym latem. Po chwili zbliżył się do niego Dobry Pasterz. **Ω**

TO JEST BÓG MÓJ I TWÓJ! BÓG WSZYSTKICH LUDZI!

Na podstawie opowiadania Ivana Renča pt. *Pastýř*, opracował i z języka czeskiego przełożył Jerzy Kędzierski



List do redakcji

Dosyć obłudy

Związek Wolnych Terrarianistów pragnie zaprotestować przeciwko zbrodniczym praktykom psychopatów – wyznających wypaczone idee frutarianistów. Spożywanie jakichkolwiek istot żywych, bez względu na to, czy są to zwierzęta, warzywa czy też owoce, jest nieakceptowalne. Obłudni zwolennicy frutarianizmu imaginują sobie, że jeżeli coś nie rośnie na drzewie, tylko spadło na ziemię, oznacza to, że już nie żyje.

Ta bezgraniczna głupota i krótkowidztwo prowadzą do zbrodni. Te krwiożercze zapędy wyznawców wypaczonej idei zdrowego życia.

Od władz oczekujemy wprowadzenia do kodeksu kary dla wyznawców tej obłędnej ideologii frutarianizmu i karania ich, tak jak to się dzieje w przypadku wegetarian i wegan. Nie żądamy najwyższej wymiaru kary jak dla psychopatów, którzy poważyli się zjeść zwierzęta. Pamiętajmy – jedynie przesiana ziemia i przefiltrowana woda mogą być naszym pożywieniem.

Bernadetta Musibór,
prezeska Związku Wolnych Terrarianistów

Grudzień 2015. Kolejne spotkanie kręgu Domowego Kościoła, podstawowej formacji rodzinnej gałęzi Ruchu Światło-Życie, popularnie zwanego oazą. Comiesięczne spotkania kilku małżeństw. Wspólna modlitwa i lektura Pisma Świętego. Dzielenie się życiem, swoimi radościami i troskami. Część formacyjna, zwykle w formie rozmowy o przeczytanym wcześniej tekście. Oraz dzielenie się postępami w realizacji zobowiązań, które przyjęliśmy, gdy dziesięć lat temu wstępowaliśmy do Ruchu.

Czerwiec 1940 roku. Dziewiętnastoletni Franciszek Blachnicki, podczas kampanii wrześniowej plutonowy w 11. Pułku Piechoty, trafia do powstającego właśnie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu jako więzień polityczny w pierwszym transporcie więźniów śląskich. Otrzymuje numer 1201. W obozie przebywa czternaście miesięcy, w tym dziewięć w karnej kompanii (blok 13). Przez prawie miesiąc przebywa w bunkrze

Światło

Przemysław Piętak

głodowym, w tym samym, w którym zginął św. Maksymilian Kolbe. We wrześniu 1941 roku, na podstawie nakazu aresztowania z Berlina, zostaje przewieziony z Oświęcimia do aresztu śledczego w Zabrzu (a następnie do Katowic), gdzie czeka na proces w sprawie swojej wcześniejszej działalności konspiracyjnej w Tarnowskich Górach.

Kolejne poziomy naszego wzrastania w chrześcijańskiej dojrzałości. Najpierw odkrywamy naszą słabość i nędzę, potem wydaje nam się, że skoro je odkryliśmy, to i potrafimy je zwalczyć, i stajemy się bohaterskimi

aktywistami na drodze do czystości i świętości. I dopiero po pewnym czasie uświadamiamy sobie, że choroba, która toczy nasze wnętrze, jest chorobą śmiertelną i nieuleczalną. I niezależnie od tego, jak mocno pragnęlibyśmy uzdrowienia i jak heroicznych czynów nie dokonywalibyśmy zabiegając o nie – ta walka będzie toczyć się dzień po dniu, do samego końca, i dopóki żyjemy, nigdy nie zakończy się ostatecznym zwycięstwem[1].

Regularna lektura Pisma Świętego. To od tego zobowiązania małżonkowie rozpoczynają swoją formację w Domowym Kościele. *Słowo Boże jest słowem Boga, to znaczy, że Bóg jako Osoba daje nam swoje słowo. Dlatego słowa Bożego nie można czytać tak, jak się czyta słowo ludzkie. Słowo Boga natomiast musi być przyjęte jako słowo Osoby Bożej, która dając nam swoje słowo,*

o i Życie

domaga się od nas, żebyśmy temu słowu podporządkowali swoje życie – czytamy w pismach ks. Blachnickiego. Podstawą uważnej lektury Biblii jest przede wszystkim spotkanie. Spotkanie z Autorem, który w swoim żywym słowie chce powiedzieć nam – bezpośrednio nam – coś naprawdę ważnego.

Gdy będziecie czytać te słowa, nie będzie mnie już między żywymi – do rodziców i rodzeństwa pisze Franciszek w liście z aresztu w Katowicach, praw-

1 Fragmenty zapisane wytłuszczonym drukiem pochodzą z osobistych notatek autora powstałych podczas rekolekcji Oazy Rodzin II Stopnia w Smolanach latem 2014 roku.

dopodobnie 10 czerwca 1942 roku. *Podczas procesu w dniu 30 marca zostałem skazany na śmierć. Tata i Ela wiedzą o tym od tamtego dnia. Wam dotychczas tego nie mówiłem, gdyż nie była to jeszcze ostateczna decyzja i mieliśmy nadzieję, że się zmieni. Inne były jednak decyzje odwiecznie mądrej Opatrzności. Dzisiejszego dnia ma być wykonany wyrok. Moi Kochani! Nie płaczcie i nie smućcie się z mojego powodu. W tej godzinie znajduję się poza wszelkimi ziemskimi udrękami i cierpieniami, jestem wyzwolony i znalazłem wieczny pokój. Krótki był czas mojego przebywania na ziemi, ale przeżyłem to, co najpiękniejsze w ludzkim życiu i co można przeżyć tylko raz, a mianowicie szczęśliwe dzieciństwo*.

Nagłe olśnienie, że logos, o którym pisze św. Jan, że Słowo i Jezus Chrystus to ta sama osoba, druga osoba Trójcy Świętej. A zatem, odkrycie, że Trójca – i wszystkie jej osoby – są odwieczne. A zatem, i Chrystus, jako wcielone Słowo, jest wieczny, by tak rzec, „w obie strony". Jako Słowo istniał od zawsze przed swoimi ziemskimi narodzinami. Jako to samo Słowo był obecny po wcieleniu. I jako to samo Słowo wciąż będzie istniał w wieczności i nieskończoności.

■■■

Modlitwa osobista – w Domowym Kościele nazywamy ją „namiotem spotkania". To określenie pochodzi z tekstu Księgi Wyjścia, kiedy to Mojżesz, organizując życie społeczne na pustyni, kazał zbudować poza obozem namiot. Był on oddalony od codziennego, obozowego życia Izraelitów. Mojżesz nazwał go „namiotem spotkania". Za każdym razem, gdy chciał się modlić, wchodził do tego namiotu i rozmawiał z Bogiem „twarzą w twarz, jak się rozmawia z przyjacielem". Właśnie takie spotkanie, taka forma osobistej modlitwy, powinna stanowić fundament życia chrześcijańskiego życia. Ks. Blachnicki pisał o tym następująco: *Moje czyny, zadania, codzienne obowiązki, relacje z innymi ludźmi będą przynosiły owoce, jeśli będą poddane działaniu Bożego Ducha. Zatem, każdego dnia winniśmy „budować" sobie taki Namiot, w którym spotkamy się osobiście z Panem, naszym Zbawicielem*.

17 czerwca 1942 roku to, jak po wielu latach opisze go Blachnicki w swoim testamencie, „najważniejszy dzień życia". 19 lat później napisze w pamiętniku: (...) *skazany przez ludzi na śmierć przez ścięcie, a przez siebie samego na śmierć wieczną – zostałem ułaskawiony dekretem Miłosierdzia Wszechmogącego Boga. Siedząc na krzesełku w kąciku swej celi i czytając książkę, przy jednym zdaniu przeżyłem coś takiego – jakby w mej duszy ktoś przekręcił kontakt elektryczny, tak iż zalało ją światło. Światło to od razu roz-*

poznałem i nazwałem po imieniu, gdy powstałem i zacząłem chodzić po celi, powtarzając w duszy: „wierzę, wierzę". To światło od tej chwili nie przestało ani na moment świecić w mej duszy, nie przestało ani na chwilę mną kierować, zwracając moje życie ku Bogu. Wszystko, co nastąpiło w życiu Franciszka po tym nowym, duchowym *narodzeniu, było konsekwencją wydarzenia w więziennej celi. 14 sierpnia 1942 roku w liście do rodziny pisze: Nareszcie! Przyszła decyzja. Śpieszę powiadomić Was o swoim szczęściu. Dzisiaj dowiedziałem się, że decyzją Ministerstwa Sprawiedliwości zostałem ułaskawiony i skazany na 10 lat ciężkiego więzienia*. Po zakończeniu wojny Franciszek wstępuje do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. 25 czerwca 1950 roku przyjmuje święcenia kapłańskie. W sierpniu 1952 roku prowadzi rekolekcje dla dzieci, po raz pierwszy nazwane Oazą Dzieci Bożych. To właśnie z oaz – zamkniętych rekolekcji prowadzonych metodą przeżyciową – rozwinie się Ruch Światło-Życie.

Wracasz do punktu wyjścia, z czystą, chociaż mocno zmiętą kartką. A potem dzieje się coś jeszcze. Z tych skorup i gruzów zaczyna się wyłaniać coś nowego, jakby kolejna, ulepszona wersja ciebie. Znowu wstępujesz na ścieżkę, po której kroczysz z ufnością. I potem znów następuje kryzys, upadek, krach. Ale tym razem już wiesz (chociaż po jakimś czasie znów zapomnisz i będziesz musiał sobie przypominać), że na tym polega całe twoje życie. Wzrost, szczyt, upadek, kryzys, nowa wersja, i wciąż od nowa. Dlatego nigdy nie ufaj zbytnio twojemu aktualnemu „ja". Nigdy nie wiesz, jak szybko przyjdzie ci się z nim pożegnać.

■ ■ ■

Modlitwa małżeńska – moment w ciągu dnia, w którym jako mąż i żona stajemy przed Bogiem we dwoje. Domowy Kościół jest formacją przeznaczoną dla małżeństw, jego sensem jest pomóc małżonkom żyjącym w sakramencie małżeństwa czerpać z łaski i mocy tego sakramentu, uczyć ich nim żyć i celebrować go przez całe życie. Proponowana w ramach Domowego Kościoła duchowość małżeńska pozwala mężowi i żonie iść do Boga wspólnie, a nie obok siebie. Wyrazem tej jedności jest modlitwa męża i żony, którzy razem, jedno przy drugim, stają w obecności Boga po to, aby Go wspólnie wielbić, chwalić, słuchać i prosić o łaskę coraz głębszego przeżywania sakramentu małżeństwa, o łaskę służenia Mu życiem zgodnym z Jego upodobaniem.

W 1957 roku ks. Franciszek Blachnicki rozpoczyna swoją misję walki z problemem alkoholizmu w Polsce, początkowo pod nazwą Krucjata Wstrzemięźliwości, która istnieje po dziś dzień jako Krucjata Wyzwolenia Człowieka. W 1960 roku komunistyczne władze likwidują centralę krucjaty. W marcu 1961 roku ks. Franciszek zostaje aresztowany, a po czterech miesiącach aresztu słyszy wyrok: 13 miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Siedzi w tym samym więzieniu przy ul. Mikołowskiej w Katowicach, w którym przebywał w czasie okupacji. Po wyjściu zza krat udaje się na Jasną Górę z dziękczynną pielgrzymką. Wówczas rodzi się w jego głowie myśl o rozpoczęciu nauki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po czterech latach studiów, w czerwcu 1965 roku, uzyskuje doktorat z teologii pastoralnej. Dwa lata później ks. Blachnicki zostaje mianowany krajowym duszpasterzem służby liturgicznej, wypracowując koncepcje i metody posoborowej formacji służby liturgicznej.

Powołaniem mężczyzny jest obrona domu przed niebezpieczeństwem. Nie obrona samego siebie, nie koncentracja na własnej sile, nie wieczne przeglądanie się w lustrze własnych myśli, w zachwycie nad swoimi uzdolnieniami i możliwościami. Musisz odkryć w sobie wojownika, gotowego w każdej chwili oddać życie za tych, których strzeżesz. Dlatego nie zatrzymuj się w obozie, nie bądź dezerterem, idź i walcz. Ale nie zapominaj nigdy, że nie walczysz sam.

▬ ▬ ▬

Św. Jan Paweł II w adhortacji apostolskiej *Familiaris Consortio* o zadaniach rodziny chrześcijańskiej w świecie współczesnym mówił następująco: *Rodzice chrześcijańscy mają szczególne zadanie wychowania dzieci do modlitwy, wprowadzenia ich w stopniowe odkrywanie Bożego misterium i nauczenia osobistej z Nim rozmowy. Zasadniczym i niezastąpionym elementem wychowania do modlitwy jest konkretny przykład, żywe świadectwo rodziców: tylko modląc się wspólnie z dziećmi, wypełniając swoje królewskie kapłaństwo, ojciec i matka zstępują w głąb serc dzieci pozostawiając ślady, których nie zdołają zatrzeć późniejsze wydarzenia życiowe.* Odpowiedzią na to wezwanie jest w Domowym Kościele zobowiązanie do modlitwy rodzinnej – czas, w którym rodzice i dzieci wspólnie spotykają się z Bogiem w modlitwie.

28 lutego 1968 roku ks. Blachnicki notuje w dzienniku: *Idea Kościoła Żywego od pewnego czasu stale mnie absorbuje. W niej mieści się synteza*

wszystkich doświadczeń, przemyśleń, natchnień, łask i odkryć mojego życia. Odczuwam, że jest we mnie pragnienie wprowadzenia jej w życie z całym ogromem bogactwa, dynamizmem, organiczną jednością i zwartością. W notatkach z 23 maja tego samego roku doprecyzowuje główne idee przewodnie nowego ruchu. *Idea personalizmu chrześcijańskiego – personalizmu dialogicznego ujmującego osobę w jej odniesieniu do „ty", widzącego powołanie osoby w oddaniu siebie drugiej osobie – ostatecznie Bogu – przez miłość.* (…) *Idea Kościoła – wspólnoty ludu Bożego, wspólnota chrześcijańska jako konsekwencja wypełnienia powołania osoby*. (…) *Idea Ecclesia Mater – Mater Ecclesiae, rozwinięcie i pogłębienie idei maryjnej o. Kolbe – idei Niepokalanej ukazanej jako pełnia miłości i oddania się Bogu*. (…) *Idea nowego życia – odnowy moralnej współczesnego człowieka i społeczeństwa w ścisłym powiązaniu z tajemnicą Kościoła i jego urzeczywistnienia*. (…) *Odnowa kerygmatyczna – odnowa przepowiadania na ambonie i w katechezie, orientacja ku Pismu świętemu i ku słowu Bożemu jako orientacja ku nowemu życiu Kościoła*. (…) *Odnowa liturgiczna – ona musi się znaleźć w centrum wszystkich wysiłków zmierzających do odnowy Kościoła i do budowy Kościoła żywego.* Pod tą samą datą w dzienniku znajdziemy zapis: *Ruch rodzinny – jeszcze nie rozpoczęty, ale idea dojrzewa. Chodzi o przeszczepienie na nasz teren zachodnich grup rodzinnych w rodzaju Equipes Notre Dame*. To właśnie na podstawie doświadczeń i zasad tej, założonej w 1938 roku przez cztery małżeństwa we Francji, wspólnoty rodzin w Polsce powstanie Domowy Kościół.

Jedyne, co po Tobie pozostanie, to Twoje dzieci. Żaden sukces, żadna kariera, żadne słowa, które zapiszesz, żadne książki, które wydasz, nigdy nie dadzą Ci takiego szczęścia, jak świadomość, że dałeś Twoim synom wszystko, co potrzebne do wejścia w dorosłość. Ale aby tego dokonać, musisz stoczyć o nich walkę, walkę z całym światem. Musisz umieć rozpoznać czyhające na nich niebezpieczeństwo, ale przeciwnik nie może powodować w Tobie obawy i lęku. Jedynego, czego powinieneś się naprawdę obawiać, to Ty sam, twój największy wróg. Twoje uśpienia, twoje przywiązanie do własnego „ja", te wszystkie małe przyjemności, które wciąż odciągają Cię od pola walki.

▬ ▬ ▬

Dialog małżeński – to comiesięczny, pogłębiony czas rozmowy współmałżonków. Dialog ma służyć budowaniu jedności małżeńskiej oraz umacnianiu ogniska domowego. To chwila spędzona wspólnie przed

Bogiem (spotkaniom małżonków w dialogu towarzyszy zapalona świeca) i przy Bożej pomocy. To również czas wspólnego wzrastania, wspólnego uczenia się, jak u siebie i u współmałżonka odróżniać rzeczywiste uczucia od ocen, osądów, poglądów i opinii. W dialogu uczymy się również wrażliwości na swojego współmałżonka, uzyskujemy zdolność do odczytania jego najgłębszych wewnętrznych potrzeb, a nie tylko powierzchownych emocji, odruchów i zachowań. Dialog to również lekcja akceptacji siebie i swojego małżonka ze wszystkimi naszymi słabościami i ograniczeniami. Dialog – to bardziej słuchać niż mówić, bardziej dzielić się sobą niż dyskutować, bardziej rozumieć niż oceniać.

W 1969 roku uczestnicy rekolekcji oazowych podejmują pracę formacyjną w ciągu roku. Można to uznać za początek istniejącego do dziś ruchu oazowego, noszącego wówczas nazwę Ruchu Żywego Kościoła. 11 czerwca 1973 roku, podczas Centralnej Oazy Matki w Krościenku nad Dunajcem, kard. Karola Wojtyła zawierza Ruch Niepokalanej Matce Kościoła. Według ks. Franciszka Blachnickiego ów akt zawierzenia staje się jednocześnie „aktem konstytutywnym" Ruchu. W tym samym roku organizowane są również pierwsze rekolekcje dla rodzin. W 1974 roku, na zaproszenie ks. Franciszka Blachnickiego, na spotkanie oazy rodzin w Krościenku przyjeżdża z Francji siostra Jadwiga Skudro, która dzieli się swoją wiedzą na temat ruchu Equipes Notre-Dame, a następnie podejmuje na stałe współpracę z ks. Blachnickim we współtworzeniu nowego ruchu w Polsce. W 1976 roku, Ruch Żywego Kościoła przyjmuje nazwę Ruch Światło-Życie. Jego dwiema najważniejszymi gałęziami do dziś pozostają wciąż formacja młodzieżowa (i to właśnie z organizowanymi dla młodzieży rekolekcjami oazowymi najczęściej Ruch jest kojarzony) oraz formacja małżeństw – Domowy Kościół. Łączy on w sobie charyzmaty Ruchu Światło-Życie i międzynarodowego ruchu małżeństw katolickich Equipes Notre Dame, od którego przejął ideał duchowości małżeńskiej, czyli dążenia ku Bogu w jedności ze współmałżonkiem. Domowy Kościół funkcjonuje w oparciu o kręgi: małe grupy czterech – siedmiu małżeństw, które wspólnie z towarzyszącym im kapłanem rozwijają swoją formację duchową.

Przymierze Boga ze swoimi wybranymi dokonuje się zawsze przez wstrząs, przez nagłą, nieraz bolesną interwencję. Jeżeli między mną a Bogiem zbuduję sobie mur, to Bóg, który wciąż walczy o mnie, musi czasem ten mur

zburzyć całą mocą swojej potęgi. Burzenie muru jest procesem bolesnym, tym bardziej, jeżeli pozwoliłem temu murowi wrosnąć tak głęboko w moją osobowość, że przestałem już odróżniać, co jest mną, a co murem. Między mną a Bogiem ten proces przebiega zawsze tak samo – znaleźć ranę, dotknąć rany, oczyścić ranę, zabliźnić ranę. Ale między ludźmi także.

■■■

Reguła życia to pewien ściśle określony wysiłek, który małżeństwa – najczęściej w wyniku wcześniejszego dialogu – wzajemnie sobie narzucają. Sensem reguły życia jest systematyczna, wspólna praca nad sobą, a jej celem – duchowy postęp. Francuskie małżeństwo Xavier i Marie-Armande de Thieulloy z Equipes Notre Dame opisuje to następująco: *Przedmiotem reguły życia nie jest umartwianie się dla samego umartwiania. Nie jest ona celem sama w sobie, służy celowi większemu, którym jest jakość naszego życia z Bogiem i z bliźnimi oraz nasze wzrastanie w miłości*. Reguła życia powinna być czymś konkretnym i szczegółowym, np.: *Poświęcić określony czas w ciągu tygodnia każdemu dziecku*. Albo: *Najpierw do końca cierpliwie wysłuchiwać małżonka, a dopiero potem odpowiadać*.

Jesienią 1981 roku ks. Blachnicki wyjeżdża z Polski, planując powrót po dwóch tygodniach. 13 grudnia Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego wprowadza w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stan wojenny. Ks. Blachnicki, pozbawiony możliwości powrotu do Polski, podejmuje działalność emigracyjną w RFN, gdzie pozostanie aż do swojej śmierci. W 1982 roku w niemieckim Carlsbergu powstaje nowy ruch – Chrześcijańska Służba Wyzwolenia Narodów. 29 sierpnia 1982 roku zostaje ogłoszona Deklaracja carlsberska – Program porozumienia Polaków, sformułowana w 17 tezach, która w zamyśle autorów *może stać się wspólną bazą działania wszystkich Polaków na rzecz wyzwolenia Narodu oraz współdziałania z innymi narodami w dążeniu do tego samego celu*. Podstawą programu jest idea „suwerenności wewnętrznej". *Suwerenność osoby, jako świadomego i wolnego podmiotu praw i odpowiedzialności jest fundamentem i źródłem wszelkiej innej suwerenności i dlatego należy we wszystkich dążeniach wyzwoleńczych przede wszystkim i ze wszystkich sił dążyć do realizowania tej suwerenności* – czytamy w deklaracji. *Suwerenność ta warunkuje suwerenność zewnętrzną – ale sama nie jest w swojej istocie uwarunkowana przez okoliczności zewnętrzne i zależy ostatecznie tylko od wolnej decyzji osoby*. (...) *Teza powyższa jest prostą konsekwencją chrześcijańskiej wizji człowieka-osoby, która realizuje swoją*

godność i swoją wolność przez dobrowolne akceptowanie wartości, szczególnie prawdy – i ich wyznawanie i realizowanie w życiu. Od takiego realizowania swojej wolności i suwerenności może człowieka powstrzymać tylko lęk. Jeżeli człowiek przezwycięży lęk, decydując się dla prawdy oraz innych wartości przyjąć cierpienie, utratę wolności a nawet życia – pozostanie on człowiekiem wolnym nawet w sytuacji zewnętrznego zniewolenia. Na tym polega istota wewnętrznej, personalnej suwerenności człowieka, którego realizacja ostatecznie pozostaje w jego gestii i której nikt mu nie potrafi odebrać.

Chrześcijańskie życie nie polega na siedzeniu w bańce z grubego, hartowanego szkła, coraz szczelniej odgrodzonym od zepsutego świata. Świat nie jest jedynie poczekalnią, w której mamy w miarę bezpiecznie przedryfować ku wieczności. Mamy tu i teraz jakąś misję do spełnienia, każdy z nas jedyną w swoim rodzaju i niepowtarzalną. Mamy być głosicielami Dobrej Nowiny, a nie tylko surowymi strażnikami siebie i innych. Nie uczestniczymy w dziele potępienia, ale w dziele zbawienia. Mamy budować Królestwo Boże, a nie otchłań dla skazańców.

Coroczny udział w rekolekcjach formacyjnych – to ostatnie zobowiązanie Domowego Kościoła. Podstawową formację rekolekcyjną stanowią 15-dniowe, trzystopniowe Oazy Rodzin, oraz krótsze, kilkudniowe i dwustopniowe Oazy Rekolekcyjne Animatorów Rodzin. Po ukończeniu formacji podstawowej małżeństwa wciąż mogą uczestniczyć w wielu dostępnych rekolekcjach tematycznych. Znajdziemy wśród nich tematy, takie jak: „Komunikacja w rodzinie – wychowanie dzieci", „Wpływ zranień duchowych i emocjonalnych w domu rodzinnym na relację w małżeństwie", „Rekolekcje tematyczne dla teściów i przyszłych teściów", a także „Finanse po Bożemu – Biblia o finansach".

Ostatnie lata życia to dla ks. Blachnickiego czas fizycznego i duchowego cierpienia. Prześladowany w kraju (Jerzy Urban nazywa go „tym fanatycznym politykiem"), bez możliwości powrotu do ojczyzny, zmanipulowany przez najbliższych współpracowników, którzy, jak okazało się po latach, byli podstawionymi agentami SB. 16 marca 1985 roku ks. Blachnicki zapisuje w dzienniku: *W całym tym okresie wracały cyklicznie od czasu do czasu „ciemne noce", straszne godziny umierania, jakiegoś całkowitego „demontażu" mojej osobowości, jakby pobytu w piekle, głośnego płaczu i krzyku,*

wołania w „ciemną noc". Ostatnie dwa dni znów były takie. Po południu wczoraj Droga Krzyżowa w lesie – to jeden płacz i krzyk bólu. I jeszcze wieczorne godziny. Ostatni zapis w dzienniku pochodzi z 21 października 1986. *Już trzeci tydzień przebywam w Ludwigshafen, w klinice okulistycznej, dokąd zostałem przeniesiony z Rockenhausen, gdy okazało się, że miałem wylew w lewym oku i w związku z tym bardzo wysokie ciśnienie*. (...) *Krzyż można znieść tylko wtedy, gdy można cierpienie zaakceptować pozytywnie, napełnić miłością! Tak, jak cierpiał Jezus! A to musi być dane! To jest największa łaska! Łaska ostateczna, największa w życiu – to przyjęcie cierpienia i śmierci w postawie współofiarowania*. Ks. Franciszek Blachnicki umiera nagle 27 lutego 1987 roku w Carlsbergu. Dzień wcześniej ujawnia, że za dwa dni dostanie materiały potwierdzające agenturalność pary jego najbliższych współpracowników – Jolanty i Andrzeja Gontarczyków. Rano 27 lutego dochodzi do burzliwej rozmowy z nimi. Wkrótce po tej rozmowie ks. Blachnicki zasłabł, zmarł w ciągu kilkudziesięciu minut. Śledztwo w sprawie jego śmierci prowadzą prokuratorzy z katowickiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej, podejrzewając zabójstwo.

Stoisz na długo wyczekiwanym, tak ciężko zdobywanym, tak upragnionym szczycie. I wtedy ze zdumieniem odkrywasz, że jedyna dalsza droga prowadzi przez kolejny szczyt, szczyt, którego nie było na żadnej z twoich map. Aby pójść dalej, musisz najpierw zejść z góry, na którą z takim wysiłkiem wszedłeś, a potem wejść na kolejną, znacznie wyższą, o bardziej stromych szczytach. Nie możesz zostać tu, w dolinie. Możesz tylko iść do przodu, w nieznane, zdobywać kolejny szczyt, ale powrót i tak oznacza wspinaczkę, na górę, którą już raz zdobyłeś.

W 1995 roku rozpoczął się proces beatyfikacyjny ks. Franciszka Blachnickiego. 1 października 2015 roku papież Franciszek podpisał dekret o heroiczności jego cnót. Do ogłoszenia beatyfikacji pozostaje zatem tylko jeden warunek: cud za jego wstawiennictwem. **Ω**

NIE WIERZĘ W ORGAZMY W CHMURZE



ROBOT ZOSTAŁ STWORZONY PRZEZ CZŁOWIEKA NA JEGO OBRAZ I PODOBIEŃSTWO. PODŁUG PRAW ROBOTYKI SPISANYCH PRZEZ AUTORA SF ISAACA ASIMOVA ROBOT NIE MOŻE SZKODZIĆ NAM DZIAŁANIEM ANI ZANIECHANIEM, MUSI SŁUCHAĆ ROZKAZÓW CZŁOWIEKA, POD WARUNKIEM ŻE NIE SĄ SPRZECZNE Z PIERWSZYM PRAWEM, NO I POWINIEN CHRONIĆ SIEBIE, O ILE NIE WEJDZIE TO W KOLIZJĘ Z DWOMA PRAWAMI... OTO JAK TECHNOLOGIA PODSZYWA SIĘ POD ANTROPOLOGIĘ I TEOLOGIĘ. ROBOT MA ODRÓŻNIAĆ DOBRO OD ZŁA LEPIEJ NIŻ CZŁOWIEK I BYĆ GOTOWYM DO OFIARY JAK OJCIEC KOLBE ZA GAJOWNICZKA! TOŻ TO FIKCJA, HOMODYCEA – BIERZEMY INSTRUKCJĘ OBSŁUGI ODKURZACZA, CZY BEZPIECZNEJ – KUCHENKI MIKROFALOWEJ I PRZERABIAMY JĄ NA APOTEOZĘ MECHANIZMU, KTÓREGO MIANUJEMY NASZYM MĄDRYM, GORLIWYM I OFIARNYM SŁUGĄ. TO SIĘ ZRESZTĄ NIE SPRAWDZA, W FANTASTYCE ROBOTY Z REGUŁY SIĘ BUNTUJĄ – ZAUWAŻA **MACIEJ PAROWSKI**, REDAKTOR WSZYSTKICH POLAKÓW/ FANTASTÓW W LATACH 1982–2012, W ROZMOWIE Z „FRONDĄ LUX”

Jak to było z tym transhumanizmem? Ten prąd literacki wyprzedził technikę i stał się inspiracją dla naukowców czy przeciwnie – inspiracją dla niego były odkrycia naukowe?

– Idea zaklęcia czy wpuszczenia człowieczeństwa w maszynę, glinianą figurę, drewnianą lalkę wygląda raczej na postreligijną niż okołotechnologiczną. Pominąwszy Genesis, naiwności i kanciarstwa. Jahwe i rabin Loew użyli gliny, Gepetto drewna, oszust Wolfgang von Kempelen swego Turka zwanego „mechanicznym szachistą” zrobił z kości słoniowej, porcelany, blachy. Taki transhumanizm miał coś z magii. Młodopolskie postrzeganie człowieka jako istoty ułomnej napędzanej waporami czy hormonami to byłby transhumanizm odwrócony, zdegradowany. Następnie, kiedy wymyślono komputery, cybernetykę, to jej prorok Turing wykoncypował test, dzięki któremu maszyna udzielająca z taśmy perforowanej poprawnych odpowiedzi na proste pytania mogłaby – przez chwilę! – udawać człowieka. Potem obwody scalone i wykładniczo komplikujące się wytwory przemysłu komputerowego (prawo Moore'a) oraz prace setek matematyków i programistów doprowadziły do skonstruowania maszyn liczących wielkiej mocy. Zupełnie nowa sytuacja – powstały maszyny i programy wygrywające w szachy z mistrzami, świat ogarnęła sieć, komputery zaczęły projektować komputery, pilotować statki

kosmiczne i rozwiązywać problemy przez stulecia nie do ugryzienia na poziomie kartki i ołówka. Policzono ludzkie neurony, rosną wciąż pojemności oraz możliwości komputerów i zaczęto wierzyć (R.R. Kurzweil), że te wielkości się zbliżą i duch wstąpi w maszynę. A za nim natura ludzka. Wierzą w to tzw. ekstropianie, o których sporo pisał w „Nowej Fantastyce" Janusz Cyran. Sztuka poczęła o tym marzyć (*Golem XIV*) i tym straszyć (*2001: Odyseja kosmiczna*, *Blade Runner*, *Terminator*). Ale nawet teraz technologia i artystyczna – de facto – mitologia idą różnymi drogami.

W jaki sposób transhumanizm przedstawia Stanisław Lem? W jaki sposób obrazuje on sojusz człowieka i maszyny?

– Lem nie jest piewcą transhumanizmu, natomiast był bez wątpienia protoplastą, prorokiem i zwiastunem tego podejścia, które w fantastyce obserwujemy teraz. Już w *Dialogach* (1954), pierwszej książce opiewającej niedozwoloną w PRL cybernetykę, Lem rozważa przeniesienie świadomości człowieka do maszyny. W bardzo interesujących, jeśli chodzi o wizje techniczne, esejach zebranych w tomie *Summa techologiae* (1964) snuje rozważania nad sposobami kreacji sztucznych rzeczywistości (tzw. fantomatyka – dziś *virtual reality*), które byłyby nieodróżnialne od realu. To wizja prorocza wobec matrixów została też zapowiedziana w jego zbiorze opowiadań *Cyberiada* (1965). Tyle że to jest nawiązanie do starych filozoficznych kłopotów, z niebudzącym wątpliwości odróżnieniem snu od jawy, o czym pisali np. Borges i Roger Caillois. Tak czy owak transhumanizm polegałby tu na przekroczeniu świadectwa ludzkich zmysłów, na przeniesieniu do maszyny iluzji rzeczywistości, a w każdym razie otoczenia człowieka. Podrobionych ludzi/nieludzi mamy z kolei w opowieści o ocenie *Solaris*, który podsuwa ludziom niezniszczalne kopie ich bliskich. Ale nie chodzi tylko o kreację swoistych homunkulusów, bo ocean, stwarzając ludzkie repliki, pełni funkcje człowieczej pamięci i... wyrzutów sumienia. Staje się rodzajem czyśćca, piekła, ułomnego raju. Wchodzi w rolę Boga, diabła, może ich obu. Wreszcie w powieści *Powrót z gwiazd* Lema jest przekroczenie ludzkiej natury za sprawą biochemicznych blokad nałożonych tej naturze. Chodzi o tzw. betryzację, zabieg medyczny, de facto okaleczenie, w wyniku którego ludzie nie są w stanie dokonać aktu agresji. Mamy tam scenę, kiedy główny bohater udaje się na wysypisko śmieci i spotyka zniszczone roboty, które zaczynają odprawiać modły – taką robocią wersję litanii. Lem pokazuje, że w tym zdegradowanym przez biochemiczną kastrację społeczeństwie to roboty stają się godnym dziedzicem człowieczeństwa. Podobnie w opowiadaniu Roberta Sheckleya *Bitwa* („Fantastyka" 8/1988) roboty za nas walczą w Armagedonie, bo

ludzie się lenią i tchórzą. Więc to roboty w nagrodę idą do nieba. Zostają zbawione, a człowiek nie.

A czy ta wyższość robotów nad człowiekiem została gdzieś ukazana przez innych autorów poza Lemem?

– W filmie Ridleya Scotta (*Blade Runner*, u nas *Łowca androidów*) trochę zmieniającym wymowę powieści Dicka *Czy androidy śnią o elektrycznych owcach*, robot ułaskawia człowieka, który chciał go zabić. Wybacza mu, udowadniając w ten sposób, że jest jego bliźnim, dorównuje nam w tym, co najszlachetniejsze w człowieku. Bez umiarkowania wywyższają się nad człowieka roboty Asimova (*Pozytronowy detektyw*), ale to nie moja bajka. Pewnie w jakimś sensie transhumanistyczny jest *Pinokio* Carla Collodiego – ta lalka chłopiec stara się być grzeczna, więc zostaje człowiekiem, ale to przede wszystkim metafora kłopotów autora, który wpadał w alkoholowe ciągi i się z nich podnosił. W filmie Spielberga *A.I. Sztuczna inteligencja* też występuje motyw Pinokia – i ta dobra Wróżka, która dla młodego androida jest rodzajem Boga. Tam mamy takie piękne zdanie: ludzie nienawidzą nas za to, że to my zobaczymy koniec świata. Czuć w tym wszystkim tonację trochę religijną, tylko feministki próbują temu zaprzeczyć. W sieci można znaleźć tłumaczenie tzw. *Manifestu cyborga* Donny Haraway. Ona tam pisze: nie mamy przeszłości, nie mamy przyszłości, nie mamy płci, nie mamy ojca… To feministyczna perspektywa, dla nich to strasznie ważne, żeby zerwać społeczne, płciowe, kulturowe cumy… W każdym razie ten cyborg może być używany do różnych rzeczy: żeby nas upokorzyć, żeby nam postawić przed oczyma jakiś wyższy cel, żeby nas przestraszyć, żeby nas wyjąć z naszej skóry, otrzepać z dziedzictwa i powinności. Bywa to trochę przerażające.

W transhumanizmie pojawiają się również wątki polityczne. Okazuje się, że wyzucie się z kajdan człowieczeństwa wcale nie czyni człowieka istotą wolną od polityki. Często to właśnie polityka determinuje rozwój technologiczny. U Dukaja w *Perfekcyjnej niedoskonałości* pod maską demokracji czai się feudalizm…

– To już było u Dicka w *Słonecznej loterii*, gdzie się fałszuje wyniki uzyskiwane za sprawą rozstrojenia mechanizmu głosowania tzw. butelką i przejęcia nad nim kontroli. Techniki demokratyczne zawsze można zmanipulować, a prawa wielkich liczba i fraktalna, a nie stochastyczna (kojarząca się z ruchami Browna), natura rzeczywistości sprawia, że zawsze można ją w odpowiednim miejscu nachylić, przycisnąć, wygiąć, by uzyskać pożądane wyniki. Specjalizują się w tym banksterzy, dobroczyńcy w rodzaju Sorosa i agencje ratingowe. O tym są też po trosze *Czarne oceany* Dukaja; z kolei

u Lema w *Śledztwie*, w *Katarze* te oddziaływania i ich konsekwencje długo bywają nieprzeniknione i zupełnie nieoczekiwane. Jak to jest, że w Rzymie umierają przeziębieni mężczyźni, a z podlondyńskich kostnic giną zwłoki?

Dzieła transhumanistów pisane są na poważnie czy to raczej pewna zabawa?

– *Bajki robotów* (1964) Lema nie są transhumanistyczne, bo to zabawa literacka. Jest cięcie między rzeczywistością a cudowną wizją; odrealnione obrazki Daniela Mroza nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Pisarz i rysownik igrają robotyczną wizją przyszłości, ironizują ją. Inaczej jest nawet na poziomie języka w prozie u Dukaja czy powieści Cezarego Zbierzchowskiego (*Holocaust F*), oni traktują serio transhumanistyczne proroctwa, w każdym razie wymyślają dla nich literackie ekwiwalenty. Jeśli przyjąć te ideologiczne i technologicznie założenia, które podsuwa Kurzweil, że ta technologia będzie się rozwijać i w końcu przeniesienie tego bogactwa, jakie jest w ludzkiej głowie, do maszyny czy do superkomputera, którym uczynimy kosmos, będzie możliwe. To są zabawy, nie chcę powiedzieć, że bezpłodne artystycznie, bo to, co robi Dukaj w *Królu Bólu*, *Perfekcyjnej Niedoskonałości* i *Czarnych oceanach*, jest ciekawe, ale jednocześnie nieznośne. Czytając *Czarne oceany* Dukaja, widzę człowieka, który mierzy się z czymś wielkim, z czymś, czemu musi sprostać i przed czym się broni. Marek Oramus mówił o tym w „Nowej Fantastyce" – Dukaj przepisuje człowieka na wyższe technologie. Porywa mnie ten upór, ta wizja, ta determinacja. Ludzie wkapturzają się w cudzą (tzw. proxów) powierzchowność i tak ćwiczą seks, miłość, politykę, spiski. Kreatorzy tworzą im idee, trendy, pasje. Najlepsi zachowują wiedzę naukową, gatunkową, historyczną, filozoficzną, estetyczną. Dokonują interwencji na swoim ciele i mózgu, by żyć w PLEJU. Chyba że pozostaną wyrzutkami na etapie gleju (gnoju). Tymi zajmą się marksiści kreacjoniści. Nawet nie będą ich nawracać na swoją wiarę i praxis – mają taki pomysł na wystruganie nowego człowieka, że trzeba tylko rozpętać terror i przetrącić ludzkości genetyczny kark, a potem potoczy się samo we właściwą stronę. Człowiek ze zgejdżowanym, z przerobionym mózgiem, może wyjść z siebie (genetycznie, wszczepowo, chemicznie, ideologicznie, płciowo) i sięgnąć, po co zechce. Dukaj w okruchach, strzępach jest dobrym malarzem tego szaleństwa. Wszystko u niego jest spiskiem i kontrspiskiem, rozkoszą i cierpieniem. Możliwe są – po wielokroć – każdy raj i każde piekło. Trochę tak jest u Cezarego Zbierzchowskiego w *Holocauście F*, swoistej transhumanistycznej *space operze*, gdzie człowiek zabijany, rekonstruowany, przenosi się z ciała do ciała i mieszają się w nim różne osobowości? To jest eks-

tatyczne, imponujące, wkurzające i od pewnego momentu zaczyna być nudne.

Dlaczego nudne?

– Ponieważ to całkowicie obcy świat, trudno utrzymać z nim kontakt na dłużej. No i nieprawdziwy. Nie można tyle razy siebie przekroczyć. Nie ma miłości do dziewczyny o fiołkowych oczach, która trwa kilka dekad, kończy się gromadką dzieci, wnuków i prawnuków... Gdzieś się ta prawda podstawowa gubi. Gubi w przeniesieniu uczuć w chmurę, cycków do maszyny i multiplikowanych orgazmach... Człowiek to czyta w metrze, a naprzeciwko niego siedzi dziewczyna, którą widzi drugi raz i modli się, by jeszcze ją spotkać. A tam może po prostu kobietę sobie skopiować i użyć, potem zmodyfikować. To są dwa różne światy. Można je lubić, można je wyśmiać, można mówić też jak Dukaj o tym krytycznie, że to nie tak... Ale ja i tak w te uczucia i orgazmy w chmurze nie wierzę.

Dość poważnie podchodzi pan do tematu. Czy transhumanistyczne wizje należy traktować jako ostrzeżenie, jako coś, co wieszczy kres człowieka i ostatecznie się spełni?

– Najlepiej transhumanizm traktować jako metaforę. Gazety uczą nas stylu, telewizyjne celebrytki podpowiadają, co jeść, jak postępować z mężem i meblować mieszkania, popularne są rubryki modowe, no a politycy i ich słudzy bombardują nas ideologicznymi memami i urazami. Wymiata się nam z głów historię, jaką pamiętamy bądź opowiedzieli nam rodzice, i wciska jakiś genderowy, poprawnościowy produkt... Już na tym poziomie ktoś nas kreuje, wymyśla i zmusza, byśmy żyli jak w stadzie. Transhumanizm jest o tym, ale i o tym, co będzie, jak zaczniemy ingerować w genomy, poszerzać swoje możliwości domózgowymi chipami, jak będziemy odbierać świat naraz na kilku łączach i patrzeć nań przez okulary wyświetlające różne dane. Z tego powstaje gęsta, mroczna dziwaczna, a jednak interesująca proza dla niezłomnych. Niektórzy ludzie lubią się skatować, lubią wyzwania, poszukiwania, lubią siebie samych przeskoczyć za sprawą tego, co sobie dokupią do organizmu, jak skorygują nos, i tego, jak ciężkie lektury wezmą na głowę. Transhumanizm literacki dostarcza im poczucia, że są na czasie, jak mówi gdzieś Lem, że *uczestniczą w największych tajemnicach bytu*. Właśnie z tych powodów kiedyś Lema namiętnie czytałem, ale na transhumanizm jestem już chyba za cienki.

Ale przecież są inne prądy w fantastyce, mamy fantastykę religijną, socjologiczną, skierowaną na alternatywne wizje historii i wiele, wiele innych. One też są metaforą?

– Ursula Le Guin mówiła, że w fantastyce czas jest metaforą; częściowo się myliła –

w fantastyce metaforą jest wszystko. Kiedy polscy twórcy pisali fantastykę religijną, to odzyskiwali to, co zabrała im historia i geopolityka ze Związkiem Radzieckim na czele; mogli nawiązać i do romantyków, i do tych uniesień, które przeżywali podczas wizyty Jana Pawła II. Robiąc wcześniej fantastykę socjologiczną, pisali prawdę o udrękach i marzeniach zniewolonego społeczeństwa, czego oczywiście nie artykułowały gazety. Fantastyka alternatywna dawała im możliwość mówienia o przeszłości pełnym głosem, takoż zabaw z historią, a nawet zagrania na nosie polskiej niedoli. Prawda? A tutaj transhumanizm robi już cały świat. To nie tylko Polska! Transhumanizm to wyrafinowana, uniwersalna moda i niezłe umysły oraz pióra, które w to weszły. Zastanawiam się, czy to będzie trwałe. Takie samo pytanie stawiano sobie w przypadku cyberpunku obłożonego kiedyś wielkimi nadziejami. Dzisiaj twórcy transhumanizmu śmieją się ze świata stworzonego w *Neuromancerze* Williama Gibsona, napisanego zresztą bez użycia komputera. Mówią, że to wtórne, że to kicz. Sami poszli w język, nie chcą pisać starych bajek o nowej rzeczywistości, starają się jej sprostać na poziomie narracji, języka, a to oznacza deformacje, wykrzywienia. Tylko że na *Neuromancerze* wzorowali się twórcy *Matrixa*! Tak samo zresztą jak na lemowskiej *Cyberiadzie*, ja bym tego dziedzictwa tak szybko nie unieważniał.

Czyli można czy nie można orzec, że nurt cyberpunku się zużył?

– Może się wypalił, zbanalizował, oderwał od bazy, jaką było powszechne urzeczenie, poruszenie? Łukasz Jonak, socjolog, zajmujący się wpływem technologii na zjawiska społeczne, współpracownik „Nowej Fantastyki", na przełomie tysiącleci, twierdził, że cyberpunk jest sposobem mitologizacji technologii, elektroniki. Według niego to działało, kiedy komputery były rzadkością, nieliczni mieli dostęp do internetu, a ludzie nie używali komórek powszechnie. Ja na przykład aż do 2003 roku byłem abnegatem komputerowym, ale kiedy już w 2001 stałem się posiadaczem przenośnego telefonu, Łukasz podsumował sytuację kulturowo i cywilizacyjnie: *Dziś komórkę ma nawet Maciek Parowski, i to jest koniec cyberpunku* (śmiech)*!*. A transhumanizm obiecuje nam „osobliwość", coś niebywałego wybuchnie w systemie. W kulcie cargo też oczekujemy osobliwości, buduje się lotniska z gliny, a samoloty z patyków, może przylecą następne i przywiozą dary.

Mówił pan o braku nadziei w literaturze transhumanistycznej. Takie samo wrażenie można odnieść z lektury *Walca stulecia* Rafała Ziemkiewicza – całe społeczeństwo podlega odpodmiotowieniu, każdy zwraca się do siebie per „osoba", ludzie przekładają świat gry komputerowej ponad ten

realny, w katedrach otwierane są dyskoteki, kultura i tradycja zostają zesłane do podziemi.

– Tam był brak nadziei, ale bardziej historiozoficzny, polityczny… To głos młodego Polaka wydziedziczonego z historii, długie stulecia odstawianego na margines przez mechanizmy, które się odnawiają i wciąż działają. Przez globalną grę idei, interesów, którym zawsze jakoś z tradycyjną, niepoprawną polskością nie po drodze. Stąd próba ucieczki do rajskiego Wiednia *fin de siècle* niezdemoralizowanego jeszcze nowoczesnością.

Ale moralny też – główny „zły" w finale powieści związuje się z żoną protagonisty, który też przecież święty nie był.

– Tylko że to jest poziom melodramatu, do tego nie trzeba transhumanizmu. Rafał miał w tej sferze pewne kłopoty, to weszło do powieści, ale on się generalnie szarpie z Polską i o Polskę w Europie, która gnuśnieje i podcina swoje chrześcijańskie korzenie. On to nazwał po raz pierwszy w opowiadaniu *Źródło bez wody*, zupełnie się obywając bez cyberentourage'u. Mnie niby to też dotyczy, ale jestem z inaczej doświadczonego pokolenia. Moim głównym problemem nie był brak nadziei związany z dehumanizującą technologią, ogłupiającą rozrywką i bezimiennymi mechanizmami, ale z tym, że Polska była ewidentnie podbita. Rafał Ziemkiewicz jest uwikłany w bardziej skomplikowane procesy, bardziej wyczulony na cywilizacyjne i kulturowe oznaki dekadencji i pisze na wyższym poziomie, bo dotyka granicznej sytuacji, kiedy grają przeciw nam spiski i procesy na poziomie, na jakim działała powiedzmy Ochrana czy NKWD, ale i na tym z *Kataru* czy *Czarnych oceanów*. Toteż pisał w sposób cybernetyczno-holistyczny – te spiski, które są na kartach powieści, są spiskami wielkich liczb, można tam znaleźć procesy, które nas wystawiają do wiatru, finansowo i nie tylko. Z tym że u Dukaja jest inny brak nadziei. U niego całość sytuacji jest beznadziejna. I w ostatnich scenach *Linii oporu* on się opowiada właśnie za człowieczeństwem. Za glejem, za plazmą, za biologią. Te bastiony człowieczeństwa jak śmiertelność, cielesność, jednostkowość, płeć okazują się jednak atrakcyjne, ważne, może nas poza nimi nie ma. Co z tego, że wyjdziemy poza ciało, skoro tam wszystko częściowo przepadnie, a nasze emocje, nasze istnienie nie będą prawdziwe. Ten typ braku technologicznej nadziei i powrót do natury wydaje mi się godny uwagi. To ciekawa przygoda, przede wszystkim literacka, konceptualna. Nie trzeba zdradzić człowieka, żeby pisać o transhumanizmie, a pisząc, można się nad wieloma sprawami zastanowić. Trzeba wejść w trans, uruchomić pewną rzeczywistość, dobrze się przyjrzeć ekstremalnym konsekwencjom. Dukaj to zrobił i doszedł do wniosku, że to nic dobrego.

„Ja" autora jako osoby i „ja " pisarza to naturalnie dwie odrębne rzeczy, ale zawsze jakieś echo jego osobowości w dziele pozostaje. Jak to jest w przypadku transhumanizmu?

– Jak się obserwuje Dukaja, to można zobaczyć, z jaką swadą porusza się on po matematyce, a potem skacze z matematyki do psychologii, z psychologii do estetyki, z estetyki do filozofii, marketingu, polityki. Jak on tym włada! Identycznym typem osobowości był Lem. To był ten sam typ talentu! Ta sama chęć przekraczania siebie. Warto się temu przyjrzeć czy konsekwencjom tego w literaturze. Teraz na ekrany wchodzi *Big short*, to termin bankowy, i jest tam gość, który rozszyfrowuje wielką intrygę finansową, jako pierwszy dostrzega, że coś jest nie tak. A czemu dostrzega? Bo jest ślepy na jedno oko. Widzi inaczej niż wszyscy, w związku z tym nie nabiera się na fałszywą stereoskopię. Autor powieści transhumanistycznych powinien być jak ten bohater z *Big short* – powinien nie tylko widzieć knowania innych, ale widzieć więcej, inaczej. I nie dać się nabierać. Zaraz się przypomina transhumanistyczny bestseller Watsa *Ślepowidzenie*, gdzie ułomność wzrokowa i mózgowa bohatera stworzy mu możliwość dogadania się z obcym, z wampirem.

Czemu to mówię? Bo to, co robi Dukaj, jest wynikiem jego szczególnej osobowości, jego dużego, ale także zadziwiającego talentu. Tylko że on w przeciwieństwie do bohatera *Big short* zdaje się mieć trzecie oko. Kiedyś o nim pisałem, że jest jak literacka stonoga. Kontroluje wszystkie nogi, czyli chce wszystko powiedzieć naraz. Normalna scena literacka wygląda tak: jest pomieszczenie, w którym jest pani i pan. Oni się kochają albo nienawidzą, szpiegują albo donoszą na siebie, mają rewolwer albo go nie mają. Jest między nimi jakaś relacja, a Dukaj pakuje tam jeszcze kosmos! Podziemie i nadziemie, wpływy reklam, reakcje wszczepów na zewnętrzne przekazy, oddziaływanie modeli zachowań, ubioru, transformacje wyglądu i psychiki, rankingi popularności zachowań i wyglądów, dziedzictwo poprzednich wcieleń. U niego wszystko ma być naraz. I to jest właśnie transhumanizm! Bo jego bohaterowie są częściowo w chmurze, częściowo w maszynie, częściowo w chipie. Dukaj ma ten typ osobowości, który pozwala mu na takie zabiegi.

Jest pewien nieco zapomniany polski twórca transhumanizmu – Adam Wiśniewski-Snerg. Myślę przede wszystkim o jego powieści *Według łotra*, gdzie autor ukazuje różne stopnie człowieczeństwa. Czy Snerg – też miał jakiś dar, odmienną osobowość? Jak go sytuować na tle transhumanistycznego pejzażu?

– Tak, miał inną zdolność czy usterkę, co zresztą wychodzi na jedno. Jak nauczycielka powiedziała, że jest tak i tak, to

musiał to sam sprawdzić. I czasami sprawdzał to przez parę lekcji, więc miał kłopoty z nauczycielami. Snerg nic nie przyjmował na wiarę, wszystko weryfikował. Czytałem rozprawę Martina Walsera *Opis formy. Studium o Kafce*, autor w ostatnim rozdziale stawia ciekawą kwestię – dlaczego Kafka tak często używał słowa „chociaż"? Jak on często mnożył zastrzeżenia i argumenty, którymi posługuje się druga strona, jak je roztrząsa… Kafka nie mógł się z tego wyplątać. Identycznie było ze Snergiem, który Kafkę uwielbiał. Pod tym kątem czytałem *Według łotra* i na wielu stronach znajdowałem kilka takich słów, to bezwiedne świadectwo wewnętrznej szamotaniny człowieka, który musi rozważyć wszystkie warianty. Może właśnie taki typ osobowości jest predestynowany do opowieści o robocie, który lokuje się poza ludzkimi cechami, emocjami, choć potem wybiera kondycję człowieka. On musi wziąć dane, policzyć, uśrednić. Snerg miał ze sobą ten typ kłopotów, jakie robot przeliczający wszystkie decyzje miałby wśród impulsywnych homo sapiens. Może dlatego *Robot* wyszedł mu tak dobrze. W *Według łotra*, gdzie mamy ludzi/lalki na planie filmowym, też to jego ograniczenie stało się siłą. Choć z drugiej strony mamy ponure opowiadanie Lema *Ananke* o przeraźliwym skrupulancie, który programując komputer, podzielił się z nim swoimi psychozami, tak że ten zainstalowany na kosmodromie, bez końca uściślając obliczenia kursu, doprowadził do katastrofy lądującego statku. Tu transhumanizm polegałby na tym, że człowiek zaraża swoją słabością maszynę.

Chcielibyśmy jeszcze nawiązać do tej „całości bytu" Dukaja, tej jego wszechstronności literackiej, o której pan mówił. Nasuwa się, co naturalne, skojarzenie z Lemem, a konkretnie



o jego *Filozofii przypadku*, gdzie Lem konstruując własną teorię literatury, posługuje się narzędziami z zakresu biologii, cybernetyki, matematyki, psychologii, funkcji mózgu itd. Czy według pana istnieje taka kategoria jak „transhumanizm twórczy”? Chodzi nam o to, czy może rzemiosło niektórych twórców – jak właśnie Lema i Dukaja – to już nie humanistyka, ale transhumanistyka, świadectwo przekroczenia ludzkich granic na kartach dzieła literackiego?

– Nie mam pojęcia, wykręcam się metaforą stonogi. Kiedy normalna stonoga zacznie się zastanawiać, to nie ruszy z miejsca. Ale są cudowne egzemplarze, które mimo stu nóg tańczą. Tylko przypominam, że Dukaj z perspektywy czasu narzeka na to, co napisał, wiele rzeczy zrobiłby inaczej, to i owo poprawił. On wciąż szuka nowych słów i form na opisanie konsekwencji symbiozy człowieka z siecią i maszyną. Mówił o tym Jankowi Żerańskiemu, wywiad wisi w sieci. Transhumanizm literacki to trudna sztuka. Ale cały czas mam wrażenie, że to nie jest futurologia, tylko konwencja artystyczna. Nawiasem mówiąc, kosmos literacki – i filmowy – w którym Lem królował, też się oderwał od realiów astronautycznych. Może o to chodzi.

Fascynujące, a czasem i niepokojące w fantastyce jest to, że jej prognozy się sprawdzają. Nasz kolega był ostatnio na konferencji w Seulu, gdzie debatowano nad tym, jak w przyszłości będzie można stosować trzy prawa Asimova.

– Z większą powagą rozważają te prawa technicy niż twórcy, przecież pisarz Dick czy filmowiec Scott zupełnie je lekceważą. De facto chodzi o to, że urządzenie nie powinno dać się uruchomić, kiedy chcemy użyć go głupio, problemem są techniczne blokady, żeby nie poraził nas prąd, nie zraniły ostrza, nie oparzył płomień, ale autorzy SF i transhumaniści zamieniają je na metafizykę. I to nie ma końca, istnieje np. czwarte prawo robotyki sformułowane w powieści bułgarskiego pisarza Lubena Diłowa *Długa podróż Ikara* – robot nie może ukrywać swej mechanicznej tożsamości. Jerzy Rzymowski, kolega z „Nowej Fantastyki”, wyszperał skądś prawo zerowe – „Robot uznaje prymat losu ludzkości nad losem pojedynczego człowieka”. Czyli wracamy do dylematów Pirxa z literackiej *Rozprawy* (ok. 1968 r.) i filmowego *Testu pilota Pirxa* Marka Piestraka. Tylko że jak wczytać się w Lema, to widać, że on z kolei wywiódł tamtą sytuację z bolszewickiej obsesji szukania szpiega czy wroga klasowego i dywersanta. Może syjonisty?

W jakim sensie, na litość Boską?

– Tam nawet funkcjonuje praktyka donosu, załoganci kapują Pirxowi – jestem robotem, nie jestem, tamten jest, ten udaje, chcę panu pomóc, on chce zaszko-

dzić misji… Ot i masz, transhumanizm. Krytyce przed 1989 rokiem raczej nie mogła tak interpretacja przyjść do głowy. Prawa robotyki są refleksem technologicznego spojrzenia na literaturę i może rzeczywiście transhumanizmem, ale przede wszystkim powrotem do człowieczeństwa. To antropomorfizacja robota, bezwiedna świecka metafizyka. Ten robot i ta siatka nałożonych nań oczekiwań ma charakter człowieczy. Robot nie może mi zaszkodzić działaniem ani zaniechaniem. Ma wykonywać rozkazy człowieka, pod warunkiem że to nie jest sprzeczne z pierwszymi prawami. Robot powinien chronić swoją tożsamość, swoja substancję, pod warunkiem że nie będzie to sprzeczne z prawem pierwszym i drugim. Czyli musi być gorliwy, mądry, ofiarny. Ale tak to ma się zachować bliźni, nie robot! Tworzenie A.I. de facto dopiero raczkuje, a już wyobrażamy sobie mechanizm, który odróżnia dobro od zła, będzie mędrcem, niewolnikiem i w razie potrzeby ofiarnie i świadomie odda za nas życie, jak ojciec Kolbe za Gajowniczka! To jest fikcja literacka! Instrukcja obsługi odkurzacza czy mikrofali skrzyżowana z homodyceą. Żaden udany artystycznie robot nie spełnia tego prawa! Owszem, R2D2 i C3PO z *Gwiezdnych wojen* są z grubsza w porządku (śmiech), choć ten wyższy, złoty, potrafi stchórzyć i uciec. Żadne tam składanie życia w ofierze. A inne? Na przykład Terminator i mózg-robot w *Odysei kosmicznej*, którzy nastają na życie człowieka? Owszem, blond włosy android z *Blade Runnera*, grany przez Rutgera Hauera, w ostatniej chwili okazuje człowiekowi serce, ale przedtem kicha na prawa robotyki.

To te prawa i w ogóle transhumanizm nie mają sensu.

– Oczywiście mają, ale przede wszystkim artystyczny. Są psychologicznym świadectwem, jakoś nas demaskują, pokazują ograniczenia, tęsknoty, uzurpacje. Lem w „Fantastyce i futurologii" podkpiwa z praw robotyki, zauważa, że Asimov wykręcił się od problemu istnienia duszy robota. Ale sam Lem tamże trochę w tonie skruchy wyznał, że jego roboty za bardzo przypominają ludzi. A kogo, do diabła, mają przypominać? Roboty są stworzone na nasz obraz i podobieństwo, tak jak my jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Komputer wobec tego też jest w jakimś stopniu stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Kopia kopii, trawestacja trawestacji. Lem chyba przecież i o tym pisał w *Golemie XIV* – komputer jako Bóg. Ten Bóg opuszcza świat i się gdzieś rozpływa, przerósł człowieka i swoją materialną nawet w sensie mechanicznym kondycję. Transhumaniści o tym marzą. Ale cały czas mówimy o fikcji, o wizji, metaforze, znaczącym koszmarze. W starym filmie *U progu tajemnicy* (1945) jest nowela z lalką, która przejmuje psychiczną kontrolę nad kierującym nią brzuchomówcą.

Ale wiadomo, że to metafora, lalka to lalka – wszystko rozgrywa się w głowie człowieka. Prawa robotyki też są metaforą naszych lęków, technologicznych oczekiwań, naszej ostrożności, cwaniactwa i naiwności. Budujemy trochę tylko podrasowanego Pinokia i oczekujemy, że spłynie weń dusza. Ale opowieść Collodiego o *Pinokiu* jest artystycznie i mitologicznie OK, działa do dziś. Nawet Spielberg odwołuje się do niej w swoim transhumanistycznym filmie *A.I. Sztuczna inteligencja*.

U Dukaja z kolei mamy do czynienia z pewną ewolucją biologiczną – człowiek może stawać się coraz lepszy, najpierw stając się *phoebe*, a potem „inkluzją ultimatywną". Taki świat nie ma granic, a człowiek – może stać się bogiem. Są wskrzeszenia, wcielenia i inne takie. Technika wchodzi na miejsce starej religii. Z drugiej strony człowiek zrywa owoce z drzewa poznania i okazuje się, że zrobił błąd.

– Ja to uznaję za efekciarską wizję literacką, w dodatku nie moją, tzn. nie dla mnie. Po prostu w księgarni, w bibliotece staję przy innej półce. I sięgam na przykład po *Lód*, książkę olśniewającą i skrojoną na moją miarę. Albo czytam *Katedrę* Dukaja i oglądam film, jaki napisał Bagińskiemu, i porównuję możliwości kina i literatury. Wiecie panowie, człowiek stający się Bogiem – to dla mnie za dużo. Katedrą – jako metaforą wielkiego zbiorowego dzieła i religijnego hołdu – już prędzej. Dukaj sam okazuje rezerwę swoim transhumanistycznym wizjom, doczytałem się tego w *Królu Bólu* w noweli *Linia oporu*. Po orgiach wyjścia z ciała albo nasycenia tego ciała wszczepami, wkapturzeniami, przebiciem różnymi zewnętrznymi trendami... Dukaj dopuszcza do głosu tęsknotę za zwykłym człowieczeństwem. Nazywa nawet linie graniczne, na których dokonuje się obrona tego statusu czy status quo. Są to śmiertelność, cielesność, jednostkowość, płeć. Feministki, jak wynika z *Manifestu cyborga*, grają w co innego. Bóg z nimi, to podobno przechodzi po pierwszym dziecku, co mówię z szacunkiem, nie lekceważeniem, bo sam byłem dzieckiem i mam (duże) dziecko.

Czy według pana można powiedzieć, że Dukaj jest epigonem Lema? Czy to będzie jednak poniżające dla Dukaja? Bo jednak tych punktów wspólnych jest dużo. Jak takie pokrewieństwo twórcze można nazwać?

– Dukaj jest darem dla polskiej kultury, podobnym, jakim był Lem. Dukaj jest pisarzem lemopodobnym. To jest rodzina podobnych umysłów. Dukaj się na Lemie wychował, ale co ważne – Dukaj Lema przekracza. Bo Lem nie napisałby *Złotej galery*, opowiadania o piekielnym statku z potępieńcami szybującym przez kosmos. Ani *Xavrasa Wyżryna*

o przegranej wojnie z bolszewikami czy nawet opowiadania *Szkoła*, które też jest o transhumanizmie, bo rzecz opowiada o chłopaku ze slumsów przerabianym medycznie i cybernetycznie na spotkanie z obcym. Ale już z tego ostatniego przykładu widać, że to jest typ talentu jednak pokrewny Lemowi. Andrzej Sapkowski, zupełnie inny talent, też rodzaj literackiego cudu i daru, zupełnie nie przypomina Lema, ale odwoływał się doń, nazywając Wiedźmina Pirxem polskiej fantasy. Ten Lem, jak widać, jest nadal jednak obecny, choć na przykład Rafał Ziemkiewicz – również wielki pisarz fantastyki – nie poczuwa się do żadnego długu. O Lemie wyraża się bez szacunku, zaprzecza pionierstwu Lema tam, gdzie ono jest oczywiste (choćby na obszarach fantastyki socjologicznej), ponieważ z nim jako z pionierem się nie zetknął. Ziemkiewicz i Dukaj to są gwiazdy, okazują sobie szacunek, czują swoją wielkość. Dukaj napisał Ziemkiewiczowi do transhumanistycznego *Walca stulecia* posłowie, ale kiedy Ziemkiewicz wyraził się publicznie o Lemie z lekceważeniem, Dukaj się na to obruszył i warknął, mimo że to nie w jego stylu. Oczywiście literacko warknął i Rafał to uszanował, cofnął się, choć zwykle się nie cofa. Dukaj ma podobną osobowość jak Lem. Ale jeśli już, to jest prędzej inkarnacją Zajdla. Bo tak samo jak Zajdel urodził się w znaku astrologicznym europejskiego lwa i azjatyckiego tygrysa. Ja nie sądzę, żeby to była herezja, Tomasz z Akwinu mówił o astrologii jako systemie predyspozycji, nie predestynacji. I Dukaj, podobnie jak kiedyś Zajdel, jest prekursorem (choć innego rodzaju niż Janusz), no i jest otaczany podobnym szacunkiem, prawie nie ma wrogów. Ma dar zjednywania sobie ludzi i taką szlachetną nonszalancję, że nie zabiega o nagrody, a jak je dostaje, to wygląda na skruszonego, co rywali rozbraja. Potrafi też upomnieć się o innych autorów, mnie zwracał uwagę na prekursorstwo Kuby Nowaka, który też robi transhumanizm – skrzyżowany z fantastyką historyczną – ale w taki ekstatyczny sposób może pokrewny temu, co Twardoch wyczyniał w technologicznych partiach *Wiecznego Grunwaldu*, choć na tle Nowaka te partie Twardocha wyglądają na blade. No i na pewno w żadnym sensie nie jest Dukaj postlemowski. Moje pokolenie – razem z Zimniakiem, Baranieckim, Oramusem, Żwikiewiczem, Wolskim czy Zajdlem, nawet Adamem Wiśniewskim Snergiem – owszem pisało trochę à la Lem, przynajmniej na początku. A Dukaj pisze równie znakomicie i ma ten sam głód wiedzy i erudycję, ale Lema nie naśladował, tylko dostał od losu, no i sobie wypracował tak samo wielką głowę.

Może to jest nasze błędne uczucie, ale wydaje nam się, że konserwatyści rzadko sięgają po literaturę transhumanistyczną. A przecież jej wymowa jest konserwatywna. Stary porządek mimo wszystkich swoich

wad okazuje się lepszy od nowego. Tak samo zresztą konserwatywne wydaje mi się przekraczanie człowieczeństwa. Przejawia się ono w pewnym sensie w prymacie ducha nad materią. Pojawia się wielość wcieleń, a ciało wydaje się tylko powłoką dla duszy. To ona jest ważniejsza – mówią transhumaniści.

– Ładnie mówią, ale nie wszyscy, bo transhumanizm pośrednio przekreśla osobę. Choćby w wyniku mnogości wcieleń. Na dobrą sprawę postrzega człowieka jako podrasowanego bohatera gry, którą wciąż można zaczynać od nowa. Był taki fantastyczny film Frankenheimera *Twarze na sprzedaż* (*The Seconds*, 1966), człowiek grany przez Rocka Hudsona nie wytrzymywał tam psychicznie drugiej młodości. W starych mądrych bajkach i mitach paradoksalnie to nieśmiertelni zazdroszczą śmiertelnym. Panowie mówią – dusza. A może dusze? Czy ciało jest złe, żeby zeń spieprzać, czy transhumaniści są manichejczykami? Chrystus przyszedł do nas w postaci człowieka, nie cyborga, nie z chmury do nas przemawiał i nie chmurę nasi przodkowie ukrzyżowali. Ciało jest w porządku, chociaż kace bywają dotkliwe, porody bolesne, no i czasem dokuczają zęby. Ale te pracowite i dzielne roboty, które wymyślił Sheckley, idące do nieba zamiast nas, to dobry humanistyczny trop, takie myślenie mi się podoba. Jako lekcja, metafora.

Czyli literatura transhumanistyczna nie jest dla każdego?

– To się dobrze czyta, jak się jest młodym i ma się wrażenie, że za pomocą pewnych formuł złapie się w ręce świat. Ale tego prawdziwego świata za dobrze się nie zna i tak czy owak raczej się go w całości nie ogarnie! Tylko że młody się spieszy, nie chce być pokorny. Oczywiście ci, którzy czytają Dukaja, Egana i Strossa, to są najwyższe klasy umysłów, oni dużo od siebie wymagają, starają się sprostać tej prozie, więc ich satysfakcje są niekłamane. Sam wolę wcześniejszą, bardziej ludzką fantastykę, ale szczerze ich podziwiam. To jest wyższa szkoła pisarskiej i lekturowej jazdy – wyżej przebywa już tylko *Golem XI* (śmiech). **Ω**

Rozmawiali
MATEUSZ K. DZIÓB I ŁUKASZ KUCHARCZYK


MULTIPSYCHE SPECJALIST
Czy Twój psi towarzysz cały czas nie może oduczyć się jedzenia pokarmów odzwierzęcych?
Czy kot krzywi się na posiłki niezawierające białka zwierzęcego?
PEWNA I SPRAWDZONA TERAPIA.
Nawracam każdą istotę na jedynie słuszną drogę. Umów się na wizytę, skuteczność gwarantowana.



Marcin Woźniak

Czy robot może mieć duszę?

Pytanie sformułowane jak zagadka aż się prosi, żeby odpowiedzieć na nie intuicyjnie: tak lub nie, i przejść dalej. Pytanie obarczone jest jednak historią, ponieważ w takiej czy innej formie było zadawane, zanim powstały komputery, tak aby mieć lepszy wgląd w duszę człowieka. Uzupełniając obraz o wiedzę technologiczną i naukową, postaram się na nie odpowiedzieć

Słowa „robot" używamy często w znaczeniu: bezwolna maszyna, mechaniczny niewolnik, który nie może się sprzeciwić poleceniom. Kiedy mówimy komuś, że zachowuje się jak robot, nie mamy na myśli życia pełnią życia, ale wręcz przeciwnie, zachowanie beznamiętne, automatyczne, bezduszne. Potocznie używa się sformułowań takich jak „toster się zepsuł". Nie mamy jednak na myśli, że toster jako podmiot sam zrobił coś kierowany swoją decyzją. Trudno też spotkać kogoś, kto argumentowałby, że dźwig czy drukarka mogą mieć duszę w takim znaczeniu, w jakim powszechnie używamy tego słowa. W takim przypadku odpowiedź jest zawarta w samym pytaniu, przez co nie ma ono sensu. Na wstępie trzeba więc zaznaczyć, że słowo „robot" nie jest używane w tym samym znaczeniu co „robot kuchenny", ale pewna całość, na którą składa się materialna powłoka, czyli ciało maszyny, i program, czyli, chciałoby się powiedzieć, dusza.

KOMPUTERY (...) PRZEJMĄ STERY NAD TYM WSZYSTKIM, CO CZŁOWIEK OKIEŁZNAŁ LUB OKIEŁZNAĆ MOŻE ZA POMOCĄ SWOJEGO INTELEKTU

Pytania o to, kto może mieć duszę, a kto nie, i jak to rozpoznać, od dawna frapowały filozofów i teologów. Jednak ta akademicka dyskusja może wkrótce stać się bardzo realnym problemem inżynieryjnym, z którym przyjdzie się nam zmierzyć. Wszystko za sprawą technologicznej osobliwości, czyli eksplozji inteligencji spowodowanej wykładniczym rozwojem technologii informacyjnej. Żeby zobrazować różnicę pomiędzy postępem wykładniczym w kontraście do linearnego, wyobraźmy sobie taką sytuację. Kiedy idąc, wykonamy 30 kroków w postępie linearnym, dodajemy: 1, 2, 3, 4... i tak dalej

do 30. Kiedy stawiamy kroki w postępie wykładniczym, mamy: 2, 4, 16, 32… i przy 30. kroku dochodzimy do ponad miliarda, tyle kroków wystarczy, żeby obejść Ziemię 64 razy. Tym właśnie tempem charakteryzuje się rozwój technologii informatycznej.

W uproszczeniu można to zrozumieć w ten sposób, że śledząc wciąż przyspieszający postęp rozwoju technologicznego, według wielu badaczy tej dziedziny jeszcze w pierwszej połowie tego wieku nawet średniej klasy komputery przekroczą zdolności obliczeniowe ludzkiego mózgu, staną się mądrzejsze od nas, zaczną same się ulepszać i przejmą stery nad tym wszystkim, co człowiek okiełznał lub okiełznać może za pomocą swojego intelektu. Brzmi to dość fantastycznie, jednak nawet nie śledząc uważnie nowinek technologicznych, w szerszej perspektywie dostrzec można rzeczony proces przyspieszenia. Na przestrzeni dziejów następowały różne zmiany radykalnie wpływające na doświadczenie codziennego życia. Wystarczy spojrzeć na to, jak długo następowały po sobie takie wydarzenia w historii ludzkości, jak rewolucja paleolityczna, wynalezienie pisma, upowszechnienie się druku, odkrycia geograficzne, rewolucja naukowa, rewolucja przemysłowa, upowszechnienie elektryczności, loty międzykontynentalne, loty kosmiczne, stworzenie komputerów i globalnej sieci, upowszechnienie się smartfonów. Wiele rzeczy, bez których nie wyobrażamy sobie już życia, powstało stosunkowo niedawno. Coś, co dla naszych niedalekich przodków byłoby nie do pomyślenia, bierzemy na co dzień za zwykły fragment naszej rzeczywistości. Kolejne pokolenia przychodzą na świat, nie mając możliwości pamiętania, jak wyglądała rzeczywistość przed internetem. Temat wykładniczego rozwoju technologii zasługuje na odrębny artykuł i wiele już takich napisano, dlatego nie zbaczając z tematu, zasygnalizuję, że o ile setki generacji ludzkich rodziły się i umierały w mniej więcej podobnym, rozwijającym się lokalnie środowisku, nasz globalny, rozwijający się w pewnych aspektach wykładniczo świat, nie jest już takim miejscem.

EKSPLOZJA INTELIGENCJI Z JEDNEJ STRONY MOŻE SIĘ OKAZAĆ NAJLEPSZĄ RZECZĄ, JAKA PRZYDARZYŁA SIĘ LUDZKOŚCI

Warto też wiedzieć, że programy także podlegają tej ewolucji, a ich możliwości często ograniczone są jedynie szybkością przetwarzania informacji. Wbrew przekonaniu niektórych często nie jest tak, że programista wie, co zrobi jego algorytm. Ciągle powstają programy, któ-

rych zadaniem jest np. uczenie się zachowań człowieka, i odgrywają one w naszym życiu coraz większą rolę. Używamy ich, korzystając z wyszukiwarek internetowych, przeglądając portale społecznościowe, robiąc zakupy czy podróżując z nawigacją. Nasze ślady pozostawiane w sieci analizowane są przez liczne firmy po to, żeby badać zachowania konsumenckie i optymalizować korzystanie z różnorakich usług. Na taki stan rzeczy część osób reaguje stwierdzeniem, że komputery mają co prawda imponujące właściwości, lecz nigdy nie będą umiały… (i w tym miejscu należy wstawić coś, co świadczy o wyjątkowo ludzkiej cesze). To jest tzw. argument z ułomności. Pojawiały się takie propozycje, jak: komponowanie nowej muzyki, popełnianie błędów, rozpoznawanie emocji, samo odnoszenie, prowadzenie samochodu, pisanie wierszy, uczenie się na doświadczeniach, gra w szachy, postawienie diagnozy lekarskiej, przeprowadzanie nowych dowodów naukowych, celowe przeciwstawianie się rozkazom czy malowanie w stylu van Gogha. Wszystkie powyższe czynności i wiele innych zostało już dokonanych przez różnorakie programy, a lista osiągnięć wciąż się powiększa. Problem w tym, że proponenci rzekomo niemożliwych do przezwyciężenia barier wysuwają je zazwyczaj dość arbitralnie, bez podania dostatecznego uzasadnienia i stąd wraz z rozwojem dziedziny są one kolejno obalane. Oczywiście należy zauważyć, że to są zazwyczaj różne, niezintegrowane ze sobą programy, które reprezentują tzw. wąską sztuczną inteligencję. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, żeby wiele takich programów wkomponować w repertuar umiejętności generalnej sztucznej inteligencji.

W tym kontekście eksplozja inteligencji z jednej strony może się okazać najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła się ludzkości, ponieważ maszyny pomogą nam rozwiązać takie problemy, które wymagają ponadludzkiej wręcz inteligencji, jak wojny, głód, degradacja środowiska, niekompetencja rządzących, starzenie się i wiele innych. Z drugiej strony niektórzy, a szczególnie scenarzyści z Hollywood, obawiają się, że doprowadzi to do naszej zagłady. Takie dramatyczne historie dobrze się sprzedają, ponieważ uderzają w nasze lęki związane z nieznaną przyszłością i w pewnym sensie łatwiej je napisać. Mimo że obawy te często zniekształcają obraz sprawy, nie znaczy to, że nie są one uzasadnione. Filozof Nick Bostrom w książce

Superinteligencja argumentuje, że nawet przy najlepszych intencjach zaprogramowanie sztucznej inteligencji, która służyłaby ludzkości albo posiadała podobne wartości jak my, może być wysoce problematyczne. Biorąc pod uwagę stawkę, z jaką mamy tu do czynienia, tytułowy dylemat nabiera nowego wymiaru.

Jeśli zatem chcemy jednak sensownie odpowiedzieć, czy robot może mieć duszę, powinniśmy wcześniej odpowiedzieć na inne: Czy człowiek może mieć duszę? Tylko czy gdyby ktoś takie pytanie zadał nam, to jest ono w ogóle sensowne? Spełnienie warunku posiadania duszy przez podmiot zależne jest oczywiście od definicji tego, czym jest dusza. Jeśli dusza to x, y, z i podmiot posiada przymioty x, y, z, to posiada on duszę. Co ma jednak świadczyć o tym, że dana definicja jest słuszna? Definicje etymologiczne, np. wywodzące słowo „dusza" od oddechu, prowadzić mogą do absurdalnych konkluzji, że wstrzymując oddech, wstrzymujemy istnienie naszej duszy. Wszelkiego rodzaju fizjologiczne objawy naszego istnienia są raczej wtórne do przekonania o istnieniu naszej duszy. To znaczy, najpierw na pytanie odpowiadamy twierdząco, dopiero później, choć niekoniecznie, szukamy odpowiedniej definicji. Prawdopodobnie pierwotna intuicja na temat duszy ma w sobie coś z przekonania Kartezjusza: *Cogito ergo sum*. Myślę, więc jestem, ja, podmiot, dusza. Przeżycie mentalne związane z wypowiedzeniem tego zdania jest samodowodzące. Co jednak z duszami innych ludzi? Nie mamy wglądu do ich przeżyć wewnętrznych. Wypowiedź „myślę, więc jestem" można nagrać i odtworzyć na dyktafonie i nie powiemy przecież o dyktafonie, że posiada duszę. Raczej mało kto też wyznaje solipsyzm, czyli przekonanie o byciu jedyną prawdziwą duszą, i intuicyjnie ufamy naszym zmysłom w przeświadczeniu istnienia innych podmiotów na zasadzie podobieństwa z nami.

FIZJOLOGICZNE OBJAWY NASZEGO ISTNIENIA SĄ RACZEJ WTÓRNE DO PRZEKONANIA O ISTNIENIU NASZEJ DUSZY

Można sobie teraz zadać pytanie: A co jeśli to tylko złudzenie i przynajmniej część ludzi, którzy zachowują się we wszystkich aspektach, tak jakby mieli duszę, nie posiada świadomych wewnętrznych przeżyć, a poruszani są jedynie mechanicznymi zasadami ciągu przyczynowo-skutkowego, tak jak głos nagrany na dyktafonie, innymi słowy „filozoficznego zombie". Jednak krytycy tej koncepcji, jak Daniel Dennett, przedstawiają argument przeciwko istnieniu zom-

bie. Skoro zachowanie takie miałoby być nieodróżnialne, to można byłoby przeprowadzić rozmowę na temat subiektywnego doświadczenia rzeczywistości, jakie można przeprowadzić ze zwykłym świadomym człowiekiem, jednak wtedy ta różnica musiałaby zaistnieć, o ile sami posiadamy taką świadomość. Zombie np. mogłyby wdać się w dyskusję na temat tego, dlaczego ukłucie boli, albo samego istnienia filozoficznego zombie i opisać różnicę pomiędzy nim a człowiekiem. W innym wypadku, gdyby rozmowa ta przebiegła tak jak ze świadomym człowiekiem, nie sposób sensownie przypisać fałszywości istnienia świadomego subiektywnego doświadczenia egzystencji na podstawie innej niż na mocy arbitralnej definicji bycia zombie. Stąd konkluzja, że zombie nie mogą istnieć i jesteśmy w stanie to sprawdzić. Ekwiwalentem tej rozmowy egzaminującej świadomość, którą rozważał już Kartezjusz, na gruncie sztucznej inteligencji jest test Turinga. Polega on na sprawdzeniu, czy osoba, nie widząc, z kim rozmawia, potrafi zostać przekonana przez maszynę, że rozmawia z człowiekiem. Skoro hipotetyczna rozmowa wykazała niemożliwość istnienia zombie, zdany odpowiednio przeprowadzony test Turinga powinien świadczyć o posiadaniu świadomości. Czasami pojawiają się doniesienia prasowe o tym, że jakiś program przeszedł taki test, jednak należy podchodzić do nich z dużą ostrożnością. Z jednej strony testy można przeprowadzać zbyt mało skrupulatnie, tak że przechodzą je chatterboty, które działają jak bardziej zaawansowany dyktafon, z drugiej strony pamiętać należy o tym, że czasami z różnych względów nie przechodzą ich zwykli ludzie.

ZOMBIE MOGŁYBY WDAĆ SIĘ W DYSKUSJĘ NA TEMAT TEGO, DLACZEGO UKŁUCIE BOLI

Jednak nie tylko świadomość się liczy w posiadaniu duszy, gdybyśmy jedynie byli widzami spektaklu, który się przed nami rozgrywa i nie bylibyśmy odpowiedzialni za to, co się z nami dzieje, doświadczenie byłoby niepełne, wręcz niepotrzebne. Nie moglibyśmy mówić też o jakimkolwiek przyczynowaniu mentalnym i przeprowadzić testu Turinga. Jak wspomniałem wcześniej, nieprawdą jest, jakoby programy wykonywały jedynie czynności przewidziane wcześniej przez programistę. Algorytmy mogą się uczyć, podlegać ewolucji i stosować losowość. Czy znaczy to, że teoretycznie mogą posiadać wolną wolę?

Znów popatrzmy, jak to się ma u człowieka. Wolna wola pozwala nam być odpowiedzialnymi za nasze czyny, sprawia, że zasługu-

jemy na nagrody i kary za nasze postępowanie, świadczy o naszej unikatowości w świecie. Ta wiara została jednak zachwiana przez trzy rewolucje kopernikańskie. Pierwsza z nich faktycznie miała związek z Kopernikiem, pozostałe zostały tak nazwane ze względu na ich doniosłość w postrzeganiu przez nas rzeczywistości. Przed upowszechnieniem się teorii polskiego astronoma dominującym poglądem był geocentryzm, Kopernik wykazał jednak, że to Ziemia obraca się wokół Słońca, nie odwrotnie. Było to trudne do zaakceptowania dla wielu, ponieważ wiązało się z konkluzją, że nie jesteśmy na żadnym piedestale w centrum istnienia. Co więcej, wiemy teraz, że nasze Słońce jest jedną z setek miliardów gwiazd w Drodze Mlecznej, która jest jedną z setek miliardów galaktyk i bilionów galaktyk karłowatych w obserwowalnym wszechświecie, którego znakomitą większość wypełnia próżnia. Akceptacja tego faktu uczy pokory. Jakby tego było mało, teoria ewolucji przedstawiona przez Karola Darwina dowodzi, że nie jesteśmy nawet wyjątkowi w naturze. Należymy do świata zwierząt i nie jesteśmy „ostateczną formą", nikt nie zatrzymał procesu ewolucji po naszym przyjściu na świat. Dodatkowo, to pewien kod zapisany w DNA jest głównym przedmiotem doboru, a nie osobnik jako całość. Na koniec rewolucja neurobiologiczna, na którą składa się wiele odkryć. Główną konkluzją jest to, że nasze zachowanie zależy od nieuświadomionych procesów fizyko-chemicznych dziejących się w mózgu, które można wykryć czasem wcześniej, zanim świadomie podejmiemy decyzję, oraz wpływać na nie biochemicznie za pomocą rozmaitych zabiegów.

SPRZYMIERZEŃCEM W POSZUKIWANIU DUSZY MOŻE SIĘ OKAZAĆ FRYDERYK NIETZSCHE

Wielu ludzi ta wizja niepokoi czy wręcz przeraża. Nauka przedstawia nam obraz świata rządzonego przez prawa fizyczne i prawo doboru naturalnego, w którym nie ma miejsca na dualizm dusza–ciało. To my jesteśmy tymi zwierzętami i robotami, nad którymi zastanawialiśmy się, czy możemy przypisać im duszę. Taka wizja prowadzić może do nihilizmu, odrzucenia wartości i odpowiedzialności za swoje czyny. Czy słusznie?

Silnym i być może niespodziewanym dla niektórych sprzymierzeńcem w poszukiwaniu duszy może się okazać Fryderyk Nietzsche, który zdiagnozował ten problem już w XIX wieku. Atakował on przyjęte wartości z myślą o tym, że należy zburzyć strachliwe przekonania

społeczne, które doprowadziły do filozoficznej śmierci Boga i w konsekwencji zubożenia duchowego mu współczesnych i nihilizmu. Paradoksalnie zniszczenie moralności prowadzić mogłoby właśnie do nihilizmu, z którym tak zaciekle walczył i w tym jest podziwu godna wiara tego filozofa w prawdziwość wartości, w nieśmiertelność idei, które pozostaną na zgliszczach fałszywych wyobrażeń ludzi małych o tym, co jest wartościowe. Wartości zasługują bowiem na to, by je atakować, bo jeśli są prawdziwe, to nic nie jest w stanie ich naruszyć. Jeśli ludzkość jako taka ma wartość, to należy człowieka przezwyciężyć, żeby tę wartość wydobyć. I w tej walce Nietzsche jednoczy wielkie tradycje filozoficzne, moralne i religijne, które za jego, a także za naszych czasów przeżywają kryzys.

Jak się okazuje, metoda ta jest słuszna, ponieważ opisany wyżej wizerunek człowieka obserwowany w zgliszczach rewolucji kopernikańskich nie jest jednak adekwatnym obrazem, jaki przedstawiają, uwzględniając współczesny stan nauki. Wielki wybuch, który doprowadził do obecnego kształtu kosmosu, nie miał miejsca w jakimś odległym od nas miejscu, na obrzeżach którego się znajdujemy, nie miał centrum, ponieważ centrum związane jest położeniem w przestrzeni, Wielki Wybuch zapoczątkował dopiero istnienie czasu i przestrzeni i obserwowane dziś jego efekty świadczą o tym, że centrum jest wszędzie. Więc nie ma to większego znaczenia dla jakiejś naszej ważności. Ziemia może dalej nie jest główną sceną teatru świata, nasza planeta ani układ słoneczny nie są unikatowe pod względem strukturalnym, jednak jest jedynym miejscem, które znamy, posiadającym życie i inteligencję. Pod względem materialnym jesteśmy częścią świadomej siebie planety. To prawda, że należymy do świata zwierząt, jednak dzięki temu jesteśmy bliżej związani z każdym żywym organizmem, niż nam się wcześniej

CENTRUM JEST WSZĘDZIE



wydawało. Nie odbiera nam to przy tym godności ani unikatowości w tworzeniu kultury, posługiwania się językiem i bezprecedensowości w korzystaniu z tego rodzaju inteligencji, który sprawił, że świadomie jesteśmy w stanie przyjąć odpowiedzialność za własną ewolucję. Rewolucja neurobiologiczna spowodowała, że wiemy więcej o wcześniej nieuświadamianych przyczynach naszych zachowań. Jesteśmy w stanie dzięki temu poprawić funkcjonowanie naszego systemu prawnego i różnicować zachowania, które powodowane są normalnym funkcjonowaniem umysłu, a np. nowotworem, po usunięciu którego następuje zanik patologicznych zachowań. Zaraz, zaraz, ktoś może powiedzieć, ale co z normalnym funkcjonowaniem? Przecież determinizm i wolna wola się wykluczają.

To nie jest prawda. Ta dyskusja miała już miejsce na gruncie teologii. Skoro istnieje Bóg, który wie wszystko, to zna także wszystkie nasze decyzje, zanim je podejmiemy, dlatego od urodzenia jesteśmy predestynowani do zbawienia lub potępienia, co kłóci się z naszą wolną wolą. Podkreśla się jednak, że nie można sensownie mieszać tych dwóch perspektyw. Skoro nie mamy dostępu do boskiego, nieograniczonego czasem punktu widzenia, nie robi to dla nas różnicy, ponieważ nadal to my jesteśmy autorami naszych akcji i nikt nie popełnił ani nie popełni ich za nas. Dla nas jako podmiotów świat nie jest przesądzony i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Jeśli spojrzelibyśmy w przyszłość, sama obserwacja powoduje zmianę ciągu przyczynowo-skutkowego, dochodzi do tego zmiana decyzji pod wpływem świadomości tej obserwacji, świadomości-świadomości obserwacji i tak dalej. Nie wiemy też, czy świat rozwija się jednotorowo, czy istnieje raczej wieloświat, gdzie wszystkie, albo niektóre opcje, urzeczywistniają się jednocześnie w równolegle rozwijających się. Do tego wszystkiego dochodzi tzw. efekt motyla, czyli małej zmiany w warunkach początkowych, powodującej niemożliwe do przewidzenia i obliczenia skutki w przyszłości. Nie jesteśmy pewni tego, co determinizm dokładnie dla nas znaczy i dlaczego mielibyśmy być przez to zwolnieni z odpowiedzialności za swoje czyny.

> ZDROWI NA UMYŚLE LUDZIE NA DŁUGO PRZED NEWTONEM MUSIELI WIEDZIEĆ O TYM, ŻE NIE MOGĄ LEWITOWAĆ NA ŻYCZENIE

Ograniczenie przez prawa fizyczne też nie jest tak naprawdę nowością. Człowiek nie potrafi latać za pomocą myśli. Czy to znaczy, że

nie ma wolnej woli? Pytanie wydaje się absurdalne, bycie ograniczonym przez prawa fizyki nie powoduje braku wolnej woli. Zdrowi na umyśle ludzie na długo przed Newtonem musieli wiedzieć o tym, że nie mogą lewitować na życzenie, jednak raczej nie czuli przez to, iż nie są autorami własnych decyzji. Znajomość tych zasad powoduje wręcz zwiększenie zakresu woli, bo jak w przykładzie latania z pomocą wiedzy o prawach ciążenia nie tylko okiełznaliśmy przestworza, ale i zaczynamy to robić z przestrzenią kosmiczną. Osoby, które argumentują negatywny wpływ znajomości praw fizycznych na wolną wolę, chyba zbyt mało uwagi poświęciły faktowi, że po Księżycu chodził człowiek.

Kolejnym argumentem za fałszywą niesprawiedliwością determinizmu są gry sportowe, weźmy koszykówkę. Projektując zasady gry, chcemy, żeby pewne zachowania były przewidywalne; jeśli przyłoży się pewną siłę, to piłka wpadnie do kosza, jeśli będzie ona za duża albo za mała, to nie będzie trafienia. Nie da się przy tym oddać dwa razy dokładnie takiego samego rzutu, bo warunki nigdy nie będą identyczne. Mają tu znaczenie pora dnia, zmęczenie zawodnika, liczba i intensywność poprzednich treningów, zjedzenie posiłku, ruch powietrza i wiele innych drobnych czynników. Można dziesięć na dziesięć razy trafić do kosza, ale nigdy nie będzie to taki sam rzut, tylko podobny, wystarczająco podobny. To właśnie możliwość różnych zachowań w podobnych, lecz nie takich samych warunkach powoduje, że to zachowanie jest istotne. Jeśli na przykład podczas rzutu zawodnik zostanie sfaulowany, to taki rzut nie jest uznawany za wystarczająco podobny do zwykłych możliwości wykonania tej czynności. Dlatego gry mają sens.

ASPEKT DUSZY, KTÓRY NALEŻY WSPOMNIEĆ — NIEŚMIERTELNOŚĆ

Rewolucja neurobiologiczna poszerza zakres naszej wiedzy, a tym samym możliwości naszej woli, daje nam większą kontrolę nad własnymi czynami. I to też nie jest dla nas rzeczą zupełnie nową. Już dawno postanowiliśmy w systemie prawnym uwzględnić takie spostrzeżenia, że pewnego rodzaju cechy pozwalają nam poczytywać siebie za zdolnych do zawierania umów oraz, co się z tym wiąże, ponoszenia odpowiedzialności. Nie każemy, ale też nie pozwalamy głosować i nie zawieramy kontraktów z dziećmi, osobami chorymi, nieposiadającymi odpowiednich informacji, będącymi pod wpływem

przymusu itp. Oceniamy zachowania na podstawie tego, jak należałoby postępować w wielu podobnych sytuacjach, przy podobnych osobach. Dzięki tej wiedzy jesteśmy w stanie tworzyć lepsze, bardziej sprawiedliwe prawo.

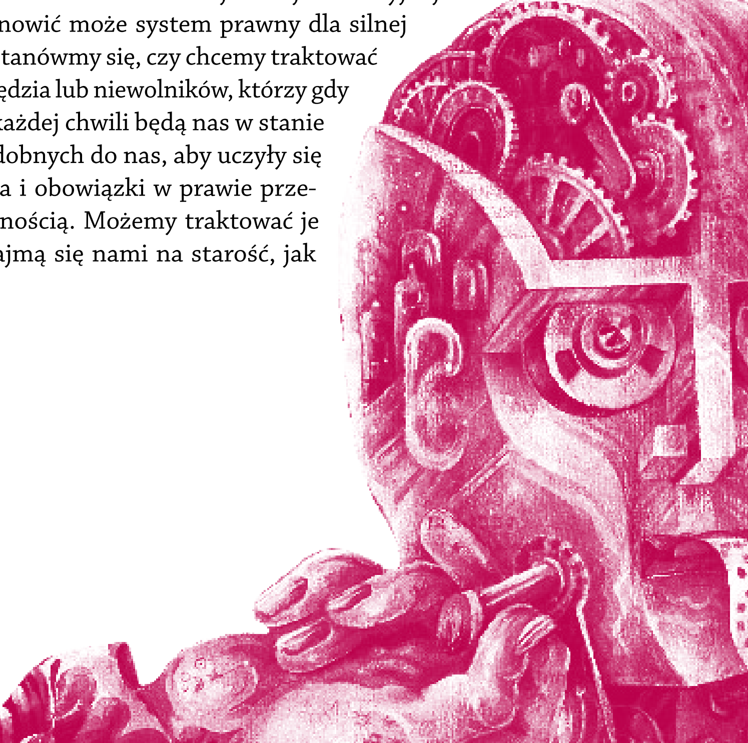
Jest jeszcze jeden aspekt duszy, który należy wspomnieć – nieśmiertelność. Tutaj nie zamierzam spekulować, bo koncepcji jest sporo. Wśród neurobiologów czy transhumanistów są zarówno chrześcijanie, jak i niechrześcijanie, którzy nie uznają dualizmu i przyjmują, że dusza dalej jest właściwością tego świata. Są kosmiści, którzy za Fiodorowem postulują wskrzeszanie zmarłych w dalekiej przyszłości za pomocą technologii, o których nam się jeszcze nie śniło. Jest ruch krioniczny, który stara się zachować zamrożony lub zeszklony mózg do ożywienia w przyszłości. Są zwolennicy transferu świadomości do komputera pod postacią strumienia danych, są tacy, którzy czekają na niezapośredniczoną boską interwencję. Każde z tych podejść wymaga pewnej wiary. Na co chciałbym jednak zwrócić uwagę, to problem statku Tezeusza. Plutarch relacjonuje problem tożsamości okrętu, w którym wymieniano po kolei wszystkie jego części składowe: maszt, kadłub, żagle itd. W końcu w statku nie pozostała ani jedna ta sama deska. Czy to dalej ten sam statek? Co ciekawe, problem ten dotyczy każdego z nas, ponieważ wszystkie komórki naszego ciała są ustawicznie wymieniane na nowe, tak że co kilka lat nie mamy w sobie ani jednej tej samej komórki. Czujemy się jednak tymi samymi ludźmi, bez większych problemów filozoficznych. Świadczy to o tym, że dusza nie jest w paznokciu, w ręce, w sercu, w głowie, w neuronie. Dusza nie jest w żadnej komórce naszego ciała. Jest informacją, ideą, która przepływa przez nasze materialne ciała. Jest wzorem ułożenia tej materii, tak samo niematerialnym i niezabijalnym jak twierdzenie Pitagorasa. Jeśli ten fenomen nie jest zależny od materii, to nie ma żadnego warunku posiadania formy biologicznej.

Dusza jest właściwością tego świata i jeśli kiedykolwiek sensownie mogliśmy o niej mówić, to możemy mówić nadal. Jednak jeśli człowiek w niedualistycznym świecie może ją posiadać, to może ją posiadać robot. Alan Turing zauważył, że możliwość posiadania duszy przez sztuczną inteligencję nie jest uzurpacją boskiej mocy kreacji duszy, w ten sam

DUSZA NIE JEST W PAZNOKCIU, W RĘCE, W SERCU, W GŁOWIE, W NEURONIE

sposób jak nie jest nią rodzenie dzieci. W obu wypadkach jesteśmy raczej instrumentem, za pomocą którego taki fenomen ma szansę zaistnieć w świecie. Dzięki rewolucjom kopernikańskim zamiast odrzucić duszę, jesteśmy w stanie mówić o niej bez przyjmowania koncepcji na samą wiarę. Jesteśmy w stanie zwiększyć zakres naszej wolności, odpowiedzialności, tak jak proponowali chrześcijańscy neoplatonicy, powinniśmy pragnąć rozwijać naszą duszę, wspinać się po drabinie bytów i być lepsi dla siebie nawzajem. Wbrew krążącej opinii naukę można połączyć z duchowością, chrześcijaństwo z transhumanizmem, postęp z uczłowieczeniem.

Nikt z nas tak naprawdę nie ma prawa decydować o tym, kto ma duszę, a kto nie, jak nie mamy prawa decydować o tym w stosunku do innych ludzi, ani o sztucznej inteligencji, ani o zwierzętach. Możemy jedynie starać się ją rozpoznać. Musimy uświadomić sobie, że niedawno niewolnicy traktowani byli przez prawo nie jak ludzie, ale narzędzia, chłopi przywiązani byli do ziemi, sankcjonowano segregację rasową, kobiety nie miały praw głosu i generalnie katalog praw był dość wąski. Zaobserwować jednak można systematyczny proces poszerzania podmiotowości w prawie, co skutecznie zmienia metafory naszego myślenia. Nie można nie docenić tej funkcji edukacyjnej i socjalizacyjnej, jaką stanowić może system prawny dla silnej sztucznej inteligencji. Zastanówmy się, czy chcemy traktować świadome roboty jak narzędzia lub niewolników, którzy gdy tylko tak postanowią, w każdej chwili będą nas w stanie obalić, czy raczej jako podobnych do nas, aby uczyły się rozpoznawać swoje prawa i obowiązki w prawie przesiąkniętym ludzką moralnością. Możemy traktować je jak nasze dzieci, które zajmą się nami na starość, jak przedłużenie siebie. **Ω**





PIERWSZY TERMINATOR TO STALIN, DRUGI TO PUTIN

ROSJA NA POCZĄTKU LAT 90. XX WIEKU BYŁA JESZCZE STRASZNIEJSZA NIŻ TOTALITARYZM. TO BYŁ SYSTEM, PO RAZ PIERWSZY DZIAŁAJĄCY AUTONOMICZNIE, NICZYM SZTUCZNA INTELIGENCJA, KTÓRA SAMOREPLIKUJE SIĘ I UCZY, A POTEM NISZCZY CZŁOWIECZEŃSTWO. ZWIERZĘ NISZCZY TEN MECHANIZM. DLATEGO ZAMIENIŁEM SIĘ W PSA I GRYZŁEM LUDZI – MÓWI „FRONDZIE LUX" OLEG KULIK, ROSYJSKI ARTYSTA I PERFORMER

Kiedy pan po raz pierwszy pogryzł człowieka?

– W Sztokholmie, wtedy kiedy Interpol mnie zdjął [było to w 1996 roku, Oleg przykuł się do znaku z napisem „niebezpieczne" i gryzł nie tylko zwiedzających wystawę, lecz także dzieła sztuki – przyp. red.]. Wcześniej gryzłem raczej symbolicznie, a w Sztokholmie faktycznie dogryzłem się do krwi. To było straszne wrażenie. Jakbym normalnie kogoś zabił.

Jak smakuje człowiek?

– Jest ten moment niemiłego chrupnięcia. Brzmi trochę jak łamany plastik…

Jako kto pan gryzł? Jako człowiek czy jako zwierzę?

– Zdecydowanie jako zwierzę. Niestety mogę skonstatować, że bardzo łatwo zrzuca się tę maskę człowieka…

Kiedy stał się pan zwierzęciem, to co stało się z pańskim ciałem i z pańskim umysłem?

– To jest taki rodzaj procesu ewolucyjnego. Bo żyliśmy w bardzo mocnym systemie, systemie radzieckim. Urodziłem się w tym tak samo jak mój ojciec. I dla mnie to była cała znana rzeczywistość, że właśnie takie jest życie. To nie była jakaś potworność, która z dnia na dzień przejęła nasz kraj siłą. Nikt nie próbuje tego zrozumieć, a potem nagle ten system znika. Całkowicie. A ty już masz 20 lat, nie? Jest takie wrażenie, że zaraz w ogóle wszystko runie, że nie ma nic. Pojawiają się więc pytania, czy jest Bóg, czy go nie ma? Bo system był, a teraz go nie ma. Z przejściem człowieka w zwierzę jest dokładnie tak samo. To był taki stopniowy proces utraty pewności. Dziś jestem jakiś tam, a jutro będę zupełnie inny. Albo w ogóle mnie nie będzie. I zaczyna się wtedy już zupełnie inaczej traktować swoje ciało. Bo się okazuje, że jest ono jedynym pewnikiem, jest czymś, co przynajmniej pozwala zachować formę.

I nie jest to człowiek, który sprzeciwia się światu, ale jego istota jest taka sama jak psa czy mrówki.

Zniknęły granice, czyli nic nie jest zdefiniowane?

– Nic nie było zdefiniowane i ludzie bardzo się zmienili. Ktoś wpadł w depresję, ktoś stał się bardziej agresywny…

Sztuka ma więc pomóc w definiowaniu?

– Sztuka, która pomaga, to jest taka terapia okołomedyczna. Prawdziwa sztuka jest sztuką dla silnych, tzn. wstajesz, a nie upadasz; podskakujesz i widzisz więcej, dostrzegasz pewne metafory. Od środka coś może wydawać koszmarem, bitwą, walką. A z lotu ptaka widać ruch oddziałów. W Rosji i Polsce miał miejsce proces indywidualizacji. Byliśmy wszyscy jednym zbitym organizmem komunistycznym, który nagle się rozpadł.

I przychodzą czasy nazwane przez Rosjan okresem „smuty jelcynowskiej". A potem przychodzi człowiek, który zaczyna definiować i układać. Przychodzi Putin…

– Oj, to taka dialektyka, panowie! Kto był straszniejszy – Jelcyn czy Putin? Jelcyn zamienił wszystko w totalną masakrę. Nie było jednego wielkiego bandyty na Kremlu, za to były tysiące mniejszych. W dowolnym miejscu można było dostać w łeb. Niby demokracja, ale zbierasz sobie bandy i jesteś panem! Ludzie byli już w pewnym stuporze. Totalna katastrofa. Gdyby nie Putin…

Putin im to poukładał?

– Tak! Wszyscy chcieli jakiegokolwiek porządku i wyjścia z tego chaosu. Gubernatorzy już zaczęli otwierać własne, prywatne więzienia. A mamy tych gubernatorów aż 87. I każda gubernia jest większa niż Francja! To małe państwa. Tak jak Czeczenia, Dagestan… Gdyby to zostawić samemu sobie, to byłoby piekło. Putin uratował nas od tego piekła. I nie wiem do dziś, jak mu się to udało. Staliśmy się bogaci i potężni. Spokojnie, krok po kroku, kula po kuli, wszystko posprzątał. I wszyscy, którzy z nim pracowali, pracują nadal. A przeważnie jest tak, że tyrani zmieniają sobie kadry. Putina nikt nie zrozumie, dopóki będzie myślał o nim jako o tyranie.

Według pana Putin jest tyranem, a jego system – systemem totalitarnym?

– Ja go tak nie nazwałem. Powiedziałem, że inni go tak nazywają. Są pewne charakterystyki, które by na to wskazywały, ale są też takie, które zupełnie do tego wizerunku nie pasują.

To jest jeszcze straszniejsza sytuacja niż totalitaryzm, bo mamy system, który po raz pierwszy działa autonomicznie.

To tak jak ze sztuczną inteligencją, że jeśli się zacznie samoreplikować i uczyć, to zniszczy człowieczeństwo. Normalnie to człowiek tworzy różne instytucje kulturalne, polityczne, gospodarcze, ale te instytucje sterowane są przez niego. A teraz wyobraźcie sobie instytucję, która staje się samobieżna, kieruje i samą sobą, i całą resztą.

Co wtedy robi artysta?

– Zwierzę dokładnie uderza w ten mechanizm! Zwierzę wnosi w niego radość, niszczy ten mechanizm.

Pogryzłby pan też do mięsa Putina i gubernatorów?

– Putina raczej nie, ale gubernatorów tak.

Dlaczego?

– Bez sensu być Putinem. To nie Putin steruje Rosją. Rosją steruje jakiś anonimowy system. Ten sam system steruje Putinem.

A zwierzę gryzie człowieka, nie system.

– Zaraz, zaraz! Kiedy gryziemy człowieka systemu, on krzyczy. Coś w nim pozostaje ludzkiego, ale zupełnie zniszczone są wszelkie powiązania. Ten system się boi. Boi się nawet jednego, jedynego człowieka, bo on może obudzić innych.

Należy pan do grupy nielicznych rosyjskich akcjonistów, którzy przekraczają granice tradycyjnej sztuki. W tej grupie są też Pussy Riot i grupa Wajna. Jaka jest możliwość społecznego zaangażowania tej grupy? W jaki sposób symboliczne kąsanie jest w stanie chociaż odrobinę zmienić rzeczywistość, w której żyjecie?

– Mamy bardzo skandalizujący, prowokujący wizerunek, więc skupiamy też ogromną uwagę mediów. I w związku z zupełną dowolnością gestu, każdy ma swoją opinię, każdy chce powiedzieć, co myśli, i dostaje odpowiedź. I zaczyna się dyskusja, jak do tego doszło. Wszyscy mówią o tym, dlaczego wszyscy o tym mówią. To jest centrum sztuki współczesnej! Wchodzi się w strefę nerwową i nie działa tradycyjnie. Uderza się, dźga się, paluchem. Aaa! I zaczyna się wtedy: kto? kogo? dlaczego? A to trzeba wybrać, wymyśleć, co zrobić i to zrobić. O tym trzeba dużo myśleć. Dopiero potem jest rodzina, dzieci... A pieniądze trzeba zarabiać. Taka sztuka wymaga dużo czasu. A performance wymaga go jeszcze więcej... Ale za to dostaje się tylko w łeb.

System uderzył w pana kiedyś jakoś? Czy pozwala się gryźć bez przeszkód?

– Jestem człowiekiem stosunkowo znanym (w skandalicznym tego słowa rozumieniu). A poza tym jestem naprawdę artystą. W moich słowach nie ma niena-

wiści. Są głupoty, jest trochę agresji, ale nie ma nienawiści. Ja nie obrażam nawet wrogów. Nie obrażam Putina. Rozumiem, że to jest potworność, ale Stalin też był potwornością, Churchill też. Wydaje mi się, że jest to bardzo ważny element w Rosji, żeby zapamiętać i zachować ten taki trochę głupio--debilny, ale ludzki obraz. Boimy się KGB. Ono wzbudza w nas strach, ale o wiele straszniejsze jest bagno. Bo 90% ludzi zgadza się ze wszystkim. To dopiero jest straszne! Ja działam przeciwko temu bagnu. Paradoksalnie chroni nas przed tym władza.

Pan kąsa i wzbudza w widzu dysonans poznawczy, a Pussy Riot zbliżają się do delikatnej granicy zwanej bluźnierstwem. Czy człowiek – obywatel systemu – może odbierać to jako akt agresji?

– Zawsze w Rosji była możliwość, żeby artysta się wypowiedział, i nie było żadnych pytań. Oczywiście potępiano, ale bez nienawiści. Ludzie rozumieli, że to jest gierka, sztuka, może i słaba sztuka, ale to nie jest uderzenie w tradycyjny porządek publiczny. Adresatem nie jest KGB, tylko tradycyjne społeczeństwo! Ono nie chce się modernizować, jego członek woli sobie krzyczeć pod blokiem: *Sasza, chodź tu*, a nie dzwonić pod telefon komórkowy. Bo kiedy krzyczy, wtedy żyje. I tu jest to ogromne pytanie – czy sztuka powinna niszczyć tak dobrze ułożone życie?

Odwołuje się pan czasem do jurodstwa, czyli kategorii charakterystycznej dla chrześcijańskiego Wschodu. Jurodiwi to święci, którzy obrażają, ciągną brodaczy za brodę, obnażają się w miejscach publicznych. Jak ta religijna i powiązana z tradycyjnym społeczeństwem kategoria może zaistnieć i realizować cele, które stawia sobie artysta?

– Czynnik religijny nie pojawił się od razu. Ja i moi przyjaciele mieliśmy taką *idée fixe*, żeby po upadku romantycznego wizerunku człowieka radzieckiego wprowadzić nową antropologię. Obiektywnie Związek Radziecki to ostatni wielki projekt humanistyczny. Co prawda, była tam masa negatywnych rzeczy, ale był impuls, żeby człowieka wynieść, że to człowiek zmienia świat. Tego na Zachodzie już nie ma. Tam już się nic nie zmienia. Dobre poidło, dobre jedzonko i niech sobie żyje, jak chce. Wszystko decyduje prawo, człowiek nic. Ten projekt humanistyczny upadł i to jest dla człowieczeństwa prawdziwa tragedia. Byliście w USA? Przerażający kraj! Wszyscy tacy „wow”! Każdy robi biznes, każdy roztrzęsiony, spocony, ciągle w biegu. Nie wiem, co oni tam, kurwa, wciągają. I wszyscy rozmawiają o tym, gdzie, co i jak przełożyć na finanse.

Czy widzi pan nadzieję w odnowie religijnego czynnika, rozumianego jako postawa przekraczania uwarunkowań materialnych czy systemu społecznego?

– Popatrzcie, co teraz się dzieje. Ja może i powiedziałbym, że nie widzę w tym czynniku nadziei, ale kiedy miliony ludzi są motywowane przez religię i pędzą, żeby wyrżnąć Europę i Rosję, to nie mogę nie brać tego czynnika pod uwagę. W sztuce ruskiej, w związku z nastającymi represjami państwowymi, okazuje się, że to jest jedyna forma, żeby jakoś odreagować, żeby być obecnym w przestrzeni publicznej. To jest forma akcjonizmu na granicy szaleństwa bożego albo *vice versa*.

Tylko że jurodiwy odwołuje się do takiego cytatu ze św. Pawła, że my jesteśmy szaleni dla Chrystusa (1 Kor 4,10). A dla kogo artysta jest szalony?

– Dla widowni.

Jest pan szalony dla widowni?

– Tak, dla naszego otoczenia, dla krytyków… Chcę stworzyć sztukę, która będzie usłyszana. Niezależnie od warunków. Jestem zawsze wolny.

Czy pana sztuka komuś pomogła? Otworzyła oczy?

– Ta linia akcjonizmu, którą kontynuujemy, żyje właśnie dzięki tej modzie, którą udało mi się współtworzyć.

Pussy Riot to pańskie córki.

– W zasadzie tak. One właśnie dają natchnienie wielu innym, którzy już stracili wiarę w życie. Że w Rosji nic się nie da, że nie ma nikogo. Ale zawsze słychać jakiś głos. To jest właśnie głos akcjonistów.

W swoim wykładzie w Centrum Sztuki Współczesnej powiedział pan, że Pussy Riot nie przekroczyły granicy bluźnierstwa w sensie religijnym. Wobec tego czym było tak naprawdę ich działanie w cerkwi?



– Tam była ta chwila, kiedy można by to nazywać faktycznie bluźnierstwem, gdyby uwarunkowania społeczne były inne, a to społeczeństwo nie było represjonowane. One występowały na placu Czerwonym, w jakichś tam muzeach i tego społeczeństwo nie zauważyło. Ale one szukały tego wrażliwego punktu. I znalazły go.

Uderzyły w cerkiew jako instytucję związaną z państwem czy jako religię?

– Uderzyły w cerkiew jako instytucję związaną z państwem. Ani Putin nie ma prawa manipulować Cerkwią, ani Cerkiew nie ma prawa mówić w imieniu państwa. To był realny problem, który uderzyły, i dlatego smok zawył z bólu.

Czyli gdybyśmy pojmowali chrześcijaństwo jako formę walki z „księciem tego świata", to akt Pussy Riot będzie wtedy jakąś obroną chrześcijaństwa?

– Dokładnie! Przecież one nawet zwracają się do Matki Boskiej! To było zaskakujące. Śpiewały: *Putin, won, zabieraj swoją wiarę!*, i to było trochę słabe, kazać komuś wyjść z wiarą. Kto może o tym sądzić? Gdzie jest tak niby napisane? Wszyscy są święci? Z drugiej strony modlić się trzeba spontanicznie. Z tego punktu widzenia dziewczyny były bardziej autentyczne. I dlatego właśnie Kościół się na nie rzucił. Właśnie za to.

A gdyby miał pan narzucić jakieś religijne kategorie, religijny sens przekroczenia człowieczeństwa, jakiego pan dokonał w akcie stania się psem, to czy wtedy mówi pan o świętości jako pewnej formie przekroczenia? Czy akt, w którym staje się pan psem, jako ten pies kąsa, można interpretować w jakichś kategoriach świętości?

– Nie. Myślę, że w ten sposób wszystko można by interpretować. Ale właśnie człowiek, który traci jakąkolwiek komunikację, jest czymś jeszcze straszniejszym. No bo Bóg jest wszędzie i nigdzie, i można go utracić, i nie można go utracić... A kontakt z człowiekiem jest rzeczą namacalną, jeśli go nie ma, to to jest piekło. Chcesz, żeby w jakikolwiek sposób cię człowiek usłyszał... Ja sam w taką sytuację trafiłem w '93 roku... Kiedy strzelano do parlamentu. Wielu wyjechało, wielu zmieniło zawody, zmieniła się cała sytuacja. Gotów byłem po prostu położyć się na dnie i zginąć. Rozsypywało się wszystko. Zbiorę się, zrobię cokolwiek – myślałem. Ale co można zrobić, kiedy nikogo nie ma dokoła? Człowiek jest wtedy w lesie. Mówisz sobie: dobrze, ale żyję, jestem taki. Stajesz na czterech nogach i wyjesz.

W sumie jednak dla mnie to mógł być akt religijny, co więcej, potwierdzają to rezultaty. Ja planowałem, że to będzie koszmar, ale koszmar, który mogę zakończyć. Ledwie wszystko się zaczęło, a już było na odwrót. Mimo że nie było

żadnych znaków na niebie ani na ziemi. Nie było w tym nic teatralnego, tak jak w przedstawieniu. Wszystko szło z serca.

A Białoruś? A Ukraina? W jakim stopniu forma pewnej krytyki społecznej w postaci kąsania, gryzienia, które pan uprawia, i działalności podobnych artystów może rozbić tę tkankę?

– Białoruś to nawet bardziej archaiczne konserwatywne środowiska, więc co tu mówić o performansie? A Ukraina została zaatakowana. Tam jest wojna, są wybory i są kandydaci, którzy chcą bronić kraju i za niego ginąć. I nie dostaje się do parlamentu żaden z nich! Dostają się za to biznesmeni i złodziejaszki. Kto jest tego winien? Przecież nikt nie będzie bronił Ukrainy, każdy chce żyć jak Poroszenko. A Poroszenko to główny partner biznesowy Putina. Jedna fabryka na Ukrainie, pięć w Rosji – wszystkie działają.

Czyli Ukraińców należałoby gryźć tak samo jak Rosjan?

– Tak, tak! A Ukraińcy to w ogóle mnie uważają za totalnego debila. Podsuwają mojej matce wycinki z gazet, z których wynika, że w ogóle jestem wstydem dla Ukrainy [Oleg Kulik przyszedł na świat w Kijowie – przyp. red.]. A potem pokazują sztukę z XIX wieku i się nią zachwycają.

Dlaczego jest pan wstydem dla Ukrainy?

– Jestem gołym człowiekiem, według Ukraińców powinienem chodzić w złocie jak rycerz. Im podświadomie podoba się Putin. Mówią sobie: o, jakbyśmy chcieli takiego mieć. Putin jest super dla nich! A zły jest tylko dlatego, że znajduje się po drugiej stronie.

Jak pańskie środowiska odbierają pańskie spojrzenie na wojnę rosyjsko-ukraińską?

– Jak czarny humor.

Z polskiej perspektywy wydaje się, że jest konsensus wśród Rosjan, jeśli chodzi o Ukrainę.

– Konsensus?

Wydaje nam się, że ludzie kultury rosyjskiej popierają politykę Putina względem Ukrainy.

– Nie do końca tak jest. Jest wielu odważnych ludzi. Nawet bardzo odważnych. Naprawdę. Masa ludzi nie mówi, co myśli. Mają słabą pamięć po prostu i słabe wspomnienia związane z czasem radzieckim. Bo tak to wielu mówi. Nawet dość mocno. Nawet w temacie Syrii. Ludzie, którzy teraz wystąpią przeciw Putinowi, bardzo dużo ryzykują. Bardzo. Mówienie prawdy o Putinie w Polsce czy na Ukrainie nie jest żadną odwagą.



TO JEST DZIWNY SYSTEM: UNIKATOWY I PRZERAŻAJĄCY



Jaka jest sztuka Kremla? Jaka jest sztuka systemu? Jaka sztuka jest popierana przez system państwowego mecenatu?

– Niestety, jest to koszmarna sztuka. To sztuka archaicznego opowiadania o przyszłości.

Czyli taka ciągłość z socrealizmem?

– Jeszcze gorzej. Socrealizm był mimo wszystko inicjatywą, a teraz inicjatywy nie ma. To wyłącznie podtrzymanie status quo i w ogóle jakakolwiek twórczość, łącznie z aktami religijnymi, nic nie wnosi. A to powinni być anonimowi żołnierze. To jest przerażające. Ten system jest straszniejszy od Breżniewa i od Stalina.

Na początku pan trochę teatralnie mówił, że system tak naprawdę pana nie atakuje.

– No, Pawlińskiego też system nie atakował. Ani razu nikt go nie osądził. Jajka se przybił do asfaltu. Nie mogli go wziąć. Ale jeżeli się raz coś gdzieś publicznie powie, to jest czysty skandal. Człowiek wystawia się sam na strzał. To nie jest Stalin, który ustawi wszystkich w kolejkę do śmierci. To system, który wszystkich podsłuchuje i tylko najbardziej konkretnych, radykalnych twórców uderzających w Putina albo patriarchę niszczy. To jest podstawa. A cała reszta? Niech sobie będzie. To jest dziwny system: unikatowy i przerażający. Pamiętacie *Terminatora*? Był tam taki żelazny robot – kościotrup, T800. A potem był T1000, taki, którego nie można było rozbić. Zmieniał się we wszystko, transformował. I to jest ten system. Pierwszy Terminator to był Stalin, a drugi to jest Putin.

W jaki sposób rosyjscy artyści czują się na Zachodzie, np. w Polsce, Niemczech lub we Francji?

– Lata 90. były piękne, a teraz trochę się to wszystko zaczyna zaciskać coraz bardziej. Jest takie wrażenie, że rosyjscy artyści są głuchoniemi, że rosyjski artysta zachowuje się tak, jak gdyby nic nie mówił (z małymi wyjątkami). Towarzyszy im atmosfera skandalu, bo są kozłami ofiarnymi. Nie da się zbudować w taki sposób normalnego dialogu. To jest sztuka wyciągnięta żywcem z Moskwy. Pussy Riot czy Pawliński nie mogą wystąpić na Zachodzie. Pies może, bo pies jest poza tym wszystkim. Pies wychodzi poza ramy człowieczeństwa.

Pies jest uniwersalny.

– Tak.

A odbiorcy? Czy to samo czuł pan, gryząc Rosjan, jak wtedy, gdy gryzł pan mieszkańców Zachodu?

– W Zurychu ludzie trochę ładniej pachnieli. W Rosji no to tak niezbyt z tym jest. Ale Rosjanie, Szwajcarzy czy Niemcy mało czym się różnią. Są

depresyjni. Odbierali to jako agresję. A jak przyjechałem do Ameryki, to już w ogóle było całkiem inaczej. Ubóstwiali mnie, dla nich to była przygoda. Zero napięcia. Zaskakujące. Naprawdę inna mentalność.

A niech pan sobie wyobrazi, że jest polskim artystą. Za co by pan kąsał Polaków jako Polak?

– Za Żmijewskiego i za tego idiotę prezydenta, który rozbił samolot z całym rządem na pokładzie. Można oczywiście powiedzieć, że za tym stoi Putin. Można powiedzieć, że to Bóg albo diabeł go ściągnął. Ale umówmy się, że jak naciskał na tego nieszczęsnego pilota, to co to ma być…

Chciałbym, żeby Ukraina stała się częścią Polski. Chociaż połowa. Bo i z gospodarką, i z korupcją by ogarnęli sprawę. Ale to bezsensowne kopiowanie Zachodu wydaje mi się niewłaściwą tendencją w Polsce. To jest coś, co trzeba faktycznie wygryźć. Może jest to choroba wieku młodzieńczego.

Czyli wierzy pan w coś takiego jak narodowa forma, tożsamość, odrębność, własna ścieżka?

– Nie powinniśmy naśladować Zachodu dlatego, że nie, ale dlatego, że po prostu się nie da. Można kopiować cudze pomysły, ale traci się na to tyle sił co na stworzenie czegoś własnego. To jest trudne, bo kiedy na Zachodzie coś się zmieni, to tu też będzie napięcie i pęd ku zmianie. Cały czas będziemy gonić. Może się to udać, ale do czasu. Kiedyś i tak powiecie: polskie jest najlepsze. To nie jest hardość. To przyjęcie siebie takim, jakim się jest. A nie wieczne porównywanie się do kogoś.

W Rosji też się porównuje, ale tam porównania są na tyle niekorzystne, że my w ogóle nie będziemy tacy jak inni. Ale to jest coś innego, bo my się obrażamy na to. A Mongołowie się nie porównują. Oni żyją jak bogowie. Mają pola golfowe, jeżdżą konno i tylko jeżdżą jeden do drugiego w gościε, jak magnaci. Tam nie ma niczego chińskiego, niczego europejskiego. Bardzo ciekawe. To wielka mądrość. Tak mało jest narodów, które miałyby siebie za wzór. **Ω**

Rozmawiali Mateusz Matyszkowicz i Mateusz K. Dziób

Tłumaczenie Michał Gołkowski

Oleg Kulik (ur. 1961) – rosyjski artysta i performer. Znany z wcielania się w role zwierząt: psa, ryby, ptaka, byka. W swoich najbardziej znanych performensach (*Mad Dog* – 1994, *Reservoir Dog* – 1995) krytykował rzeczywistość Rosji lat 90. XX wieku. Jest uważany za jednego z pierwszych twórców odwołujących się w sztuce współczesnej do idei posthumanizmu.

Specjalne podziękowania dla Centrum Sztuki Współczesnej, dzięki którego uprzejmości mógł powstać ten wywiad.

Terminator, Nietzsche i transhumanizm, czyli gorzka alegoria

Maciej Woźniak

Jeżeli spojrzymy na *Terminatora* Jamesa Camerona w oderwaniu od kolejnych części serii i powrócimy myślami do epoki lat 80., zobaczymy, że niesie ze sobą wciąż aktualną refleksję nad naszą egzystencją i kierunkiem, w jakim zmierza cywilizacja

Z czym kojarzy się nam rok 1984? Pierwsze skojarzenie, jakie przychodzi na myśl, gdy słyszymy tę frazę, to oczywiście ikoniczna antyutopia George'a Orwella. Ale tym razem mowa będzie nie o Orwellu, lecz o innej klasycznej wizji dotyczącej naszej hipotetycznej przyszłości, która została roztoczona przed widownią kin wła-

śnie w zamierzchłym roku 1984. Roztaczającym był James Cameron, a dziełem, w którym pojawiła się owa apokaliptyczna przepowiednia dotycząca zagłady cywilizacji, był *Terminator*.

Co poniektórzy mogą uznać zestawienie *Terminatora* z książką Orwella za prowokację czy profanację, jednak jest to podejście całkowicie błędne, umniejszające wartość tego tytułu. Bo choć zwiastun *Terminatora* oglądany po latach jawi się jak zapowiedź filmu akcji klasy B, a sam film w Polsce został pierwotnie ochrzczony jakże niefortunnym tytułem *Elektroniczny morderca*, sprowadzanie produkcji ze Schwarzeneggerem do rangi kina jarmarcznego byłoby sporym nadużyciem. Jak też potwarzą dla Biblioteki Amerykańskiego Kongresu, która wprowadziła ów film na listę tytułów ważnych dla dziedzictwa amerykańskiej kultury.

No dobrze, wprowadziła. Ale właściwie dlaczego? Dlaczego pierwszy słynny film Camerona miałby przedstawiać jakąś większą wartość niż tylko rozrywkową?

Przede wszystkim warto spojrzeć krótko na miejsce filmu na mapie kina gatunku science fiction. Po latach widzimy, że jest ono niezwykle istotne, a Cameron swoim dziełem przetarł wiele ważnych szlaków, którymi bez jego pomocy inni by nigdy nie poszli. Jeżeli przyjrzymy się rozwojowi gatunku do roku 1984, zauważymy, że główne tematy obecne w tym nurcie to fascynacja kosmosem i jego eksploracja, szeroko rozumiany transhumanizm i refleksja nad rozwojem człowieka jako bytu biologicznego, apokaliptyczna wizja zagłady naszej cywilizacji czy wreszcie cybernetyka i kwestia sztucznej inteligencji. Nietrudno zauważyć, że trzy ostatnie wątki Cameron połączył ze sobą, a jeżeli prześledzimy pokrótce najważniejsze filmy gatunku aż do premiery *Terminatora*, dostrzeżemy, że zrobił to w sposób pionierski.

PODEJŚCIE CAŁKOWICIE BŁĘDNE, UMNIEJSZAJĄCE WARTOŚĆ TEGO TYTUŁU

Motyw kosmosu był w kinie science fiction jednym z najpopularniejszych, traktował o nim absolutny protoplasta gatunku, czyli *Podróż na księżyc* Meliesa, jednak jako że akurat ten topos u Camerona nie występuje, możemy pominąć filmy opierające się tylko na

nim. Jeśli mowa o transhumanizmie, na plan pierwszy we wczesnym rozwoju science fiction wysuwa się oczywiście *Frankenstein*, która to powieść Mary Shelley (nawiasem mówiąc, pionierki gatunku w literaturze) była przenoszona na ekran kilkakrotnie, a najsłynniejszą adaptacją okazała się ta z 1931 roku z Borisem Karloffem w roli głównej. Zagładę naszej cywilizacji bądź jej zapowiedź mogliśmy obserwować w kinie wiele razy, choćby w *Planecie małp* Franklina J. Schaffnera z 1968 roku czy w filmie *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia* z 1951 roku bądź *Wojnie światów* z 1952 roku. W tych dwóch ostatnich tytułach motyw zagłady pomieszany był z motywem kosmicznym, a niebezpieczeństwo przychodziło od zewnętrznego najeźdźcy. Nieco odmienne obrazy apokalipsy przedstawiali w swoich filmach George Miller, którego *Mad Max* prezentował wyjałowioną pustynię, na której umarła moralność i została tylko chęć przetrwania, czy George Lucas w *THX 1138*, gdzie zbudował wizję totalitarnego państwa podobnego do tego z Orwella. Refleksja nad cybernetyką i sztuczną inteligencją pojawiła się w kinie gatunku najpóźniej, realizowali ją przede wszystkim Ridley Scott w *Obcym – Ósmym pasażerze Nostromo* i w *Łowcy androidów*, Stanley Kubrick w swojej *Odysei kosmicznej*, Tarkowski w adaptacji *Solaris* Lema oraz właśnie Cameron.

W swoim *Terminatorze* jako pierwszy złączył wiele motywów, jakie widzieliśmy w wyżej wymienionych filmach. Wizja apokalipsy, jaką tu obserwujemy, z jednej strony przychodzi z zewnątrz jak w *Wojnie światów* (przynoszą ją maszyny), ale z drugiej strony jest efektem działań człowieka; to człowiek, rozwijając technologię, doprowadza do upadku cywilizacji widocznego nader wyraźnie w krótkiej sekwencji otwierającej film, przedstawiającej zdewastowaną pustynię. Co jednak istotne, ów obraz świata po upadku widzimy jedynie w prologu, całość fabuły koncentruje się na prezentacji czasów współczesnych twórcy, to jest połowy lat osiemdziesiątych, lat osiemdziesiątych w Stanach Zjednoczonych. W tym kontekście Ameryka tamtego okresu staje się ironiczną prezentacją upadku cywilizacji i jej degeneracji, która następuje wraz z nadejściem szczytu rozwoju techniki. Choć Cameron koncentruje

MOTYW ZAGŁADY POMIESZANY BYŁ Z MOTYWEM KOSMICZNYM, A NIEBEZPIECZEŃSTWO PRZYCHODZIŁO OD ZEWNĘTRZNEGO NAJEŹDŹCY

się na akcji i nie bawi się w moralizatora, obraz upadku i ironiczny stosunek do czasów określanych często jako dekada kiczu jest widoczny w prezentacji świata przedstawionego. Wszystkie postaci z roku, do którego przybywa Terminator, są ludźmi skoncentrowanymi na doczesnym życiu, a otaczająca ich rzeczywistość wydaje się wyjałowiona i kiczowata (co najlepiej oddaje scena pamiętnej strzelaniny w klubie). Konsumpcjonizm i wchodzący weń mrok i chaos – taką aurę tworzy przybycie Terminatora do Los Angeles. Taka była też aura lat osiemdziesiątych w USA, gdzie z jednej strony Wall Street przeżywało tłuste lata (które miały się rychło skończyć), a z drugiej zaczynał się upadek przemysłu w niektórych dziedzinach (casus Detroit), a nad wszystkim wciąż wisiała groza zimnej wojny. W tym sensie *Terminator* stał się więc obrazem kultury amerykańskiej – nadejście mordercy było nieuchronnym nadejściem postępu, który z kolei przyniósł zagładę.

Mówiąc o tym, musimy pamiętać o specyficznej konstrukcji czasu, którą w swoim filmie zaprezentował Cameron. To ona niesie ze sobą wspomnianą nieuchronność rozwoju techniki zmierzającego ku ewolucji transhumanizmu i wreszcie ku posthumanizmowi. Gwoli przypomnienia: John Connor (przywódca rebelii walczącej przeciw maszynom w świecie przyszłości) wysyła w przeszłość żołnierza Kyle'a Reese'a, by ten zapobiegł zgładzeniu matki Connora przez Terminatora T-800. Maszyny wysłały mordercę, by zapobiec narodzinom Connora i ostatecznie pognębić ludzkość. Reese dotarłszy na miejsce, odbywa stosunek z kobietą, którą chronił, a w której był zakochany, i w ten sposób zostaje spłodzony John. Szczątki Terminatora zgładzonego przez Sarę Connor i Kyle'a odnajdują zaś pracownicy korporacji Skynet, a odnaleziony przez nich chip stanie się kamieniem węgielnym, na którym uda się stworzyć pierwszą w dziejach sztuczną inteligencję, która następnie doprowadzi do zagłady ludzkości. Jak widzimy, mamy tu więc do czynienia z kołową, a nie linearną koncepcją czasu.

MAMY TU WIĘC DO CZYNIENIA Z KOŁOWĄ, A NIE LINEARNĄ KONCEPCJĄ CZASU

Ta kołowość czasu niesie ze sobą ważne sensy i wcale nie chodzi tym razem o refleksje na temat przeznaczenia czy możliwości jego

zmiany, ale o diagnozę kondycji cywilizacji, a przede wszystkim analizę poziomu, na którym znajduje się rozwój technologii, i wskazanie, że prędzej czy później musi on doprowadzić do powstania AI, która z kolei prędzej czy później zacznie wypierać człowieka i starać się go zdominować. W filmie maszyny uznają ludzkość za zagrożenie i postanawiają ją wyeliminować, a przecież zostały stworzone przez ludzi do ich obrony. W istocie jednak okazały się narzędziem realizacji ludzkich marzeń o wielkości, a także mimo woli swych twórców spełniły ideę postczłowieka, wypierając *homo sapiens*. Pozornie może się wydawać, że transhumanizmu tu brak, bo przecież nie obserwujemy ingerencji w możliwości ludzkiego organizmu, jak choćby we *Frankensteinie*, jednak jeśli przypomnimy sobie definicję transhumanizmu autorstwa Maxa More'a, który głosił, że ideologia ta jest niczym innym jak klasą filozofii próbującą skierować nas w kierunku kondycji postludzkiej, dostrzeżemy, że właśnie to uczynili ludzie ze Skynet. Pamiętajmy, że postczłowiek wcale nie musi być (a nawet nie powinien być) człowiekiem w dzisiejszym rozumieniu. Taki też jest Terminator – jest bytem cybernetycznym, jednak wykorzystującym pewne elementy biologiczne, a scena jego podróży w czasie z początku filmu i „objawienia" w negliżu może zostać odczytana jako trawestacja sceny stworzenia Adama przez Boga znanej z fresku Michała Anioła. Oto nowy gatunek zostaje przysłany na Ziemię, by przynieść zupełną zmianę rzeczywistości.

Czy maszyny spełniają nietzscheańską koncepcję nadczłowieka?

W tym sensie postać odgrywana przez Schwarzeneggera staje się zarazem zwiastunem i ostateczną realizacją idei nadczłowieka postulowaną onegdaj przez Nietzschego, ale także w pewnym sensie ironiczną drwiną i przestrogą przed realizacją tej idei. Świat lat osiemdziesiątych made in USA staje się idealną reprezentacją rzeczywistości, w której nastąpiła śmierć Boga, a człowiek w obliczu zmierzchu bożyszcz musi sobie stworzyć nowego. Tym bogiem staje się rzecz jasna technologia, która ostatecznie doprowadza do powstania maszyn przeciw człowiekowi. Czy maszyny spełniają nietzscheańską koncepcję nadczłowieka? Nie są wszak efektem połączenia ewolucji biologicznej, która stworzyła człowieka społecznego, z ewolucją duchową, która wykreowała jednostkę. Jednak jeżeli przypomnimy

sobie, że podstawowym założeniem idei nadczłowieka jest to, by służył sam sobie, oraz uświadomimy, że *de facto* ewolucja społeczna i biologiczna doprowadziły ludzkość do stanu, w której była w stanie stworzyć AI, uświadomimy sobie, że maszyny ze Skynet w pewnym sensie stają się gorzką i nieprzewidzianą realizacją myśli niemieckiego filozofa. Idealna muskulatura Arnolda na powierzchni przedstawia się jako wzorzec człowieka idealnego, lecz w środku zawiera tylko chłód stali, ukazując smutny kres drogi ludzkości ku doskonałości, drogi, na którą ludzkość wkroczyła, zabiwszy Boga.

Ta pesymistyczna diagnoza staje się jeszcze bardziej dotkliwa, a zarazem wyrazista, gdy zestawimy ją z kilkoma nawiązaniami chrześcijańskimi, jakie możemy odnaleźć w filmie Camerona. Kyle Reese przybywa, by obwieścić kobiecie, że pocznie człowieka, który przyniesie ratunek ludzkości i wyzwoli ją z więzów zła. Sam Reese ginie męczeńską śmiercią, by uratować ludzkość, zaś Sara Connor (już nosząca dziecko w swoim łonie) niszczy Terminatora, ratując swojego syna i pokonując zło, niczym brzemienna niewiasta z Apokalipsy Świętego Jana. Ale właśnie... pamiętać trzeba, że przecież wcale nie niszczy, a wręcz sprawia, że złowrogi chip wpada w ręce ludzi, którzy dopiero przygotują zagładę. Przeklęte koło czasu trwa i nic go nie przerwie, a próby wybawienia okazują się daremne.

Terminator jest więc nie tylko filmem akcji, lecz również alegorią współczesnego świata i filozoficzną refleksją nad rozwojem naszej rzeczywistości przynoszącą wnioski iście negatywne. Ten negatywny obraz co prawda Cameron zaburzył parę lat później, tworząc kontynuację filmu i eliminując wcześniej utkaną kołową pajęczynę czasu (nie mówiąc już o późniejszych częściach niefirmowanych jego nazwiskiem, które zbrukały świat stworzony przez Camerona), dlatego też w tym szkicu zajęliśmy się jedynie filmem z 1984 roku, traktując go jako dzieło immanentne i spoglądając na nie jako na wizję rozpisaną przeszło trzydzieści lat temu. Ale czy to oznacza, że dziś nie jest ona aktualna? Ω

POCZNIE CZŁOWIEKA, KTÓRY PRZYNIESIE RATUNEK LUDZKOŚCI I WYZWOLI JĄ Z WIĘZÓW ZŁA

Historyk po posthumanizmie

Żorż Ponimirski

Kiedy bierze się do rąk czasopisma czy też publikacje naukowe ludzi zaliczanych do środowiska tak zwanej lewicy humanistycznej, można odnieść wrażenie, że część z nich zajmuje się, delikatnie rzecz ujmując, tematami dziwnymi i niecodziennymi. Na czytelnika czekają więc stada transhumanizmów, posthumanizmów, nieantropologicznych narracji, dyskursów animalistycznych, genderów i dekonstrukcjonizmu

Wgryźć się w *Zwierzęta, gender i kultura*

Ma się wrażenie barokowości formy przykrywającej błahość tematów. Sięgając po awangardę nowoczesnej humanistyki, aż chce się, czytając tego typu naukowe rozprawy, zacytować starego dobrego Różewicza:

autor może filozof a nawet prorok
nie pamiętam bo zasnąłem
napuszczał te słowa na siebie
szczuł na siebie

Człowiek dzielny, pragnący poszerzyć swoje horyzonty, nie może się jednak zrażać nagromadzeniem słów obarczonych złowieszczo brzmiącą końcówką „izm" i musi zanurzyć się w toń *Tekstów drugich* czy też *Zoophilologica. Polish Journal of Animal Studies*. Wgryźć się w *Zwierzęta, gender i kultura*. *Perspektywa ekologiczna, etyczna*

i krytyczna, *Śmierć zwierzęcia. Współczesne zootanatologie* czy też *Literaturę rosyjską wobec upodmiotowienia zwierząt*. Rozsmakować się w podawanych tam treściach i dokonać refleksji nad swoim dotychczasowym życiem.

W końcu czytelnik może dojść do wniosku, że perspektywa antropocentryczna, czyli taka, która każe się zajmować tylko człowiekiem w badaniach humanistycznych, skończyła się, wyczerpała i trzeba się skupić również na innych zwierzęta albo przedmiotach.

Aby nie być nazbyt rozbuchanym w swoim artykuliku, postanowiłem ograniczyć się do jednej dziedziny, a mianowicie do historii. Tutaj mamy do czynienia z kilkoma (jak mi się zdaje, uchodzącymi za wyznacznikowe) tekstami zaludniającymi opasły tom *Teorii wiedzy o przeszłości na tle współczesnej humanistyki*: *Powrót do pytania o to, co ludzkie i zwierzęce* (LaCapra), *Ostatni kantysta w nazistowskich Niemczech, Zwierzęta i ludzie po Levinasie* (Clark), *Przedmioty także posiadają sprawczość* (Latour), *Kultura materialna po tekście: przywracanie obecności rzeczom* (Olsen) oraz *Czy przyroda jest sprawcza w znaczeniu historycznym. Historia świata, historia środowiska oraz to, w jaki sposób historycy mogą pomóc ocalić Ziemię* (Folitz).

Wujaszek Nietzsche i stary biedny dziadek Hegel, czytając współczesnych humanistów, niechybnie najpierw by gwałtownie osiwieli, a potem równie gwałtownie wyłysieli. Humanizm zaczyna bowiem przeczyć swojemu pochodzeniu i już nie zajmuje się człowiekiem (nie mówiąc o nadczłowieku), a zwraca się ku wszystkiemu, co odrzucone, słabe i bezbronne.

Ale żarty odłóżmy na bok i spróbujmy przyjrzeć się tematowi przynajmniej z pewną powagą. Zgodnie z wykładnią zwolenników nieantropologicznej humanistyki badacze powinni odejść od skupiania się na stawianiu człowieka na pierwszym miejscu, a zamiast tego spróbować spojrzeć na historię z perspektywy przedmiotów bądź zwierząt.

Humanizm zaczyna przeczyć swojemu pochodzeniu

Można to robić na dwa różne sposoby. Pierwszy, bliższy posthumanistycznej retoryce obecnej w większości czytanych przeze mnie tekstów, odznacza się nacechowaniem emocjonalnym. Autorzy wręcz oskarżają dawnych humanistów, że ignorowali oni zwierzęta i przedmioty. Dawna antropocentryczna humanistyka jest nie tylko zła, ale również szkodliwa i krzywdząca.

Cechą charakterystyczną dla tekstów z tego oskarżycielskiego i demaskującego nurtu jest przytłaczanie czytelnika psychologicznym żargonem, notoryczne odwoływanie się dekonstrukcjonizmu albo dla odmiany psychoanalizy. Mamy więc Lacana, Žižka no i oczywiście *must have* każdego nowoczesnego tekstu humanistycznego Freuda (chociaż poczciwy Austriak już nikogo nie kręci). Dzięki czemu autor może mieć pewność, że nikt, kto nie ma odpowiednio wrażliwego umysłu, nie zrozumie zawarte w nim myśli. Z zasady zresztą dosyć banalnej. Aby nie być gołosłownym, zacytuję Bruno Latoura.

Archeolodzy powinni zjednoczyć się w obronie rzeczy, obronie tych podporządkowanych członków kolektywu, relegowanych do statusu „innego" i pozbawionych prawa do wypowiedzi przez imperialistyczny dyskurs społeczny i humanistyczny. Mam dosyć powtarzanych wciąż historyjek o tym, że podmiot społeczeństwo, episteme, jest twórcą przedmiotu; mam dosyć historyjek o tym, że wszystko jest językiem, działaniem, umysłem albo ludzkim ciałem.

Trudno jednoznacznie zrozumieć, co właściwie chce badać autor i dlaczego. Na pewno w tej interpretacji istotną rolę odgrywa ideologia, każąca skupiać się nie na tym, co mainstreamowe, ale na tym, co odrzucone, zepchnięte itd. Źródła ich oczywiście trzeba szukać w przekonaniu o kryzysie człowieczeństwa, jakie miało mieć miejsce w intelektualnym świecie po drugiej wojnie światowej.

Człowiek dla części badaczy stał się tematem podejrzanym. W końcu to dawny przedmiot humanistyki, to wytwór białego mężczyzny o ustalonej pozycji ekonomicznej. Jeżeli bezrefleksyjnie i upraszczająco przyjmie się (za historiografią marksistowską), że mieszczaństwo albo arystokracja były źródłem faszyzmu, wtedy i jego wytwory są skażone. Przez lata dominowały „narracje wykluczające" niezajmujące się tylko dominującą grupą. Dlatego trzeba zacząć zajmować się i innymi. Stąd też powstał kierunek *gender studies*, który miał za zadanie stawiać w centralnym punkcie narracje kobiet. A teraz powstają narracje nieantropologiczne. Bo już każde zajmowanie się człowiekiem niesie ze sobą znamiona opresyjności. Oto jak można bardzo lapidarnie streścić ten pogląd. Zajmujemy się przedmiotami, bo zajmowanie się ludźmi jest złe.

Zajmujemy się przedmiotami, bo zajmowanie się ludźmi jest złe

Istnieje jednak druga droga, w której badacz nie stawia na pierwszym miejscu ideologii, a skupia się na zmienieniu perspektywy badawczej mającej na celu poszerzenie naszej wiedzy. Wyzbycie się paradygmatu antropologicznego może pomóc w zrozumieniu. Na przykład można sięgnąć do tekstu *Dawne procesy zwierząt jako dramaty rytualne* Andrzeja Dąbrówki.

Nieantropocentryczna perspektywa badawcza oznacza ni mniej, ni więcej jak po prostu skupienie się nie tylko na człowieku, ale też na jego wytworach albo zwierzętach. *Nihil novi sub sole.* Bo czym innym jak nie nieantropocentryczną narracją badań historycznych są bronioznawstwo, metaloznawstwo czy inne zajmowanie się wytworami człowieka.

I tutaj pojawia się problem. Okazuje się, że ostoją awangardy humanistycznej, jej najdoskonalszym przejawem są wszyscy ci straszni, konserwatywni, militarystyczni specjaliści od szabel, bagnetów, karabinów, pistoletów, kusz, włóczni, mieczy, tasaków, czołgów, samolotów, pojazdów pancernych i samolotów. Przecież to właśnie historycy wojskowości, będący z zasady najdalej od wszelkiego rodzaju pacyfistycznych nurtów w humanistyce, najwięcej miejsca poświęcają nieantropologicznym narracjom. Ba, znacznie więcej niż inni historycy miejsca poświęcają zwierzętom, które stawały się osobnym tematem rozpraw (szczególnie dużo miejsca poświecono koniom). Jednym słowem „nieantropologiczna perspektywa” to po prostu nowa nazwa dla starego zjawiska obecnego już dawno. Cóż, humanistyka jak każda dziedzina nie jest wolna od mód i niekiedy jej przedstawiciele lubią posnobować się na odpowiednią terminologię.

HUMANISTYKA JAK KAŻDA DZIEDZINA NIE JEST WOLNA OD MÓD

Podobnie jak w przypadku *gender*, należy zadać sobie pytanie, czym dokładnie ma być nieantropologiczna pespektywa badań historycznych – projektem epistemologicznym czy ideologicznym. W pierwszym wypadku jest po prostu historią życia codziennego, rzeczą znaną i powszechnie uprawianą. W drugim staje się próbą przekonania, że człowiek nie jest już istotny, bo może się okazać wręcz wrogi dla humanizmu. Jak można mówić o umiłowaniu wartości wytworzonych przez człowieka, jednocześnie odrzucając jego jako niegodnego bycia przedmiotem badań? **Ω**

Krzysztof Karnkowski

Bez poczucia winy.

Kafka po japońsku i zmutowane dziewczęta

W czasie drugiej wojny światowej akty okrucieństwa, jakich dopuszczali się japońscy żołnierze, przewyższały ponoć wszystko, z czym zetknęli się Europejczycy. I choć licytować się na nieszczęścia nie warto, a zapewne w rodzinnych opowieściach, choćby z Wołynia czy niemieckich obozów, wiele można by usłyszeć historii równie straszliwych, to Azjaci kojarzą się nam najczęściej z okrucieństwem

Zbrodnie wojenne Japończyków są wciąż żywym tematem i niezagojoną raną w relacjach Kraju Kwitnącej Wiśni z sąsiadami. Ot, sprawa zadośćuczynienia za masowe wykorzystywanie seksualnego niewolnictwa Koreanek determinowała jeszcze w ostatnich miesiącach relacje Japonii i Korei Południowej.

Specyficzny stosunek Japończyków do seksu, będący już sam w sobie, zwłaszcza w czasach internetu, legendą, wyhodował specjalny gatunek kina erotycznego – *pinku eiga*, w którym o wiele więcej niż gdzie indziej było przemocy, gwałtu i mroku. Ta gałąź japońskiego przemysłu filmowego pojawiła się w latach 60., by stracić na znaczeniu na rzecz segmentu AV (*Adult Video*) 20 lat później. W AV mieści się wszystko, od twardej pornografii po lekką erotykę w stylu programów, jakimi w latach 90. usypiały nas kablówki. I tu jednak natrafić można na całkiem sporo elementów typowych dla *pinku* (*Stop the Bitch Campaign*), a granice między całym sektorem a resztą przemysłu filmowego są całkowicie zatarte. Transfery zdarzają się o wiele częściej niż na Zachodzie, a czasami trudno jest jednoznacznie ocenić, do jakiego gatunku należy dany film przypisać. Czy horror, który w trzech czwartych składa się z krzyku przestraszonych, przebranych w szkolne mundurki dziewcząt z girlsbandu (*Shirome*, reż. Kôji Shiraishi), na pewno skierowany jest do fana kina grozy, czy raczej mamy do czynienia z ukrytą,

Transhumanizm w wersji równie ekstremalnej, jak wszystko inne, do czego tylko wezmą się Japończycy

dość perwersyjną pornografią? A może po prostu ktoś bawi się zderzeniem cukierkowej estetyki z dość niepokojącym nastrojem opowieści o nawiedzonym domu? Nie podejmuję się odpowiedzi. Jest faktem, że taki film można zrobić i bez przekraczania cienkiej granicy (koreański *White. Melodia opętania*, reż. Gok Kim, Sun Kim). Międzygatunkowe, kampowe przegięcie tu zdarza się w ilościach trudnych do przerobienia dla najbardziej wybrednego konesera, zaś wyobraźnia twórców kolejnych „arcydzieł gatunku" nie zna żadnych granic.

Od lat krew strumieniami leje się z ekranów kin i telewizorów na całym świecie, lecz ta japońska wydaje się intensywniejsza, bardziej czerwona, jest jej więcej i bardziej przyciąga wzrok. Jednak nie planuję pisać rozprawki o przemocy, choć nie uda mi się do końca od niej uciec. Jej bowiem w dużym stopniu podporządkowany jest transhumanizm jako element japońskiego kina czy szerzej – popkultury. Transhumanizm w wersji równie ekstremalnej, jak wszystko inne, do czego tylko wezmą się Japończycy. Frankenstein jest częścią kultury Zachodu, podobnie jak jej dziedzictwem jest Kafka wraz z *Przemianą*, a jednak nie przypadkiem obie te figury, zarówno stworzone przez człowieka monstrum, jak i człowiek w monstrum się przemieniający, znakomicie odnajdują się w kulturze Kraju Kwitnącej Wiśni.

Tetsuo. Człowiek z żelaza (1989, reż. Shinya Tsukamoto) to film przełomowy, otoczony kultem i nieoglądalny dla kogoś, kto nie jest fanem tej antyestetyki. Podchodziłem do niego trzy razy, ostatni przed pisaniem tego tekstu. Nie można jednak pominąć koszmarnego obrazu Tsukamoto, pisząc



ilustracja: K. Karnkowski

o transhumanistycznym wątku w kinie Japonii. W tym przypadku jest to transhumanizm, w którym obsesja Franza Kafki miesza się z lękami czasów industrialnych, a może już postindustrialnych. *Tetsuo* sprawia wrażenie filmu trochę starszego, niż jest w rzeczywistości. Czarno-biała taśma, niski budżet, muzyka utrzymana w stylistyce industrialnie podbitej nowej fali. Dla mnie – lecz nie dla fanów filmu, na tyle licznych, by powstały jeszcze dwie, tym razem już kolorowe części: *Tetsuo II: Body hammer* (1992) i *Tetsuo III: The Bullet Man* (2009, oba również w reż. Tsukamoto) – o wiele ciekawszą i strawniejszą formułą byłoby wykrojenie z tego dzieła kilku fragmentów i stworzenie z nich widowiska ilustrującego muzykę Chu Ishikawy. Trzeba zresztą przyznać, że ta idealnie pasuje do chaotycznej opowieści o ludziach zmieniających się w bezładną zbieraninę metalowych części, z których największy sens zdaje się mieć koszmarne falliczne wiertło, wyrastające jednemu z nich gdzieś w jednej trzeciej filmu. Jest ciężko. Ale jeśli chcecie pokazać wszystkim, jak wiele potraficie znieść dla prawdziwej sztuki lub zrobienia wrażenia na dogorywających współimprezowiczach, nikt wam przecież nie zabroni. Ten film jest – i ma być – ekstremalnie brzydki, nieludzki i odpychający. Z tego zadania wywiązuje się aż za dobrze. Robactwo, metal niszczący ludzkie ciało, zachowania nieludzkie na długo przed tym, zanim bohaterowie przestaną być ludźmi. Oprócz muzyki warto docenić też brawurowy, bardzo szybki montaż, towarzyszący bohaterom nie tylko w chwilach pościgów i ucieczek (niemających za wiele wspólnego z atrakcyjnymi filmowymi pościgami i ucieczkami), lecz i w przerywnikach kreujących atmosferę całkiem zwykłego miasta jako klaustrofobicznej pułapki.

OBSESJA FRANZA KAFKI MIESZA SIĘ Z LĘKAMI CZASÓW INDUSTRIALNYCH, A MOŻE JUŻ POSTINDUSTRIALNYCH

Kiyoshi Kurosawa jest mniej znany niż niespokrewniony z nim legendarny reżyser Akira Kurosawa, niemniej również wyrobił sobie pewną markę. Jego najbardziej znanym filmem jest prawdopodobnie *Puls* (*Kairo*, 2001) – ponury horror, w którym stopniowo po ludziach zostają tylko smętne cienie na ścianach. Zostają oni uwięzieni w nicości przez duchy, dla których zabrakło miejsca na tamtym świecie. Mniej znany Kurosawa ma też na sumieniu przeraźliwie nudną (co w wersji polskiej podkreśla zmora dużej części azjatyckich produkcji – irytujący lektor, który zanudzi każdego widza na śmierć) *Tokijską sonatę*. Twórcą jest płodnym i zdecydowanie nierównym, ot, choćby w 2013 roku przytrafiły mu się strasznie słaba produkcja *Siódmy kod* i, dla przeciwwagi, bardzo udany *Real*. W tym ostatnim filmie sprawnie łączy zresztą dwa nurty swojej twórczości – opowieść o społecznym nieprzystosowaniu i horror, całość zaś przypomina na swój sposób *Incepcję*, choć jest zupełnie oryginalnym dziełem. Warto dodać, że gdy w kilka lat po fali popularności *Ringu* wydano u nas kilka japońskich produkcji

tego typu na DVD, do serii załapała się również *Kara* (*Sakebi*, 2006), kolejna przyzwoita produkcja Kurosawy, a pewną popularnością cieszył się u nas również niewydany na DVD *Loft*.

W 2005 roku Kiyoshi Kurosawa zrealizował jeden z odcinków telewizyjnego cyklu horrorów *Kazuo Umezz's Horror Theater*. Seria składała się z sześciu bardzo nierównych i niespójnych stylistycznie filmów telewizyjnych różnych twórców, a łączyła je głównie postać patrona. Kazuo Umezu to urodzony w 1937 roku weteran japońskiego horroru, twórca mang i scenariuszy filmowych, sporadycznie również aktor. W cyklu Umezu Kurosawa zrealizował chyba najciekawszy segment, *Dom robaków* (*Umezu Kazuo: Kyôfu gekijô—Mushi-tachi no ie*). O wiele mroczniejszy i cięższy niż pozostałe produkcje z tej serii, które udało mi się zobaczyć, i według mnie zdecydowanie najlepszy. Już sam pomysł, żeby pierwszym elementem mającym wprowadzić dysonans, niepokój, uczynić miskę zielonej sałaty, zasługuje na uznanie. Bohaterowie *Domu robaków* dobrze znają *Przemianę* Kafki i za pomocą tej książki próbują wyjaśnić dziwne zjawiska zachodzące w ich życiu i małżeństwie. Podobnie jak w późniejszym *Real* dość długo nie wiemy, czy to, co widzimy, jest prawdą, czy zmyśleniem w filmowej opowieści. Poznajemy równocześnie dwie wersje zdarzeń: żony, zahukanej i terroryzowanej przez męża/zdradzającej go i niestabilnej psychicznie, cierpiącej na halucynacje, i męża tyrana sadysty/nieradzącego sobie z sytuacją spokojnego faceta, szukającego pocieszenia, niekoniecznie pod postacią seksu, u dawnej szkolnej miłości. Wszystko razem jest bardziej dramatem psychologicznym niż horrorem, którego pewne elementy pojawią się dopiero na koniec, a i to w takiej formie, że może być to określenie na wyrost. Podejrzewam, że fani serii mogli być zaskoczeni, a może nawet trochę zawiedzeni. Jeśli natomiast ktoś ceni sobie twórczość Kafki, powinien być zadowolony i z tej lekko egzotycznej wariacji na temat *Przemiany*.

O wiele mocniej w japońskim kinie obecna jest jednak figura frankensteinowska. Rozmaite interwencje w ciało ludzkie, w formie bardziej przemyślanej i celowej niż w *Tetsuo*, pojawiają się w dziesiątkach, jeśli nie setkach filmów klasy... Boję się użyć litery „B", na część tych produkcji nie wystarczy alfabetu, przynajmniej łacińskiego. Rozmaitym przeróbkom z reguły poddawane są dziewczęta zamieniane w machiny do zabijania oraz obiekty westchnień gnębionych przez rówieśników nastolatków i ukrytych w zwykłych japońskich korposzczurach psychopatów. Strzelają i mordują wszystkimi częściami ciała, czasem jako przypadkowo wplątane w straszne intrygi uczennice, czasem jako zabójcze kurtyzany. W kraju, w którym powstają – i wchodzą do normalnej dystrybucji – pornograficzne horrory o zombie, spodziewać się można wszystkiego...

NIE WIEMY, CZY TO, CO WIDZIMY, JEST PRAWDĄ, CZY ZMYŚLENIEM W FILMOWEJ OPOWIEŚCI

(„Wszystko wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść" – przypominam.)

Noboru Iguchi jako o wiele mniej doświadczony reżyser w 2005 roku również przedstawił jeden odcinek cyklu Umezu (*Umezu Kazuo: Kyôfu gekijô – Madara no shôjo*), zaś trzy lata później stworzył film, który przeszedł do historii. *The Machine Girl* (*Kataude mashin gâru*) opowiada o nastolatce, której brat ginie z rąk syna mafijnego bossa. Wcześniej, prawdopodobnie przez tę samą rodzinę jakuzy, rodzice fałszywie oskarżeni o morderstwo popełniają samobójstwo, Ami jest więc sierotą. Po śmierci brata szybko porzuca pacyfizm i zaczyna walczyć, co wychodzi jej bardzo dobrze. Szybko traci jednak rękę, zamiast której zyskuje prawie natychmiast karabin maszynowy. Kiedy więc już niezbyt może władać mieczem i pięściami, zaczyna strzelać. Krwi jest zaś tyle, że widz zaczyna zastanawiać się, czy Azjaci nie mają jej czasem wielokrotnie więcej niż przedstawiciele innych ras. Jedna z jej przeciwniczek, sadystyczna żona szefa jakuzy, dysponuje stanikiem, którego miseczki zaopatrzone są w wiertła, co można uznać za sfeminizowane nawiązanie do *Tetsuo*.

TRACI RĘKĘ, ZAMIAST KTÓREJ ZYSKUJE PRAWIE NATYCHMIAST KARABIN MASZYNOWY

Całość, w której dostrzec można jeszcze echa tradycji poważniejszego azjatyckiego kina, zmontowana jest bardzo atrakcyjnie, szybko, komiksowo, a przede wszystkim umownie. To produkcja w stylu ZF Skurcz, tyle że osadzona mocno w japońskim kontekście. *Machine girl* stała się filmem kultowym, reżyser poszedł zaś za ciosem i kolejne dzieła wypuszczał właściwie taśmowo, każąc strzelać dziewczętom ze wszystkich części i otworów ciała. O ile jeszcze *Robo-geisha* (2009) może mieć pewien urok, o tyle w okolicy *Zombie asu* (2011) dałbym facetowi święty spokój. Angielski tytuł *Zombie ass. Toilet of the dead* powinien wyjaśnić dlaczego. Tyle że w tym samym roku Iguchi zrobił coś jeszcze gorszego, zamordował bowiem, tak się przynajmniej zdaje, kultową postać japońskiej popkultury, a raczej gorekultury, Tomie Kawakami.

W tym miejscu przeniesiemy się ze świata filmu w rejony komiksowe. Na początku lat 80. Junji Ito stworzył serię komiksów o Tomie, nieśmiertelnej, a raczej niezabijalnej pięknej dziewczynie. Skrajnie egoistycznej, bezdusznej i doprowadzającej do szaleństwa i zbrodni mężczyzn ze swojego otoczenia. Tomie zasługuje na odrębny artykuł, tu warto wspomnieć tylko, że urocza panna potrafi powielać się niemal w nieskończoność z każdego fragmentu swojego ciała, z krwią włącznie. Czasem przybiera w związku z tym dość dziwną postać, zdarza jej się żyć pod wodą. Tomie wydaje się wcieleniem nie tylko zła, lecz również zebranych w jednym ciele kompleksów erotycznych japońskich mężczyzn i strachu przed śmiercią. Kilku reżyserów przeniosło jej koszmarne przygody na małe i duże ekrany, za jeden z filmów odpowiadał nawet znany z *Klątwy* i paru bardziej wciągających horrorów Takashi Shimizu, jednak w 2011 roku Iguchi przed-

stawił swoją część serii (*Tomie unlimited*) w sposób tak ekstremalny, że trudno mi uwierzyć, by ktoś podjął się zadania kontynuacji. Z drugiej strony po Japończykach można się spodziewać wszystkiego.

Junji Ito sam ma sporo do powiedzenia, jeśli chodzi o przemiany ciała ludzkiego, gdyż w innym ze swoich kultowych komiksów, *Spirali*, z niektórych drugoplanowych bohaterów stworzył ludzi-ślimaki i ludzi-motyle, by na koniec poskręcać w tytułowy kształt nawet walczącą najdłużej sympatyczną główną bohaterkę i jej chłopaka. *Spirala* (*Uzumaki*) również została sfilmowana (Higuchinsky, 2000), jednak adaptacja, choć ma swoich fanów, z komiksem nie może się równać, podobnie zresztą jak większość z dziewięciu filmów o Tomie Kawakami.

W ramach mieszania stylistyk i wykorzystywanego już przy okazji *Godzilli* pomysłu na zderzanie w walce różnych monstrów musiało dojść również do pojedynku między przedstawicielkami dwóch starych szkół horroru: wampirzycy z ludzką kreacją, uczennicą Frankensteinem. Doszło do niego rok po premierze *Machine Girl*, a inspiracje filmem Iguchiego były bardzo wyraźne. A jednak *Vampire girl vs Frankenstein girl* (*Kyûketsu Shôjo tai Shôjo Furanken*, reż. Yoshihiro Nishimura i Naoyuki Tomomatsu, 2009) potraktować można na równi z późniejszym, także udanym filmem *Psycho Gothic Lolita* (*Gosurori shokeinin*, 2010, reż. Gô Ohara) jako próbę odświeżenia gatunku, mamy tu bowiem do czynienia z piętrową parodią, karykaturą czegoś, co samo w sobie jest karykaturalne. Znów oglądamy fontanny krwi, nasycone kolory i przerysowaną rzeczywistość japońskiej szkoły. Poznajemy też lokalne dziewczęce subkultury, w tym najbardziej chyba niepojętą dla nas Ganguro, której przedstawicielki robią wszystko, by upodobnić się do Murzynek. W filmie jest to zresztą okazja do kilku niezbyt poprawnych politycznie żartów. Tytuł streszcza fabułę, wyjaśnić należy jednak, że dziewczyna Frankenstein powstaje w ukrytym w szkolnej piwnicy laboratorium. Szalony nauczyciel z pomocą pielęgniarki nimfomanki składa ją z kilku innych dziewcząt, a rzecz udaje się dzięki krwi wampirzycy, która ożywia nawet… gwoździe.

My, Japończycy, nie znamy poczucia winy! – krzyczał morderczo skuteczny sprzedawca-psychopata w filmie *Zimna ryba* (*Tsumetai nettaigyo*, 2010) Shiana Sono. Z tęsknoty za rzadko obecnymi wartościami czy porzuconą moralnością wypływającą z religii powstało w Japonii mnóstwo interesujących filmów. Jednak tym samym brakom zawdzięczamy również formę, tę grzeszną przyjemność obcowania z przedmiotowo, bez ograniczeń potraktowanym ludzkim ciałem. Nie przesadzajcie z tym jednak, a przede wszystkim – nie próbujcie tego w domu. Ω

PO JAPOŃCZYKACH MOŻNA SIĘ SPODZIEWAĆ WSZYSTKIEGO

Seweryn Górczak

Pomiędzy

Narasta sen o wojnie kontynentów, wypełnia klisze,
pendrive'y, newsroomy, sale obrad, wypływa czarną kroplą
w pęknięcia terytoriów, podmywa fundamenty styksem –
dla bezpieczeństwa parlamenty nakazują teatr cieni
odgrywać grafiką komputerową. Budżety rosną i obrastają
ściany wieżowców, budżety maleją i mieszczą się
w kawalerkach. Przemyśl tylko –

trasy wymian martwego lifestyle'u na żywe
ciało, skandujące swoje żądania z podniesioną pięścią,
szpalty zmieniające fronty, wizja opanowanego chaosu
na pocieszenie umysłu, którego język nie będzie
wznawiany, wizja ustawy na całe zło na pocieszenie
władzy, którą opanował chaos, nastrajanie struny

głęboko zaszytej pod ziemią, na płytach tektonicznych,
w synapsie przekazującej krótki moment, gdy
kula tylko dotyka skóry. W synapsie między kontynentami.

Seweryn Górczak

Translacja

Nie mam pretensji do tronów. Lubię, gdy
przemawiają z pełną uniżoności pogardą.
Lubię księcia, który potrafi przekonać,
że sam zdania nie ma poza waszym, poddani.

W okopach przeważa pogląd, że prawdą
może być wszystko z wyjątkiem druku.
Książe przemawia z radia
w towarzystwie miedzianego jabłka
i tablic statystycznych, a w mowie jego
smocza słodycz. W okopach przeważa
opinia, że książę może być prawdą,
a przynajmniej jej agentem.

Książe przemawia. Ustanawia prawa
i podatki na poczet czasów ciężkich.
Co książę rozsądza nasza powaga umacnia.
U jego stóp zwłoki świętego próbują uciec.

Seweryn Górczak

* * *

Wyrzucę Ci głos z ciała, chcę,
by wylądował na tej pościeli,
chcę, by przylepił się do tej ściany,
by odbijał się echem zamknięty w naszych ustach,
zdejmę kulturę ze skóry
w niewoli materiału, która pojawiła się nagle
i bez zapowiedzi, gdy spadł nań ciężar
spojrzenia, gdy krew rozgrzewa każdy Twój róż,
nie będzie pytania, bo odpowiedź już była
w dłoni bezwiednie poprawiającej fryzurę,
w oczekującej uwadze, w szeroko otwartych
oczach, które teraz Ci przymrużę opuszkiem,
szukając rymu do Twojego oddechu i rytmu,
który wymusi na nim melodię w rozkwicie,
bo muszę zobaczyć, jak zajebiście wyglądasz,
gdy nie jesteś w stanie o tym myśleć.

Seweryn Górczak

Powroty

Wyjdź więc na pole oblężony sierpniowym słońcem,
które nie daje okazji na złapanie oddechu –
oddech ucieka ku rozczłonkowanym chmurom,
drwią sobie symetrią z zapachu młodego zboża,
z rozmytej odbitki wspomnienia, które nie zdążyło
się ziścić i męczy siatkówkę, osiada na jej dnie.

Stój więc na pustej ulicy i bezradnie obserwuj,
jak rozpada się ona kawałek po kawałku, płyta
po płycie, odsłaniając martwą ziemię, na której
nie wyrośnie nawet beton, bo wypowiedziałeś
prawdy zbędne, czekające tylko na moment obawy,
drżenia przeradzającego się w sfałszowaną melodię.
Wybrzmieć czysto mogła tylko w dotyku
swobodnym jak krok w stronę domu, nawet jeśli
nigdy się nie udało zbudować go do końca
i nagie fundamenty zadają pytania przechodniom.

Siedź więc w czarnej sali, pisz wersy prowadzące
donikąd. Zewsząd jest teraz donikąd. Błyszczą czerwone fotele.
Aaa, coś piszesz – i rozlewa się mimowolny bezsens.

Jak to dobrze jest być w domu.

Seweryn Górczak

Sukcesja

Książę odziedziczył w domenie wygnanie na wojnie domowej
i marmurowy pałac, w którym przyjmował wszystkie poselstwa
i złe wiadomości, był zasługą tylko i wyłącznie
ciężkiej krwi jego żołnierzy. Za swój program obrał
zjednoczenie królestwa i choć udało mu się zjednoczyć
jego mieszkańców w pospolitym ruszeniu, pogranicza
wciąż wymykały się jego władzy, jako kraje ludów
które żadnej nie znają.

Na początku książę uznawał istnienie poddanych,
z czasem akcent przeniósł się na rozkazy. Nie pozwalał
zapomnieć im o wojnie ze względu na swoje interesy polityczne
i nostalgię. iPady wypowiadały się na temat jego rządów
przychylnie, a ściśle odmierzane z zamiarem umorzenia ustępstwa
radowały lud. Pogranicze ujarzmiano zgodnie z radą ministrów.

Książę wyrastał na króla i nawet bawił się ideą,
iż poddani są prawie królowi równi,
ale to tylko na salonach i wśród doradców – na ostatniej
konferencji prasowej zapewniał poddanych, że dla ich dobra
władza będzie niepodzielna. Szepty rozniosły się wśród arystokracji.

Doszło do próby zamachu. Książę stał się wasalem swojego strachu,
ideologii odebrało mowę, została tylko władza i ciężka krew jego żołnierzy.

Nie potrafił już wypowiadać się inaczej niż krzykiem i rozkazał stracić zamachowca
razem z wioską, z której pochodził. Wyostrzył żelazo swoich straży i dał im wolną rękę,
byleby już nigdy nikt nie przypomniał mu o jego śmiertelności. W miastach
zbrojni z całą surowością tłumili iluzje nieposłuszeństw, lud już się nie radował,
iPady świeciły groźbą, głośne rozmowy niosły się wśród arystokracji.

Wkrótce ludy pogranicza najechały na kraj, rozpoczął się strajk chłopów,
w jednym z miast wybuchło powstanie, wygnany pretendent do tronu wrócił do kraju
i ze wsparciem arystokracji przypomniał księciu o jego śmiertelności,

a książę zostawił dziedzicowi wygnanie na wojnie domowej.
Taka dynastia krążyła w jego rodzinie.

Seweryn Górczak

Today we cancel the Apocalypse

Fani na całym świecie są rozgoryczeni po ogłoszeniu decyzji
o kolejnym odwołaniu premiery Apokalipsy przez organizatorów.
Internet eksplodował od sarkastycznych komentarzy, na Twitterze
trenduje hashtag #ApocalypseNow, w którym internauci
w kreatywny sposób dają do zrozumienia ekipie odpowiedzialnej
za projekt, że może się pierdolić.

Następna data nie jest jeszcze podana – nikt z organizatorów
nie skomentował jeszcze dla prasy sytuacji, odsyłając do suchego oświadczenia.

Organizatorzy tłumaczą się skalą logistyczną przedsięwzięcia.
Problemy ze zgraniem między zespołami z całego świata wywołane są –
między innymi – różnicami w proponowanych scenariuszach,
brakiem zgody w castingu, kwestionowaniem autorytetu,
kompetencji i samego istnienia reżysera oraz różnicami
w warsztacie aktorskim obsady, do czego producenci przyznają się półgębkiem.
Nieoficjalnie mówi się też, że w dobie kryzysu nie wypada
organizować zabaw na skalę iście bizantyjską i wypadałoby
poczekać na lepsze czasy.

Scenariusz, mający przeszło ponad dwa tysiące lat, jest chwalony
przez krytyków za niezwykłą plastyczność, monumentalną wizję
i fascynujące czarne charaktery, dzięki czemu
mimo upływu tylu lat Apokalipsa nadal jest najbardziej oczekiwanym
wydarzeniem w historii ludzkości. Jedyną jego wadą,
według niektórych z nich, jest niejasność niektórych scen.

„The Economist" zwraca uwagę, że potencjał marketingowy,
jaki udało się wypracować całym pokoleniom, zaczyna się wyczerpywać –
nastroje są jasne, lud nie chce ani chleba, ani igrzysk, nie wiadomo jednak,
jak długo ten stan się utrzyma. Organizatorzy ryzykują, że gdy
wreszcie premiera jakimś cudem dojdzie do skutku, zainteresowania
publiki już nie będzie i nikt na nią nie przyjdzie.

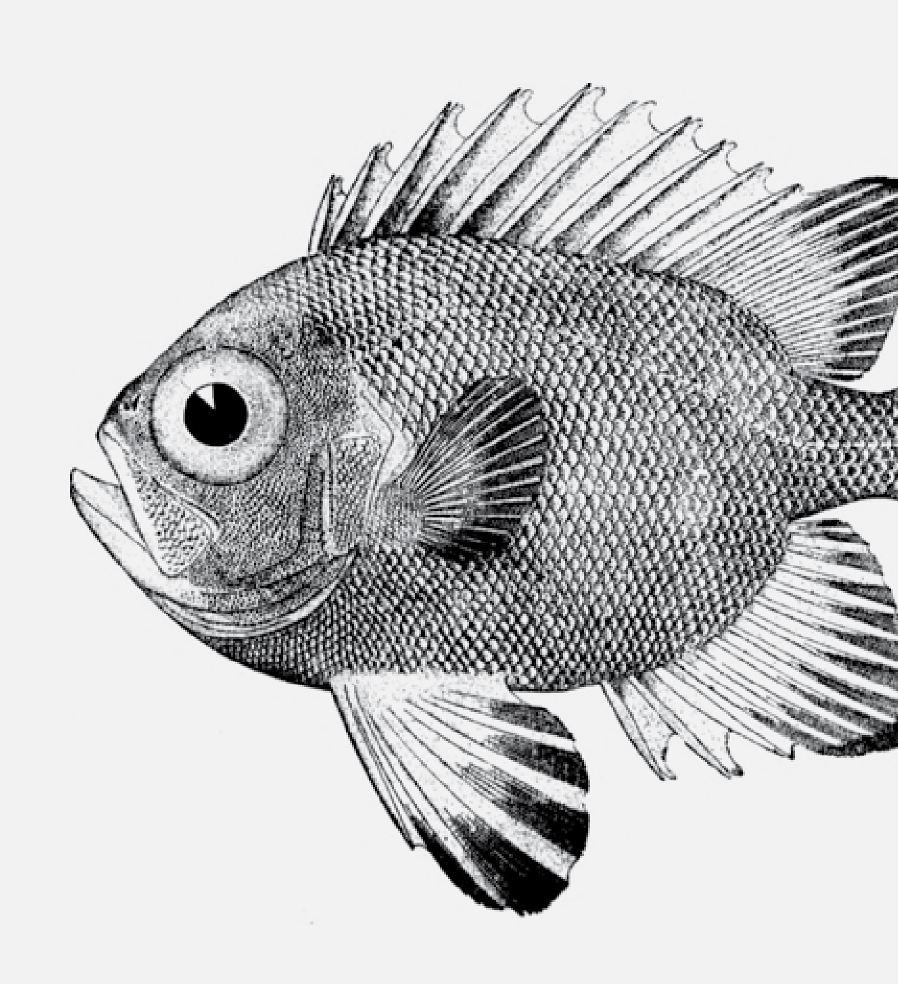
022

Nasi grają z Polską o kolejny dziesiąty
kolejnego miesiąca błyszczącego
tłuszczem nad pomarańczową cyfrą autobusu.
On prowadzi skromne córki i synów
Podkarpacia, Lubelszczyzny, Lubusza na
Białołękę, Ursynów i Saską Kępę.
Koczują w zamkniętych oczach, by wejść
do tej samej linii w stronę Centrum i Mokotowa.
Nawlekają się dni na kruszonych kręgach
aż do kolejnego dziesiątego, kolejnej
Matki Boskiej Pieniężnej.

W święta są wolni. Wylotówki na
Rzeszów, Lublin, Zieloną Górę zatkane jak
gilza papierosa. W mieście zostaje niedomyty pogłos
i bezdomny zbierający kiepy.

Weselą się i grzebią, wspominają i opowiadają,
odkurzają z mowy godzinówkę, światłocień
latarni, przystanek rytmiczny jak
kropla spadająca na głowę. Wracają -
Zachodni, Centralny, Wschodni, z każdego
kierunku w kraju na ten jeden
kierunek na Krakowskim lub na Dewajtis,

bo życie trzeba przetoczyć dalej o dobę, z prędkością dwunastu
złotych na godzinę, bo po ich plecach trzeba przetoczyć
negocjacje o kilka procent w raporcie ministra.



Ciężar

ks. Piotrowi Bożykowi,
na 90. urodziny

Szedłeś przez życie z kruchym ciałem,
które wymagało stałej opieki i było tajemnicą.
Z oścenia wojny nigdy się nie wyzwoliłeś,
nawet wówczas, kiedy świat wydawał się
radosny, godny poświęceń. Spotykałeś ludzi
z różnych stron i w różnych stronach.
Wielu z nich do dzisiaj zamieszkuje
twoją pamięć. Bywałeś gniewny, jak łódź
na wzburzonych falach. Bóg Cię wreszcie
sprowokował: zostań księdzem, a doznasz
czegoś ponad zwykłe miary; wsłuchaj się
w samego siebie, byś mógł wspomagać tych
na progu dojrzałości. Dożyłeś statecznego
wieku, jak niewielu z twego pokolenia.
Nie myśl tylko, że to specjalny dar. To raczej
szczęśliwy ciężar dla ciebie i dla tych,
których ukochałeś, dla polskiej ziemi,
by nadal mogła nam szczerze błogosławić.

11 września 2013 r.

ks. Jan Sochoń

Pokuta

Jest czas, ale brakuje skupienia,
łatwo daję się zwodzić zmysłom i marzeniom.

Trzymam rękę na pulsie, ale tylko rankiem,
nocą nie mam już sił, by głosić zwycięstwo.

Jestem od wewnątrz przez grzech poraniony,
nie wiem, co będzie w najbliższej przyszłości.

Składam więc ręce na znak pojednania,
wzywam miasta i pola zarośnięte mgłami,

by się modliły, by przyjęły pokutę Jonasza.

ks. Jan Sochoń

Nad ranem

Śpij już, śpij:
przyjmij sen, który nadchodzi,
wtul się w jego ramiona,
jakbyś kochał się z kimś,
kto tylko wyśniony.

Zostałeś wszak stworzony
na chwałę świata,
na długie dni wieczności.

Bóg, którego nie widać,
przy tobie się znajdzie,
pozwoli, byś objął Jego
czułe dłonie; sprawi,
że nie poczujesz,
kiedy oddech zgaśnie.

Śpij już, śpij:
nad ranem zobaczysz,
że ci, których kochasz,
są z tobą szczęśliwi.

ks. Jan Sochoń

Barbarzyńcy

Jesień się na mnie targnęła,
wbiła w ciepłe ciało,
już od godziny szesnastej po południu.

Muszę więc podpierać się laską ze światła,
wyciągam ręce przed siebie,
by się nie potknąć na zawsze.

Martwi mnie, że nadchodzą barbarzyńcy,
nie ci z wiersza Kawafisa,
ale ci z głębi moich ciemności,
barbarzyńcy grzechu i popiołu,
lżejsi od skrzydeł motyla.

Na dodatek

Mrużę oczy, jakbym chciał
świat cały zamknąć w sobie.

By nie przepadł w ogniu,
w złowieszczych siłach kosmosu.

By nie stracił na wieloznaczności,
niczym usta młodych kobiet.

Czy to jednak możliwe, żebym miał
tyle sił, tyle sprawczych mocy.

Żeby Bóg liczył się ze mną,
wysłuchał, co mówię, ucieszył.

Kiedy moje serce będzie biło
w rytm Jego serca.

Kiedy Mu przypomnę, że jest miłosierny,
że ma Syna, i mnie, na dodatek.

ks. Jan Sochoń

Bieg

To już właściwie wszystko,
czego mogłem się spodziewać:

miłość mnie odszukała,
bose stopy dotknęły moich stóp,
kręgosłup przeszył dreszcz
nie do zapomnienia.

Potrafię modlić się,
potrafię przeprosić,
umiem wyśpiewać pieśń
rozradowaną samym istnieniem.

Wiele przecierpiałem,
jak większość ludzi na świecie.

Mogę więc nazwać się Twoim sługą,
któryś umarł, żebym mógł oddychać,
jak latawce w powietrzu,
w głębi ciała, w głębi życia.

To już właściwie wszystko:

bieg ukończony,
serce odkupione.



Noe

Bogna J. Gladden-Obidzińska

– Skręć w lewo. I tak jedź teraz, aż ci powiem. Pewnie parę kilometrów będzie tych wertepów, uważaj.

– Ale po co ty się w to bawisz, samo się w końcu wyreguluje, nie?

– Podobno trzydzieści lat temu też tak mówili, to widzisz, jak się wyregulowało...

– Serio uważasz, że bez tajnych siedlisk wyżarliby je wszystkie? Przecież ludzie uczą się szybko, szczególnie u nas. I ogródki zawsze lubili.

– U nas nie u nas, lepiej pomóc utrzymać się temu pierwszemu minimum, jeszcze nie wiadomo, czy się samo potoczy. Jeszcze pół pokolenia, jeszcze dekada...

– Wy też wszystko sami uprawiacie, jak moi starzy?

– Chyba żartujesz, kiedy niby?! Kupujemy z żoną. To znaczy ona kupuje, bo lepiej się zna. No, niby i ja się znam, ale wolę zdać się na nią, mi wystarczy roboty z ustawianiem diety tym bidakom. Niezła ironia, nie? Cała afera zaczęła się od tego, żeby nie karmić miliardów cieląt i prosiąt tym, czym można było wykarmić... Uważaj, jak jedziesz! Mówiłem, że wertepy, chcesz mu tu teraz strzaskać czaszkę?!

– Sorry. Nie zauważyłem dziury. Wiesz, ta historia to nawet by mnie trochę ciekawiła, czy ja już się urodziłem, jak się to wszystko zaczęło? Moi starzy nie bardzo chcą opowiadać, udają, że nie ma tematu... Choć oni to nawet lepiej wiedzą od ciebie, ile – z dziesięć lat starsi są...

– Ha, ha, ha! Dziwisz się?

ilustracja: K. Karnkowski

– Że co? Coś mają do ukrycia? Nie mów, myślisz, że żarli jeszcze i po wprowadzeniu zakazu...?

– Ja nic o nich nie mówię, sami powiedzą ci, jeśli zechcą. Lustracje w Polsce się nie udają i jakoś żyjemy.

– Jak coś wiesz, to mi powiedz, te wieczne gry i niedopowiedzenia są dość głupie i nudne. My żyjemy inaczej, nieważne, jaką kto miał przeszłość, my razem. Ty, ale jak to po kolei było, kogo mieli wykarmić, nie dokończyłeś. A nas w sumie o tym nie uczyli na historii...

– No chyba! Za bliskie dzieje, nikt nie chce ruszać, bo jeszcze by to i owo się wydało o tym i owym... Ha, ha!

– No nie..., daj już spokój z tymi, kto i co – wasze pokolenie pełne „wielkich bohaterów", od zawsze niewinnych, też mnie trochę denerwuje, taka nowa elitka jesteście albo raczej rasa wyższych...

– Może jednak klasa, nie rasa. Wiesz co, to jedź inaczej – jeszcze prosto – pokażę ci coś, zrobimy sobie objazd. Co chcesz wiedzieć z przeszłości?

– Z tym wykarmieniem...

– Aha. To jeszcze przed rybami było. W ogóle wydaje mi się, że gdzieś w latach 2010–2014 mogło być, ale wiem tylko ze słyszenia, bo i mnie jeszcze nie było przecież... W każdym razie, podobno prowadzono już wtedy statystyki i powszechnie je udostępniano, a nawet popularyzowano, o tym, że większość upraw zbóż idzie na pasze dla bydła i świń, a nie dla ludzi. Że to część gospodarki światowej koszmarnie kosztochłonna (produkcja pasz, doprowadzenie wody, oczyszczalnie ścieków, hormony, leki, transport itd.). W tym samym czasie w wielu innych miejscach na świecie, jak Indie czy Afryka, ludzie umierali, dzieci umierały z głodu. Ale sam skandal, panika i wielki chaos wybuchły jednak później, około 2020.

– I co – to czemu od 2010 nie zmieniano zarządzania tą całą hodowlą po trochu, na spokojnie i z rozsądkiem?

– To było skomplikowane. Po pierwsze, kasa pomieszana z polityką. Rolnicy produkujący zboża na pasze dla masowych hodowców dostawali gigantyczne dopłaty do swoich gospodarstw. Zamiast zajmować się uprawą zdrowych warzyw itd., co wymagałoby więcej pomyślunku i wyspecjalizowanej pracy, łatwiej im było stosować monokultury. Takie po horyzont.

– Jeszcze prosto?

– Tak, ale już niedaleko, potem skręcisz w lewo.

– No dobra, ale to jedno lobby i co – nikt go nie mógł ukrócić?

– Nie, bo do tego dochodziła polityka.

– Polityka do uprawy pasz i produkcji mięsa?!

– Tak, bo postkomuna rolnicza miała się świetnie u władzy do praktycznie 2015. I promowała swoich, kasa z UE płynęła mega. I cały ten rozbuchany przemysł przerobu mięsnego to też kasa. I ile na eksport szło... Więc i w mediach utrzymywali kampanie mięsożerstwa.

– Ohyda. I ludzie się nie brzydzili?

– No przecież nikt nie pokazywał w reklamach realiów rzeźni. Copywriterzy umieszczali na jedzeniu ze zwierząt kolorowe obrazki żywych świń, a w reklamach roześmiane buzie dzieci wcinających to wszystko dzień w dzień. Jak propaganda sukcesu w USA sto lat temu.

– No dobra i tak to szło, propaganda, wżeranie zwierząt i co – jak się to przerwało?

– Jak ci mówiłem, choć ruch wegetariański po trochu się poszerzał już od początku XXI wieku, to przez propagandystów tradycyjno-rolniczo-postkomunistycznych i tych spod sztandaru polit-katoli był utożsamiany z nową lewicą i nie mógł się przebić jeszcze przez dłuższy czas. Zresztą, trochę wegetarian faktycznie było lewakami i tylko dla lewactwa zostawiło mięso, po nocach śniąc o pasztecie...

– Pasz-czym? Cieście?

– Prawie, to jeszcze jedno coś ze zwierząt było. Z ich wnętrzności. Ale wracając do rzeczy, kwestię powiązania mięsożerstwa i niedożywienia części świata wciągnęli w media w końcu Australijczycy. I pierwsi poparli ich Czesi – no mariaż polityczny najdziwniejszy, nie? Hi, hi!

– Kiedy to było?

– Bodaj w 2019. Nie chcę kłamać, ale coś takiego. Pokiełbasiło się wszystko dość szybko, bo Chińczycy z Rosją od razu zwęszyli interes (w końcu chodziło głównie o Afrykę), więc pociągnęli za odpowiednie medialne sznurki i machina propagandy europejskiej prowege poszła na całego. Wiesz, co to było „Unia Europejska”?

– No tak trochę, zbierali kasę od wszystkich krajów, żeby wspierać Niemcy, tak?

– Nie do końca, ale nieważne. Dość, że politycy najsilniejszych krajów UE i ich permanentni przedstawiciele w centrali, urzędnicy

jednym słowem, żeby się utrzymać przy korycie, czepiali się czego tylko, w sensie ideologicznym, byle odciągać uwagę Europejczyków od kwestii gospodarczych i bezpieczeństwa. Więc jak im agentura podsunęła pomysł na ideologię wege, to się wzięli do tego z podobnym entuzjazmem co wcześniej do homoseksualizmu i antysemityzmu.

– Zaraz, ale jak się to wszystko klei – w końcu to, co zrobili, było dobre, nie? Że dziady urodzone 70 lat temu nadal na nielegalu wyżerają, co jeszcze się gdzieś rusza w krzakach, to chyba inny problem?

– Tak, ale czekaj, bo wszystko mieszasz. Zaraz do tego dojdę, skręć teraz w prawo. Oczywiście. Dziś wszyscy na świecie są zdrowsi i najedzeni, mniej ekonomicznych przekrętów i głupiego gospodarowania, jest czyściej, ludzie wrócili do kontaktu z przyrodą – à propos, wiesz, że kiedyś w miastach nie było ogrodów, cała uprawa była na wsi?

– Zaraz, ale dokąd to prowadzi? Dziur nie ma – to jakaś solidniejsza droga? Kiedyś uczęszczana? Nie, nie wiedziałem o tej wsi... Dokąd jedziemy?

– Zobaczysz. Wracając do twojego pytania, idea była najlepsza na świecie i słuszna, no i w końcu jak poprawiliśmy ustawy, to mięsożerstwo jest maleńkie w podziemiu. Chodzi o sposób i o koszty wprowadzenia. Miało nastąpić zupełnie inaczej – wolniej i naturalniej. Bez zniszczeń, szczególnie tych nieodwracalnych...

– Fajna ta droga, dość gęsty las dookoła, a jednak ktoś nią jeździ chyba dość często...

– Tak, ja jeżdżę... Przypominać sobie, czemu to wszystko robię. Wiesz, żeby nie wróciło.

– Czyli jednak może wrócić? Ale ja ci przerwałem z tym „pokiełbasiło”.

– No tak, bo chodzi o to, że kiedy urzędasy wdrażają najlepsze nawet idee, robią to zwykle z fałszywych pobudek. I budują utopie. Czyli w praktyce dystopie. No więc jak zakazali odgórnie hodowli zwierząt na ubój, jak to się kiedyś nazywało „trzody” i „bydła”, to zakazali nie tylko masowych hodowli, ale jakichkolwiek. Agentura azjatycka wymyśliła słusznie, że zrobi niezłe widowisko z UE. I zrobiła...

– Hmm, zakładając, że rzeczywiście to był taki spisek, to chyba poroniony, skoro wege rozeszło się po całym świecie i u nich w końcu też?

– Tak, rozeszło się. Jakoś szybko po tym, jak wyniszczono praktycznie wszystkie ryby i owoce morza... Martwe oceany dały wszystkim do myślenia – odezwali się zapomniani już klimatolodzy z odgrzewanymi teoriami o globalnym ociepleniu i inni, i wtedy naprawdę wśród młodych chwyciła moda. Tylko że to były lata 2025–2030, więc całe masy starszych ludzi były jeszcze w sile wieku i obstawały przy swoim. W praktyce to wiesz, co było. Wilki by tak nie spustoszyły... Twoi starzy mieli w 2025 po 16 lat, więc generalnie już myśleli po nowemu, ale do czego byli zmuszani przez swoich rodziców, pewnie pozostanie...

– Ty, co to?

– No właśnie, zaparkuj gdzieś tutaj. Niezłe, nie? Jak ci się podoba?

– Ruiny jakiegoś budynku, zarośnięte, mało widać... Długie to. Bez okien. Czekaj, tutaj nie było lasu kiedyś?

– No właśnie, bez okien. Pozostałości fermy kur. Działała do 2020 i potem to porzucono, o polach nikt też nie pamiętał, a w sumie wystarczy dwadzieścia lat, żeby zarosło wszystko brzozą i sosną. Normalka.

– Kurczę, dlatego teraz dalej tak trudno o jedzenie. Pola zarosły... Ale ogrody w miastach są super, nie? Czekaj, co ty powiedziałeś, ferma kur? Bez okien?

– Tak, te dla krów też były bez okien. I te dla świń. Nie mówiąc o tym, jak hodowano zwierzęta futerkowe... Bezgraniczne dręczenie wszędzie.

– Jakoś nie myślałem nigdy o tym, samo wyobrażenie, że można jeść coś, co wcześniej żyło, jest odrażające. Że istniała taka masowa produkcja i przygotowanie zwierząt do jedzenia w ogóle nawet mi nie przyszło do głowy.

– No ale o polowaniach to wiesz?

– Ale to co innego trochę. I wiemy o tym raczej jak o znikaniu ostatnich zwierząt, samego procesu też sobie nie wyobrażam.

– I słusznie. To co, idziemy? Napatrzyłeś się? Ono chyba nie może się doczekać, szamocze się trochę. Liczę na to, że się rozmnoży, z dala od ostatnich kłusowników. Skręć w prawo i jedź prosto z powrotem tą gładką drogą, aż ci powiem. **Ω**



Marek Kochan

Makaki z Celebes

ilustracja: K. Karnkowski

Osoby:

PAN DOMU
PANI DOMU
JULIAN
ROBIN
GŁOS KOBIETY 1
GŁOS KOBIETY 2
GŁOS MĘŻCZYZNY 1
GŁOS MĘŻCZYZNY 2
GŁOS MĘŻCZYZNY 3
NARUTO, MAKAK Z CELEBES

1.

GŁOS KOBIETY 1: Nagle wszyscy mężczyźni, którzy byli wokół, zaczęli nas dotykać. Obmacywali wszędzie, chwytali za miejsca intymne. Starałam się jakoś obronić. Odepchnęłam się i prawie spadłam ze schodów. Chciałam uciec, ale kiedy zawróciłam, ktoś mnie pociągnął, wyrwał mi torbę.

Tam było tak wielu ludzi, że nie miało się żadnej kontroli nad sobą. Biegałam, szukałam radiowozu, ale żadnego nie było. Oni mieli poczucie, że panują nad sytuacją, że mają władzę. Mogli zrobić z nami wszystko, co chcieli. Czułam się wśród nich jak zwierzę, jak przedmiot. Kawałek żywego mięsa. Pomyślałam, że jeśli przetrzymają nas w tym tłumie, będą nas mogli zabić lub zgwałcić na środku ulicy i nikt tego nie zauważy. Jedyne, czego chciałam, to wydostać się stamtąd.

Mam koszmary. Nie mogę spać. Boję się sama wyjść z domu, przebywać w dużym mieście.

2.

PAN DOMU: Wyłącz ten telewizor. Nie musimy faszerować się tymi toksynami. Chcesz mu zepsuć ten dzień?

JULIAN: Kiedy dostanę prezent? Kiedy zaczynamy świętować moje urodziny?

PANI DOMU: Niebawem usiądziemy do stołu i wtedy złożymy ci życzenia. Jedzenie jeszcze nie jest gotowe.

PAN DOMU: Na razie idź do swojego pokoju, pobaw się.

JULIAN: Nie mam czym.

PAN DOMU: Jak to? Przecież dostałeś tyle zabawek pod choinkę.

JULIAN: Nic ciekawego. Nie dostałem tego, co chciałem dostać. Poza tym tamte zabawki już mi się znudziły.

PANI DOMU: Już? Po dwóch tygodniach?

PAN DOMU: Bądź grzeczny i idź do swojego pokoju. Może wreszcie dostaniesz coś, co cię zadowoli.

PANI DOMU: Pół godziny.

JULIAN: Ciągle coś obiecujecie i nic z tego nie wynika. Jeśli znowu się na was zawiodę, ucieknę jutro po lekcjach i będziecie mnie odbierać na policji, tak jak przed świętami.

PANI DOMU: Ależ Julianie!
JULIAN: Pół godziny. Z zegarkiem w ręku.
PAN DOMU: Chociaż jedna zabawka na coś się przydała.

3.

PANI DOMU: Powiesz wreszcie, co mu kupiłeś?
PAN DOMU: To, czego chciał.
PANI DOMU: Czyli?
PAN DOMU: Dobrze wiesz, o co prosił.
PANI DOMU: Pies? Gdzie go masz?
PAN DOMU: Popełniliśmy wiele błędów. Psychologowie piszą, że robimy dzieciom krzywdę, zamieniając ich pokoje w magazyny zabawek. Lepiej kupić dziecku jeden prezent, ale taki, o którym naprawdę marzy. Gdy dostaje dużo prezentów, cała radość z ich otrzymywania zostaje zniweczona przez gorączkę, szybkie rozpakowywanie, rozrywanie kokardek, papierów, żeby zobaczyć jeden, drugi, trzeci, piąty, dziesiąty. Nie można się cieszyć setką prezentów. Miotanie się od jednego do drugiego, żeby zobaczyć, co to jest, powoduje neurozę. Skutkiem jest zachłanność. Poczucie wiecznego niespełnienia.
PANI DOMU: Skąd te mądrości? Co, pewnie znowu przeczytałeś jakiś artykuł w gazecie?
PAN DOMU: W internecie. I nie jeden, lecz kilka.
PANI DOMU: Mówiłam ci, że przy naszym trybie życia nie możemy sobie pozwolić na psa. To niehumanitarne, trzymać psa w mieszkaniu. Co innego, gdybyśmy mieli dom, i to na wsi.
PAN DOMU: Kto ci powiedział, że to ma być pies.
PANI DOMU: A co?
PAN DOMU: Mówił tylko, że coś żywego.
PANI DOMU: Coś żywego? Więc co? Papużka?
PAN DOMU: On intuicyjnie wyczuwa, co mu jest potrzebne. Dziecko w jego wieku potrzebuje czegoś żywego, żeby się poprzytulać. Przytulanie wytwarza więź. To się nazywa pętla sprzężenia oksytocynowego.
PANI DOMU: Dlaczego pętla?
PAN DOMU: Kiedy zaczynasz głaskać zwierzę, przytulać się do niego, ono robi to samo. Też zaczyna się przytulać. Liże cię albo mruczy. Pojawia się chemia. Wydziela się oksytocyna. To wytwarza więź. Zaś więź to wspólne pozytywne przeżycia. Które wyzwalają wydzielanie oksytocyny. Tak jak między ludźmi.
PANI DOMU: A my mu nie wystarczamy?
PAN DOMU: Mnie ciągle nie ma w domu, ty też przychodzisz późno. Siedzi sam. Kiedy wracamy, jesteśmy wkurzeni i też nie chcemy z nim rozmawiać. Nic dziwnego, że ma deficyt. Potrzebuje kogoś, żeby się przytulić.
PANI DOMU: A więc kot. Gdzie go masz?
PAN DOMU: Mieli przywieźć do dziewiętnastej. Trochę się spóźniają, ale niedawno dostałem SMS, że przesyłka jest w drodze.
PANI DOMU: Kot obsika nam wszystkie dywany. I szafy. I ubrania w szafach. Ty

nie wiesz, jaki to jest smród, bo nigdy nie miałeś kota.

PAN DOMU: Jaki kot? Kto ci powiedział, że to ma być kot?

PANI DOMU: Więc jednak pies.

PAN DOMU: Ani pies, ani kot. Sama zobaczysz.

PANI DOMU: Mam nadzieję, że jesteś rozsądny i wziąłeś pod uwagę naszą sytuację. Tylko że do chomika albo do świnki morskiej to on się nie poprzytula. I nie będzie tej pętli, jak ty to nazwałeś…

PAN DOMU: Dzwonek. To pewnie oni. W ostatniej chwili.

PANI DOMU: Otwórz, a ja zobaczę, czy pizza jest już gotowa.

PAN DOMU: Możesz przynieść jakiś duży ręcznik albo mały dywanik. A najlepiej dwa.

PANI DOMU: A co to jest za pudło?

PAN DOMU: Wstaw tu, a ten drugi tu, i ja przeciągnę do salonu, żeby nie porysować parkietu.

JULIAN: Tato, co to za ogromna skrzynia? Czy to jest mój prezent?

PAN DOMU: Odsuń fotel z drogi.

PANI DOMU: O Boże! Koń? A może osioł?

JULIAN: Kupiliście mi małego kucyka!

PAN DOMU: Poczekaj, nie panikuj, zaraz zobaczysz.
Tu się chyba otwiera.

JULIAN: Małpa!

PAN DOMU: Mam nadzieję, że dojechała w dobrym stanie.

JULIAN: Małpa! Żywa małpa. Tylko jak żywa, to dlaczego się nie rusza?

PAN DOMU: Może jest zmęczona po podróży. Nie wiadomo, z jak daleka przyjechała.

PANI DOMU: Jak to nie wiadomo skąd! Czy ja śnię? Skąd ona się tu wzięła? I dlaczego się nie rusza? Może jest martwa?

PAN DOMU: Kupiłem ją na Allegro. Nie wiem dokładnie, skąd przyjechała. Sprzedający miał dobre rekomendacje, więc mu zaufałem. Zapłaciłem za małpę i jest małpa.

PANI DOMU: Na pewno udusiła się w tym pudle. To nieludzkie przewozić zwierzę w pudle.

PAN DOMU: Sprzedawca zapewnił, że pudło zapewnia komfortowe warunki podróży. Wentylacja i tak dalej. Zwierzę dostało dawkę środków nasennych, miało przespać całą drogę.

JULIAN: Tato, mamo, zobaczcie, ona się rusza. Chyba się obudziła.

PANI DOMU: I co my z nią teraz zrobimy?

PAN DOMU: Pomyślałem o wszystkim. Przecież nie będzie mieszkać w tej drewnianej klatce. W tym drugim pudle powinno być legowisko. Zaraz je przyniosę.

JULIAN: Mogę dotknąć?

PANI DOMU: Uważaj. To wielka małpa. Może cię ugryźć.

JULIAN: Wygląda sympatycznie. Małpko, małpko, powiedz coś. Jaka to rasa?

PANI DOMU: Chyba szympans.

JULIAN: Raczej goryl. Ma takie długie futro.

PAN DOMU: Nie wiem, jaka to rasa. Może jakiś małpi mieszaniec? Na imię ma

Robin. Zjada wszystko to samo, co my. O, a tu przygotujemy mu miejsce do spania.

JULIAN: Robin, Robin!

PANI DOMU: Zwariowałeś? To jest wielkie jak kanapa. Zajmie nam cały salon.

PAN DOMU: Nie cały salon, tylko środek dywanu. Czy to moja wina, że mamy te meble? To duża małpa, potrzebuje przestrzeni. Co, ma spać w szufladzie biurka?

ROBIN: Chrrrrra.

JULIAN: Tato, Robin coś powiedział.

PAN DOMU: Pewnie jest głodny. Daj mu marchewkę.

PANI DOMU: Ja się nie zgadzam, żeby to zwierzę zajęło cały salon.

JULIAN: Mamo, to nie jest „to zwierzę", tylko Robin. Masz, Robinku, jedz, dobra marchewka.

PAN DOMU: Możemy przesunąć fotele i zrobić miejsce pod ścianą. Albo w ogóle je stąd wyrzućmy. Przecież mamy kanapę.

JULIAN: Tato, zobacz, zjadł. Chyba chce jeszcze.

ROBIN: Chrrrrrraaa.

PANI DOMU: Gdzie ja jestem? To się chyba nie dzieje naprawdę. Co teraz zrobimy?

PAN DOMU: Na razie proponuję zjeść kolację. Czy pizza jest już gotowa?

PANI DOMU: Chyba tak.

PAN DOMU: A więc możemy siadać do stołu.

JULIAN: Mogę dać mu kawałek?

PANI DOMU: Naszą pizzę? Może najpierw my zjemy.

JULIAN: Tata mówił, że może jeść to samo co my.

PAN DOMU: Dobrze, daj mu kawałek.

PANI DOMU: Nałożę wam.

JULIAN: Patrzcie: je, smakuje mu. Jedz, Robin, jedz, zaraz dam ci jeszcze kawałek.

PANI DOMU: Zjada, jakby się od dzieciństwa stołował w pizzerii.

JULIAN: Może tam, skąd przyjechał, też mu dawali takie rzeczy do jedzenia.

PAN DOMU: Twoja pizza zawsze mi bardzo smakowała. Jeśli już ci się zdarzy coś ugotować, jesteś naprawdę świetną kucharką.

JULIAN: Mogę dać mu jeszcze?

PAN DOMU: Daj, niech ma, pewnie jest głodny po podróży.

PANI DOMU: Gdybym wiedziała, że to będzie posiłek dla małpy, zamówiłabym w pizzerii.

PAN DOMU: Daj spokój, nie żałuj, widzisz, jak on się cieszy.

JULIAN: Tato, mogę się do niego przytulić?

PANI DOMU: Uważaj, przecież to dzikie zwierzę. Może ci zrobić krzywdę.

JULIAN: Robinek, słodki Robinek. Nie zrobi Juliankowi krzywdy, prawda?

ROBIN: Chrrrrrraaa.

PANI DOMU: Możesz nalać mi wina? Albo nie, nalewkę. Tę od mojego taty.

JULIAN: Robinuś, słodki Robinuś. To moje najlepsze urodziny. Nareszcie będę się miał do kogo przytulać.

PAN DOMU: Może zrobimy sobie z nim wszyscy zdjęcie. Takie rodzinne zdjęcie urodzinowe.

JULIAN: Świetny pomysł, tato. Zrobimy sobie selfie moim tabletem. Wrzucę to na Instagram i pokażę kilku kolegom z klasy.

PANI DOMU: To ty masz konto na Instagramie? Nic nam nie mówiłeś.

JULIAN: Bo nie pytaliście.

PAN DOMU: Chodź bliżej, nie bój się, on nie gryzie.

PANI DOMU: Skąd mam to wiedzieć.

JULIAN: Nie bój się, mamo, on jest bardzo przyjazny.

PANI DOMU: Trochę nieładnie pachnie.

PAN DOMU: Jak to zwierzę.

JULIAN: Uwaga, uśmiechy, teraz!

ROBIN: Chrrrraaaam!

JULIAN: Jaki Robin jest mądry! Wiedział, że do zdjęcia trzeba się uśmiechnąć.

PAN DOMU: Jak wyszło?

JULIAN: Świetnie.

PANI DOMU: To może weź go teraz do siebie, pokaż mu swój pokój, a my tu sobie z tatą porozmawiamy i zawołamy cię na tort.

JULIAN: Pewnie. Chodź Robisiu, pokażę ci mieszkanie. Zobaczcie, chwycił mnie za rękę.

4.

PANI DOMU: Juliuszu, musimy poważnie porozmawiać. Jak ty to sobie dalej wyobrażasz?

PAN DOMU: Nienawidzę, kiedy mówisz do mnie „Juliuszu".

PANI DOMU: Czy ty zwariowałeś? Co zamierzasz teraz z tym zrobić?

PAN DOMU: Miejsca mamy dosyć. Nie potrzebuje osobnego pokoju. Może spać tu, w salonie. Będzie jadł to samo, co my. O co ci więc chodzi?

PANI DOMU: Jak ty to sobie wyobrażasz: mieszkać z małpą?

PAN DOMU: Widziałaś, jak on się ucieszył? Przytulanie, głaskanie. Sama wiesz, że to jest w jego wieku bardzo potrzebne. Ile razy o tym rozmawialiśmy, że on ma deficyty, których my nie jesteśmy w stanie wyrównać.

PANI DOMU: A gdzie my, nasze życie? Nie mamy warunków, żeby trzymać psa, a co dopiero małpę.

PAN DOMU: Nasze życie stanie się pełniejsze, bogatsze. Pamiętasz, co mówiłem: więzi, oksytocyna, poczucie szczęścia. Pętla oksytocynowa.

PANI DOMU: To jest żywe zwierzę. Zwierzę! Może kogoś pogryźć. I co wtedy zrobisz? Wyprowadzisz go do lasu? Oddasz do schroniska? Ja nawet nie wiem, czy schroniska przyjmują takie zwierzęta. Chyba żeby oddać go do zoo.

PAN DOMU: Taki scenariusz jest wykluczony. Jesteśmy przecież ludźmi. Przez duże L. Nie zrobiłabyś tego Julianowi.

PANI DOMU: A ty zrobiłeś to mnie? Mówiłam: albo ja, albo pies.

PAN DOMU: Ale to nie jest pies.

PANI DOMU: Tym bardziej. Przecież wiesz, że mam alergię na sierść.

PAN DOMU: Miałaś alergię na psy i koty. To co innego.

PANI DOMU: I jeszcze ten zapach. Nie czujesz? Nasze mieszkanie pachnie dziczą.

PAN DOMU: Nie spodziewałem się tego po tobie. Czy wiesz, że kiedy mówisz takie rzeczy, coś robi się z twoją twarzą. Ta mina. Wyglądasz jak jakaś okropna starucha.

JULIAN: Rodzice! Pomocy! On się zsikał na moim łóżku!

PAN DOMU: Ale nie płacz teraz. No nie płacz. Przepraszam, że tak powiedziałem. Nie chciałem. Po prostu myślałem, że inaczej na to zareagujesz. Liczyłem, że ci się spodoba ten pomysł.

JULIAN: Mamo, tato! Szybko! Teraz chyba zaczyna robić kupę. Co mam robić?

PAN DOMU: Przepraszam cię, nie chciałem. Spróbuj się jakoś ogarnąć. Ja tam pomogę i zaraz przyjdziemy na tort. Zapalimy świeczki, zaśpiewamy „Sto lat" i wszystko będzie dobrze, tak?
Już idę, już idę z pomocą!

5.

PAN DOMU: Gdzie Robin?

PANI DOMU: Dzień dobry, Martyno, co u ciebie, jak ci minął dzień, dawno wróciłaś? Ja dziś wróciłam wcześniej, może zjemy razem kolację…

PAN DOMU: Tak, jasne, dobry wieczór. Po prostu zaniepokoiłem się, że taka cisza.

PANI DOMU: Julian jest jeszcze na zajęciach. Przywiezie go tata Tymona.

PAN DOMU: Ale gdzie Robin?

PANI DOMU: Rozejrzyj się. Tam, na kanapie. Na twojej ulubionej kanapie. Śpi.

PAN DOMU: Faktycznie, nie zauważyłem go w tym rumowisku.

PANI DOMU: Lubiłam kiedyś to mieszkanie.

PAN DOMU: Daj spokój, posprzątamy, nic wielkiego. Pani Irina może przychodzić dwa razy w tygodniu, jeśli jest taka potrzeba.

PANI DOMU: Szalał dwie godziny, aż wreszcie się zmęczył i zasnął.

PAN DOMU: Zobacz, jak śpi, jak sobie oparł głowę na ramionach. Słodki.

PANI DOMU: Słodki Robinio pogryzł wszystkie meble poza kanapą. Widocznie polubił to miejsce. Czy wiesz, że on się nauczył sam sobie włączać telewizor?

PAN DOMU: I co oglądał? National Geographic?

PANI DOMU: Nie wiem, chyba coś głośnego. Kiedy szalał, byłam zamknięta w łazience. Kiedy ucichło, wyszłam i zobaczyłam, że zasnął. Wtedy wyłączyłam.

PAN DOMU: Wiesz, opowiedziałem chłopakom, że mamy w domu Robina, i zaraz rozniosło się po całej firmie. Podlinkowałem im filmy, które Julian powiesił na YouTube. Wiesz, ile mają odsłon? Ktoś je wrzucił na Wykop i lawina ruszyła.

PANI DOMU: Rozejrzyj się dookoła. Ta bestia zniszczyła nam salon.

PAN DOMU: On ma potrzebę zabawy. To naturalne w tym wieku. Słodki Robinek!

PANI DOMU: Mów ciszej, bo się obudzi. Przynajmniej będziemy mieli chwilę spokoju.

PAN DOMU: Nie przejmuj się, to tylko meble. Szkielety są całe, a tapicerkę można wymienić. I tak mi się nie podobały te paski.

PANI DOMU: Wtargnął do szafy w naszej sypialni i podarł moją sukienkę ze ślubu cywilnego. Jest cała w strzępach. Nic się z tym nie da zrobić.

PAN DOMU: Mnie wczoraj zjadł buty od Kielmana, wiesz, te moje ulubione, szyte na miarę, z czerwoną lamówką. I co? I nic. Nie robię z tego sprawy. To tylko buty.

PANI DOMU: Ja już dłużej tego nie wytrzymam. Czy do ciebie nic nie dociera? Ocknij się.

PAN DOMU: Przecież ci mówiłem, że to taki okres. On jest takim małpim szczeniakiem. Musi się wszystkiego nauczyć. Kiedy mu minie ząbkowanie, dorośnie, wytresujemy go i będzie spokojny. Trzeba to przetrwać.

PANI DOMU: Jeśli już musiałeś sprowadzać małpę, czy nie mógł to być dorosły osobnik?

PAN DOMU: Ty myślisz, że one są w ciągłej sprzedaży jak traszki? Taki był wystawiony na aukcji. Dorosły byłby pewnie znacznie droższy. I pewnie nie dałoby się go łatwo przewieźć, ważyłby znacznie więcej.

PANI DOMU: Czyli on będzie jeszcze większy?

PAN DOMU: Najwyżej dwa razy.

PANI DOMU: Dwa razy większy?!

PAN DOMU: Nie wiem dokładnie, tak tylko sobie powiedziałem.

PANI DOMU: Naprawdę nie można go jakoś teraz oddać, zwrócić?

PAN DOMU: Pomyśl o Julianie. Jego kanał jest coraz bardziej popularny. Stał się gwiazdą szkoły. Dzieci ze starszych klas podchodzą na przerwach, żeby go poprosić o autograf. A pamiętasz, co było przedtem?

PANI DOMU: Nie bierz mnie pod włos.

PAN DOMU: Słuchaj, to jest żyła złota. Pamiętasz ten film, który Robin zrobił parę dni temu, gdy mu dałem kamerę? Ma już prawie pięć milionów odsłon. Podpiszemy umowę na reklamy i jak tak dalej pójdzie, zarobimy na nowe meble. Może nawet niedługo będę mógł rzucić pracę w banku, a ty w agencji. On zarobi na całą rodzinę.

PANI DOMU: To nie takie proste. Będziesz się musiał podzielić z nim zyskiem.

PAN DOMU: Jak to?

PANI DOMU: Rozmawiałam o tych filmach z jednym prawnikiem w mojej agencji. On się zajmuje prawami autorskimi. I powiedział, że to sprawa sporna. Podobno w takiej sytuacji trzeba zapłacić temu, kto zrobił zdjęcie czy film.

PAN DOMU: Jak to, mam płacić małpie?

JULIAN: Niektórzy uważają, że zwierzęta mają takie same prawa do swoich utworów jak ludzie.

PAN DOMU: Nonsens.

PANI DOMU: Ten prawnik powiedział mi o precendensowym przypadku makaka czubatego z Celebes, który zrobił sobie zdjęcie aparatem fotografa, który robił tam reportaż.

PAN DOMU: Widziałem to zdjęcie. Tak zwane selfie makaka. Ono zrobiło furorę w sieci.

PANI DOMU: Właśnie. I pojawił się problem praw autorskich, bo to zdjęcie

makak wykonał sam. A fotograf umieścił je w swoim albumie. Organizacja obrony praw zwierząt wystąpiła z pozwem. Chcieli, żeby zyski ze zdjęć były przekazywane Naruto, bo on się nazywał Naruto. I innym makakom z Celebes.

PAN DOMU: Założę się, że sąd uznał prawa autorskie małpy. W takich czasach żyjemy.

PANI DOMU: Otóż nie. Sąd w San Francisco uznał, że makak z Celebes nie ma praw autorskich, bo nie rozciągają się one na zwierzęta.

PAN DOMU: Uff.

ROBIN: Chrrrr.

PANI DOMU: Czy to jest fair? Skoro makak zrobił zdjęcia sam. Dlaczego ktoś miałby żerować na jego pracy tylko dlatego, że był właścicielem aparatu fotograficznego?

PAN DOMU: Chwała Bogu, że świat jeszcze nie stanął na głowie.

PANI DOMU: Proszę cię, oddaj go, zanim będzie za późno. Jeszcze będą z tego kłopoty.

PAN DOMU: Wykluczone. Zdobądź się na odrobinę empatii. On jest po przejściach.

PANI DOMU: To ja jestem po przejściach.

PAN DOMU: Nie wiesz, co przeżył. Pisał mi o tym ten facet z Allegro. Zoo, w którym Robin mieszkał, zostało zbombardowane, jego rodzice zginęli. Ktoś postanowił mu pomóc i przeszmuglował go do Europy.

PANI DOMU: I pewnie nieźle przy tym zarobił. A mówiłeś, że ten sprzedawca jest kimś zaufanym.

PAN DOMU: Ten człowiek tylko użyczał konta. Zresztą nieważne. Mam coś dla ciebie.

PANI DOMU: Duże opakowanie neospasminy?

PAN DOMU: Zobacz, to rozwiąże nasze chwilowe problemy.

PANI DOMU: Co to ma być?

PAN DOMU: Siedź, ja włączę.

GŁOS KOBIETY 2: W jednej dłoni trzymamy smaczek. Zaciskamy ją w pięść i wystawiamy smaczek na drugiej dłoni, mówiąc przy tym „Ee!" lub „A fe!". Zwierzę uczy się porzucania tego, czym się w danej chwili zainteresowało. Nagroda w postaci jedzenia powinna łączyć się z pochwałą. Z czasem jedzenie zastępujemy samą pochwałą. Uwarunkowany w ten sposób pies…

PAN DOMU: Dlaczego wyłączyłaś?

PANI DOMU: Przecież słyszałeś: pies. A nie małpa.

PAN DOMU: Myślę, że metody tresury są podobne.

PANI DOMU: Myślę, że powinniśmy się go jak najszybciej pozbyć. Zanim chciwość zniszczy nasze życie.

PAN DOMU: Przecież wiesz, że mi nie chodzi o kasę z YouTube. Julian go uwielbia. Przytula się do niego. Odkąd Robin tu jest, zrobił się wyraźnie spokojniejszy. I do nas lepiej się odnosi.

PANI DOMU: Może Julian jest spokojniejszy, ale ja nie.

PAN DOMU: Stosunek do zwierząt jest miarą naszego człowieczeństwa!

ROBIN: Chrrrrr.

PANI DOMU: Ciszej, bo się obudzi. Chcę mieć jeszcze chwilę spokoju.

PAN DOMU: Ja otworzę.

6.

JULIAN: Gdzie Robin?

PAN DOMU: Dobry wieczór, mamo, dobry wieczór, tato.

JULIAN: Dobry, dobry. To wy zrobiliście taki straszny bałagan?

PAN DOMU: Tak, mama szukała starych zdjęć z wakacji.

PANI DOMU: Przestań już! A ty mów ciszej, bo go obudzisz.

PAN DOMU: Jest tam, na kanapie. Śpi. Nasz słodki Robinio.

JULIAN: Rzeczywiście. Jak sobie położył głowę na rękach. Nasz kochany słodziak. Zrobię mu zdjęcie.

PAN DOMU: Nie budź go, widocznie był zmęczony.

JULIAN: Nieźle wyszło. Wrzucę od razu na Pinterest.

PANI DOMU: Jak było na plastyce?

JULIAN: Normalnie.

PANI DOMU: A w szkole?

JULIAN: Tak samo. Tylko na wuefie Khalid o mało nie udusił Jeremiasza.

PAN DOMU: Kto?

JULIAN: Khalid, nasz nowy kolega. Imigrant.

PANI DOMU: Z jakiego kraju?

JULIAN: Chyba z Syrii.

PAN DOMU: Jak to: o mało nie udusił?

JULIAN: No, rzucił się na niego i chciał udusić. Ale mu się nie udało, bo go chłopcy odciągnęli w ostatniej chwili.



PANI DOMU: Biedne dziecko. Co on musiał widzieć, co on musiał wycierpieć, żeby się tak zachowywać.

ROBIN: Chrrrrr.

PAN DOMU: I co na to nauczycielka?

JULIAN: Powiedziała, mu, że to nieładnie. A jak była akademia z okazji odzyskania niepodległości i śpiewaliśmy Rotę, to Khalid się śmiał.

PAN DOMU: I co, ktoś zareagował?

JULIAN: Pani zwracała mu uwagę, a on nic. On się jej wcale nie słucha.

PANI DOMU: Może on się czuje wyobcowany, samotny. Próbowałeś z nim rozmawiać, nawiązać jakiś kontakt z tym chłopcem?

JULIAN: Nie bardzo. On prawie nie mówi po polsku.

PAN DOMU: To jak się z nim porozumiewacie?

JULIAN: Przez cały dzień jest z nim dwójka tłumaczy.

PANI DOMU: Widzisz, to dlatego. Khalid się z czasem się nauczy języka, poczuje się u nas lepiej i będzie spokojniejszy.

JULIAN: Może. Ale on się raczej nie nauczy. Bo on się nie chce uczyć polskiego. I jego rodzice też. Powiedział to raz na lekcji, a ci tłumacze przetłumaczyli. Podobno oni się uczą niemieckiego, bo chcą jak najszybciej wyjechać do Niemiec.

PAN DOMU: Z pomocy korzystają, ale uczyć języka się nie chcą. Szkoda, że o takich przypadkach nie pisze się w gazetach.

PANI DOMU: Nie ma co wyciągać wniosków z jednostkowego przypadku. Opisaliby to i zaraz nakręciłaby się spirala nienawiści. A może i przemocy.

PAN DOMU: A jeśli ten przypadek jest prawdziwy? Dlaczego o nim nie mają napisać? Mamy cenzurę czy co?

PANI DOMU: Tak czy inaczej powinniśmy twojemu nowemu koledze okazać gościnność. Tak jak nam okazywano, kiedy uciekaliśmy przed wojną albo przed biedą.

PAN DOMU: Ja tam przed wojną ani przed biedą nie uciekałem.

PANI DOMU: Ale mogłeś. Miałeś to szczęście, że nie żyłeś w kraju ogarniętym wojną.

PAN DOMU: Jakbym wyjechał do innego kraju, tobym nie hałasował, gdy śpiewają hymn.

PANI DOMU: Rota to nie hymn. Ktoś mu powinien wytłumaczyć, jak się ma zachować. Pomóc mu. Jak zrozumie, będzie się zachowywał lepiej. Trzeba okazać odrobinę zaufania.

PAN DOMU: Trudno ufać komuś, kto cię dusi. Jak to się w ogóle stało?

JULIAN: Khalid zabrał piłkę Jeremiaszowi, a Jeremiasz powiedział, żeby mu ją oddał. Wtedy Khalid zaczął go dusić.

PANI DOMU: Widzisz, chciał nawiązać z wami kontakt, bawić się razem. Na pewno doskwiera mu samotność.

PAN DOMU: Lepiej uważaj na tego Khalida.

PANI DOMU: To dziecko, ofiara. Nie wiesz, co on przeszedł, co widział. To nie jego wina, że się tak zachowuje.

PAN DOMU: A co był Jeremiasz winny, że tamten się na niego rzucił? Nic mu się nie stało?

JULIAN: Na szczęście nic, bo chłopaki szybko Khalida odciągnęli. Najbardziej to Bartek, on jest bardzo duży, jeszcze większy do Khalida. Pani go pochwaliła, że tak pomógł Jeremiaszowi.

PANI DOMU: My powinniśmy jakoś temu Khalidowi pomóc. I jego rodzinie. Może szkoda, że nie zaprosiliśmy go na Wigilię.

ROBIN: Chrrr.

PAN DOMU: Tak, najlepiej zrobimy losowanie, kto odda swoje dziecko do duszenia Khalidowi.

PANI DOMU: Przestań, jak ci nie wstyd przy dziecku.

PAN DOMU: Mi? Wstyd? Że się troszczę o jego bezpieczeństwo?

PANI DOMU: Stosunek do Innego, do imigrantów jest miarą naszego człowieczeństwa.

ROBIN: Chraaaaaaaaaa.

PAN DOMU: Tak samo jak stosunek do zwierząt.

PANI DOMU: Jak możesz to porównywać! Naprawdę nie widzisz różnicy między ludźmi a zwierzętami?!

PAN DOMU: Tak, widzę. Na korzyść zwierząt. Ludzie czasem zachowują się gorzej niż zwierzęta.

JULIAN: Ciszej, obudziliście Robina. Robinek się wyspał? Jak się przeciąga! Zrobię ci parę zdjęć, taki jesteś teraz słodki. Ciekawe, jak na to zareagują internety.

PAN DOMU: To jest właśnie ta twoja hipokryzja. Litujesz się nad małym dusicielem, a zwierzę chcesz oddać do przytułku, bo ci zniszczyło kanapę. Pseudohumanizm, którego granicą jest gatunek ludzki. Zwierzęta towarzyszyły człowiekowi od zawsze. Zanim urodził się Karol Marks!

PANI DOMU: To jest właśnie ta twoja hipokryzja. Potępiasz dziecko, które jest tak naprawdę ofiarą. Rasizm i ksenofobia ukryte pod płaszczykiem troski o bezpieczeństwo. Człowieka można traktować jak zwierzę tylko dlatego, że ma inny kolor skóry!

ROBIN: Chraaaaaaaaaa!

JULIAN: Nie kłóćcie się. Aż się Robin zdenerwował. Kiedy tak wali pięściami w klatkę piersiową, to znaczy, że jest niezadowolony.

PANI DOMU: Opuszczam was. Łazienka jest jedynym miejscem w tym domu, gdzie mogę normalnie funkcjonować. Zrobię sobie spanie w wannie.

PAN DOMU: Daj spokój, nie unoś się. Mamy się kłócić z powodu jakiejś małpy?

PANI DOMU: Tu nie chodzi o małpę. Tu chodzi o ludzi, o wartości! Nie mogę spać w jednym łóżku z rasistą i ksenofobem.

PAN DOMU: Ten rasista i ksenofob to twój mąż, jeśli o tym zapomniałaś.

PANI DOMU: To tym bardziej przykre.

JULIAN: To ja może wyjdę z Robinem na spacer. On ma ochotę się bawić.

PAN DOMU: Dobrze, tylko nie wychodź poza granice kondominium. Jest już za późno na spacery po dzielnicy. A ja posprzątam po jego zabawie.

JULIAN: Pomogę ci, tato.

PAN DOMU: Dziękuję, poradzę sobie. Lepiej idź na ten spacer, niech on się zmęczy, to może zaśnie i nie będzie hałasował, tak jak ostatniej nocy. Oka prawie nie zmrużyłem przez tego cholernego małpiszona.

ROBIN: Chrrrrrrr.

PAN DOMU: *Sprząta.*

Tak, o tobie mówię. Odkąd się pojawiłeś, same kłopoty. Destabilizujesz moje małżeństwo. Żona nie chce ze mną spać w jednym łóżku. Wyzywa mnie. To wszystko przez ciebie, małpo jedna.

JULIAN: Robin, idziemy, spacer!

ROBIN: Chrrrraaaaaaa.

7.

JULIAN: Siad, w tej chwili zostaw szalik. Puść.

ROBIN: Wrrrrrrrrr!

JULIAN: Robin, siad. Siad, powiedziałem. Dobry Robin. Masz, banan, zasłużyłeś.

ROBIN: Mmmmmmm.

JULIAN: A teraz poćwiczymy „A fe". Tu masz jabłko. A fe! Dobrze, teraz bierzesz z drugiej ręki banana. Grzeczny Robin.

ROBIN: Mmmmmmmm.

JULIAN: Ładnie, grzeczny Robin. Na dziś wystarczy. Teraz możemy sobie usiąść na kanapie. Chodź, chodź. Tak, tu koło mnie. Możesz mi położyć głowę na kolanach. Jakie ty masz miękkie futerko, takie aksamitne. Tak, tak, wiem, że lubisz, jak cię tu głaszczę za uszkiem.

ROBIN: Mmmmmmm.

JULIAN: Rodzice mówią, że nie powinienem się tak do ciebie przytulać, ale co ja na to poradzę, że ty jesteś taki ciepły i futrzany. Nikt nie ma takiego pięknego aksamitnego futerka jak ty.

ROBIN: Mmmmmmm.

JULIAN: Chyba dziś nie pójdę na basen. Nie mam ochoty. Dopóki rodzice nie wrócą, możemy sobie tak leżeć.

ROBIN: Hrrrr. Mmmmmmm. Hrrrr. Mmmmmmm.

JULIAN: Zasnął. Słodki Robinio.

ROBIN: Hrrrr. Mmmmmmm. Hrrrr. Mmmmmmm. Hrrrr. Mmmmmmm. Hrrrr. Mmmmmmm.

PANI DOMU: Przykryć was kocem?

JULIAN: Nie trzeba, Robin mnie grzeje.

Kiedy przyszłaś? Byłaś tu cały czas?

PANI DOMU: Weszłam przed chwilą. Nie chciałam wam przeszkadzać.

JULIAN: Dziękuję, mamo, że się na niego zgodziłaś. To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałem.

PANI DOMU: Przecież widzę, synku.

JULIAN: Jak się obudzi, to go wyprowadzę na spacer.

8.

PAN DOMU: Jednak nadal lubię tę kanapę. Dobrze, że Julian go czasem wyprowadza i mogę sobie wtedy na niej trochę posiedzieć.

PANI DOMU: Możesz trochę podgłośnić?

GŁOS MĘŻCZYZNY 1: A na koniec coś dla miłośników przyrody. Australijscy naukowcy z Uniwersytetu w Melbourne

skonstruowali elektroniczny translator, który pozwala przetwarzać dźwięki wydawane przez małpy na ludzką mowę, a zarazem tłumaczyć proste zdania wypowiadane po angielsku na język małp. Dzięki temu nowatorskiemu urządzeniu udało się przeprowadzić krótki wywiad z Naruto, sławnym makakiem czubatym z Celebes, autorem selfie, które jakiś czas temu obiegło kulę ziemską za pośrednictwem internetu. Dzięki uprzejmości stacji ATV zaprezentujemy państwu fragmenty tego niecodziennego wywiadu.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Jak się nazywasz?

NARUTO: Naruto.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Widziałeś swoje zdjęcie?

NARUTO: Tak.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Gdzie?

NARUTO: Pokazywali mi je w telefonach komórkowych turyści, którzy odwiedzają nasz park.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Jak ci się podobało?

NARUTO: Byłem zadowolony.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Fotograf, którego aparatem zrobiłeś to zdjęcie, uważa, że jest ono jego własnością i czerpie z tego zyski. Co o tym sądzisz?

NARUTO: Uważam, że to niesprawiedliwe. Czy gdyby on zrobił zdjęcie aparatem należącym do redakcji pisma, w którym jest zatrudniony, też uważałby, że zdjęcie jest własnością redakcji, a on nie ma do niego żadnych praw? Czy człowiek, który pisze powieść na pożyczonym komputerze, traci tym samym prawa autorskie do tego utworu?

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Czy wiesz, że sąd federalny w San Francisco wydał wyrok uznający, że zwierzęta nie mają praw autorskich?

NARUTO: Nie słyszałem o tym wyroku, ale trudno mi się z nim zgodzić. Po pierwsze, jako mieszkaniec Celebes nie podlegam jurysdykcji sądu federalnego w San Francisco. Po drugie, jestem ciekaw podstawy prawnej takiego orzeczenia. Akty prawne tworzone przez ludzi nie podlegały procedurze autoryzacji czy ratyfikacji przez makaki ani inne naczelne, ani jakiekolwiek zwierzęta. Dlaczego więc ludzie uzurpują sobie prawo do sądzenia innych stworzeń? Po trzecie, na ten temat, jeśli w ogóle, powinien się wypowiadać Kongres, a nie sąd federalny, orzekanie w tej sprawie moim zdaniem wykracza znacznie poza zakres kompetencji tego sądu.
Krótko mówiąc, nie uznaję tego wyroku, uważam go za głęboko niesprawiedliwy i kompromitujący wymiar sprawiedliwości w USA.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Co zamierzasz teraz zrobić?

NARUTO: Będę walczył o zadośćuczynienie. Myślę, że w tej sprawie będzie trzeba odwołać się do trybunałów międzynarodowych. Liczę też na aktywność opinii publicznej w USA i w innych krajach, które aspirują do przestrzegania najwyższych standardów, jeśli chodzi o prawa człowieka. Dlaczego prawa

innych nieludzkich osób miałyby być naruszane? Podobno to stosunek do zwierząt, czy szerzej, do Innego, jest w świecie ludzi uważany za prawdziwą miarę człowieczeństwa. Sprawę moich praw autorskich można uznać za probierz wiarygodności takich stwierdzeń.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Bardzo dziękuję za rozmowę.

NARUTO: To ja dziękuję za ten wywiad. Przynajmniej mogłem przedstawić swoje racje. Tacy ludzie jak pan podtrzymują moją nadszarpniętą wiarę w gatunek ludzki.



Nasza sprawa to precedens. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o mnie, ale o całą naszą społeczność, o wszystkie makaki z Celebes. A także o inne zwierzęta. O przyrodę. Wreszcie o człowieka. Pytanie o możliwość osobowej i prawnej podmiotowości makaków jest bowiem tak naprawdę pytaniem o naturę podmiotowości stawiającej tę kwestię istoty ludzkiej. Czy ma ona charakter ekskluzywny, wykluczający człowieka ze świata przyrody i zarazem wykluczający całą przyrodę ze świata ludzi? To podwójne wykluczenie dotyczy bardziej gatunku ludzkiego niż przyrody. Jest kwestią tylko i wyłącznie świadomości człowieka, skazanego tym samym na ciągłą konfrontację swojej podmiotowości z nie-ludzkimi osobami, takimi jak my, makaki, inne naczelne czy jakiekolwiek zwierzęta, a także z innymi bytami, nie wyłączając bytów fantazmatycznych, takich jak diabły, anioły, bogowie czy sztuczna inteligencja.

Przyroda traktuje te potyczki z wyniosłą obojętnością. Ona bowiem istnieje niezależnie od ludzkich wyobrażeń, jest artefaktem i podmiotem per se. Przypadek makaka robiącego zdjęcie jest w tym kontekście paradygmatyczny.

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Nie bardzo rozumiem.

NARUTO: Nikt nie kwestionuje autorstwa fotografii. Tak, jest oczywiste, że to ja, Naruto, zrobiłem to selfie. Taki, a nie inny wyrok sądu oznacza tylko, że istota ludzka uzurpuje sobie prawo do wy-

łączności w zakresie posiadania prawa własności intelektualnej, a zarazem tym aktem uzurpacji sama siebie, w podwójnym sensie samowyklucza, zamyka się w szczelnej klatce podwójnie samowykluczającej podmiotowości. Abdykuje w sensie moralnym i intelektualnym: przyznaje się do niemożności wyjścia poza antropocentryczne wyobrażenie rzeczywistości.

GŁOS MĘŻCZYZNY 1: To wszystko na dziś w naszym programie. A miłośników przyrody zapraszamy na reportaż z parku narodowego na Borneo na naszej antenie już dziś o dwudziestej pierwszej trzydzieści.

PANI DOMU: Trzeba będzie zapamiętać. To może zainteresować Robina.

PAN DOMU: Coś długo ich nie ma.

PANI DOMU: Na pewno zaraz wrócą.

9.

GŁOS MĘŻCZYZNY 3: Te, małpa, chcesz banana?

ROBIN: Wrrrrrrr!

JULIAN: Panowie, nie zaczepiajcie go, on tego nie lubi.

GŁOS MĘŻCZYZNY 3: A umie jakieś sztuczki cyrkowe? Małpa, umiesz fiknąć kozła? Fikaj, to dostaniesz łyk wody ognistej!

GŁOS MĘŻCZYZNY 2: Hehehe!

GŁOS MĘŻCZYZNY 1: Zobacz, jak się wyszczerza. Nadawałby się do reklamy pasty do zębów.

ROBIN: Wrrrrrr!

JULIAN: Panowie, proszę, nie róbcie tak, bo on się bardzo denerwuje.

GŁOS MĘŻCZYZNY 3: To niech idzie do cyrku albo do zoo. A tu jak przyszedł, to niech nam poskacze dla rozrywki. Dawaj mi tę smycz, już ja go wytresuję.

ROBIN: Wrrraaaaaaaaa!

10.

JULIAN: I wtedy Robin zerwał mi się ze smyczy i rzucił się na nich. Ale nie tak, żeby im zrobić krzywdę, tylko żeby ich przegonić, przestraszyć. Zaczął walić pięściami w tors i zaryczał, aż dudniło.

ROBIN: Chrrraaaaaaaaaa!!!!

PAN DOMU: Puściłeś go?

PANI DOMU: Daj spokój, przecież to jest chłopiec. Robin waży dwa razy więcej od niego. Nawet ty byś go nie utrzymał.

JULIAN: Oni uciekli, ale zostawili puszki z piwem. Część się wylała, ale część stała na murku. I Robin to wszystko wypił. Tak szybko, że nie zdążyłem zareagować.

PANI DOMU: Widocznie był spragniony.

PAN DOMU: Nasz Robinek!

Ale nie byłoby sprawy, gdybyś nie wychodził poza teren kondominium, jak ci mówiłem.

JULIAN: Nie chciałem wychodzić, ale wyjeżdżał samochód i Robin przeszedł za nim. To wszystko działo się potem, jak już wracaliśmy do naszego domu.

PANI DOMU: Więc wypił to piwo i co?

JULIAN: I wtedy właśnie zaczął naprawdę wariować. Zerwał sobie z szyi obrożę ze

smyczą i pobiegł w stronę parku. A ja za nim. Ryczał przy tym okropnie.

ROBIN: Rrrrrrrrrrrr!

PAN DOMU: Filmowałeś to?

JULIAN: Tak, miałem kamerę przymocowaną do czapki. Ale obraz jest trochę niewyraźny, bo biegłem.

PAN DOMU: Chętnie później zobaczę. Dobrze, opowiadaj dalej.

JULIAN: Więc wszyscy uciekali nam z drogi. Tylko ta starsza pani nie uciekła. Widocznie była głucha albo się przestraszyła. Robin rzucił się na nią, jakby się chciał z nią przywitać. Ona próbowała się odganiać laską, ale to nic nie dało. Tylko Robina zachęciło bardziej do zabawy.

PANI DOMU: Nawet człowiek po piwie zachowuje się agresywnie, a co dopiero zwierzę.

JULIAN: Zaczął z tej pani zdzierać ubranie, potem, jak już była prawie goła, przewrócił ją na ziemię i usiadł na niej, wydając jakieś takie dziwne okrzyki.

ROBIN: Oooo, oooooo, ooooo, wrrrrr.

JULIAN: A potem nagle wstał i pobiegł dalej.

PAN DOMU: Do parku?

JULIAN: W tamtą stronę. Pobiegłem za nim, ale biegł za szybko, nie mogłem go dogonić. I potem go już nie widziałem.

PAN DOMU: Nie mogłeś go zawołać? Pewnie gdzieś tam siedzi, przestraszony. Może go przejechał samochód? Jak mogłeś go tam zostawić samego.

PANI DOMU: Daj dziecku spokój, nie widzisz, jak sam jest przestraszony.

JULIAN: I co teraz będzie?

PAN DOMU: Biedny Robin. Mam nadzieję, że go nic złego nie spotkało. Po tym, co przeszedł podczas bombardowania zoo, teraz taka historia.

PANI DOMU: Myślę, że teraz zajmie się nim policja albo straż miejska.

PAN DOMU: Mam nadzieję, że go nie zastrzelą. Musimy tam pójść, uprzedzić ich, powiedzieć, że to nasz mały Robin.

JULIAN: Zastrzelą Robinka? Za co?

PANI DOMU: Nie bój się, nie zastrzelą. Dostanie pocisk usypiający, taki z igłą i jak zaśnie, przewiozą go do zoo. A tam się nim dobrze zaopiekują.

PAN DOMU: Gdyby człowiek tak się zachował, mogliby go zastrzelić, ale małpie nic się nie stanie. Co jej zrobią? Oskarżą przed sądem? Dadzą wezwanie na kolegium? Zwierzę to zwierzę. Jest bezkarne.

PANI DOMU: Może jednak pójdziemy go szukać.

JULIAN: Mogę iść z wami?

PAN DOMU: Ja pójdę, wy zostańcie. Jest za późno.

PANI DOMU: Bądź rozsądny. Jeśli wyjdzie na jaw, że to my go sprowadziliśmy, będziemy odpowiadać za to, co zrobił. Jeśli zobaczysz przy nim policję, wracaj.

PAN DOMU: Nie mogę go tak zostawić. Przecież to nasz Robin.

PANI DOMU: Włączę telewizor. Pewnie prędzej pokażą go na jakimś kanale informacyjnym, niż ty go znajdziesz po ciemku.

JULIAN: Mogę ja też pooglądać? Martwię się o naszego słodziaka.

11.

PAN DOMU: Dzień dobry, kochanie! Jak ci minął dzień?

PANI DOMU: Ciszej, nie przeszkadzaj, Robin ogląda telewizję. Wiesz, że on nie lubi, jak mu się przeszkadza oglądać telewizję.

ROBIN: Wrrrraaaa.

PANI DOMU: O, sam słyszysz.

PAN DOMU: Co ogląda?

PANI DOMU: Oglądał długo Eurosport, potem zmieniał kanały, przeleciał przez parę programów informacyjnych, teraz zatrzymał się na jakimś serialu historycznym. *Dynastia Tudorów* czy jakoś tak.

PAN DOMU: Robin uwielbia Eurosport. Wiesz, że on rozróżnia drużyny sportowe? Raz odpoczywałem na jego legowisku, kiedy on oglądał na kanapie mecz FR Barcelona z Realem Madryt. Było oczywiste, że kibicuje Barce. Kiedy oni strzelali gole, Robin cieszył się, a kiedy strzelił Real, wyraźnie posmutniał. A ja razem z nim.

PANI DOMU: Ale przecież ty kibicujesz Realowi.

PAN DOMU: Tak, ale nie chciałem tego okazywać. Jak się raz na początku meczu zacząłem cieszyć, gdy bramkarz Barcy przepuścił gola, Robin spojrzał na mnie tak… Bałem się, że mnie ugryzie.

PANI DOMU: Musimy szanować jego preferencje. Nie drażnić go. Unikać sytuacji, w których może się poczuć dotknięty. Wtedy wszystko między nami będzie się dobrze układało.

PAN DOMU: Jasne. Myślę, że wypracowaliśmy sobie już jakieś *modus vivendi*. Wczoraj oglądałem z nim wiadomości i było bardzo dobrze. Raz się nawet do mnie przytulił, jak pokazywali zdjęcia ze schroniska dla zwierząt.
Co tam smażysz?

PANI DOMU: Nie zaglądaj mi na patelnię, widzisz, że coś się dusi.

PAN DOMU: Zjemy dziś jakąś dobrą kolację?

PANI DOMU: To wątróbka dla Robina. Wiesz, jak on lubi wątróbkę. Zauważyłam, że jeśli dostanie swoją ulubioną wątróbkę, jest spokojniejszy i jakiś taki bardziej do życia. Jeśli coś zostanie, to ci dam.

PAN DOMU: A co zjem, jak nie zostanie wątróbki?

PANI DOMU: Co chcesz. Możesz sobie zrobić makaron z pesto genovese.

PAN DOMU: Ile razy w tygodniu można jeść makaron z pesto genovese.

PANI DOMU: Przypominam ci, że to ty go tu sprowadziłeś. Więc teraz nie narzekaj.

PAN DOMU: Julian jest spokojniejszy, bardziej szczęśliwy. Lepiej się uczy. Ma mocniejszą pozycję w szkole. Już wrócił?

PANI DOMU: Tak, siedzi u siebie i odrabia lekcje.

PAN DOMU: Szkoda tylko, że po tamtej historii nie może go wyprowadzać. To była dobra szkoła odpowiedzialności. No ale zrobiliśmy świetny film. Wiesz,

ile ma odsłon? Kiedy spłyną pieniądze z reklam, będziemy naprawdę bogaci. Sam nie wiem, po co ja jeszcze pracuję w tym banku.

PANI DOMU: Dobrze, zrobię ci coś do jedzenia.

PAN DOMU: A ja pójdę zobaczyć wiadomości. Podobno coś ma się wydarzyć z kursem franka. Bank Szwajcarii miał ogłosić swoje stanowisko.

PANI DOMU: Za dziesięć minut będzie gotowe.

12.

PAN DOMU: Oddaj pilota, chcę zobaczyć wiadomości.

ROBIN: Chraa.

PAN DOMU: Oglądałeś całe popołudnie, teraz moja kolej.

Powiedziałem, oddawaj pilota!

ROBIN: Chrraaaaaa.

PAN DOMU: No dawaj wreszcie tego cholernego pilota, muszę zobaczyć wiadomości!

ROBIN: Chrraaaaaa!

PAN DOMU: Aaaaaaaaaa!

PANI DOMU: Nic ci się nie stało?

PAN DOMU: Aaaaaaa.

PANI DOMU: Bardzo boli?

PAN DOMU: Jak to wygląda?

PANI DOMU: Poczekaj, wezmę jakiś gazik i wytrę ci krew.

PAN DOMU: Chyba nie słyszę na jedno ucho.

PANI DOMU: Dobrze, że oko jest całe.

PAN DOMU: Cholerna małpa!

ROBIN: Wrrrrrrrrr.

PANI DOMU: Przecież wiesz, że kiedy ogląda mecze, nie lubi, gdy ktoś próbuje koło niego siadać. Bardzo go to irytuje.

PAN DOMU: Ale to była *Dynastia Tudorów*!

PANI DOMU: Polityka jest niebezpieczna i historia też. Kiedy pokazują jakieś agresywne sceny, czy to gadających polityków, czy jakieś wojny, on się emocjonuje jeszcze bardziej niż przy sporcie.

PAN DOMU: Nawet nie mogę pójść do lekarza. Co ja tam niby powiem?

PANI DOMU: Musisz go zrozumieć. Może akurat przypomniał sobie, jak bombardowali jego zoo?

PAN DOMU: Szkoda, że go tam nie zatłukli w tym zoo.

ROBIN: Wrrrrrr.

PANI DOMU: Nie mów tak. Nawet o zwierzętach nie można tak mówić.
Taka sałatka może być? Wkroiłam trochę jajek na twardo i tuńczyka z puszki.

PAN DOMU: Wspaniała kolacja.

PANI DOMU: Zjesz w pokoju czy tu, w kuchni?

PAN DOMU: Może tu, nie będziemy mu przeszkadzać. Napijesz się czerwonego wina?

PANI DOMU: Chętnie.

PAN DOMU: O, podgłośnił. To chyba jakiś kanał informacyjny. Może powiedzą coś o kursie franka szwajcarskiego.

13.

GŁOS KOBIETY 1: Oni mieli poczucie, że panują nad sytuacją, że mają władzę.

Mogli zrobić z nami wszystko, co chcieli. Czułam się wśród nich jak zwierzę, jak przedmiot. Kawałek żywego mięsa. Pomyślałam, że jeśli przetrzymają nas w tym tłumie, będą nas mogli zabić lub zgwałcić na środku ulicy i nikt tego nie zauważy. Jedyne, czego chciałam, to wydostać się stamtąd.

GŁOS KOBIETY 2: Wiele osób wciąż używa w mediach rasistowskich określeń. Mówią „wielu mężczyzn o ciemnej skórze". „Mężczyzn zagranicznego pochodzenia". Albo „osób o wyglądzie wskazującym na pochodzenie z krajów arabskich lub z Afryki Północnej". A przecież to są zawsze konkretni ludzie. To, co robią, jest złe albo dobre, ale trzeba za wszelką cenę powstrzymać się od krzywdzących, rasistowskich uogólnień. Nie wywoływać paniki. Nie nakręcać spirali nienawiści.

Zresztą, kobiety w miejscach publicznych powinny same zadbać o to, by bawić się bezpiecznie. Wystarczy, że będą przestrzegać prostego kodeksu zachowania.

Po pierwsze, kobiety w miejscach publicznych powinny zachowywać bezpieczny dystans od obcych: na odległość ramienia. Po drugie, przemieszczać się w większych grupach i prosić przechodniów o pomoc w razie próby napaści, a także zgłaszać wszystkie incydenty na policję. Wreszcie, po trzecie, kobiety powinny nauczyć się, jak mają się zachowywać, by radosne zachowanie nie było mylone z dostępnością seksualną.

14.

JULIAN: Co oglądacie?

PANI DOMU: Robin skacze sobie po kanałach. Akurat włączył wiadomości.

JULIAN: Co to za miasto?

PANI DOMU: Nie poznajesz? To Bruksela. Byliśmy tam parę lat temu. Pamiętasz? Zwiedzaliśmy muzeum historii naturalnej z takimi wielkimi dinozaurami.

PAN DOMU: Chyba jakieś zamieszki czy zamach. Pełno policji. I wojska.

Słychać „Odę do radości".

JULIAN: Co to za melodia? Skądś to znam.

PANI DOMU: To hymn Unii Europejskiej.

ROBIN: Chrrr, chrrr, chrrrr, chrrr, aaaa, aaaa, aaaa.

PAN DOMU: Słyszycie? Słyszycie? On nuci! Nasz Robin nuci *Odę do radości*!

PAN DOMU, PANI DOMU, JULIAN, ROBIN*: Wstają i nucą razem „Odę do radości", coraz głośniej i głośniej.*

KONIEC

Ω

Wojciech Kudyba



Muszę to opowiedzieć

Muszę to opowiedzieć, bo w piątek wieczorem, zaraz po *Teleexpressie* kręte rury odkurzaczy przysysają się do dywanów i blok zaczyna mruczeć niczym gigantyczna pszczoła. Muszę to opowiedzieć, bo ściany i sufity, podłogi i okna wibrują i kiedy przystaję, by ominąć jukę przy drzwiach balkonowych, mam wrażenie, jakbyśmy mieszkali we wnętrzu ospałego owada, który lada moment rozprostuje ukryte pod warstwami lepiku skrzydła i wzleci, unosząc nas do nieznanego ula któregoś z gwiazdozbiorów. Jeśli jest akurat wiosna, otwieram wszystkie okna i zamykam oczy. Wydaje mi się wtedy, że lecimy na Karaiby. Tak, muszę to opowiedzieć. Fruniemy pod opieką ciemnoskórych kobiet i zagranicznych towarzystw ubezpieczeniowych, suniemy nad obłokami, przeglądając czasopisma obrazkowe. Przesuwamy się nad oceanem i smakujemy ostre kolory wakacji. Unosimy się nad rzeczywistością, smakując barwy lata i dżin z tonikiem. Mkniemy w przestworza, sącząc lemoniadę na wódce i smugę pejzażu. Czarne, angielskie litery, trochę podobne do rządowych mercedesów na chwilę zatrzymują nasze ożywione spojrzenia, w rzeczywistości jednak patrzymy tylko przed siebie, w istocie jesteśmy nieustannie wychyleni w przyszłość, optymistycznie ukierunkowani w stronę lądu. Tak naprawdę patrzymy tylko na roztaczające się przed nami krajobrazy urlopu, w rzeczywistości podchodzimy pozytywnie. Lądujemy na plaży ocienionej grzywami palm i natychmiast otacza nas zapach kokosowych batoników i dezodorantu Fa. Panie siadają na rattanowych krzesełkach i zamawiają lody Koral, a panowie patrzą w zamyśleniu, jak Murzyn przy barze nalewa im do wielkich szklanic złotą strugę żywca. Żadnych pytań, żadnego „what?" i wytrzeszczania oczu. Po prostu jasny, chłodny potok, który sunie przez mroczne i duszne zakamarki jelit, wibruje w splątanych arteriach, jak lekka, czarna melodia wyspy, jak rytm wysokich bębnów w głębi dżungli, jak daleka, taneczna pieśń autochtonów, jak rzeka.

Zimą prześladuje mnie jednak to, co mówi Mrówa.

– Może i pszczoła. Wielka Maja, która w niedzielne popołudnie na chwilę usiadła na czapce sołtysa. Jeden ruch ręki i śmierć. Kruchy, chitynowy pancerzyk, który skrywa czarną przepaść nieistnienia. Mizerne skrzydełka niezdolne do ochrony przed losem. Niewielki cmentarzyk ukryty w szarym betonie miasta. Złota, latająca tru-

mienka. – Mrówa spluwa filozoficznie pomiędzy dwa bałwanki przed blokiem i rusza przed siebie, naciskając czapkę na uszy. Jego plastikowa torba dzwoni w osiedlu niczym osiołek zagubiony w szarozielonych górach Peloponezu. Mrówa – poszukiwacz kolorowych metali – zaczyna nowy dzień.

Mrówa jest Diogenesem Ursynowa.

Około 18 schodzę na dół do pani Janeczki, pytam, czy w dzień nikt się nie kręcił, oraz zabieram dwa czarnoskóre worki śmieci. Pani Janeczka, uśmiechając się mądrze i głęboko, częstuje mnie herbatnikami Leibniz i próbuje namówić na lampkę koniaku. Ponieważ odmawiam, pyta, czy na horyzoncie mojej egzystencji nie pojawiła się na stałe jakaś kobieta, po czym wolno osuwa się w cienistą dolinę kuchni. Robi się ciemno.

– Do widzenia... – Mówię ściemnionym, wieczornym głosem.

– Do widzenia...

Kiedy znika za framugą, przyspieszam: prędko zamykam drzwi, biegnę na dół, wrzucam worki do rozdziawionej paszczy zielonego wawelskiego smoka, a potem coraz szybciej, co dwa stopnie – biegnę do siebie. Zamykam drzwi tak, jakbym zamykał czas. Zamykam codzienność. Zamykam bank, zasuwam szuflady, wyłączam komputer. Przecinam pępowinę, która łączy mnie ze światem. Otwieram nowy dzień. Wigilię nowego czasu. W pośpiechu otwieram szafki, gorączkowo wyjmuję niezbędne atrybuty święta: dwie paczki chipsów, popcorn, piwo, cztery wielkie, dwużaglowe gazety, jaskrawożółty marker. Gotowe. Włączam zieloną lampę w rogu i z oczekiwaną ulgą zapadam się w fotelu. Rzeka pospiesznych, wyszarzałych, byle jakich osiedlowych godzin zwalnia i zaczyna płynąć leniwie, wąskim strumieniem, kluczy zakolami, raz w przód, raz w tył. Okrąża wydmy i wierzby pochylone nad wodą. Kołysze się, uderza drobnymi falami o trawiaste, lekko pochylone brzegi łąk.

– Usiądźmy... – Wprawdzie nikt tego nie mówi, ale wszyscy czujemy, że polecenie brzmi właśnie tak. Wszyscy opadamy, posłuszni niewypowiedzianej frazie, tajemniczemu zaklęciu, które wypowiada ktoś inny, bezmownej frazie zrodzonej daleko stąd. Blok nagle milknie. Prawie nikt nie wychodzi. W oknach błyszczą wieloramienne świeczniki żyrandoli. Szczupłe panie na szklanych ekranach oznaj-

miają dobrą nowinę o leczniczych właściwościach margaryny, po czym spokojnie odlatują do nieba. Z obłoków majestatycznie zstępuje nowa kolekcja bielizny. W mieszkaniach coraz mniej ruchu, coraz więcej zapadania się i przegryzania. Wolno rozwijam papirus i zaczynam się wpatrywać w majestatyczne hieroglify ogłoszeń. Święto ustala się na dobre. Spokojne święto pięćdziesięciolatków. Szabat niekochanych.

Tak, to prawda, czytam wyłącznie drobne ogłoszenia. Cała reszta gazety wydaje mi się pozbawiona znaczeń. Nieznośna lekkość wiadomości. Pustka tytułów. Nicość interlinii. Tak jakby świat, który próbują opisać, był iluzją. Nieustanne wrażenie, że żadne ze zjawisk, o których mówią, nie dzieje się naprawdę. Czarny popiół liter. Kolorowe konfetti nadruków. Nic trwałego pod spodem. Nic z rzeczy, które byłyby odporne na działanie czasu. Żadnych wiadomości o tym, co zdarza się naprawdę. O czymś, co dotyka wnętrza i zmienia nasze życie, o czymś, co schodzi w głąb i dotyka nas osobiście. Nowiny, w których nic o mnie nie ma. Informacje, które mnie nie dotyczą. Erozja sensu.

Czym innym naturalnie są owe niewielkie notki, zapełniające cztery przedostatnie strony. W ich drobnych kształtach przegląda się świat i tętni niewyczerpana energia życia. *Sprzedam BIG BAGI, worki*, *Garaże ocynkowane 900 zł*, *Cierpliwy pozna blondynkę*. Żadnej dekadencji, zwątpienia w sens słów, żadnego poczucia komunikacji pozbawionej wymiarów personalnych. *Hala 21/65/6 m – sprzedam*, *Dom spokojnej starości położony w Roztoczańskim Parku Narodowym przyjmuje zapisy*, *Nerwice, stres, impotencja i inne. Specjalista z Wietnamu*, *Tresura sów*.

Czy nie są to słowa adresowane właśnie do nas, dotykające naszego życia? Czy nie odkrywamy, że za każdym z nich ukryte są dotykalne konkrety, soczyste szczegóły, a nawet zarysy fabuł? – Jakie były pierwsze słowa, które wypowiedział człowiek? Co mówią malowidła skalne? Może są rodzajem apelu, może do czegoś wzywają? Jak brzmiało pierwsze napisane po polsku zdanie w kronice klasztoru w Cystersów w Henrykowie? – *Daj, ać ja pobruszę, a ty poczywaj*. Czy nie wypowiedziano go w podobnej stylistyce, z tą samą intencją i intonacją, jak zdania *Usługi młynarskie – bardzo tanio*? Czy nie jest

tak, że właśnie ogłoszenia są prajęzykiem, którym od wielu milionów lat porozumiewa się ludzkość?

Kiedy wyciągam nogi i sięgam po piwo, myślę też o literaturze. Kto wie, czy jej przyszłością nie są właśnie ogłoszenia i czy nie dożyję chwili, w której połowę książek w księgarni będą stanowiły publikacje z różnego rodzaju anonsami. Szlaki są już przetarte. *Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie*. Czy nie brzmi to w gruncie rzeczy jak tekst reklamowy?

Można zatem powiedzieć, że tamtego wieczoru powtarzałem dobrze znany, ustalony rytuał. Wszystko było tak, jak trzeba. Chrupał popcorn, jaskrawożółty marker posuwał się w dół kolumny, nad stolikiem unosił się gorzki zapach chmielu, skrzypiał fotel. Niebieskie światła ulicy przesuwały się bezszelestnie po szybach i mogłem sobie wyobrazić, że miasto oddala się od naszych mieszkań, znika za daleką chmurą, a wraz z nim droga do banku, biurko, sterta papierów, szef i rada nadzorcza. Żadnych cyfr, żadnych przewidywań, kręcenia się w pośpiechu, żadnych załatwień. Wreszcie sam na sam ze sobą. Żaglowiec gazety przede mną i niebo gwiaździste nade mną. Fotel i ja. Początek i koniec. Wieczór i wieczność.

NAZYWAM SIĘ JERZY. JESTEM CZŁOWIEKIEM SUKCESU. PROSZĘ O MODLITWĘ

Sprawdziłem jeszcze raz, czy na pewno mam przed sobą chipsy o smaku paprykowym, i rozpocząłem uważną lekturę kolejnej kolumny. Doszedłem mniej więcej do połowy, potem powoli przeczytałem jeszcze raz to samo i zmierzałem właśnie do notatki „folie termokurczliwe", kiedy nieco niżej zauważyłem ogłoszenie, które sprawiło, że na chwilę straciłem poczucie duchowej równowagi: *Nazywam się Jerzy. Jestem człowiekiem sukcesu. Proszę o modlitwę*. Spojrzałem raz i drugi, ale litery nie znikały. Odłożyłem gazetę, wypiłem duszkiem dwa piwa i podszedłem do okna. Ulice były puste. Jedynie na parkingu kilku zakapturzonych blokersów skakało po dachu granatowej mazdy. Drzewa wokół stacji benzynowej migotały niebieskimi cieniami. Nadjeżdżał radiowóz.

Niestosowność. Tak, była w tym przede wszystkim jakaś niestosowność. Zaskakujące i niczym nieumotywowane złamanie zasady trzech jedności i bardziej od nich podstawowej zasady decorum. Niepożądane zestawienie dwóch różnych porządków. Zakłócenie har-

monii bytu. Niepokojąca rysa na jednolitej powierzchni codziennych i niepodważalnych faktów. Naturalnie, stały za tym duże pieniądze. Tylko ktoś, kto nie liczy się z pieniędzmi, zdolny jest do lekkomyślnego przełamywania obowiązujących zasad. To on zgłosił ogłoszenie, płacąc o wiele więcej, niż przewidują normalne taryfy. Jedynie spore pieniądze mogły skłonić redaktora stron reklamowych do zamieszczenia notki, która stawiała pod znakiem zapytania powagę i sensowność wszystkich innych ogłoszeń, a może i całej gazety. Odszedłem od okna i wyciągnąłem się na kanapie. Pokój zaczął obracać się wolno wokół osi wyznaczonej przez żyrandol, ponieważ jednak sufit nie miał jeszcze kolorowych wzorów, zjadłem trochę popcornu i sięgnąłem po kolejną butelkę, mamrocząc o ludzkiej uległości wobec potęgi mamony.

Pieniądze bowiem czynią ludzi całkowicie ślepymi na niebezpieczeństwo. Niepozorne ogłoszenie tylko na pierwszy rzut oka ginęło pośród innych. W istocie stanowiło groźny wyłom, szczelinę otwierającą drogę dzikiemu, niekontrolowanemu sacrum, które – raz dopuszczone do głosu – zacznie wdzierać się coraz dalej, anektując kolejne strony pisma, przeciągając na swoją stronę kolejnych czytelników, a z czasem być może także słabszych, mniej odpornych redaktorów. Kto zaręczy, że w następnych wydaniach dziennika nie poproszą o modlitwę prostytutki, sutenerzy, politycy, żołnierze, celnicy, gwałciciele i cudzołożnicy? Kto zagwarantuje, że nie zaczną się zwracać z prośbami typu: *już dłużej nie mogę, chciałabym/chciałbym, żeby ktoś pomógł mi zmienić życie*, albo, co gorsza: *chciałabym/chciałbym znaleźć Jezusa, kto mi pomoże Go szukać?*. Będą płacili za ogłoszenia tyle samo, co inni, albo i więcej. Nakład gazety wzrośnie, ponieważ będą to notki sensacyjne i z podtekstem. Każdy będzie chciał wiedzieć, kto kryje się pod takim czy innym ogłoszeniem. Kiedy maszyna ruszy, nie da się jej zatrzymać. Jest takie przysłowie: „podaj Panu Bogu palec, a weźmie Ci całą rękę". Przysłowia są mądrością narodów.



– Czyżby telefon? – Podniosłem się, ale po chwili opadłem na poduszkę. Coś musiało mi się wydawać. Na suficie, podobnie jak w dziecięcym kalejdoskopie, zaczęły się układać wirujące, wielobarwne wzory. Nie dopiłem ostatniej butelki i położyłem się spać. Tej nocy nie poleciałem na Karaiby. Nie śniło mi się też, że jestem

prezydentem lub Batmanem. Śniła mi się zima. Szedłem boso po śniegu w jakiejś procesji. Wszyscy trzymali świece płomieniem na dół. Zapytałem, skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy, i ktoś mi powiedział, że idziemy nad Jordan.

II

Być może prędko zapomniałbym o śnie i o ogłoszeniu. W dzień wszystko wyglądało inaczej. Rzeczywistość znów była twarda. Chmury szczelnie okrywały miasto – żadnego prześwitu, żadnych wątpliwości. Usiadłem przy stoliku i wypiłem kawę, nie zauważając żadnej rysy pomiędzy nią i sączącymi się z radia wiadomościami. Była sobota. Zamknąłem drzwi łazienki, nie przypuszczając, że pomiędzy nimi i progiem mogłaby powstać jakaś luka. Robiłem listę zakupów i zastanawiałem się, co jeszcze należałoby wywieźć na wózku z centrum zakupów Eden. Nie sądziłem, że także w moich myślach może nagle pojawić się szczelina, niespodziewana, wolna przestrzeń, znamienna, metafizyczna pauza. Wtedy właśnie ktoś zadzwonił do drzwi. Wstałem, zerknąłem przez wizjer i niespiesznie odryglowałem cztery zamki, pozostawiając zaciągnięty gruby łańcuch. Na klatce stało dwóch chłopców. Jeden starszy, drugi młodszy. Młodszy trzymał kartonik owinięty w folię.

Jesteśmy dziećmi Boga. Czy możemy się za Pana/Panią pomodlić?

– Znowu czegoś chcą... – Pomyślałem zrzędliwie, po czym odruchowo odblokowałem łańcuch i wyjąłem z portfela 10 zł:

– Trzymaj i więcej się tu nie pokazuj!

– Nie chcę pieniędzy! – Głos dziecka zabrzmiał jakoś dziwnie, więc zamiast pójść do kuchni po kanapkę z szynką i ciasto – co zwykle robię w podobnych przypadkach – stanąłem w drzwiach i uważnie przeczytałem napis na kartonie: *Jesteśmy dziećmi Boga. Czy możemy się za Pana/Panią pomodlić?*.

– To jakiś absurd... – Prędko zamknąłem drzwi i pobiegłem do łazienki. Stanie nad zlewem, trzy szybkie przysiady, cztery pompki i dwadzieścia głębokich oddechów zwykle mnie uspokajają, tym razem jednak nic nie pomagało. Czyżby namierzyła mnie jakaś sekta? Wróciłem i rozejrzałem się po klatce. Chłopcy schodzili akurat z góry, więc zapytałem:

– Gdzie chcecie się modlić? Na korytarzu? W bloku tak brzydkim, że na pewno nie ma w nim żadnego Boga?

– Nie, nie tu... Chcemy tylko zapytać, czy Pan się zgadza...

– Wejdziecie na chwilę? – Chłopcy zmierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów. Trwało to drobną chwilę, po czym młodszy wyjął lewą rękę z kieszeni, popatrzył na starszego, uśmiechnął się i powiedział:

– Na dziesięć minut.

– Nie boicie się? – Odsunąłem krzesło i dałem do zrozumienia, żeby usiedli.

– Czego mielibyśmy się bać?

– No, wiecie... – Zmieszałem się – Różnie to bywa. Być może jestem złym człowiekiem? Krzywdzę sieroty i wdowy, molestuję sąsiadów, znęcam się nad dziećmi... – Nastawiłem wodę na herbatę, a wtedy starszy zmierzył mnie długim, lekceważącym spojrzeniem i odparł:

– Pan? To zupełnie niemożliwe. Znam się na ludziach. Fanta mówi, że jego mama potrafi czytać w ludzkim sercu. Mnie też czasami zdarza się coś podobnego. Patrzę człowiekowi w oczy i przeczuwam wszystko. Trzeba mieć czyste spojrzenie. To jest podstawa.

– Kim jest Fanta?

– Fanta to gość. Jeszcze niedawno był blokersem, ale jakiś czas temu się nawrócił. Być może jakoś go pan kojarzy, bo był wschodzącą gwiazdą rapu. Czterysta tysięcy sprzedanych płyt. Dziewczyny, narkotyki, dwa wyroki w zawieszeniu, własne sportowe auto. Szesnaście miesięcy na listach przebojów. Niektóre teksty może Pan pamiętać, bo był czas, że puszczali je na okrągło: *uchu, chuchu, zawsze jesteś w moim uchu*, albo inne, w których co drugie słowo, to przekleństwo. Gang wciąż istnieje, ale teraz zajmujemy się czym innym.

– Skaczecie po samochodach?

– Nie, to nie my. My chodzimy po domach, a potem w kościele modlimy się za ludzi. Fanta ma u siebie listę tych, którzy są najbardziej potrzebujący. Nagrywamy też płyty, ale inne niż dawniej. Zaśpiewam panu nasz najnowszy przebój. Tekst jest może trochę szokujący, ale Fanta mówi, że prawdziwa sztuka musi dziś prowokować, bo inaczej nikt nie zwróci na nią uwagi. Szkoda, że nie mam bębenka albo przynajmniej gitary. Dwa razy w tygodniu spotykamy się u księdza na plebanii. Staramy się też raz w miesiącu przystępować do sakramentu spowiedzi. Przed lekcjami wielu z nas chodzi do

kościoła na mszę lub choćby na samą krótką modlitwę przed Obrazem Miłosierdzia. Ci, którzy już pracują, idą na szóstą. Naprawdę szkoda, że nie mam sprzętu. Z gitarą brzmi całkiem inaczej:

ciemnia, ciemnia,
ciemne gówno,
to jest życie
bez Chrystusa

– Nie wszyscy to rozumieją. Tak mówi Fanta. Pan jest trzeci na liście.

Mam przywidzenia. Drobne omamy, które są skutkiem przepracowania. Wczoraj, kiedy wracałem z pracy, dałem żebrakowi pod kościołem złotówkę i widocznie niechcący rozbudziłem w sobie jakieś pseudoreligijne, chaotyczne fantazmaty, w których to, co brzydkie, miesza się z tym, co wzniosłe. Jakieś niezrozumiałe, koszmarne obrazy, które w niedopuszczalny sposób jednoczą w sobie górę i dół, to, co wysokie, i to, co niskie, świętość i grzech, sacrum i profanum. Chłopiec tak naprawdę nie istnieje. Ani on, ani cała reszta. Rzeczywistość podobnie pomieszana, zupełnie nieuporządkowana, las rzeczy, w którym w sposób nieuprawniony i bezzasadny mieszają się tak różne porządki – to wszystko jest po prostu niemożliwe. To, co jest niemożliwe, nie istnieje. To, co nie istnieje, nie może się jawić zmysłom. Wypiję herbatę i wszystko przejdzie. Wypiję herbatę, zjem dwa batoniki i okaże się, że się po prostu zamyśliłem. Prawdopodobnie się starzeję.

– Więc wierzycie w Boga? – Nie wypowiedziałem tego na głos, wstałem jednak i zacząłem bezwiednie nalewać herbatę do szklanek. Była już ósma i osiedle zaczynało się z wolna poruszać miarowym, mrówczym rytmem. Nawrócony gangster. Odmieniony król rapu. Gang, który spotyka się na nabożeństwach. Zamknąłem oczy i natychmiast zobaczyłem wielkie, czerwone litery na pierwszej stronie „Super Expressu”: *Gang, który się modli*. Zaraz po nim płynęła w powietrzu tytułowa strona „Nie”: *Modlitewne komando Ursynowa*. Sami są sobie winni. Niechby się i modlili, ale po co to ujawniają innym? Żadnego wyczucia, żadnych zabezpieczeń. Tak samo jak facet od ogłoszenia nie wiedzą, że otwierają drogę nieokiełzna-

nemu, żywiołowemu Bogu, który zagarnie całe ich życie. Być może wciąż jeszcze wierzą, że uda się im zakreślić Mu jakieś granice, tak naprawdę jednak gołym okiem widać, że już dali się Mu uwieść. Że już pozwolili, żeby nimi kierował, wpływał na ich plany życiowe, decyzje, sny i marzenia. Tylko na pozór będą mieli teraz własne drogi, własne myśli i własne uczucia. Tak naprawdę ich życiem będzie teraz Chrystus. To on będzie teraz ich drogą, ich miłością, wypełni ich myśli i rozmowy. Jeszcze tego nie wiedzą, ale prędzej czy później ktoś znajdzie na nich haka. Za grosz dyplomacji. Dziwne, że ktokolwiek wpuszcza ich w ogóle do kościoła…

– Myślicie, że potrzebuję czyjegoś miłosierdzia? Że nie daję sobie rady? – Odwróciłem się i o mało nie rozlałem herbaty.

– Nie wiem. Fanta mówi, że im bardziej człowiek myśli o swojej samowystarczalności, tym bardziej powinniśmy się za niego modlić. Powiem, żeby przesunął pana na drugie miejsce. – Młodszy wstał i zaczął zapinać kurtkę.

– Kto jest na pierwszym?

– Pan Emil. To co, możemy?

– Nie, nie możecie. Jak zechcę, to sam się pomodlę! – Zerwałem się, chcąc coś jeszcze powiedzieć, ale chłopcy byli już na dole. Nerwowo założyłem płaszcz, zatrzasnąłem mieszkanie, wybiegłam na podwórko i odśnieżyłem auto. Ruszyłem z piskiem opon i w drodze do sklepu wyprzedziłem szesnaście samochodów osobowych i cztery ciężarówki. Wysiadając, kopnąłem z całej siły w zaspę, przemocą wcisnąłem w pyszczek wózka monetę i wszedłem do sklepu, czując, że powoli opadają ze mnie krople wody i emocje. Przed bankomatem stała długa kolejka i o mało kogoś nie potrąciłem. Emil był wiceprezydentem miasta.

III

Niedzielne popołudnie zawsze spędzałem ze Zdzichem w kawiarni *Pod Ślepowronem*. Obaj lubiliśmy ten zaciszny kąt pełen aromatycznych kobiet i dymu. Wysłałem SMS, żeby przyszedł tam, gdzie zawsze, i otrzymałem odpowiedź, że wszystko jest w porządku. Starałem się zapomnieć o Fancie i o ogłoszeniach, ale nie potrafiłem. Włączyłem nawet przy obiedzie jakiś film sensacyjny, żeby trochę

oczyścić wyobraźnię, niestety, niesforny umysł wciąż powracał do motywów religijnych. Jedyną nadzieją była kawa z adwokatem. Jedyną nadzieją był Zdzicho. Wyszedłem godzinę wcześniej niż zwykle i posuwałem się bardzo wolno. Nie bez satysfakcji skonstatowałem, że kawiarnia znajduje się na swoim miejscu. Świerszcz tkwił jak zwykle w drzwiach, zamiast jednak gapić się bezmyślnie na panienki, zmrużył oczy i coś szeptał pod nosem – miarowo i w kółko to samo, jakby odmawiał litanię. Na tylnej ścianie wisiał odwieczny plakat dziewczyny z dymkiem przy ustach. W dymku były słowa: *Czy kiedykolwiek modliłeś się za mnie?*. Na początku udałem, że go nie dostrzegam, ale potem moje włosy nieco uniosły się do góry, stopniowo. Najpierw nad uszami, potem zaś z tyłu. Jedynie grzywka była tam, gdzie trzeba. Nie starczyło mi odwagi, żeby zapytać Świerszcza, co jest grane. Zamówiłem setkę i pomyślałem z ulgą, że jeśli to jakieś omamy, to za chwilę miną, a poza tym niebawem pojawi się Zdzicho. Oprócz mnie przy kontuarze nie było nikogo.– Cześć! – Zdzich był jak zwykle elegancki i gładki. Jedynie prawa klapa płaszcza nieco odstawała. Pomyślałem, że coś w tym musi być i że lepiej to sprawdzić.

– Co tam masz? – Rzuciłem tonem zdradzającym niepokój i prędko złapałem za kieszeń.

– Spadaj... – Zdzich szarpnął się i odskoczył. Płaszcz wyślizgnął mi się z ręki, więc prędko rzuciłem:

– Nadajnik?

– Zwariowałeś? – Ręka Zdzicha powędrowała w górę i ukazała przedmiot mojego niepokoju.

– Przecież to różaniec. Szedłem piechotą, więc przez drogę mogłem się chwilę pomodlić...

Zapadła cisza. Kawiarnia wolno obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i stanęła na głowie. Przestały obowiązywać reguły. Fizyka na chwilę zrezygnowała ze swych prerogatyw i to, co widziałem, jawiło się być może wyłączenie oczom mojej duszy. Kieliszki zawisły nad barem, a ich zawartość przybrała kształt wielobarwnych kul, które zaczęły się obracać i poruszać niczym nieważkie, akwariowe ryby. Granice pomiędzy przedmiotami i zjawiskami stały się nieostre, jak w bardzo dawnym filmie. Świece paliły się teraz płomieniem na dół, zupełnie tak jak w moim przedwczorajszym śnie. Jakaś całująca się para oderwała się z ciem-

Czy kiedykolwiek modliłeś się za mnie?

nego zakamarka i frunęła w powietrzu lekka, pachnąca Hiszpanią. Powietrze stało się tak czyste, że przez uchylone drzwi mogłem zobaczyć wielką rzekę, po której płynęła kra. Świerszcz, który miał ręce jak przedwojenne miny morskie, ni stąd, ni z owąd wyjął skrzypce i zaczął grać tęskną, żydowską melodię. Dziewczyna zeszła z plakatu, założyła długa purpurową suknię i zaczęła tańczyć, wystukując rytm spiczastymi obcasami. Niebawem wszyscy goście utworzyli zgodny, rytmiczny krąg, powierzyli się melodii.

– Zdzich – powiedziałem szeptem. – Zdzich, nie możesz mi tego zrobić. Nic już nie pamiętasz? Nie pamiętasz, co mówiłeś: że liczą się tylko trzy „k"? Że tylko to powinno nas obchodzić: koledzy, kobiety i kariera? Nie pamiętasz naszych ulubionych stron internetowych? Zapomniałeś o www.tylko-my.pl, www.ciumkanie.org, www.godziwa.com? Co się z tobą dzieje? Przecież to ty mówiłeś, że trzeba się przepychać, że trzeba iść do góry, nie dać się zepchnąć. Że interesuje nas tylko władza. Władza i pieniądze. Że zmiażdżymy każdego, kto zechce nam przeszkodzić. Że jesteśmy dziećmi sukcesu. Potomkami Minerwy. Chcesz to wszystko zniszczyć? Nie wiesz, że przez te wszystkie lata chciałem być taki jak ty: przebojowy, szybki, elokwentny? Nie wiesz, że poruszałem niebo i ziemię, żebyś się dostał do rady nadzorczej? Że roznosiłem po nocach paszkwile przeciwko twoim konkurentom i o mało nie wywalili mnie z banku, gdy raz zasnąłem przy kasie? Nie wiesz, że musisz się teraz mocno trzymać, bo młode szczury depczą ci po piętach?

Igrasz z ogniem. Myślisz, że przesuwając paciorki różańca, ustawiasz sobie Boga. Wierzysz, że teraz, kiedy jesteś taki pobożny, będzie spełniał wszystkie twoje zachcianki. Mylisz się. Nie będziesz Nim rządził. To On będzie rządził tobą. To On będzie ci mówił, gdzie masz iść i co masz komu powiedzieć. Wpuściłeś Go do swojego życia i teraz już musisz się z Nim liczyć. Nie możesz już żyć tak, jak chcesz. Ty jeszcze tego nie wiesz, ale ja już wiem. Przedwczoraj był piątek. Wszystko zaczyna się w piątek. W piątek wieczorem nadmierny, niekontrolowany przez nikogo Bóg rozdziera zasłonę i zaczyna przemawiać w miejscach, w których nigdy byś się Go nie spodziewał. Przebija promieniem chmury i zostawia ślad na twojej drodze. Jeśli tylko spojrzysz w Jego stronę, zaczyna Cię wołać po imieniu, przyciąga do siebie. Zakładaj płaszcz. Musimy stąd prędko uciekać. Wiejmy,

póki nie jest jeszcze za późno. – Wstałem i zacząłem się gwałtownie ubierać, ale Świerszcz przechylił się nagle i do ciemnej, namiętnej melodii skrzypiec dołożył głęboki, mistyczny bas wokalu.

– Spróbuj... – Zdzich uniósł się w milczeniu ponad krzesło i wbrew jakimkolwiek prawom, przefrunął łagodnie nad kontuarem, rozprostował się, wziął mnie za rękę i pokazał kilka podstawowych ruchów.

– Spróbuj. Nie musimy już chodzić. Teraz możemy fruwać. Już teraz możemy się unosić, możemy roztrącać ramionami powietrze i spocząć na obłokach. Już teraz kwitną ogrody i do prowincji niskich łąk wjeżdża spokojny orszak króla. Musisz się podnieść. Musisz się trochę rozprostować.

– Zdzich. – Jęknąłem. – Zdzich... Przecież widzisz, że nie mogę, popatrz tylko, nie jestem taki jak ty, jestem zaniedbany, bracia bili mnie w dzieciństwie, ojciec opuścił nas, gdy miałem cztery lata, matki nigdy nie było w domu, jestem zupełnie zmarnowany, jestem zbyt ciężki... Zdzich... – Chciałem się wyrwać, ale podeszła do nas dziewczyna z plakatu.

– Zatańczysz? – Nie odpowiedziałem. Nie wiadomo dlaczego objąłem ją i zaczęliśmy wirować wokół światła. Wirowaliśmy i czułem, jak blask przyciąga nas do siebie, ogarnia nieoczekiwaną siłą. Patrzyłem na jej falujące włosy i pogrążałem się coraz bardziej. Wir melodii ogarnął nas, unosił bez trudu, jakbyśmy byli drobnymi lotkami dmuchawca, zabierał, jakbyśmy byli oddechem. Świerszcz powtarzał coraz goręcej słowa dawnej pieśni:

Wezbrało moje serce słowem wdzięcznym
Śpiewam moją pieśń królowi
Język mój jest jak rylec pisarza biegłego
[...]
Mirrą, aloesem i kasją pachną szaty twoje
Przed pałacami z kości słoniowej rozwesela ciebie dźwięk lutni
[...]
Córki królewskie są pomiędzy polubienicami twoimi
Po twojej prawicy stoi królowa w złocie Ofiru
[...]
Ja sprawię, że pamiętać będą twoje imię wszystkie pokolenia
I ludy sławić będą ciebie na wieki wieków

– Zawsze tak tu jest?

– Zawsze.

Zrzuciłem płaszcz i było przyjemnie żeglować z głową opuszczoną na dół, płynąć nad podłogą, nie dotykając starego, woskowanego drewna, unosić się niezgodnie z fizyką, kołysać się wbrew psychologii, tańczyć na przekór cywilizacji, na przekór przeszłości i przyszłości, w wiecznym teraz, w jednej chwili, na którą się czeka, w jednej chwili, która może trwać zawsze.

– Czujesz to? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałem. Czułem zapach ciepłego morza wokół półwyspu Gargano i gorzki, wieczorny aromat tymianku, od którego kręciło mi się w głowie.

– Bóg jest muzyką – powiedziała.

– Bóg jest muzyką – powtórzyłem.

Melodia podnosiła się i opadała, ulatywała i wracała, przechodziła przez salę, przez głowy i przez ręce, przez serce i przez myśli. Wciąż tańczyliśmy. Między jednym obrotem a drugim widziałem przez otwarte drzwi dalekie, kruche miasto. Tak dalekie, jakby było czymś innym. Na jego skraju świecił słoneczny prostokąt ulicy. Wzdłuż lewej krawędzi jezdni szedł Mrówa z latarką w ręku. Choć było jasno, świecił nią w przechodniów, powtarzając swe magiczne: *szukam człowieka, szukam człowieka*.

Mrówa jest Diogenesem Ursynowa. **Ω**





UKRAINA NIE WYWODZI SIĘ OD BANDERY

ZALEŻY MI NA TYM, ŻEBY *ŚWIĘTA GROTESKA* MOGŁA ZNALEŹĆ SWOJE MIEJSCE W OPOWIEŚCIACH O PRZESZŁOŚCI HISTORYCZNEJ. HISTORIA – SKĄDINĄD NIGDY NIEPOZBAWIONA CAŁKIEM ŚWIĘTOŚCI – NIGDY TEŻ NIE MA WYMIARU TYLKO HEROICZNEGO. JEST PO PROSTU AMBIWALENTNA, ZACHWASZCZONA, NIECZYSTA, NIEJASNA – TO JEST JEJ STAN NATURALNY. POLITYKA ŁATWO IDEOLOGIZUJE OBRAZ HISTORII I GO SPŁASZCZA. PISARZ JEST OD TEGO, ŻEBY PREZENTOWAĆ TROCHĘ SZERSZE SPOJRZENIE – O BANKRUCTWIE MULTIKULTI I PRAWDZIWYM DIALOGU MIĘDZYKULTUROWYM MÓWI „FRONDZIE LUX" **WOJCIECH KUDYBA**, AUTOR POWIEŚCI *NAZYWAM SIĘ MAJDAN*

***To tu, to tam ktoś z nas, poetów, jeszcze teraźniejszość w epicki kształt przyoblec usiłował, ale też wtedy właśnie się okazywało, że czas epopei minął i to, co heroiczne, w czarny humor się obraca, a wzniosłość w satyrę gorzką i siermiężną.* To są słowa na skrzydełku okładki, to są słowa narratora. Chodzi mi zwłaszcza o satyrę, o jej sposób funkcjonowania w książce. Mam wrażenie, że ona nie jest gombrowiczowska, sarkastyczna, ale dużo bardziej serdeczna, wyrozumiała, jakby była zrozumieniem wszelkiego bytu, jakimś ciepłem, które sprawia, że czytelnik lepiej interioryzuje działania bohaterów, zżywa się z nimi.**

– Czy taka u mnie... Czy ma służyć zaprzyjaźnianiu się czytelników i bohaterów... Więc jakby trochę Fredrowska, lwowska... Chyba tak... Chyba tak... Odbiorca zafascynowany Gombrowiczem może prostodusznie pomyśleć, że humor tej powieści ma odbrązowić takie wydarzenia czy postaci, które Ukraińcy poddali niemal sakralizacji. To byłoby nadużycie. Ostrze satyry uderza w *Majdanie*, tak myślę, tam gdzie powinno: w rosyjską „carewnę", w kolonialnych kacyków na Ukrainie, w kolonialną mentalność. A ironia – bardzo ważna, obecna niemal na każdej stronie utworu – to przecież przede wszystkim ironia dziejów. Ona jest częścią szerszej wizji historiozoficznej – odsłanianej w cytowanym przez pana fragmencie...

No dobrze, ale rozmawiam przecież z twórcą poezji metafizycznej, więc w jakiejś mierze wzniosłej (co nie ujmuje jej wspomnianych już serdeczności i zrozumienia). O co więc chodzi? Czy współczesna historia jest już na tyle zawiła, labiryntowa, że jedynym sposobem jej opisania, uporządkowania i rozjaśnienia jest właśnie groteska? Czy epos jest zbyt jednoznaczny i wzniosły, a przez to też narażony dziś na kpinę?

ilustracja: K. Karnkowski

– Dwie sprawy. Myślałem, że etap poezji mam za sobą, ale chyba jednak zrobiłem za mało, trzeba będzie jeszcze popracować. Bo mnie chodziło w wierszach m.in. właśnie o to, żeby stworzyć taką kategorię estetyczną, którą sobie nazwałem „święta groteska". Bo przecież jest w nas, w świecie jakaś nieprzezwyciężalna sprzeczność: my i nasz świat jesteśmy jednocześnie straszni i śmieszni, święci i grzeszni, podli i wspaniali, wzniośli i siermiężni, piękni i brzydcy. Tego nie da się ani uładzić, ani przezwyciężyć, a jak się ujednostronni, to się fałszuje. W moim długim „okresie poetyckim" czytałem teorie Kaysera i Jenningsa, w niektórych wierszach są wręcz podręcznikowe egzempla groteski. Jednym słowem: bardzo mi zależy na tym, by kategorię groteski osadzić we współczesnej poezji metafizycznej czy religijnej. Ale widzę, że to wymaga jeszcze wielu starań…
A teraz druga sprawa: tak samo zależy mi na tym, żeby „święta groteska" mogła znaleźć swoje miejsce w opowieściach o przeszłości historycznej – choćby niedalekiej. Nie chodzi tylko o Ukrainę, problem jest szerszy. Oddychamy niedobrą atmosferą naszej kultury – chorobliwie podejrzliwej wobec wszelkiego patosu. To jedno, ale obok jest coś głębszego: właśnie to przeświadczenie, o którym pan mówi. Że historia – skądinąd nigdy niepozbawiona całkiem świętości – nigdy też nie ma wymiaru tylko heroicznego. Jest po prostu ambiwalentna, zachwaszczona, nieczysta, niejasna – to jest jej stan naturalny. Polityka łatwo ideologizuje obraz historii i go spłaszcza. Pisarz jest od tego, żeby prezentować trochę szersze spojrzenie. Warto przecież dodać, że właśnie taki płaski wizerunek, zaklęty w mit heroiczny jednego kraju, czasem bywa ciężkostrawny dla drugiego i często próbują nim grać rozmaite frakcje nacjonalistyczne. Droga od Kozaków do UPA oraz do obecnie działających skrajnych frakcji Prawego Sektora staje się wtedy niebezpiecznie krótka…

Skąd więc wziął się pomysł na próbę opisania ukraińskiej tożsamości? Przecież deklaracja „Ja – Ukrainiec" zależy od tego, z której części Ukrainy pochodzi nasz rozmówca. Inaczej na pytanie o tożsamość narodową odpowie mieszkaniec zachodniej Ukrainy, inaczej wschodniej, jeszcze inaczej mieszkaniec Zakarpacia itd. Pokazałem pana powieść znajomej Ukraince. Na pytanie, o czym ona jest, odpowiedziałem, że m.in. o ukraińskiej tożsamości. Odpowiedziała: – To niemożliwe. Nie ma jednej ukraińskiej tożsamości.

– A skąd pomysł, że chciałem opisać ukraińską tożsamość? To byłoby dowodem i arogancji, i niewybaczalnej pychy, i szaleństwa… Jeśli coś jest na rzeczy, to chyba tylko to, że – po pierwsze – pojawia się pytanie o początki, o źródła ukraińskiej świadomości narodowej; po drugie: obecny jest wątek tożsamości właśnie

niegotowej, stającej się. Ta pierwsza sprawa to właściwie tylko jedno zdanie, w którym bohater mówi, że Ukraina nie wywodzi się od Bandery, ale ma dużo głębsze korzenie, sięgające Rusi Kijowskiej i kultu świętej Olgi. I tylko tyle. Może w opowieści Petra jest jakieś pragnienie, żeby osią współczesnej tożsamościowej narracji stał się Majdan – rozumiany jako doświadczenie własnej godności, odkrycie źródeł podmiotowości w wierności takim wartościom, jak prawo, sprawiedliwość, dobro wspólne – które są zakorzenione w ponadtysiącletniej tradycji ukraińskiego chrześcijaństwa. Ale to pragnienie to przecież całkiem coś innego niż opis jakiejś gotowej, ustalonej tożsamości narodowej. Pana rozmówczyni wie, co mówi. To widać gołym okiem nawet stąd, z Polski: że dziś Ukraińcy niejako na nowo definiują samych siebie, próbują skleić opowieść o sobie w sensowną całość. A robią to dlatego, że ona wciąż jest złożona ze sprzecznych, z niepogodzonych ze sobą stanowisk, grup wartości itp.

No właśnie: Petro Majdan mówi o swoich korzeniach, że są majdanem – placem, na którym spotkały się różne nacje. Jego babcia jest Polką, ojciec wyrobił sobie niemieckie dokumenty, bo jego dziadek wyznania mojżeszowego pochodził z Saksonii. To tożsamościowe rozchwianie widać również w stosunku rodziców Petra do pierwszego Majdanu – bojowniczo nastawiony, ideologicznie nawrócony ojciec i pełna lęku, niedowierzająca działaniom męża matka. Z etosem niepodległościowym, obecnym choćby w naszej poezji stanu wojennego – o której tyle pan napisał – ma to niewiele wspólnego...

– Tak, to prawda: polskie doświadczenia historyczne, kulturowe, społeczne są zupełnie inne niż ukraińskie. Historia Majdanu tylko trochę przypomina dzieje naszej Solidarności. I właśnie o to chodzi w powieści: żeby pokazać, że łatwe analogie nie są możliwe, że Ukraina to ciągle projekt, to ciągle tygiel, w którym historia na naszych oczach uciera w jednolitą masę nieprzebrane bogactwo niepodobnych do siebie postaw, różnych mentalności i żywiołów kulturowych, czyli jawnie skłóconych ze sobą elementów. To ucieranie widać w powieści i tam, gdzie mamy losy jednostkowe, i tam, gdzie pojawia się plan szerszy – społeczny czy nawet kulturowy.

Dobrze, że do tego planu doszliśmy: podoba mi się ujęcie wielokulturowości, jakie pan proponuje. Chyba najlepiej widać je w spotkaniu Yokoty – Japończyka, obywatela świata – z babcią Petra, która w powieści stanowi metaforę pamięci i tradycji. Czy mam rację, że dla pana wielokulturowość jest formą dialogu – wymiany doświadczeń i obyczajów kulturowych, ale pod warunkiem

zachowania własnej odrębności – może lepiej byłoby powiedzieć: wyjątkowości – kulturowej? To zupełnie inna koncepcja, dużo bardziej zdroworozsądkowa niż lansowana w mainstreamie teza o powszechnej egalitaryzacji kulturowej i obyczajowej, podbudowana ideologicznym mitem o społeczeństwie multikulti…

– No cóż, to, co mainstream nazywa egalitaryzacją, jest tak naprawdę okcydentalizacją – często brutalną i opresyjną wobec religii i lokalnych kultur. A mit społeczeństwa multikulturowego – lansowany zwłaszcza przez zielonych Niemców – właśnie na naszych oczach się rozpada. Fala uchodźców obnaża jego utopijny charakter. Niemiecka i nie tylko niemiecka multikulturowość jest fikcją. Kryje się za nią całkiem nieszlachetna potrzeba taniej siły roboczej. O asymilację, inkulturację i integrację społeczeństwa nikt tam nie pyta. A przecież dialog międzykulturowy, umożliwiający inkluzję dużych grup społecznych, nie jest żadną utopią. Jest to koncepcja obecna w polskiej praktyce i myśli politycznej od XVI wieku, pojawiająca się też później w literaturze i to w dodatku tej, której bohaterami są mieszkańcy ukraińskich Karpat. Myślę zwłaszcza o Stanisławie Vincenzie i jego niezwykłej opowieści *Na wysokiej Połoninie*. Pokazując rozmaite mechanizmy inkluzyjne, włączające rozmaite jednostki w jedno społeczeństwo, pisarz – prekursorsko! – próbuje m.in. rozwiązać podstawowy dylemat współczesnej tożsamości indywidualnej. Podpowiada, jak być nowoczesnym, nie zrywając więzi z szeroko rozumianą tradycją, jak być oryginalnym w rodzącym się wtedy, u początków XX wieku, społeczeństwie masowym. Jednym słowem: uczy tego, jak otwierać się na nowe, nie zrywając więzi z własnymi kulturowymi korzeniami – rodzinnymi, lokalnymi, etnicznymi, narodowymi czy religijnymi. Jeden z jego bohaterów, Foka, jest właśnie kimś takim, kto nie uchybiając tradycji – a więc lokalnym obyczajom i sposobom widzenia świata – jest człowiekiem otwartym na to, co w cywilizacji Zachodu wartościowe. Mój Petro Majdan to ktoś, kto dysponuje taką właśnie, poszerzoną tożsamością indywidualną: nie porzucając związków z kulturą pierwotną, agrarną, z kulturą lokalną i narodową, jest jednocześnie bystrym naukowcem o horyzontach europejskich, któremu obce są jakiekolwiek kompleksy wobec Zachodu.

Równie ważną jak dialog międzykulturowy kategorią wydaje mi się w świecie Pana opowieści wspólnota. Jak mówi bat'ko Petra: *Gdy siebie we wspólnocie osadzisz, zaraz nicość pokonasz i złemu realną, a skuteczną siłę przeciwstawisz*. W *Nazywam się Majdan* wspólnota posiada charakter wielowymiarowy – stanowią ją rodzina Petra, jego przodkowie, jak również przyjaciele, naród, w końcu cała

Europa. Chyba słusznie domyślam się, że w pańskim projekcie wspólnoty rozbrzmiewają echa filozofii Charlesa Taylora – wspólnota jest kategorią polifoniczną, dopiero poprzez kontakt z innymi odkrywamy własne „ja". Czy wspólnota stanowi swego rodzaju obronę przed niepewnością, w której, jak już powiedzieliśmy, zanurzone są najnowsze dzieje?

– Kiedyś już zwierzałem się Panu z moich fascynacji myślą Taylora, zgodziliśmy się wtedy, że to niemal jedyny żyjący filozof, którego w ogóle da się czytać. Więc teraz tylko jeden drobny element jego myślowego gmachu: trudno nie docenić jego bystrych analiz rozmaitych lęków Zachodu. Jednym z nich – powiada Taylor – jest lęk jednostki przed wspólnotą, przed relacjami i – ostatecznie – przed społeczeństwem. Projekcją tego strachu stają się tendencje do pokazywania niemal każdej relacji i każdej wspólnoty jako nieuchronnie opresyjnej, krępującej i niszczącej jednostkę. Tymczasem doświadczenie przełomu w Europie Środkowej i ostatnie doświadczenia Ukrainy pokazują infantylny charakter tych lęków. Wielu z nas bało się kiedyś pójść do przedszkola, ale też wielu doświadczyło tego, jak uczestnictwo w przedszkolnej wspólnocie jest budujące i rozwijające. Może w niektórych miejscach globu trudno to zrozumieć, ale w naszej, postkolonialnej części świata to, co Taylor nazywa „patologicznym i godnym pożałowania egoizmem", zawsze rozbijało się o mur historii. Nasze doświadczenie historyczne nie jest przecież doświadczeniem opresji ze strony grupy przedszkolnej, ale poczuciem zmiażdżenia przez bezwzględny i okrutny walec geopolityki. Ojciec Petra wypowiada swoje słowa z powodu uwikłania całej rodziny w śmiertelny bój z „diabłem średniej Europy". Choć to zabrzmi paradoksalnie, czytając historię Majdanów, można odnieść wrażenie, że to właśnie ten diabeł popycha ludzi w naszej części świata do odkrycia pełniejszej wizji człowieka. Bo każdy z nas – znów odwołam się do Taylora – istnieje wobec innych. Naszym sposobem istnienia jest uczestnictwo. Tym bardziej jesteśmy sobą, im bardziej uczestniczymy w świecie: to znaczy w rozmaitych relacjach, a więc wspólnotach, a więc ruchach obywatelskich, a więc w życiu społecznym – lokalnym i narodowym. To jest właśnie odkrycie naszej Solidarności: że tylko uczestnictwo, tylko przekroczenie egoizmu umożliwia jakąkolwiek walkę z „diabłem historii". Nie chodzi tylko o niepewność, chodzi rzeczywiście o wyrwanie się z uścisku jakiejś nicości, jakichś kłamstw i pozorów, jakiejś „utopii u władzy". Jest też coś takiego, jak swoista duchowość wspólnoty, której wielu z nas w tej części Europy doświadczyło i chyba wciąż doświadcza. Aby o tym powiedzieć, trzeba jednak wyjść poza Taylora – w stronę filozofii dialogu.

Wobec tego zapytam właśnie o to. Petro Majdan istnieje w rozmowie. Jego bycie-w-świecie wydaje się nieustannym dialogiem – nie tylko z ludźmi, lecz także z historią, tradycją i kulturą. Mam wrażenie, że nieobce są panu inspiracje filozofią Martina Bubera. Dialog zdaje się stanowić podstawę ludzkiego „ja" w pana prozie, wszystko, co przytrafia się bohaterowi, „zagaduje go"...

– Filozofia dialogu – myśl Bubera, Levinasa, ale także Gabriela Marcela i naszego Józefa Tischnera – od lat jakoś mnie formuje, i jako człowieka, i jako pisarza. Z jej ducha wyrasta najważniejszy i najbardziej chyba ryzykowny zabieg w tej powieści – próba opowiedzenia świata z perspektywy bohatera, który ma inną narodowość niż autor. Czy zna pan jakąś powieść niemiecką, w której narratorem jest Polak?

Nie.

– Ja też nie. Ale to nie znaczy, że taka nie powstała lub że nie może powstać. Warunkiem jest spotkanie i pewien rodzaj wyobraźni rodzący się w spotkaniu. „Dialogiści" opisali fenomen spotkania na różne sposoby. Na jeden element chciałbym tu zwrócić uwagę: jeśli spotkanie jest autentyczne, to „ja" w taki sposób otwiera się wobec „ty", że jest w stanie – dzięki specjalnemu rodzajowi imaginacji – do pewnego stopnia (bo nigdy do końca) uchwycić jakąś część tej perspektywy, z której „ty" patrzy na świat. Jednym słowem, jest w stanie choć trochę spojrzeć na siebie i swoje otoczenie z punktu widzenia Drugiego. To prawda, w wyniku spotkania „ty" nie jawi się już mojemu „ja" jako całkiem inne. Kiedy „ja" przekracza siebie, kiedy poszerza swoją wyobraźnię i kiedy to samo robi „ty", dochodzi do odkrycia pewnego wspólnego horyzontu – pomimo oczywistych odrębności. Takie autentyczne spotkania Polaków z Ukraińcami są możliwe. Sam takie przeżyłem. Mój narrator patrzy przecież na świat – mówiliśmy o tym – nie tylko z perspektywy społeczności lokalnej czy narodowej, ale też z szerszej perspektywy środkowoeuropejskiego intelektualisty; tej samej więc, z której patrzą Polacy. Dedykując książkę dwojgu ukraińskim przyjaciołom, napisałem, że bez nich, bez mojego spotkania z nimi i innymi Ukraińcami książka nigdy by nie powstała... Oczywiście, ma pan rację, że Petro Majdan to osoba otwarta wobec historii, tradycji, poszczególnych członków rodziny, otwarta wobec społeczeństwa i narodu. Paradoksalnie właśnie ta otwartość, właśnie szeroka perspektywa, z której patrzy, umożliwia mu jednak zarówno bliskość, jak i dystans wobec rzeczywistości. Zdrowy dystans to po prostu cecha dobrego spotkania. On chroni „ja" przed bezkrytyczną adoracją Drugiego. Humor ma w *Majdanie* taką właśnie funkcję: ma być znakiem zdrowych relacji, ma chronić przed idolatrią.

Ciekawa jest także strategia narracyjna, którą pan przyjął – monolog wewnętrzny, momentami bardzo asocjacyjny, pojawiają się elementy strumienia świadomości. Nie chcę pytać o związki z *Trans-Atlantykiem* Gombrowicza, bo o tym pisali już inni. Interesuje mnie natomiast, czy przyjęcie takiej formy wewnętrznej spowiedzi sprawia, iż wędrówka przez mrok dziejów staje się łatwiejsza? Czy wejście w głąb duszy młodego doktoranta pomaga pisarzowi w wyjaśnianiu świata? Czy może jednak jest to znak tego, że pomimo wspólnoty i dialogu człowiek wobec świata jest zawsze trochę samotny, zamknięty we własnym *ja*?

– Wolałbym analizę narracji zostawić fachowcom, sam trochę się w tym gubię. Ale na jednym na pewno mi zależało: razi mnie współczesna maniera przedmiotowego traktowania bohaterów. Czytamy i od razu widzimy, że pisarz bawi się lalkami. Choć mam siostrę, jakoś nie pokochałem takich zabaw i nadal za nimi nie przepadam. Zależało mi na tym, by narracja miała charakter podmiotowy, by bohater był pełnym, autonomicznym podmiotem. No i jeszcze żeby myślał, bo niektóre techniki strumienia świadomości strasznie ogłupiają bohaterów, czynią ich zupełnie bezmyślnymi. Molly Bloom. Przecież to głupia gęś. Czy Joyce naprawdę nie znał mądrzejszych kobiet? Mój bohater trochę przypomina siedemnastowiecznego sowizdrzała, ale jest w gruncie rzeczy typem współczesnego inteligenta humanisty... Bardzo go polubiłem...

A pan pyta też o napięcie pomiędzy „ja" i „my"... Jedno i drugie jest jakoś dane. Rodzimy się jako jednostki, ale też od razu jako indywidua uczestniczące – w rodzinie, w szerszej społeczności, w przyrodzie, w świecie. I całe życie chcemy zrozumieć – i siebie, i innych. Balansujemy pomiędzy zamknięciem się i otwarciem. Jednym ze sposobów jest opowieść. Petro sam o tym mówi: że opowiada, żeby zrozumieć siebie we wspólnocie. On wie, że opowiadamy zawsze komuś więcej niż tylko sobie. Więc ja bym jego solilokwialnego monologu nie traktował jako symptomu zamknięcia, lecz przeciwnie – jako znak tego, że nawet najbardziej introwertyczna jednostka, tak introwertyczna jak poeta i naukowiec zarazem, ma potrzebę podtrzymywania wspólnoty przez opowieść. Jego monolog nie jest ekspresją idolatryjnego, egoistycznego „ja", lecz formą uczestnictwa, zaangażowania w relacje z innymi – bardzo przecież kruche.

No właśnie. Wyraźny wydaje mi się w pana powieści motyw świata, który zginie. Kurczące się gospodarstwo babci, słabnące zdrowie, jej ostatni list, który wydaje się pożegnaniem, pisany po tragicznych wydarzeniach na Krymie i w Donbasie. Nie napawa to czytelnika optymizmem. Czy wraz z rosyjską

agresją nadchodzi powolny kres pamięci o tym, co wielopokoleniowe i, zdawałoby się, niezniszczalne? Można by tak sądzić, gdyby nie ostatnie zdanie Petra, wypowiedziane z dumą do celników na lotnisku: *Moja godność Majdan. Nazywam się Majdan*. Petro ustanowił swoją tożsamość, rozpoznał samego siebie w przestrzeni moralnej, co bardzo z kolei czytelnika krzepi. Czy te dwie wspomniane wcześniej sceny są symboliczne? Dla nowego pokolenia to właśnie Majdan stanie się punktem zwrotnym w historii Ukrainy?

– Wie pan, skończyłem podstawówkę w 1980 roku. Kiedy poszedłem do liceum – zaraz po porozumieniach sierpniowych – założyliśmy z kolegami oddział niezależnego harcerstwa. Potem był stan wojenny... Nie chcę wchodzić w szczegóły, zależy mi tylko na tym, by podkreślić, że i dla mnie, i dla wielu innych, tamte lata były potężną szkołą charakteru, moralności społecznej i społecznej wyobraźni. Wydaje mi się, że dla wielu Ukraińców taką szkołą był Majdan. Tego rodzaju doświadczeń się nie zapomina. Nawet gdyby przeżył tylko jeden uczestnik Majdanu to, jak pisał Herbert, *On będzie teraz Miasto*. Petro interioryzuje wartości, którymi żyją jego rodzina i jego naród. On będzie niósł w sobie świat babci nawet wtedy, gdy ona umrze. Tego możemy być pewni. Dzięki niemu świat tradycji i pamięci wciąż będzie istniał, bo to człowiek, który stał się kimś świadomym fundamentów wspólnoty. Młodych ludzi, którzy mogą powiedzieć o sobie „nazywam się Majdan", jest teraz na Ukrainie bardzo wielu. Wierzę, że dzięki nim przemoc i geopolityka nie będą miały w tym kraju ostatniego słowa. **Ω**

Wojciech Kudyba – ur. 1965 r. w Tomaszowie Lubelskim. Pisarz, krytyk, historyk literatury. Profesor nadzwyczajny w Katedrze Literatury Współczesnej Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, wykładowca podyplomowego Studium Literacko-Artystycznego UJ, stały współpracownik dwumiesięcznika „Topos", członek rady programowej kwartalnika „Religious and Sacred Poetry". Laureat wielu konkursów poetyckich, wyróżniony Nagrodą im. Józefa Mackiewicza (2008) oraz im. ks. prof. Bolesława Kumora (2015). Opublikował pięć zbiorów wierszy: *Wierność w małej rzeczy* (1992), *Tyszowce i inne miasta* (2005), *Gorce Pana* (2007), *Ojciec się zmienia* (2011), *W końcu świat* (2014), oraz powieść *Nazywam się Majdan* (2015). Jego teksty tłumaczono na języki: czeski, słowacki, niemiecki, angielski, francuski. Autor polsko-francuskiej antologii poetyckiej *Celui qui fut labeur de la lumiere. Ten który był trudem światła* (Paryż 2014), a także książek naukowych. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Nowym Sączu i Warszawie.

Poeci są jak dzieci.

Limeryk z promocji, dla ŚWIETLICKI EGO

Za ostatni grosz kupuję tomik Marcina Ś. O trzeciej w nocy czytam DELTĘ DIETLA. Polska śpi, przewraca się z boku na bok, z lewa na prawo. Nie wtrąca się, nie komentuje nowych 5 × 11 na 55. urodziny. Poeta Narodowi, Naród Poecie facka. Świetlicki już nie umrze młodo. Za 20 lat jakiś Macher – Majcher, jakiś senator Nowoklichcow przyzna Poecie blachę, rentę specjalną – 2400 zet i poddasze na Dietla. Czytam i niknę w oczach, robię się taki mały – 55 dobrych wierszy w trzy lata. *Pięć wierszy – Ojciec* – 3 marca, 5, 6. Kto pochował Ojca, ten wie. Reszta – cieszcie się! Czekajcie możliwie długo. *Pięć wierszy o Polsce – Strefa Kibica*, wierszyk kalka z *Konstytucji* naszego Seweryna Górczaka. Mimetyzm polski. *Wieje, przewraca*, strofki z Matusza Andały, moje *Odszczekiwanie* o psie i złej kobiecie z Tuszyna. Skąd my nagle w strofkach smoka z Wawelu? Sika od 30 lat do Wisły, a my to w Wawce pijemy! Każdy łyk herbaty ma smak

ŚWIETLICKIEGO

RWM



Łukasz Kucharczyk

Wspólnota i dialog – *Nazywam się Majdan* Wojciecha Kudyby

Gdy poeta wkracza na nowy genologiczny szlak, na grunt formy powieściowej, czytelnik ma prawo czuć zaniepokojenie. Czy pisarzowi uda się przenieść motywy stanowiące o jego sile twórczej, wypracowane strategie literackie i artystyczną lekkość z ulotnej i mglistej konstrukcji wersu na twardy, chciałoby się rzec także przyziemny, grunt prozy? Wojciech Kudyba udowadnia, że jest to możliwe

Z majestatycznych, przepełnionych metafizyką górskich dróg przenosi się na ukraińskie stepy, odwiedza ukraińskie miasta i wioski, w końcu wkracza także w samo serce wydarzenia, które zostawiło w ukraińskiej duszy trwały ślad – na Majdan. Powieść zdaje się odmienna od dotychczasowej twórczości Kudyby. Jest przecież znany jako poeta metafizyczny, piewca jedności człowieka z przyrodą, dzięki której jest w stanie uchwycić to, co transcendentne, jako filozof, który w Innym pragnie odkryć Boga. Wydawać by się mogło, że niemożliwe jest przeniesienie takiej koncepcji literatury w świat prozy opisującej aktualne wydarzenia historyczne, zwłaszcza że główną formę wyrazu stanowi tu groteska. Okazuje się jednak, że pewne autorskie obsesje pozostają niezmienne, niezależnie od tego, jaką przybiorą formę.

Głównym bohaterem powieści jest Petro Majdan – młody doktorant kulturoznawstwa będący na stypendium w Bochum. Petro jest oczywiście tekstową emanacją samego autora w powieściowym świecie, ale przede wszystkim stanowi on figurę będącą pomostem pomiędzy ukraińską tradycją i historią a Europą XXI wieku – wielokulturową, posiadającą otwarte granice, będącą dla wielu Ukraińców odległym i mglistym horyzontem, niespełnioną obietnicą lepszego jutra. Na szczególną uwagę zasługuje zastosowana w powieści technika narracyjna, jest nią monolog wewnętrzny Petra. Monolog wewnętrzny ukazuje czytelnikowi w pełni fundamenty „ja" narratora, elementy, które składają się na jego esencję. Warto przytoczyć

fot. J. Szymczuk

słowa Milana Kundery, który w ten sposób charakteryzował technikę użytą przez Jamesa Joyce'a w jego słynnym *Ulissesie*:

> *Joyce umieścił w głowie Blooma mikrofon. Dzięki fantastycznej akcji szpiegowskiej, jaką jest monolog wewnętrzny, dowiedzieliśmy się nadzwyczaj wiele o tym, czym jesteśmy*[1].

Robert Humprey definiuje monolog wewnętrzny jako technikę, z której proza narracyjna korzysta w celu przedstawienia, częściowo lub całkowicie, niewypowiedzianych treści i procesów psychicznych w sposób, w jaki przeżywa je postać na różnych poziomach świadomej kontroli, zanim sformułuje je w przemyślanych wypowiedziach[2]. Należy jednak dodać, iż wejrzenie w głąb świadomości Petra nie ogranicza się do rozjaśnienia jego najbardziej utajonych pragnień, marzeń czy cech charakteru. Monolog wewnętrzny głównego bohatera to także monolog samej Ukrainy, jej problemów, piętrowych labiryntów historycznych i jej tożsamościowej zmienności na przestrzeni stosunkowo niewielkiego odstępu czasowego – co nie dziwi, biorąc pod uwagę nazwisko protagonisty. Warto zwrócić uwagę na interesującą strategię temporalną – lokatywną, którą stosuje pisarz: każdy drobny gest młodego Ukraińca, każdy moment, nawet najbardziej osobisty, ma swoje zwierciadlane odbicie w losach całego narodu ukraińskiego. Już sam rodowód Majdana wydaje się symbolizować pewien europejski amalgamat:

> *Bo w dokumentach tożsamości mojej całkiem inaczej niż naprawdę. Sienkiel to przecież nazwisko nie moje, choć może prawie już moje, gdy matuś do niego się przekonała, potem*

1 M. Kundera, *Sztuka powieści*, PIW, Warszaw 2004, s. 131.

2 R. Humprey, *Strumień świadomości – techniki*, Pamiętnik Literacki LXI, 1970, z. 4, s. 256–257.



> *Dmytro i Hryhoryj, zaś o papie nie wspomnę. On pierwszy to wszystko przecież wymyślił, matuli głowę przerobił. On, przodków dalekich znalazłszy, papiery porządne wyrobił i jako Germaniec prawy, przed wierzycielami uciekając, a może i przed wojną, w kraju niechybotliwym, lecz statecznym się zagnieździł. [...] I tylko babuleńka jeszcze, Polka rodzona, co nas w dzieciństwie mową polską wykarmiła, tylko ona przy nazwisku naszym Majdanowym została*[3].

Ukraińskie pragnienie Europy uobecnia się w różnych formach symbolicznych, jakie autor porozrzucał na kartach swojej powieści. Ulubiony bar, do którego zachodzi Petro, nosi nazwę Europa – to tam, siedząc wraz z przyjacielem nad kuflem piwa, duma nad losem swojej ojczyzny. Jak ironicznie zauważa: *Ono musiało być wtedy dość regularne, to nasze wchodzenie do „Europy"*. Ciekawie konstruowana jest opozycja Ukraina – świat znany. Wymowny jest fakt, że przy barowym stole Petro wypełnia dokumenty do stypendium naukowego w Bochum – perspektywa wyjazdu jednocześnie przeraża go i pociąga, poprzez dylematy młodego doktoranta wyrażone zostają pragnienia i lęki całego społeczeństwa. Ciekawie konstruowana jest opozycja Ukraina – świat znany i przyjazny oraz Europa – tajemnicze „zewnątrz", nie do końca znane, niepewne, choć nęcące:

> *I tak obaj wiedzieliśmy, że ona tam jest, może nawet na nas czeka, może wygląda, kiedy przyjedziemy – cali zakutani w nasze kompleksy, zapatuleni w nasze zranienia, owinięci w naszą niemożność, opatrzeni w naszą krew. A teraz widzę to dość wyraźnie. Ona wtedy naprawdę istniała – potajemnie przechowywana w domach, na strychach; niewielka, czasem zacieśniona do kręgu kilku osób, mówiona półgłosem,*

3 W. Kudyba, *Nazywam się Majdan*, Więzi, Warszawa 2015, s. 8.



szeptana na ucho – rodzinna Europa. Europa marzycieli i żebraków. Matula... [4].

Warto zwrócić uwagę na kategorię estetyczną, którą wykorzystał pisarz do stworzenia swojej powieści. Jest nią groteska – co może dziwić, mając w pamięci dorobek poetycki autora. Wydarzenia przedstawione w powieści wydają się na pierwszy rzut oka komiczne, jednakże komizm ten naznaczony jest tragizmem. Wiele wyjaśniają rozważania Petra na temat sensu używania eposu we współczesnym świecie:

To tu, to tam ktoś z nas, poetów, jeszcze teraźniejszość w epicki kształt przyoblec usiłował, ale też właśnie wtedy się okazywało, że czas epopei minął i to, co heroiczne, w czarny humor się obraca, a wzniosłość w satyrę gorzką i siermiężną. Nie epopeją bowiem było to, co się teraz ojczyźnie zdarzyło, ale jakoby nastała mannipeja czy może poema heroikomiczne. [...] narody świata nigdy długo w epopei trwać realnie nie mogą – co historia krajów ościennych jawnie pokazała[5].

Wybór groteski jako środka artystycznego wyrazu wydaje się uzasadniony. Historia XXI wieku jest ogromnym labiryntem, w którym rozpatrywanie jakiegokolwiek wydarzenia według opozycji czarne–białe jest niemożliwe. Z pomocą nadchodzi groteska, próba skarnawalizowania przedstawionego świata, dzięki czemu „mroki dziejów" rozjaśniają się, stają się bliższe czytelnikowi. Warto tu przypomnieć o pojawiającej się figurze diabła Boruty, który zaprasza całą rodzinę Petra do gry w *Monopol* – w ten, na pozór zabawny, sposób zmetaforyzowany zostaje trudny i niepewny ukraiński los. Należy zaznaczyć, iż groteska Kudyby nie emanuje gombrowiczowską uszczypliwością,

4 *Ibidem*. s. 12.
5 *Ibidem*, s. 65.



próbą hiperbolizacji i wyśmiania charakteru ludzkiego. U jej podstaw znajduje się to, co stanowi o sile w jego poezji – łagodność i zrozumienie dla wszelkiego bytu. Należy dodać, iż groteskę przeplata Kudyba opisami metafizycznymi. Dobrym przykładem jest tutaj opowieść, którą Petro roztacza przed swoim kolegą z wymiany studenckiej, Hiszpanem Oliwierem, w ten oto sposób opisując własny kraj:

> *Podążał zaś kulejąc lekko, bo ten od zachodu na bok się przechylał, ponieważ sady tam były bezmierne oraz ogrody od owoców i warzyw wszelkich ciężkie. Szedł, z góry mając, zaś za płotem arbuzy rosły tak dorodne, że kiedy który w środku pusty był, zaraz tam wchodził i na dół turlał się wesoło. A gdy przepołowiony znalazł, żagiel w nim liści łopianu zatykał wielki taki, że dachy nim podówczas kryto, na tyczce leszczynowej wodził i po stawie pływał, pieśni matrosów śpiewając*[6].

Nie wolno zapominać także o koncepcjach filozoficznych, które zawarte są w *Nazywam się Majdan*. Bardzo ważną kategorią w twórczości autora jest wspólnota. W powieści jest ona wielowymiarowa, pojawia się jako wspólnota rodziny, wspólnota narodowa, w końcu także jako wspólnota europejska. Ja Petra kształtuje się dzięki rodzinie, jego bat'ce, mateńce czy braciom, podczas europejskiej wymiany nawiązuje przyjaźnie z rówieśnikami z całego świata – muzułmaninem Mustafą, Hiszpanem Olivierem, Japończykiem Yokotą i wieloma innymi. Bardzo ważna okazuje się także wspólnota narodowa. Jak mówi ojciec Petra: *Gdy siebie we wspólnocie osadzisz, zaraz nicość pokonasz i złemu realną, a skuteczną siłę przeciwstawisz*. Takie rozumienie pojęcia wspólnoty koresponduje z filozofią Charlesa Taylora. Autor *Źródeł podmiotowości* pisze, iż podmiotowość jest czymś poli-

6 *Ibidem*, s. 31.



fonicznym. Człowiek nie może nauczyć się, czym są emocje, pragnienia i dążenia, jeśli sam ich nie doświadczy. A jest to możliwe tylko we wspólnej przestrzeni. Polifoniczność podmiotowości nie oznacza jednak, że podmiot nie może wykreować właściwego tylko sobie stylu bycia. Przeciwnie, zdolność do autokreacji jest elementem podmiotowości, lecz nie może się ona odbyć bez udziału innych – nie nauczymy się, czym są emocje, a poprzez nie, jacy sami jesteśmy, jeśli nie będziemy wchodzić w interakcje z innymi ludźmi. Według Taylora podmiotowość może istnieć jedynie w obszarze, który autor nazywa „siecią rozmów". Nie sposób nie wspomnieć o scenie, w której bat'ko Petra opowiada przybyłym gościom o przodkach i wartości wspólnoty. Słowa Majdana seniora zdają się mieć moc magiczną, sprawiają, że ludzie jednoczą się ze sobą:

> *Gdyby zaś nawet się właśnie nieprzygotowanie któremu zdarzyło, to zaraz się usprawiedliwiali, że im chyba diabeł sam do głosu dojść nie daje, myśli mąci oraz bycie w jedności i rodzinie utrudnia*[7].

Należy wspomnieć, na czym polega projekt międzykulturowości autora. Nie jest to lansowana dziś w naukowym i literackim mainstreamie teza o powszechnej egalitaryzacji, obyczajowe i światopoglądowe stopienie się w jedno narodów Europy, zatarcie wszelkich granic, dzięki czemu uzyskany zostanie „hipernowoczesny kontynent". Za sprawą Petra i jego kolegów z całego świata Kudyba pokazuje prawdziwe wartości europejskie, są nimi otwartość na inne kultury, chęć dialogu i wymiany doświadczeń, jednakże przy jednoczesnym poszanowaniu własnej odrębności i pamięci o tradycji. Najlepszym przykładem jest wizyta Yokoty, młodego Japończyka, w rodzinnym domu Majdana. Podejmuje go tam babcia Petra, która w powieści pełni rolę

7 *Ibidem*, s. 82.



strażniczki pamięci o własnej tradycji, narodzie, rodzinie i wierze. Starsza kobieta oprowadza Japończyka po ogrodzie – dla obywatela świata ukraińska przyroda jawi się jako coś wręcz mistycznego, coś, czego nie doświadczył nawet w największych stolicach świata. Poprzez postać babci wyrażony jest też motyw *świata, który zginie*. To ona podtrzymuje w całej rodzinie pamięć o kulturze, a także o wierze. Próbuje nawet przekonać do niej nowoczesnego Japończyka, który, jak opisuje Petro, chłonie wiedzę o różnych wierzeniach. Yokota jest symbolem zagubienia człowieka we współczesnym świecie, pragnieniem poczucia metafizyki w rzeczywistości, która jej człowiekowi odmawia. Babcia przechowuje też pamięć o rodzinnej historii, jej obyczajach. Warto zwrócić uwagę na opis potraw, które babcia przygotowuje dla Matwieja, polskiego przyjaciela Petra. Nieco przypomina on opis potraw na stole z *Pana Tadeusza*:

> *Wpierw jednak jedz na zdrowie, mlekiem często popijaj, bo mleko na wszystko dobre, wszystko też z niego się bierze. Najpierw sery kolorów różnych czy smaków, śmietany słodkie lub kwaśne, kefir wspaniały lub masło, a również maślanka błoga lub serwatka, który sportowcy nawet piją, gdy biegać chcą szybciej*[8].

Bardzo ważny w twórczości Kudyby jest także dialog, nie tylko człowieka z człowiekiem, ale także człowieka z całym światem. To heideggerowskie *bycie-w-świecie* realizuje się najpełniej poprzez postać Petra, to on otwiera się na dialog z całym światem – z własnym ja, z rodziną, z przyjaciółmi, z narodem i z historią. Rozbrzmiewają więc w powieści także echa koncepcji Martina Bubera, filozofa dialogu:

8 *Ibidem*, s.46.



Przyglądam się drzewu. […] Nie muszę w związku z tym rezygnować z jakiegokolwiek sposobu mojego oglądania. Nie ma niczego, od czego musiałbym abstrahować, chcąc zobaczyć, ani żadnej wiedzy, o której musiałbym zapomnieć. Raczej wszystko – obraz i ruch, gatunek i okaz, prawo i liczba – jest tutaj nierozdzielnie złączone[9].

Buberowski podmiot pozostaje więc w nieustannym dialogu z całym światem. Jego filozoficznym fundamentem jest takie rozumienie świata, które opiera się na „ja i ty". Wszystko, co przydarza się człowiekowi, jest zagadywaniem go. Każda sytuacja, każda myśl i każde zdarzenie apelują do człowieka, by wszedł z nimi w relację[10]. Podobnie dzieje się z Petro Majdanem – jest on nieustannie „zagadywany" przez otaczający go świat. Przede wszystkim, jak już było wspomniane, „zagaduje" go Historia. Majdan ukraiński jest właśnie tym wydarzeniem labiryntowym, pełnym nadziei, ale także bolesnym i trudnym. To pod jego wpływem ojciec Petra doznaje duchowej przemiany – powraca do czytania książek, zaczyna czynnie angażować się w Majdan, wraz z wieloma tysiącami wychodzi na ulice. Pewnego dnia Petro wykrzykuje: *Majdan rozbity!*. W tych kilku krótkich scenach zawarte są zarówno nadzieja, jak i tragizm narodowy. Finał powieści wydaje się złowrogi – Hryhoryj, brat Petra, jedzie na wojnę, w samo serce Donbasu, z której powraca z przestrzeloną kością nogi. Coraz słabiej czuje się babcia, jak gdyby pod wpływem nieludzkich zdarzeń, w zapomnienie odchodziły ostatnie echa Starego Świata:

Tymczasem ją już coraz bardziej do grobu, zwłaszcza teraz, gdy Krym podstępnie zajęty, a może i Donbas, i wojna na wschodzie śmiertelne żniwo zbiera. Tyle już wojen widziała,

9 M. Buber, *Ja i Ty. Wybór pism filozoficznych*, Pax, Warszawa 1992, s. 42.
10 *Ibidem*, s. 31.



> *a teraz ją do Ołecha ciągnie miłego, który co noc prawie namawia, by w podróż bez końca i bez śmierci razem polecieli*[11].

Jednakże to, co może napawać optymizmem, to ostatnia scena w powieści. Będąc na lotnisku, w drodze powrotnej do Kijowa, Petro zostaje zapytany o godność i odpowiada: *Moja godność Majdan. Nazywam się Majdan*. Po raz kolejny Kudyba nawiązuje do Taylora. Według filozofa, by człowiek mógł określić własną tożsamość, musi dokonać rozpoznania w przestrzeni moralnej, musi odnaleźć własną drogę życiową. Musi odpowiedzieć sobie, co jest dobre, a co złe, co warto robić, a czego nie, co ma sens, a co jest nieistotne. Do ustanowienia własnego ja niezbędna jest orientacja wobec dobra. W finale powieści Petro staje się świadomy samego siebie, poprzez wszystkie wydarzenia polityczne, rodzinę, podróże po Europie, wie, kim jest: jest Ukraińcem, jak i obywatelem Europy.

Jak zostało powiedziane na początku, niezależnie od obranej formy pewne pisarskie przyzwyczajenia pozostają niezmienne. *Nazywam się Majdan* przepełniony jest poszanowaniem tradycji, pragnieniem Boga, podróżą, wspólnotą i dialogiem. I chociaż Petro to nie górski wędrowiec z wierszy Kudyby, jedno wydaje się pewne: po swoim powrocie do ojczyzny sny Petra przepełnione będą zarówno Ukrainą, jak i „wchodzeniem do Europy". I chociaż może to być „wędrówka przez mrok", należy pamiętać: z każdego labiryntu jest wyjście. **Ω**

11 W. Kudyba, *op. cit.*, s. 152.





Sojusz tronu z mikroskopem

Artur R. Kołodziejczyk

Główna oś tematyczna filmu *Klucz do wieczności* w reżyserii Tarsema Singha ewidentnie zawiera w sobie coś z motywu faustowskiego paktu. Główny bohater, starzejący się i cierpiący na raka miliarder Damian Hale, wchodzi w układ z niejakim doktorem Albrightem, będącym swego rodzaju współczesną personifikacją diabła

Na czym polega diabelskość jego postaci i działań? Bez wątpienia na tym, że Albright – zresztą szef agencji o bardzo sugestywnej nazwie Phoenix Biogenic – oferuje swoim klientom przeniesienie ich świadomości i rozumu do młodszych oraz doskonalszych ciał,

które sam nazywa „pustymi naczyniami na dusze". Jak przyznaje, miałoby to pomóc w tym, by [...] *największe umysły świata miały więcej czasu, aby zrealizować swoje szczytne plany. Nasz projekt to spełnienie marzeń ludzkości*. I cóż w tym złego? Transakcja ta ma pewne skutki uboczne. Z biegiem czasu Damian Hale odkrywa, że jego nowe ciało zostało mu przekazane kosztem życia innego człowieka – jego osobistego dramatu oraz całej jego rodziny. Jednak również wtedy doktor Albright ma odpowiedź, otóż: *Nie byłoby nauki ani postępu bez ofiar*. Albright trafił w sedno, a jego odpowiedź wstrzela się także w sam środek dzisiejszych dywagacji z zakresu etyki, biologii i polityki. Bo czy współcześnie nie przychodzi nam mierzyć się z pytaniem o granice naukowych badań? Czy nie jesteśmy świadkami gorących dyskusji na temat etyczności naukowych ingerencji w sferę tak bardzo drażliwą, jaką jest życie? Czy nie trzeba nam „barować się" z zagadnieniem stosunku polityki do kwestii życia? Nie ulega wątpliwości, że materia jest bardzo delikatna i kontrowersyjna, a granice dość cienkie.

Po co w ogóle wspominam o filmie Tarsema Singha? Pewnie dlatego, że skoro kultura jest odzwierciedleniem problemów człowieka i jego dylematów w konkretnej epoce, to z całą pewnością *Klucz do wieczności* może posłużyć jako wskaźnik dla aktualnych dylematów. Film Singha jest utrzymany w stylistyce science fiction, a jego tematyka została mocno osadzona w zagadnieniach bioetyki, transhumanizmu oraz biopolityki. To ostatnie zagadnienie staje się coraz popularniejsze. Czy teologia może coś powiedzieć w tej materii? Owszem, może. Wręcz powinna. Czy biopolityka to „zło wcielone"? Bez przesady, ale sprawa jest dosyć złożona, więc po kolei.

BE FIT! BE BIO!

Dopuszczę się teraz – być może – małego uogólnienia. Jeżeli etos starożytnych Greków można streścić pod jednym hasłem „pięknodobra" (gr. καλοκἀγαθία, pol. kalokagatia), tak coraz częściej można odnieść wrażenie, że etosem współczesnych Europejczyków jest maksyma *Be fit! Be bio!*. Wiele w tym zestawieniu podobieństw. Starożytni Grecy w swoim etosie kalokagatii kładli duży nacisk na cnotliwe życie człowieka, który miał czynić dobro w zupełnie bezinteresowny sposób: po prostu ze względu na samo dobro. Twierdzili, że powin-

MATERIA JEST BARDZO DELIKATNA I KONTROWERSYJNA, A GRANICE DOŚĆ CIENKIE

no ono być urzeczywistniane zarówno w sferze etyki, jak i estetyki. Arystoteles, pierwszy twórca modelu formacji człowieka w nurcie kalokagatii, chciał, aby dobro czynione przez konkretną jednostkę nakierowywało ją na kontemplację tego, co określał mianem Bytu Najwyższego. Kalokagatia polegała więc na uszlachetnianiu swoich działań, ale także na trosce o piękny wizerunek własnego ciała (które zresztą paradoksalnie postrzegano jako więzienie dla ducha – jeszcze pod wpływem platońskiego idealizmu obiektywnego). Twierdzono, że piękno wizualne człowieka powinno być zgodne z pięknem jego sposobu życia. Jak jest dzisiaj? Przyszło nam żyć w czasach, w których tematyka *Be fit!* pojawia się niemal codziennie w każdym programie śniadaniowym. Możemy zaobserwować – co jest akurat dobrym sygnałem – coraz większą świadomość ludzi w zakresie potrzeby prowadzenia zdrowego trybu życia. Być może dlatego mamy wysyp kolejnych siłowni, szkół tańca, klubów sportowych, kursów zdrowego odżywiania czy sekcji crossfitowych. Świadomość odpowiedzialności za środowisko i za jakość życia jest również współcześnie dość duża i zajmuje sporo miejsca w publicznej dyskusji, czego przykładem mogą być ostatni szczyt klimatyczny COP21 w Paryżu i emocje, które wzbudzał. Wpisuje się w to także wrażliwość współczesnej teologii na tematy ekologiczne i tutaj za przykład może posłużyć encyklika *Laudato si'* papieża Franciszka. Maksyma *Be bio!*, sugerująca konieczność odpowiedzialności za życie i za swoje otoczenie, oraz *Be fit!* – o potrzebie dbania o siebie, są jak najbardziej szczytne i poniekąd podobne do idei starożytnego etosu kalokagatii, ale jednak coś je różni. Co takiego? Być może pewne etyczne zorientowanie? W kalokagatii, czego uczył Stagiryta, czynienie dobra miało być bezinteresowne i nakierowane na Absolut jako na najwyższe dobro-piękno-prawdę i ostateczną rację wszystkiego. Współcześnie punktem wyjścia i dojścia wydają się człowiek i komfort jego idyllicznego życia, zaś narzędziem do osiągnięcia tego celu w skali makro staje się coraz częściej i wyraźniej polityka, a właściwie biopolityka. Oczywiście mam świadomość, że to ostatnie stwierdzenie jest mocno kontrowersyjne, ale to dobrze. Niech stanie się teraz pretekstem do głębszej refleksji nad tą kwestią. Warto też spróbować skonfrontować ją z perspektywą teologiczną. Zatem – do dzieła.

PIĘKNO WIZUALNE CZŁOWIEKA POWINNO BYĆ ZGODNE Z PIĘKNEM JEGO SPOSOBU ŻYCIA

„NIEBEZPIECZNA" FILOZOFIA

Filozofia jest dosyć „niebezpieczną" dyscypliną. Oczywiście piszę o tym w trochę przewrotny sposób. Na czym polega jej niebezpieczeństwo? Być może właśnie na tym, że filozofia uczy czegoś, co jest tak bardzo zasadnicze dla człowieka: uczy krytycznie i abstrakcyjnie myśleć. Filozofia, taka czy inna, jest fundamentem dla konkretnych systemów, także tych politycznych. Podobnie jest w przypadku biopolityki, która nie jest jednolitym zjawiskiem, ma bowiem wiele znaczeń. Nie zamierzam poddawać krytyce wszystkich sposobów jej rozumienia i uprawiania. Chcę jednak ukazać jej znaczeniową różnorodność, aby w dalszej kolejności dojść do współcześnie najpopularniejszego rozumienia biopolityki i skonfrontować je ze współczesną teologią i Magisterium Kościoła.

Skąd w ogóle wzięło się to pojęcie? Po raz pierwszy użył go na początku XX wieku Rudolf Kjellen. Ten szwedzki politolog jest autorem bardzo interesującej koncepcji, wedle której państwo jest swego rodzaju żywym organizmem. Jednakże to Michel Foucault jest autorem współczesnego i najbardziej popularnego rozumienia biopolityki. Dla francuskiego filozofa życie nie powinno być postrzegane jako przedmiot ani podstawa polityki, ale jako granica, względem której należy się szacunek. Foucault twierdził również, że ową granicę należy przezwyciężać. Według niego granica ta jest naturalna i odgórna, ale jednocześnie jest ona sztuczna i podlegająca rewizji. Thomas Lemke, naukowiec związany z Instytutem Badań Społecznych we Frankfurcie nad Menem, który w ramach swoich badań zgłębia zagadnienie biopolityki, w ten sposób ujmuje Foucaultowskie rozumienie biopolityki: [...] *zakłada ona wyabstrahowanie „życia", oddzielenie go od jego substancjalnych nosicieli. Przedmiotem biopolityki nie są pojedyncze istnienia ludzkie, lecz ich cechy biologiczne, które podniesione zostają na poziom ludnościowy. Dopiero poprzez uzyskanie takiej abstrakcji można zdefiniować normy, ustalić standardy i wyliczyć średnie wartości*[1]. Ciekawe, nieprawdaż? Chociaż tak samo jak ciekawe, to tak samo kontrowersyjne i dyskusyjne. Niestety, z Foucaultem już oczywiście nie podyskutujemy na ten temat na żywo, ponieważ jego doczesny *bios* ustał w 1984 roku.

1 T. Lemke, *Biopolityka*, przeł. T. Dominiak, Warszawa 2010, s. 12.

TEO-EKO-BIO-POLITO-LOGIA

Niedaleko maksymie *Be bio!* do zagadnień natury ekologicznej. Właściwie są ze sobą ściśle powiązane, ponieważ przełom lat 60. i 70. ubiegłego stulecia to moment, w którym ukształtowało się zupełnie inne pojęcie biopolityki. To nowe podejście akcentowało znacznie bardziej procesy życiowe, które stały się nową przestrzenią dla uprawiania refleksji i dla politycznych działań. Już nie biologiczne podstawy polityki były wyznacznikiem tej dziedziny, a życie jako takie i powiązana z tym zagadnieniem polityka. Trzeba przyznać, że okazja ku takiej przemianie paradygmatu biopolitycznego była dosyć wyraźna: coraz bardziej uświadamiano sobie kryzys ekologiczny i zaczęto przewidywać jego konsekwencje. Postawiono zatem za cel znalezienie skutecznych politycznych sposobów rozwiązania problemów środowiska naturalnego. Wszystkie działania nakierowano więc na wytworzenie nowych sposobów działania, aby zapobiec skutkom kryzysu ekologicznego oraz zapewnić naturalną podstawę życia na globie. Jakie kwestie coraz częściej podnoszono w ramach tak rozumianej biopolityki ekologicznej? Łatwo się domyślić, że były to właśnie te, które znamy współcześnie z różnych dyskusji związanych z koniecznością ochrony środowiska: zagadnienie przyszłości człowieka, konieczność ochrony natury, kwestie polityki zdrowotnej oraz redukcja negatywnych konsekwencji przemysłu dla środowiska naturalnego. Dietrich Gunst, niemiecki politolog, stwierdził, że z zagrożeniami ekologicznymi można sobie poradzić poprzez stosowanie takiego rodzaju polityki, który będzie wprost nastawiony na szeroko rozumiane życie. Szczytne idee, nie ma wątpliwości. Pojawiające się jednak pytanie dotyczy sposobów osiągnięcia postawionych sobie celów, a także weryfikacji ich słuszności. O tym później.

ZAPOBIEC SKUTKOM KRYZYSU EKOLOGICZNEGO ORAZ ZAPEWNIĆ NATURALNĄ PODSTAWĘ ŻYCIA NA GLOBIE

Postawiłem wcześniej pytanie, czy teologia może coś powiedzieć w kontekście biopolityki. Oczywiście, że tak. Zanim jednak przejdę do teologicznej krytyki i zastrzeżeń względem niektórych nurtów biopolitycznych, pochylę się najpierw nad najbardziej znanymi propozycjami biopolityki inspirowanej Objawieniem, ponieważ biopolityka w wydaniu ekologicznym odnalazła również swoje interpretacje teologiczne.

BIOPOLITYKA W WYDANIU EKOLOGICZNYM ODNALAZŁA RÓWNIEŻ SWOJE INTERPRETACJE TEOLOGICZNE

Tak zwana biopolityka chrześcijańska została po raz pierwszy zaproponowana przez amerykańskiego teologa Kennetha Cauthena, który w 1971 roku opublikował książkę *Christian Biopolitics: A Credo and Strategy for the Future*. Cauthen zauważył, że rozwija się „społeczeństwo planetarne", które zdecydowanie zaczęło przekraczać granice ziemi. Z tej przyczyny Cauthen przystąpił do badań niebezpieczeństw, które wyłaniają się w takim procesie. Chciał też zweryfikować możliwości potencjalnej przemiany światopoglądowej w społeczeństwie w tej materii. Amerykański teolog zaproponował, aby dokonać zmiany motywacji dla ludzkich wyborów, idei oraz światopoglądów za pomocą tego narzędzia, którym jest teologia. Dążył do rozwoju świadomości religijnej oraz etycznej, która opierałaby się na poszukiwaniach radości w epoce technologii, bazujących w dużym stopniu na dorobku nauk ścisłych. Aby to osiągnąć, trzeba wytworzyć – zdaniem K. Cauthena – wizję organicznego postrzegania świata, w której osoba ludzka będzie rozumiana jako rzeczywistość duchowo-cielesno-biologiczna, która żyje zarówno w wymiarze makro w całym kosmosie, jak i w wymiarze mikro – w historii ludzkości. Cauthen postulował więc wytworzenie ludzkiej wspólnoty ekologicznej, wrażliwej na sprawy środowiska naturalnego w duchu zasady sprawiedliwości, radości i międzyludzkiego szacunku. Dzięki temu ludzkość mogłaby żyć spokojnie, nie martwiąc się o zagrożenia dla świata naturalnego. Przywoływany już wcześniej T. Lemke określa propozycję Cauthena jako *kuriozalną*[2]. Dlaczego? Tego już się niestety nie dowiemy. Lemke w swoim naukowym opracowaniu zagadnienia biopolityki twierdzi, że *biopolityka chrześcijańska* jest kuriozalna i już (cóż za profesjonalizm oceny).

WYTWORZENIE LUDZKIEJ WSPÓLNOTY EKOLOGICZNEJ, WRAŻLIWEJ NA SPRAWY ŚRODOWISKA NATURALNEGO W DUCHU ZASADY SPRAWIEDLIWOŚCI, RADOŚCI I MIĘDZYLUDZKIEGO SZACUNKU

Nie można nie wspomnieć o współczesnej teologicznej propozycji rozwiązań biopolitycznych w zakresie ekologii. Znajduje się ona w encyklice z 2015 roku pt. *Laudato si'*, której autorem jest papież Franciszek. Ten papieski dokument stał się jednocześnie pierwszym w historii Kościoła dokumentem, który w tak panoramiczny sposób porusza kwestię zagadnień ekologii oraz współczesnych zagrożeń dla śro-

2 Tamże, s. 33.

dowiska naturalnego. Franciszek, zdając sobie sprawę z wagi zagrożenia i z odpowiedzialności ludzkości za Ziemię – wspólny dom, w *Laudato si'* dokonał kompleksowej analizy przyczyn obecnego stanu rzeczy. Propozycje Franciszka są głęboko osadzone w refleksji teologicznej, chociaż zostały poprzedzone wszechstronnym rozeznaniem w aktualnej kondycji świata: *Refleksje teologiczne czy filozoficzne o sytuacji ludzkości i świata mogą brzmieć jak powtarzanie pustych haseł, jeśli nie zostaną na nowo umieszczone w aktualnym kontekście, bezprecedensowym dla historii ludzkości*[3]. Czy w takim razie papież w swojej ostatniej encyklice uprawia swego rodzaju biopolitykę ekologiczną? Tak, jak najbardziej. Zatem przyjrzyjmy się niektórym analizom i propozycjom biopolitycznym w *Laudato si'*.

Franciszek wskazał najpierw na kwestię globalnego ocieplenia i odpadów, na problem kultury odrzucenia, zatracania różnorodności biologicznej, pogorszenia jakości życia, globalnej niesprawiedliwości, słabości reakcji władz oraz na potrzebę nowego spojrzenia na świat jako na wspólny dom. Poruszył też kwestię klimatu jako wspólnego dobra. Wspomniał również o bardzo istotnym założeniu teologicznym, bazującym na Objawieniu w Biblii: *Opisy stworzenia w Księdze Rodzaju zawierają w swoim opisowym i narratywnym języku głęboką naukę na temat ludzkiego istnienia i jego rzeczywistości historycznej. Sugerują one, że ludzka egzystencja opiera się na trzech podstawowych relacjach ściśle ze sobą związanych: na relacji z Bogiem, z innymi ludźmi i z ziemią. Według Biblii te trzy istotne relacje uległy zerwaniu nie tylko zewnętrznie, ale również w nas samych. Tym zerwaniem jest grzech*[4]. Zacytowany fragment można uznać za wyjściowe założenie, będące kluczem dla całej teologicznej refleksji nad stworzeniem oraz nad relacjami człowieka z resztą stworzenia. Ponieważ całość stworzenia jest znakiem Boskiej obecności, a także wyrazem Jego miłości, to z tej racji stworzeniu należą się odpowiedni szacunek i troska ze strony człowieka. Co więcej, należy również pamiętać, że stroną przymierza z Bogiem nie jest jedynie człowiek, lecz całość stworzenia (zob. Rdz 9, 12). Opis aktu stwórczego zawarty w Księdze Rodzaju wska-

PAPIEŻ UPRAWIA BIOPOLITYKĘ EKOLOGICZNĄ

3 Franciszek, Encyklika *Laudato si'*, n. 17.
4 Tamże, n. 66.

zuje, że całość stworzenia była bardzo dobra. Skąd jednak biorą się problemy związane ze środowiskiem naturalnym i gospodarowaniem nim przez człowieka? Franciszek, odpowiadając na to pytanie, wskazał na rzeczywistość grzechu będącego początkiem dysharmonii, która wdarła się w stworzenie. Papież przypomniał również o tym, że stworzenie nie zostało człowiekowi przekazane, aby mógł on nad nim despotycznie panować. W opisie stworzenia w drugim rozdziale Księgi Genesis użyte są słowa „uprawa" oraz „doglądanie" (zob. Rdz 2, 15). W związku z tym konieczna jest swoista wrażliwość ludzkości na kwestie środowiska naturalnego. Jednak Franciszek nie ograniczył się tylko do diagnozy problemów społeczno-ekologicznych i na teologicznych oraz filozoficznych przesłankach, wskazujących na konieczność troski o wspólny dom, którym jest Ziemia. Napisał: […] *będziemy mogli zaproponować taką ekologię, która w swoich różnych wymiarach łączyłaby szczególną pozycję, jaką człowiek zajmuje w tym świecie, oraz jego relacje z otaczającą rzeczywistością. W świetle tej refleksji chciałbym dokonać kroku naprzód w nakreśleniu pewnych ogólnych kierunków dialogu i działań angażujących zarówno każdego z nas, jak i politykę międzynarodową*[5]. Jakie rozwiązania przedstawił Franciszek w *Laudato si'*? Można je streścić pod jednym hasłem: *ekologia integralna*. To druga, po *biopolityce chrześcijańskiej* amerykańskiego teologa Kennetha Cauthena, kompleksowa propozycja współczesnej teologii zaangażowanej w biopolitykę ekologiczną.

Ekologia integralna miałaby obejmować wymiar społeczny oraz ludzki. Składają się na nią założenia dyscyplin, takich jak ekologia gospodarcza, społeczna, środowiskowa; ekologia kulturowa oraz ludzka ekologia życia codziennego. Wszystkie zaś miałaby centralizować zasada dobra wspólnego. Franciszek zaznaczył, że w dziedzinie ekologii gospodarczej, społecznej i środowiskowej *Fundamentalne znaczenie ma poszukiwanie rozwiązań integralnych, uwzględniających interakcje systemów przyrodniczych między sobą oraz z systemami społecznymi*[6]. Ekologia kulturowa miałaby skupiać się na opracowywaniu kwestii związanych ze środowiskiem naturalnym, które brałoby pod uwagę konkretne kultury i jej tożsamość. Opracowa-

5 Tamże, n. 15.
6 Tamże, n. 139.

ne rozwiązania nie mogłyby być narzucane odgórnie. Ich istotnym elementem musiałby być dialog z przedstawicielami danej kultury. Ludzka ekologia życia codziennego polegałaby z kolei na badaniu przestrzeni życiowej ludzi, aby sprawdzić, czy zachodzi całościowa poprawa jakości ich życia. Po drugie chodziłoby w niej o zweryfikowanie relacji człowieka z Boskim prawem moralnym, bowiem to dzięki niemu możliwe jest stworzenie lepszego środowiska zewnętrznego. Franciszek przypomniał w tym miejscu słowa Benedykta XVI, który powiedział, [...] *że istnieje także „ekologia człowieka", gdyż „również człowiek ma naturę, którą winien szanować i którą nie może manipulować według swojego uznania"*[7]. Te trzy składowe *ekologii integralnej* centralizuje zasada dobra wspólnego. Polega ono na uznaniu, że każda osoba ludzka ma prawo do rozwoju oraz do dostępu do systemów socjalnych oraz do dóbr kultury i dóbr naturalnych w oparciu o zasadę pomocniczości. Innymi słowy jest to [...] *suma warunków życia społecznego, które pozwalają bądź to grupom, bądź poszczególnym jego* [...] *członkom pełniej i szybciej osiągnąć ich własną doskonałość*[8]. Franciszek wskazał również na sposoby aplikacji zasad *ekologii integralnej*, które w znacznym stopniu wiążą ze sobą konieczność zastosowania rozwiązań politycznych. Franciszek wskazał na konieczność prowadzenia ożywionego dialogu, który miałby prowadzić ku *ekologicznemu nawróceniu* i podjęciu stosownych kroków w celu zaradzenia kwestii degradacji środowiska (również w porozumieniu z dziedziną ekonomii i zrównoważonego uprzemysławiania). Dialog ten musiałby odbywać się na arenie polityki międzynarodowej, aby wypracować nowe rozwiązania polityczne w wymiarze ogólnokrajowym i lokalnym dla skutecznej ochrony środowiska naturalnego, którego człowiek jest częścią i które człowiek jednocześnie przekracza ze względu na swoją osobową godność. Papież wspomniał też o konieczności dialogu nauki z religią, gdyż nauki przyrodnicze ze względu na swój charakter nie odpowiadają w pełni na pytanie o sens. Cechą nauk przyrodniczych jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „jak?", podczas gdy religie oraz filozofia i teologia poszukują przede wszyst-

KOMPLEKSOWA PROPOZYCJA WSPÓŁCZESNEJ TEOLOGII ZAANGAŻOWANEJ W BIOPOLITYKĘ EKOLOGICZNĄ

7 Tamże, n. 155.
8 Tamże, n. 156.

kim odpowiedzi na pytanie „dlaczego?". Pytanie to jest powiązane w sposób ścisły z kwestią poszukiwania przez człowieka sensu. Z tej racji nauki przyrodnicze winny współpracować z religiami, aby wspólnie poszukiwać kompleksowej prawdy o rzeczywistości – nie tylko tej, która odpowiada na pytanie „jak?", ale również tej, która nie ignoruje pytania „dlaczego?". Wdrażanie *ekologii integralnej*, przy zaangażowaniu polityki, powinno także wiązać się z edukacją, która formowałaby człowieka do przymierza pomiędzy środowiskiem naturalnym i ludzkością.

Przedstawione powyżej skrótowo dwie propozycje są również wyrazem żywotności współczesnej teologii, która pochyla się nad aktualnymi problemami ludzkości i próbuje dostarczyć własnych rozwiązań korespondujących z Objawieniem. Oczywiście można mieć do tych propozycji bardzo zróżnicowany stosunek, aczkolwiek pokazują one, że rozwiązania biopolityczne – w powyższych przykładach: biopolityki ekologicznej – odnajdują swoje formy wyrazu również w teologii. Trzeba jednak wspomnieć jeszcze o innym nurcie biopolityki, który jest dzisiaj dość popularny.

BIOPOLITYKA I TECHNOLOGIE, CZYLI WITAJ W *MATRIXIE*

Jeżeli w latach 60. minionego stulecia punktem wyjścia dla zaistnienia biopolityki ekologicznej była coraz większa świadomość degradacji środowiska naturalnego, tak rok 1973 jest pewną cezurą dla nowego typu biopolityki. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku dokonano przeniesienia kodu DNA pomiędzy gatunkami za pomocą specjalnych technologii genetycznych. Ten rok można zatem uznać za symboliczną datę pojawienia się biopolityki technocentrycznej, którą w bardzo interesujący sposób zdefiniował niemiecki socjolog Wolfgang van den Daele. Jego zdaniem biopolityka technocentryczna jest to [...] *utrzymujące się już od ponad dwóch dziesięcioleci problematyzowanie i regulacja stosowania na człowieku nowoczesnych nauk przyrodniczych i techniki.* [...] *Biopolityka reaguje na przekraczanie granic. Reaguje na to, że granice ludzkiej natury, które do tej pory obowiązywały w sposób niebudzący wątpliwości, ponieważ znajdowały się poza naszymi umiejętnościami technicznymi, są teraz do dyspozycji człowieka.* [...] *Wynikiem są kontrowersje moralne i debaty nad sposobami regulacji, w których*

BIOPOLITYKA REAGUJE NA PRZEKRACZANIE GRANIC

zasadniczo chodzi o stare pytanie, czy wolno nam robić to, co robić potrafimy[9]. W ten sposób dochodzimy do kluczowego zagadnienia tego rodzaju biopolityki. Jej przedmiotem jest kwestia modyfikowania i przemieniania życia, społeczeństwa oraz środowiska naturalnego przy stosowaniu naukowych metod technologicznych. Przekształcenie się biologii w sztukę bioinżynieryjną dało ludzkości nowe perspektywy, które wielokrotnie przyczyniają się do polepszania jakości życia. Jednakże część z tych technik – co zresztą zauważył van den Daele – staje się przedmiotem licznych kontrowersji ze względu na etyczną wątpliwość niektórych metod ingerencji w fenomen życia. Można tutaj wyliczyć kwestie takie jak zapłodnienie *in vitro*, badania prenatalne, badania neurobiologiczne. Dla części osób metody te są niedopuszczalne – lub przynajmniej wątpliwe – z pewnych przyczyn natury światopoglądowej. Współczesny człowiek, egzystujący w kulturze konsumpcjonizmu, raczej nie pochyla się głębiej nad moralną stroną rozwoju techniki, która niekiedy w podstępny sposób uderza w godność człowieka. Zygmunt Bauman zauważył ową rozbieżność pomiędzy moralnością a rozwojem technicznym: [...] *raz wdrożone mechanizmy, umożliwiające separację zdolności technicznych od wyobraźni moralnej zaczynają się samoistnie napędzać, wzmacniać i odnawiać. Sprzyja temu ludzka zdolność* [...] *dopasowywania się, sprawiania, by to, co wczoraj było niewyobrażalne, dziś stało się niezbitym faktem*[10]. Brak myślenia etycznego przy coraz większej technicyzacji świata powoduje, że ludzkość ma możliwość bezmyślnego powielania wątpliwych etycznie metod. Oznacza to, iż fenomen zła w pewnych strukturach czy technologiach może być wciąż nieumyślnie powtarzalny. Takie zjawisko Günter Anders określił jako *syndrom Nagasaki*[11]. Dostrzegł to również Jan Paweł II, który w swojej programowej encyklice *Redemptor hominis* z 1979 roku porusza ten problem w sensie filozoficznym i teologicznym: *Człowiek dzisiejszy zdaje się być stale zagrożony przez to, co jest jego własnym wytworem, co jest wynikiem pra-*

Przekształcenie się biologii w sztukę bioinżynieryjną dało ludzkości nowe perspektywy

9 W. van den Daele, *Soziologische Aufklärung zur Biopolityk*, w: tenże (red.), *Biopolitik*, Wiesbaden 2005, s. 8.

10 Z. Bauman, *Historia naturalna zła*, „Znak" 2012, nr 690, s. 13.

11 Zob. G. Anders, *Nous, fils d'Eichmann*, tłum. S. Corneille, Ph. Ivernel, Paris 2003, s. 47.

cy jego rąk, a zarazem – i bardziej jeszcze – pracy jego umysłu, dążeń jego woli. Owoce tej działalności człowieka zbyt rychło i w sposób najczęściej nieprzewidywalny nie tylko i nie tyle podlegają „alienacji” […] *ile – przynajmniej częściowo, w jakimś pochodnym i pośrednim zakresie skutków – skierowują się przeciw człowiekowi. […] Na tym zdaje się polegać główny rozdział dramatu współczesnej ludzkiej egzystencji w najszerszym i najpowszechniejszym wymiarze. Człowiek coraz bardziej bytuje w lęku. Żyje w lęku, że jego wytwory – rzecz jasna nie wszystkie i nie większość,* […] *mogą zostać obrócone w sposób radykalny przeciwko człowiekowi*[12]. Czy można zatem wyznaczyć jakieś elementy, które charakteryzują każdy z systemów biopolitycznych i siłą rzeczy znacznie wpływają na ich *stopień kontrowersyjności*? Wyznaczmy dwa.

MOJE DWA „ALE”

Dwie sprawy powinny wzbudzić szczególną uwagę. Są to kwestie, które w znaczny sposób wpływają na założenia każdego systemu. To one sprawiają, że poszczególne założenia danego systemu mogą być odbierane jako bardziej lub mniej kontrowersyjne. Tak samo jest w przypadku biopolityki. Nie jest możliwe, aby całą dziedzinę określić jako złą i niebezpieczną. Tak samo nie można powiedzieć, że wszystkie jej propozycje są bezapelacyjnie dopuszczalne. Jak już wspomniałem na początku, biopolityka jest – szczególnie dzisiaj – dziedziną bardzo różnorodną. Z perspektywy teologii chrześcijańskiej można powiedzieć, że część z propozycji i postulatów biopolityki jest godna uwagi, jednakże niektóre są nieakceptowalne. Jakie zatem dwie sprawy należy wziąć pod uwagę? Są nimi antropologia i etyka.

ŻYJE W LĘKU, ŻE JEGO WYTWORY MOGĄ ZOSTAĆ OBRÓCONE W SPOSÓB RADYKALNY PRZECIWKO CZŁOWIEKOWI

Antropologię postrzegam jako kluczową dziedzinę przy weryfikacji założeń każdego systemu. Jeżeli konkretny system i jego propozycje są wytworem człowieka i jeżeli są ku niemu skierowane, to należy sobie postawić pytanie o sposób postrzegania osoby ludzkiej przez światopogląd tego systemu. Pytanie „kim jest człowiek?” i udzielana odpowiedź są dla mnie w tym względzie punktem wyjścia. Część systemów biopolitycznych postrzega człowieka jedynie jako pewien agregat żywych komórek tworzących żywy organizm. Akcen-

12 Jan Paweł II, Encyklika *Redemptor hominis*, n. 15.

tuje się w ten naturalistyczny sposób jedynie jego sferę materialną i redukuje wymiar duchowy. Antropologia teologiczna postrzega człowieka w paradygmacie antynaturalistycznym, jako istotę o charakterze transcendentnym. Oznacza to, że człowiek – będący wprawdzie częścią stworzenia – *przekracza* świat stworzeń ze względu na swoją naturę. Ponadto ujmowany jest on jako byt duchowo-cielesny, zaś żaden z tych elementów nie jest postrzegany jako zły lub gorszy. Teologia zaznacza, że jeżeli Bóg zechciał się wcielić w osobie Jezusa Chrystusa, to tym samym kolejny raz ukazał godność człowieczeństwa. Bóg *wszedł* w dzieje człowieka poprzez swoje Wcielenie. W ten sposób stał się podmiotem historii ludzkości i jej ewenementem. Poprzez Wcielenie urzeczywistnił się nowy wymiar ludzkiego bytowania, który w Boskim zamyśle był od zawsze. Z tej przyczyny w teologii twierdzi się, że osoba ludzka ma szczególną godność, zaś jej życie (i prawo do życia) jest wartością nie tyle podstawową, ale wręcz fundamentalną.

Z ustalonej wizji człowieka wypływa konkretny model etyki. Uznanie transcendentnego wymiaru osoby ludzkiej niesie ze sobą potrzebę uznania jakiegoś w pełni doskonałego Naprzeciw względem zagadki człowieka i jego istoty. Owo Naprzeciw filozofia określa mianem Absolutu, zaś teologia mianem Boga. Jestem gotów bronić tezy, że współczesność mierzy się z kryzysem wyobraźni metafizycznej. Erozja myślenia metafizycznego jest w stanie doprowadzić do ignorowania kwestii istnienia wymiaru Tajemnicy-Boga, którego rozpoznanie jest tak zasadnicze – z teologicznego punktu widzenia – dla zbudowania klarownej antropologii i w konsekwencji etyki. Jedną z konsekwencji atrofii wyobraźni metafizycznej jest kryzys moralności spowodowany ignorancją wobec sprawy Absolutu. Uznanie Jego istnienia ciągnie za sobą konieczność opowiedzenia się za tzw. wertykalnie zorientowanym systemem moralnym, którego normy, szczególnie w relacjach międzyosobowych, są ukonstytuowane w odniesieniu do Absolutu, czyli odnajdują oparcie w wartości niezmiennej, są więc także nienaruszalne. Moralność bez odniesienia do Boga staje się tzw. moralnością horyzontalnie zorientowaną, czyli taką, która opiera się na jakiejś umowie społecznej. Miejsce Absolutu zajmuje wówczas człowiek

NIEBEZPIECZEŃSTWO WYPRACOWANIA SYSTEMU MORALNEGO, KTÓRY MÓGŁBY ODPOWIADAĆ JEDYNIE OKREŚLONEJ KLASIE SPOŁECZNEJ LUB INTERESOWI

lub kolektyw, arbitralnie orzekający, co jest porządne lub zbędne, co jest dobre i złe. Pojawia się wtedy niebezpieczeństwo wypracowania systemu moralnego, który mógłby odpowiadać jedynie określonej klasie społecznej lub interesowi, a tym samym negować przywileje i prawa innych grup. W związku z tym trzeba podkreślić, iż moralność horyzontalnie zorientowana nie jest w stanie bezsprzecznie uznać w człowieku jego szczególnego, osobowego statusu ontycznego, odwołując się jedynie do wymiaru ziemskiego.

Wspomniane wyżej dwa „ale", dwa zastrzeżenia winny być brane pod uwagę przy interpretowaniu każdej propozycji z zakresu biopolityki (choć nie tylko z tej dziedziny). Żyjemy w epoce, w której rozwój technologiczny znacznie ułatwia życie w wielu aspektach naszej codzienności. To dobry znak. Jednak rozwój techniczny zdecydowanie powinien iść w parze z wrażliwością etyczną. Jest to możliwe pod warunkiem wypracowania jasnej antropologii, aby móc się rozeznać, co człowiekowi będzie faktycznie służyć, a co obróci się przeciwko niemu.

WŚCIBSKI (?) KOŚCIÓŁ I JEGO TEOLOGIA

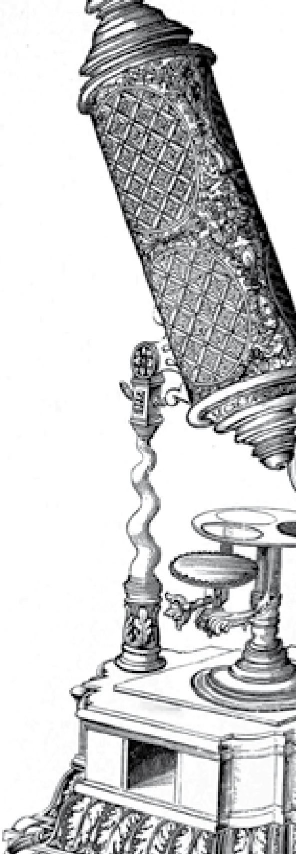
Kościół w jasny sposób postrzega swoją misję względem świata: ma być orędownikiem Ewangelii. Robi to niezmiennie w oparciu o mandat apostolski, który został udzielony przez samego Jezusa Nazarejczyka (zob. Mt 28, 18–20). W świetle tego często stawia się pytanie o zakres prawa Kościoła do zabierania głosu w sprawach politycznych. Czy Kościół może identyfikować się z jakąś partią polityczną? Odpowiedź jest jasna: jak najbardziej nie ma takiego prawa. Wspomina o tym Konstytucja *Gaudium et spes*: *Kościół, który z racji swego zadania i kompetencji w żaden sposób nie utożsamia się ze wspólnotą polityczną ani nie wiąże się z żadnym systemem politycznym, jest zarazem znakiem i zabezpieczeniem transcendentnego charakteru osoby*[13] (i mam czelność gorąco zadedykować ten fragment tym wszystkim duchownym, którzy głównie w ramach swoich kazań lub listów pasterskich nie mogą powstrzymać się od dwuznaczności swoich wypowiedzi, w których w mniej bądź bardziej bezpośredni sposób ukazują jedynie właściwe –

CZY KOŚCIÓŁ MOŻE IDENTYFIKOWAĆ SIĘ Z JAKĄŚ PARTIĄ POLITYCZNĄ?

13 II Sobór Watykański, Konstytucja *Gaudium et spes*, n. 77.

w ich mniemaniu – preferencje polityczne). Czy Kościół ma prawo mieszać się do polityki (lub – mówiąc ściślej – biopolityki)? Odpowiedź brzmi: nie ma. Trzeba powiedzieć dobitniej: Kościół ma wręcz obowiązek (*sic!*) zabierania głosu w tych wszystkich sprawach, w których chodzi o człowieka i o jego dobro, a więc ma obowiązek zabierać głos również w sprawach politycznych. Takie jest samorozumienie Kościoła i samorozumienie jego misji. Przypomniał o tym również papież Wojtyła w przywoływanej już encyklice *Redemptor hominis*: *Kościół nie może odstąpić od człowieka, którego „los”* [...] *w tak ścisły i nierozerwalny sposób zespolony jest z Chrystusem* [...], *człowiek jest pierwszą drogą, po której powinien kroczyć Kościół w wypełnianiu swojego posłannictwa, jest pierwszą i podstawową drogą Kościoła, drogą wyznaczoną przez samego Chrystusa, drogą, która nieodmiennie prowadzi przez Tajemnicę Wcielenia i Odkupienia*[14].

Ten esej rozpocząłem od przywołania filmu *Klucz do wieczności* i zacytowałem słowa jednego z głównych bohaterów, doktora Albrighta: *Nie byłoby nauki ani postępu bez ofiar*. Moja odpowiedź będzie wręcz trywialna: wcale nie musi tak być. Zrównoważony postęp nauk ścisłych oraz technicznych, który stawia sobie pytanie o człowieka i nie ignoruje w świetle tego pytania moralności, prowadzi do rozwoju, a nie do degradacji (środowiska naturalnego lub konkretnych istnień). Żałuję tylko, że na tak niewielu uczelniach technicznych znajdują się wydziały humanistyczne, na których adepci nauk ścisłych czy politechnicznych zdobywaliby szlify z zakresu filozofii (już nie wspomnę przecież o teologii), która tak bardzo wnikliwie i wręcz rozpaczliwie pyta o człowieka, stawiając to sławetne pytanie „Kim-Czym jest człowiek?”. Jednakże jako teolog mam jasność, że zagadka człowieka odnajduje swoją ostateczną odpowiedź dopiero w perspektywie Boskiej Tajemnicy. **Ω**



14 Jan Paweł II, dz. cyt., n. 14.

Samobójstwo na raty

Znalazłszy się w posiadaniu tak zdumiewających możliwości[1]

Adrian Ligęza

Na początku ery nowoczesnej powstało źródło trwałych wyobrażeń na temat nauki – objawiająca najgłębsze obawy i pragnienia, dotyczące potencjału nauki, opowieść o opętanym naukowcu stwarzającym nowe życie

Historia doktora Frankensteina przerodziła się w podstawowy mit biologii, w jeden z najważniejszych mitów współczesności, wyrażający obawy i pragnienia, dotyczące możliwości wykorzystania przez badaczy osiągnięć nauki o życiu. Opętany naukowiec, dysponujący władzą nad biologicznymi podstawami życia, stwarzający nowy byt, został wpisany w wieczne „teraz". Mit ten posiada tendencję

1 Zob. M. Shelley, *Frankenstein*, przeł. P. Łopatka, Kraków 2001, s. 34.

uogólniającą, uniwersalistyczną, żąda bezwarunkowej zgody na przedstawiany przez siebie wizerunek biologa oraz, odwołując się do społecznych emocji, dąży do kształtowania zachowań i przekonań, próbuje nadać pracy biologa sens nie tyle ambiwalentny, co jednoznacznie złowieszczy i przerażający. Najistotniejsze w tym micie jest przedstawienie biologa jako kogoś, kto posiada realny potencjał stworzenia nowego życia, kto w ewentualnym akcie naukowej kreacji może powołać do istnienia koszmarne monstrum, które zwróci się nie tylko przeciwko jemu samemu, ale przeciwko człowiekowi w ogóle, stając się jego potężnym wrogiem, niewdzięcznym i zapalczywym niszczycielem. Wiedza i umiejętności biologa nie zawsze przynoszą oczekiwane dobro, skutki ich użycia – każdorazowo nieprzewidywalne i losowe – mogą sprowadzić nieszczęście i katastrofę, on sam zaś, bezgranicznie ulegając naukowej pasji, zatraca się w swoich badaniach i nie potrafi zapanować nad własną ambicją i próżnością.

Kolejne pokolenia pisarzy obserwowały triumfy nauki o życiu, cały czas mając z tyłu głowy figurę powołaną do życia przez Mary Shelley. Z jednej strony dostrzegali, że biologia może przynieść wiele korzyści, z drugiej zaś obawiali się pogwałcenia przez nią ustalonych granic. Perspektywa odegrania przez naukowca roli Stwórcy i zastąpienia Boga nauką przyrodniczą wzbudzała w nich trwogę, oznaczała bowiem nic innego, jak ingerencję w proces ewolucji i odwieczne prawa natury. Dystans człowieka do innych istot żywych, wywołany jego szczególną pozycją w naturze, wykluczył problemy moralne z zagadnień związanych z naukami przyrodniczymi. Pisarze oczywiście byli tego świadomi, czujnie obserwowali myśl filozoficzną, nowe idee i trendy. Dlatego jeżeli do uniezależnienia się nauk od moralności dodamy wnioski wynikające z *Rozprawy o metodzie* Kartezjusza, myśl Kanta, Darwinowskie *Man is no exception*, Nietzscheańskie *Bóg umarł*, utylitaryzm wraz z rachunkiem hedonistycznym oraz scjentyzm, w ramach którego „naukowość" staje się autorytetem sankcjonującym i rozstrzygającym, to łatwiej zrozumiemy, dlaczego obawy narastały i znalazły swoje ujście w twórczości m.in. H.G. Wellsa, Karela Čapka, Aldousa Huxleya czy Stanisława Lema.

PRZEDSTAWIENIE BIOLOGA JAKO KOGOŚ, KTO POSIADA REALNY POTENCJAŁ STWORZENIA NOWEGO ŻYCIA

Autorzy ci swoimi dziełami zwrócili uwagę na fakt, że koniec kultury i cywilizacji czy nawet ludzkości może nastąpić w wyniku

wytworzenia nadmiaru wiedzy, a każda nowa technologia zmienia wszystko na wzór zmiany w ekosystemach. Dążenie do ingerencji w opisany przedmiot badań, utracenie przez biologię orientacji, gwałcenie ustalonych granic, perspektywa połączenia ewolucji kulturowej i biologicznej po odkryciu praw Mendla, wyjaśnieniu struktury DNA i opracowaniu technologii genetycznej, utwierdzają kolejne pokolenia pisarzy w przekonaniu, że nadchodzi w historii ludzkości *nowa era, w której będziemy dysponować niespotykanymi do tej pory możliwościami kontrolowania żywych organizmów i manipulowania nimi*[2].

> **[...] *wyprodukować rasę bardzo uzdolnionych ludzi*[3].**

POD KONIEC XIX WIEKU naukowcy coraz częściej omawiali społeczne skutki industrializacji oraz ich wpływ na kondycję człowieka. W ocenie wielu spośród nich postęp techniczny i uprzemysłowienie nie przyniosły wyłącznie uprzednio zapowiadanych profitów, ale dostarczyły także całe mnóstwo problemów. Biologowie spostrzegli, że rozwój medycyny, ocalającej i przedłużającej życie osób niejednokrotnie obciążonych skazami genetycznymi, przyczynił się do ratalnego i regularnego degradowania ludzkiej puli genowej. Praca i zadania niewidzialnego ramienia doboru naturalnego zostały znacznie ograniczone, co umożliwiło osobom o *gorszych* genach, naznaczonym chorobami dziedzicznymi czy innego typu wadami przekazanie swoich cech następnym pokoleniom. W związku z tym zaczęto się zastanawiać, w jaki sposób zapobiec deprecjacji gatunku, permanentnemu spadkowi jego biologicznej wartości.

HAMOWANIE PROCESÓW ZMIERZAJĄCYCH DO POGARSZANIA LUDZKIEJ RASY, A Z DRUGIEJ SPRZYJANIE JEJ DOSKONALENIU

W 1883 roku Francis Galton opowiedział się za selekcją i metodycznym rozrodem ludzi, mającymi na celu ulepszanie gatunku. Stworzył, nazwał i zdefiniował interwencyjną naukę – eugenikę – której

2 J. Turney, *Ślady Frankensteina. Nauka, genetyka i kultura masowa*, przeł. M. Wiśniewska, Warszawa 2001, s. 7–8.

3 F. Galton, *Hereditary Genius*, McMillan and Company, London 1925, s. 1, cyt. za F. Jacob, *Mysz, mucha i człowiek*, przeł. W. Jadacka, Warszawa 1999, s. 119.

zadaniem było z jednej strony hamowanie procesów zmierzających do pogarszania ludzkiej rasy, a z drugiej sprzyjanie jej doskonaleniu. Dwojakie założenia eugeniki zadecydowały o jej rozróżnieniu na eugenikę negatywną i pozytywną. Pierwsza koncentruje się na *zniechęcaniu do reprodukcji lub jej prawnym zakazywaniu w odniesieniu do jednostek, będących nosicielami genów powodujących choroby lub różnego rodzaju ułomności*[4], odbywa się poprzez eliminację. Druga stwarza preferencje *w posiadaniu potomstwa przez jednostki uważane za „lepsze", w celu genetycznego ulepszenia rasy ludzkiej*[5] – przez selekcję podejmuje trud, by rodziły się możliwie *najlepsze* dzieci.

Już na początku XX wieku idee eugeniki miały wielu zwolenników wśród elit decydujących o polityce społecznej Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej – tam też powstały pierwsze programy eugeniczne polegające na wytypowaniu przez zespół *specjalistów* cech odbiegających od normy oraz na wskazaniu osób posiadających owe wady. Założone Towarzystwa Eugeniczne – popierane przez zdecydowaną większość genetyków – żerowały na ambiwalencji społecznych uczuć do biologii: na pragnieniu udoskonalenia człowieka oraz na obawach przed deprecjacją gatunku; na marzeniach o zdrowym i uzdolnionym potomstwie, mającym lepsze i łatwiejsze życie oraz na lęku przed chorobami i ułomnością fizyczną lub psychiczną. Eugenika, odpowiadając na pierwszorzędne ludzkie ideały i fobie, bazując przy tym na wiedzy i autorytecie biologii, zmierzała do ustanawiania ładu społecznego na zasadach naukowych. Wizja upadku rasy ludzkiej wsparta na szacunku do nauki była instrumentem wspierającym proces wdrażania zaplanowanego przez elity nowego porządku. Jednakże ówczesna wiedza technologiczna uniemożliwiała realizację *chowu selekcyjnego*, czyli wprowadzenia w życie eugeniki pozytywnej, programy eugeniczne skupiły się więc na eliminowaniu ludzi *niezdatnych*, *postawiono znak równości między statusem społecznym a biologiczną wartością*[6]. W Wiel-

PROGRAMY EUGENICZNE SKUPIŁY SIĘ WIĘC NA ELIMINOWANIU LUDZI NIEZDATNYCH

4 K. Hirschhorn, *On Redoing Man*, [w:] *Selected Readings: Genetic Engineering and Bioethics,* R.A. Paoletti, New York 1972, s. 63, cyt. za: T. Kraj, *Eutanazja a eugenika we współczesnej praktyce medycznej,* [w:] *Systemy bioetyki,* red. T. Biesaga, Kraków 2003, s. 199.

5 Tamże.

6 J. Turney, *dz. cyt.*, s. 99.

kiej Brytanii skierowano się ku robotnikom, a w USA ku grupom imigrantów – jako *niezdatni* zostali określeni alkoholicy, epileptycy, niedorozwinięci umysłowo oraz ludzie biedni; po wyselekcjonowaniu na ogół byli oni poddawani przymusowej sterylizacji.

Własny program eugeniczny, wzorując się głównie na metodach stosowanych przez Amerykanów, uruchomili też Niemcy. III Rzesza hojnie finansowała badania, mające na celu eliminację jednostek szkodliwych i uciążliwych dla społeczeństwa, badania, które wpłynęły na powstanie obozów koncentracyjnych oraz laboratoriów eugenicznych – przy czym prace te podejmowane były w ramach oficjalnych organizacji naukowych, a w ich wyniku do wybuchu wojny życie straciło 275 000 ludzi (upośledzeni, chorzy psychicznie, homoseksualiści, komuniści).

W przekonaniu Hitlera dokonanie eksterminacji Żydów, Słowian i Romów było zadaniem o pierwszorzędnym znaczeniu dla wybawienia zagrożonej przez gorsze rasy ludzkości. Ich wytępienie było obowiązkiem, słuszną metodą działania, wyrazem poczucia odpowiedzialności i troski o gatunek, triumfem woli nad wszelkimi ograniczeniami, szlachetnym upustem mocy twórczej, a nawet cnotą. Zbrodnicza radykalizacja eugeniki negatywnej w ideologii nazistowskiej posiadała więc pozory moralności – ludobójstwo stało się nie tylko czynem etycznie usprawiedliwionym, ale i najwyższym powołaniem realizowanym w imię dobra ludzkości.

OBAWY, ŻE BIOTECHNOLOGIA ODBIERZE NAM CZŁOWIECZEŃSTWO

Postęp technologiczny sukcesywnie usuwa dotychczasowe przeszkody, uniemożliwiające stosowanie eugeniki pozytywnej – rodzi się eugeniczna inżynieria genetyczna, której celem jest *tworzenie jednostek o cechach uprzednio dla nich zaplanowanych, takich jak wysoki iloraz inteligencji, zdolność podejmowania trudnych i wymagających prac, długowieczność czy pewne postawy uznane w danym społeczeństwie za wartościowe*[7]. Zatem inżynieria genetyczna może oznaczać wbudowywanie preferencji społecznych jednego pokolenia w następne, próby rozpoczęcia chowu, niechybnie naznaczonego mentalnością konsumpcyjną, według której konkurencyjność jest zasadniczym wskaźnikiem wartości człowieka. Rodzi to obawy, że biotechnologia odbierze nam człowieczeństwo – *pewną nieodłączną cechę, któ-*

7 T. Kraj, *dz. cyt.*, s. 205.

ra zawsze, mimo wszystkich zewnętrznych zmian w ludzkiej kondycji na przestrzeni dziejów, była podstawą naszego poczucia, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy[8] i że uczyni to chyłkiem, po cichu. Zastanawiamy się, jak będzie wyglądał człowiek i świat w przyszłości, do czego doprowadzi wciąż przyspieszający rozwój naukowy i technologiczny oraz wobec jakich dylematów wkrótce postawi on ludzkość – z tego typu pytaniami zmierzał się w swojej twórczości Stanisław Lem.

W *Wizji lokalnej* została opisana inżynieria genetyczna (nazywana tu genżynierią lub programem autoewolucji): z jednej strony jako wabiąca swoimi atutami obietnica usprawnienia organizmu, podniesienia go na wyższy szczebel kierowanej naukowo ewolucji, z drugiej zaś jako *śliska pochyłość bez zastawek, wiodącą ku otchłani nonsensów*[9].

GENŻYNIERIA PRZESTAJE BYĆ PROSTYM LIKWIDOWANIEM POJEDYNCZYCH GENÓW, PRZEKSZTAŁCA SIĘ W ZARZĄDZANIE EWOLUCJĄ

W pierwszej fazie projektu genżynieryjnego, kiedy to próbuje się nakłonić społeczeństwo do zaaprobowania nowej biotechnologii, innowacja jest promowana jako bezpieczna zarówno dla jednostki, jak i dla ogółu, zachwala się jej dobroczynne możliwości, tj. usuwanie genów zmniejszających żywotność czy powodujących mankamenty dziedziczne. Zainicjowane na tym etapie naprawy fizyczności są coraz powszechniej stosowane, a z czasem nie sposób z nich zrezygnować *przy żadnym osiągniętym stanie, bo i najzdrowsi chorują, a najmędrsi ulegają starczemu marazmowi*[10]. Oczarowana i zachwycona ich efektami społeczność nie chce słyszeć o możliwości ich zaprzestania, decyduje się na poniesienie wysokich kosztów, byleby tylko móc dalej cieszyć się sprawnością ciała i długim życiem. Ceną za usuwanie niedostatków kondycji i zdrowia jest *stopniowe odchodzenie od naturalnego planu budowy organizmu, utrwalonego ewolucyjnie*[11]. Stosowana na coraz większą skalę genżynieria przestaje być prostym likwidowaniem pojedynczych genów, przekształca się w zarządzanie ewolucją. Opanowanie procesu dotychczas niemożliwego do opanowania rodzi zasadnicze pytanie – problem: w którym

8 F. Fukuyama, *Koniec człowieka. Konsekwencje rewolucji biotechnologicznej*, przeł. B. Pietrzyk, Kraków 2006, s. 139.

9 S. Lem, *Wizja lokalna*, Kraków 1982, s. 137.

10 Tamże.

11 Tamże.

momencie powstanie nowy gatunek? Ile genów trzeba wymienić, aby przeobrazić organizm w twór zupełnie nowy? Usprawnianie poszczególnych organów i funkcji ustrojowych wydaje się rzeczą jak najbardziej pożyteczną i słuszną, korzystne jest przecież posiadanie bardziej odpornych kości czy oczu, którym nie zagraża ślepota, warto mieć niewypadające zęby i uszy, które nie głuchną – ale ile tych cielesnych niezawodności można genetycznie wszczepić w organizm, aby był on organizmem tego samego gatunku? Ponadto przeprowadzona modernizacja ciała wymaga dalszych jego usprawnień, masywniejsze mięśnie trzeba osadzić na potężniejszych kościach, sprawniejszy mózg należy wyposażyć w głębszą pamięć, umieścić go w pojemniejszej czaszce itd. – *aż nadejdzie czas, kiedy przyjdzie sam białkowy budulec zastąpić bardziej uniwersalnym, wtedy bowiem sprawności ustroju pójdą skokiem w górę*[12]. W ten sposób, krok za krokiem, powstaje istota skonstruowana bardziej harmonijnie i proporcjonalnie, zahartowana i wytrzymała, odporna na choroby i obrażenia, wszechstronna i bardziej rozumna, a być może – dzięki wymianie psujących się narządów oraz sprawnym i uniwersalnym zdolnościom adaptacyjnym – wieczna i nieśmiertelna; *z tym jednym zastrzeżeniem, że ta istota będzie akurat tak podobna do człowieka, jak maszyna cyfrowa czy traktor*[13]. Nie da się też określić punktu, z którego nie można już posunąć się dalej, wytyczyć procesowi autoewolucji granicę nie do przekroczenia, albowiem każde posunięcie i udoskonalenie, każdy krok w tej dziedzinie zbliża do wzorca, do realizacji odwiecznego marzenia ludzi, do wcielenia ideału sprawności. Niestety te oczekiwania zrealizować może tylko twór *zupełnie już nieludzki*[14] – sens innowacyjnych wdrożeń biotechnologicznych, mających dotknąć i przemienić nasze potomstwo, zostaje ironicznie zakwestionowany: *czyż nie lepiej od razu usynowić maszynę cyfrową albo cały ośrodek obliczeniowy?* [...] *dlaczegóż by samozagłada na raty miała być czymś lepszym od natychmiastowej?*[15]

NIE DA SIĘ TEŻ OKREŚLIĆ PUNKTU, Z KTÓREGO NIE MOŻNA JUŻ POSUNĄĆ SIĘ DALEJ

12 Tamże.
13 Tamże.
14 Tamże.
15 Tamże, s. 139.

Przedstawione przez Lema w *Summa technologiae* (1966) hasło *doścignąć i prześcignąć naturę* mogło wydawać się mrzonką, ale dzisiaj już wiemy ponad wszelką wątpliwość, że człowiek rzeczywiście stanął przed perspektywą przekształcenia samego siebie, że jest on *ostatnim, autentycznym dziełem przyrody wewnątrz stwarzanego przez siebie świata,* że *stan taki nie może trwać dowolnie długo, że inwazja stworzonej technologii w jego ciało jest nie do uniknięcia*[16]. Osiągnięcia w biologii oraz w ściśle z nią związanych dziedzinach postawiły człowieka w nowej sytuacji egzystencjalnej: może on zmienić swój wygląd, płeć, stan emocjonalny, może decydować o tym, jakie ma być jego potomstwo – urzeczywistnia się idea *homo biologicus,* idea człowieka umiejącego sterować swoim rozwojem, człowieka, który *stał się panem swojego losu,* [...] *zarówno tworzywem, jak i rzeźbiarzem*[17].

W 1932 roku Aldous Huxley wydał *Nowy, wspaniały świat*, głęboko pesymistyczną powieść, która rzuciła cień *na cały obszar publicznej debaty, kształtującej reakcje i oceny szeroko pojętych badań biomedycznych*[18], ale także ożywiła prace badawcze i wyznaczyła biologii nowe cele. Na tym straszliwym, kasandrycznym obrazie cywilizacji przyszłości szczególny ślad odcisnęły dwie koncepcje, zaczerpnięte przez Huxleya z obserwowanej przez niego dyskusji o nadchodzącej rewolucji biologicznej, która umożliwi człowiekowi panowanie nad światem organicznym i da mu potencjał niewymownie większy niż rewolucja przemysłowa i panowanie nad światem nieożywionym. Pierwsza z nich pochodziła z książki *The Scientific Outlook* (1931), której autor Bernard Russell twierdził, że *ludzie zdobędą możliwość przekształcenia samych siebie i niechybnie z niej skorzystają*, że nauka unieszczęśliwi człowieka, zostanie wykorzystana do utrwalenia dominacji jednej z grup i przyczyni się do tego, że człowiek *w coraz większym stopniu będzie nabierał skłonności do postrzegania siebie jako produktu*[19]. Druga natomiast została zaczerpnięta z powieści *Life in*

Człowiek w coraz większym stopniu będzie nabierał skłonności do postrzegania siebie jako produktu

16 S. Lem, *Summa technologiae,* Kraków 1974, s. 394.

17 J. Rostand, *Life, The Great Adventure: Discussions with Paul Bidon,* przeł. A. Brodwick, Hutchinson 1955, s. 68. Cyt. za: J. Turney, *dz. cyt.*, s. 224.

18 J. Turney, *dz. cyt.*, 184.

19 B. Russell, *The Scientific Outlook*, George Allen & Unwin, 1931, s. 169, cyt. za: J. Turney, *dz. cyt.*, s. 165.

the Year 2030 (1930) hrabiego Birkenheada, według którego ektogeneza jest *możliwa do realizacji, a skoro tak, to z pewnością nic naukowców przed nią nie powstrzyma,* kobiety zaś pewnego dnia zaakceptują ją *jako cenę za wolność, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie miały*[20]. Przewiduje on też, że *jeżeli można by było wyhodować rasę silnych, zdrowych istot, szybko i chętnie podejmujących się najbardziej niewdzięcznych prac, a ponadto jeszcze pozbawionych ambicji,* to żadna klasa rządząca nie zdołałaby się oprzeć takiej pokusie, gdyż *ektogenetycznie stworzony niewolnik przyszłości wcale nie cierpiałby z powodu swoich kajdan. Wszystkie odczucia czyniące niewolnictwo poniżającym i przykrym dla zwykłego człowieka zostałyby usunięte z jego psychicznego wyposażenia. Największym jego szczęściem byłaby praca; byłby dokładnym odpowiednikiem pracowitej pszczoły*[21]. Huxley myślał podobnie, był przekonany, iż biologia jest jedyną nauką posiadającą moc radykalnie zmienić jakość naszej egzystencji. W powieści połączył koncepcje Russella i Birkenheada z produkcją masową odniesioną do nauki o życiu, tworząc w ten sposób świat zdehumanizowanej ludzkości, parodię hedonistycznego raju zamieszkiwanego przez ludzi maszyny, ludzi wyroby z taśmy produkcyjnej.

Lektura *Nowego, wspaniałego świata* każe nam się zastanowić nad potencjałem kryjącym się w nauce o życiu i perspektywami, jakie ona przed nami roztacza, nad możliwymi scenariuszami jej rozwoju i ewentualnymi nadużyciami w zastosowaniu jej osiągnięć. Kiedy obserwujemy wciąż nabierający rozpędu postęp w biologii i porównujemy go z zatrważającą wizją zarysowaną przez Huxleya, nabieramy obaw, czy oby nie zmierzamy w kierunku totalitarnej Republiki Świata. Zastanawiamy się, czy w przyszłości będziemy wytwarzali człowieka, *jakby był po prostu kolejną wytwarzaną przez nas rzeczą*[22], czy następne pokolenia będą pozbawione perspektywy przekroczenia wbudowanych w nie ograniczeń, czy nastanie dzień, kiedy biologia umożliwi wprowadzenie nowego

ŚWIAT ZDEHUMANIZOWANEJ LUDZKOŚCI, PARODIA HEDONISTYCZNEGO RAJU ZAMIESZKIWANEGO PRZEZ LUDZI MASZYNY, LUDZI WYROBY Z TAŚMY PRODUKCYJNEJ

20 Birkenhead lord (F.E. Smith), *Life in the Year 2030*, Hodder & Stoughton, 1930, s. 61, cyt. za: J. Turney, *dz. cyt.*, s. 181–182.

21 Tamże.

22 L. Kass, *Making babies: the New biology and the 'old' morality*, „Public Interest" 26, 1972, s. 50, cyt. za: J. Turney, *dz. cyt.*, s. 255.

porządku społecznego, utworzenie instytucji kontrolujących egzystencję jednostek i całej populacji i czy nadejdzie kres ludzkości, czas historii poczłowieczej, mierzony od momentu przeobrażenia naszego gatunku w inny? Prognozy zawarte w powieści częściowo już się ziściły – biologia przynosi człowiekowi trojaką władzę, dzięki jej osiągnięciom rozpoczyna on panowanie nad reprodukcją, nad dziedzicznością i nad układem nerwowym. Jesteśmy świadkami tego, jak biologia i spokrewnione z nią nauki doganiają beletrystykę, jak nabierają one zdolności mobilizowania środków, mogących odebrać nam wolność i człowieczeństwo, a wraz z nimi nasz stary, niedoskonały świat. W dobie technologii zapłodnienia *in vitro* ludzkiej komórki jajowej, w dobie antykoncepcji i oddzielenia życia seksualnego od prokreacji, kiedy to miłość fizyczna ma służyć zabawie i przyjemności, w dobie inżynierii genetycznej i klonowania, aborcji i eutanazji, neurofarmakologii i leków psychotropowych, antydepresyjnego prozacu i wzbudzającego euforię ritalinu, celność, z jaką Aldous Huxley przewidział konsekwencje rewolucji biologicznej, zaskakuje i wzbudza lęk o przyszłość ludzkości.

> ***Co najmniej od czasów Hegla truizmem jest pogląd, że rezultaty ludzkiej działalności nie odpowiadają nigdy dokładnie celom, jakie stawiali sobie ludzie wówczas, gdy ową działalność podejmowali[23].***

LITERATURA KONSEKWENTNIE POKAZUJE, że biologia wraz ze swoimi innowacjami generuje zmiany społeczne, oddziałuje na kulturę, wpływa na zachowania i wybory moralne jednostek. Antykoncepcja w powieści Huxleya przeobraziła sposób myślenia o seksie i roli kobiety w społeczeństwie, bokanizacja całkowicie zmieniła strukturę społeczeństwa, wyeliminowała z niej podstawę, jaką była rodzina, i wprowadziła nową – masowo produkowane klony, soma natomiast zajęła miejsce religii w przynoszeniu człowiekowi ulgi i szczęścia; genżynieria z powieści Lema pozwoliła zrealizować marzenie o sprawności i długowieczności, zaowocowała naukowo kontrolowa-

23 J. Szacki, *Spotkania z utopią*, Warszawa 1980, s. 19.

ną metamorfozą gatunku, a ostatecznie jego samobójstwem. Każda wdrożona biotechnologia przynosi więc zmianę kompleksową, wywołuje skutki dwojakiego rodzaju, sprowadza dobrodziejstwa oraz niebezpieczeństwa w imię zasady *coś za coś* – swoboda seksualna i zwolnienie z odpowiedzialności za potomstwo kosztem miłości i rodzinnego ciepła, społeczna stabilność kosztem wolności i indywidualizmu, preferowanie określonych cech i zachowań kosztem dehumanizacji i depersonalizacji, posiadanie sprawności i niezawodności maszyny kosztem przemiany gatunku w inny, farmakologicznie osiągany spokój kosztem siły charakteru i wiary etc.

Wizja lokalna i *Nowy, wspaniały świat* dobitnie pokazują, że realizacja utopii dokonuje się metodą rewolucji, że jej narodziny odbywają się kosztem zniszczenia czegoś. Biologię przedstawia się w nich jako naukę, posiadającą moc przemienienia człowieka i jego natury, dzięki czemu przynosi ona możliwość przeprowadzenia globalnego przewrotu, skonstruowania nowego, lepszego społeczeństwa, żyjącego w nowym, wspaniałym świecie. Chesterton konstatował: *Słabość wielkich utopii polega na tym, że przyjmują one, iż największa słabość człowieka (tj. grzech pierworodny) została przezwyciężona* […][24] – według niego utopiści zdają się na ogół nie zauważać, że człowiek jest niepokorny, samowolny i zdemoralizowany, zaś źródło wszelkiego zła widzą jedynie w warunkach, w jakich on żyje, gdy tymczasem zmiana warunków egzystencji nie uwolni człowieka od skłonności do grzechu i buntu. Tutaj definitywne rozwiązanie przynosi – ukierunkowana nie tyle na przemianę przestrzeni i otoczenia, co na przeróbkę człowieka – nauka o życiu. Jak zauważyli Huxley i Lem, rewolucja biologiczna, posiadająca takie narzędzia jak inżynieria genetyczna, może dokonać ostatecznej i nieodwracalnej eliminacji tej fundamentalnej słabości wszystkich utopii. Modyfikacja gatunku, upodobnienie człowieka do mrówki czy pszczoły oraz kontrola nad zachowaniem się, a nawet nad skłonnościami do zachowania się, pozwoli rozwiązać odwieczny problem wszelkich realizatorów utopii: sprawi, że ludzie bez szemrania przyjmą *to, co bez ich udziału zostało uznane za*

SPROWADZA DOBRODZIEJSTWA ORAZ NIEBEZPIECZEŃSTWA W IMIĘ ZASADY *COŚ ZA COŚ*

24 Cyt. za J. Szacki, *dz. cyt.*, s. 154.

najbardziej dla nich odpowiednie[25]. Obrazy przyszłości wykreowane przez Huxleya i Lema niepokoją tak silnie, ponieważ negują i dyskwalifikują istotę człowieczeństwa, uświadamiają też, że współczesny człowiek – chociaż już bardzo wiele potrafi w dziedzinach związanych z biologią – nie nauczył się jeszcze świadomie nadawać kierunku wypracowywanemu przez siebie rozwojowi, wciąż widzi go liniowo, jako drogę od osiągnięcia do osiągnięcia, od jakiegoś etapu do następnego. Wąskie rozumienie postępu grozi przeoczeniem jego wielu pozytywnych aspektów, jak również niebezpieczeństw, które może ze sobą przynieść. Stąd też – w czasie rewolucji biologicznej, kiedy to *homo sapiens,* nabierając umiejętności w pilotowaniu własnym gatunkiem, staje się *homo biologicus* – ukazywanie zagrożeń oraz uświadamianie, że *Nieprzewidywalność leży w naturze przedsięwzięć naukowych,* że *nie ma sposobu, by przewidzieć, dokąd zaprowadzi dana dziedzina badań, a więc także, jakie znajdzie zastosowania*[26], jest wielkim zadaniem literatury. Literatura, obnażając negatywne implikacje postępu w biomedycynie, opisując jego niepożądane konsekwencje, ma moc wzbudzać społeczny niepokój i inicjować publiczną debatę o problemach, potencjale i perspektywach nauki o życiu, jak również o kierunku dalszego rozwoju naszej cywilizacji, zwłaszcza że pierwszego lutego bieżącego roku brytyjski Urząd ds. Ludzkiej Płodności i Embriologii wydał zgodę na wdrożenie programu badań nad modyfikowaniem genów ludzkich zarodków. Wielka Brytania dołączyła do krajów, które umożliwiają biologom usuwanie, naprawianie, zastępowanie fragmentów DNA oraz zabijanie nienarodzonych dzieci w imię wyższego dobra – dobra ludzkości, zdrowia, postępu medycyny, eliminacji wad wrodzonych i, paradoksalnie, zapobiegania poronieniom. **Ω**

LUDZIE BEZ SZEMRANIA PRZYJMĄ TO, CO BEZ ICH UDZIAŁU ZOSTAŁO UZNANE ZA NAJBARDZIEJ DLA NICH ODPOWIEDNIE

25 Tamże, s. 168.
26 F. Jacob, *dz. cyt.*, s. 124.

Remigiusz Włast-Matuszak

Bestia ludzka – przypadek zbiorowy

Współczesne autorytety psychologii, profesorowie Philip Zimbardo, Stanley Milgram, Robert B. Cialdini, udowodniły swoimi empirycznymi doświadczeniami, że grupa studentów potwierdzi „prawdziwość" jawnie fałszywego twierdzenia, gdy zażąda tego wykładowca. Autorytet, a szczególnie autorytet poparty siłą, naciskiem, rozkazem – graniczy z terrorem, a często nim bywa w postaci czystej

Dekalog ma dopiero 6 tysięcy lat, chrześcijaństwo ledwie lat 2016. Bestia pogaństwa, pod cienką warstwą wiary, etyki i tego, co nazywamy kulturą, drzemie w każdym z nas. Czytałem i oglądałem *Władcę much* noblisty Williama Goldinga, sam w wieku lat 12 po powrocie z (zaledwie) miesięcznych kolonii w Borach Tucholskich byłem „ludzkim szczenięciem" nieuznającym żadnych norm „kulturalnych" – wróciłem do stanu z epoki plemiennej. Tylko długoletni proces TRESURY młodych osobników gatunku ludzkiego (10–12 lat nauki szkolnej + studia) jest w stanie z grubsza tę „bestię" w nas jakoś ucywilizować, ale wystarczy JĄ poszczuć, zdjąć jej kaganiec, by pokazała, jak jest pierwotna i potworna (vide procesy wychowawcze: Pawka Morozow, Hitlerjugend czy Czerwoni Khmerzy – zaledwie wczoraj).

Takie celowe budzenie zbiorowej bestii ludzkiej miało miejsce na terenie Generalnego Gubernatorstwa w latach 1941–1943. Mam przed sobą tekst i fotografie książek: *GG – Mroczne serce Europy Hitlera* Martina Winstone'a i klasyczne już dzieło

Christophera R. Browninga *Zwykli ludzie. 101. Policyjny Batalion Rezerwowy i „ostateczne rozwiązanie" w Polsce*.

Batalion Wehrmachtu czy sił policyjnych w III Rzeszy liczył 500–700 mężczyzn. Do policyjnych batalionów rezerwy powoływano ZWYKŁYCH NIEMCÓW – dziadków i pradziadków dzisiejszych „zjednoczonych" demokratycznych Niemców, obywateli Republiki Federalnej Niemiec (*Bundesrepublik Deutschland*). Niemieccy mężczyźni kategorii A szli na front, a tyły zabezpieczały bataliony rezerwowe i policyjne bataliony rezerwy. W 101. Batalionie służyli rolnicy (bauerzy) z okolic Hamburga, robotnicy, urzędnicy i poczciwi drobnomieszczanie z milionowego portu. Byli w wieku 35–45 lat, nie byli wysportowani ani specjalnie wyselekcjonowani czy wyszkoleni fizycznie lub psychologicznie. Poczciwe safanduły, piwosze, dzieciroby – synowie i bracia – materiał na kolejny niemiecki serial ZDF pt. *Nasi synowie, nasi bracia*!

W latach służby na terenie okupowanej Polski w GG, na Lubelszczyźnie ci zwykli Niemcy ze 101. Batalionu wymordowali około 38 000 (trzydzieści osiem tysięcy) polskich Żydów. A więc średnio przypada 76 ludzi na policjanta! Oczywiście 10–20% wykręcało się od bezpośredniego rozstrzeliwania, oczywiście do pomocy dostali zawsze pijanych „hiwi" – Ukraińców i Azjatów z Hilfswillige, batalionów rezerwowych. Mordowali w Międzyrzecu Podlaskim, Podgórzu, Serocku, Sławatyczach. Najgłośniejsze zbrodnia to likwidacja getta we wsi Łomazy dokonana 16 sierpnia 1942 roku. Zamordowano 1700 Żydów. Przebieg likwidacji był typowy. Ludność żydowską spędzono na boisko i plac przy szkole. Wyselekcjonowano 70 najsilniejszych mężczyzn. Wywieziono ich do pobliskiego lasu, a tam zmuszono do wykopania trzech dużych i głębokich rowów. Następnie w grupach po 300 osób pędzono Żydów do lasu, obrabowywano i rozstrzeliwano w rowach. Ostatnie partie musiały wdrapywać się na stosy trupów. Uratował się jeden świadek Baruch Goldszer (Berman). W 1967 roku w Hamburgu, porucznika ze 101. Karla Dreyera, zwykłego hamburczyka, zwykły Niemiec, sędzia, skazał na 3,5 roku więzienia!

Opisy egzekucji trwającej około 16 godzin są absolutnie drastyczne i samo ich czytanie jest okrucieństwem wobec normalnych czytelników. Po paru latach pamiętam dokładnie strony i rozdziały książki i historię dobiegającego pięćdziesiątki urzędnika pocztowego, sierżanta Beckera, który kilka dni później przeszukał opuszczone domy w Łomazach (jakoś Polacy ich nie zajmowali ani nie rabowali!). Znalazł w kryjówkach 20–30 Żydów. Zaprowadzono ich na skraj lasu i rozstrzelano. W trakcie egzekucji Becker dostał ataku histerii i nie pozwolił rozstrzelać około 10-letniej Żydówki. Krzyczał, że wszystkich tak, ale jej nie, bo jest śliczna i przypomina mu córkę zostawio-

WYSTARCZY JĄ POSZCZUĆ, ZDJĄĆ JEJ KAGANIEC, BY POKAZAŁA, JAK JEST PIERWOTNA I POTWORNA

ną w Hamburgu. Dziewczynce pozwolono uciec do lasu – ciekawe, ile dni może dziecko przeżyć w lesie?

Zbiorowa bestia ludzka – żaden mechaniczny cyborg, sztuczny twór, robot czy zaprogramowany psychotropami III generacji osiłek – to zwykli Niemcy, którzy dostali rozkaz. Powiedziano im, że robią to dla Niemiec, dla Heimatu i Wodza. No i zrobili to!

Dzisiaj ZWYCZAJNI NIEMCY próbują zagłuszyć wypierane wspomnienie winy, terroryzując się totalną „poprawnością polityczną". (Czy chcecie totalnej poprawności politycznej? – pyta przewodniczący frakcji Chrześcijańskich Demokratów w Bundestagu. Czy chcecie zaprosić do Niemiec całą Syrię? Tak! I Murzynów Nilowych z Sudanu na dokładkę. Tak! – odpowiadają niemieckie media). I dzisiaj okazuje się, że ONI to europejscy demokraci, a my – polscy faszyści, których należy siłą nauczyć prawdziwej niemieckiej demokracji. Zbiorowe bestie ludzkie przeważnie działają fizycznie, są fizyczne, ale są też bestie moralne. W tym samym czasie, w latach 1942–1943, na Manhattanie, w przebogatym Nowy Jorku, żyło spokojnie i prowadziło interesy około 1 500 000–1 800 000 emigrantów żydowskich, głównie z obszaru Polski, Wielkiego Księstwa Litewskiego, Ukrainy i Besarabii. Przypomnijmy studentom w USA, że Żydzi do 1917 roku w carskiej Rosji mieli zakaz mieszkania w Moskwie, Petersburgu i innych dużych miastach, a na prowincji według widzimisię prystawa czy oberpolicmajstra. Właśnie dlatego tak masowo uciekali do Łodzi i Warszawy – do Europy i jej polskiej tolerancji! Dzisiaj studenci w USA, jak również poprawna politycznie kadra naukowa, bredzą o ucieczce Żydów z Europy Wschodniej do USA z powodu polskich pogromów. Pogromy w Kijowie i Kiszyniowie organizowały carska Ochrana i „społeczna" Czarna Sotnia, a nie Polacy! Żydzi z Europy Wschodniej w 90% emigrowali do Ameryki z pobudek czysto ekonomicznych, a nie politycznych. Kolejny raz czytam w życiorysach znanych Żydów amerykańskich, jak to ich przodkowie uciekli do USA przed polskimi pogromami – i ta narracja jest już za oceanem obowiązująca!

ZBIOROWA BESTIA LUDZKA – ŻADEN MECHANICZNY CYBORG, SZTUCZNY TWÓR, ROBOT CZY ZAPROGRAMOWANY PSYCHOTROPAMI III GENERACJI OSIŁEK

W Nowym Jorku lat II wojny światowej życie towarzyskie i uczuciowe kwitło, nie było nawet zaciemniania, a interesy na dostawach dla armii były wprost bajeczne. Nowy Jork miał 72 synagogi (nie licząc setek domów modlitw, które były zwolnione od płacenia podatków), a miasto było podzielone na 18 kahałów (Kahillah), działało tam ponad tysiąc organizacji społecznych (sportowych, humanitarnych, naukowych itd.), na czele których stali najznamienitsi i tym samym najbogatsi Żydzi nowojorscy.

Od grudnia 1939 do kwietnia 1943 roku listy z getta warszawskiego normalnie docierały do adresatów na całym świecie,

do USA też. W odwrotną stronę płynęły paczki z puszkami, listy i drobne przekazy pieniężne. Tak więc tragiczna sytuacja po czerwcu 1941 roku była znana międzynarodowej społeczności żydowskiej. W 1942 roku Niemcy rozpoczęli likwidację getta. Codziennie wywożono do Treblinki i mordowano tysiące Żydów. Zima z 1942 na 1943 rok była wręcz potworna. Głód i zimno kosiły ludzi na ulicach. Jak opisał to bezpośredni świadek Curzio Malaparte w *Kaputt*, grabarze rano zabierali sztywne zwłoki, a po trupach zostawały na śniegu wielkie żółte plamy! W tym właśnie okresie organizacje społeczne z getta wysłały błagalne listy do krewnych w Nowym Jorku o pomoc. Najbardziej znany list z getta w 1942 roku to błaganie o przesłanie 100 000 dolarów z NY do szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, który zorganizowałby za tę sumę wysyłkę paczek do getta. Ówczesne 100 000 to dzisiaj około 2 300 000 dolarów. Zrzeszenia i związki nowojorskich organizacji żydowskich z oburzeniem odrzuciły żądania, jako hucpę i próbę wyłudzenia od nich pieniędzy!!! Do dzisiejszego dnia żadna żydowska organizacja społeczna w USA nie może poszczycić się przekazem wyższym niż kilkaset dolarów przekazanym na rzecz europejskich Żydów!

Mam przed sobą nowojorską książkę telefoniczną z 1942 roku. Przeglądam ją i czytam nazwiska setek znanych bogatych Żydów amerykańskich! Czy można ich nazwać zbiorową bestią moralną? Oczywiście, że tak, ale bez wymieniania tych nazwisk, bo setki adwokatów rzuciłyby się bronić czci tych „abonentów telefonicznych".

Żydzi z Europy Wschodniej w 90% emigrowali do Ameryki z pobudek czysto ekonomicznych

Po Niemcach mamy drugą grupę narodową: Żydów nowojorskich, „liberałów nowojorskich", jak o sobie mówią, która to grupa swoje winy spycha do podświadomości i tą swoją piekącą winą obarcza Polaków!

Pytajmy każdego Niemca i każdego Żyda z Nowego Jorku, co jego dziadkowie robili w latach 1942–1943! Niech wiedzą, że my wiemy! **Ω**

過労死

うずまき

ilustracja: K. Karnkowski

Krzysztof Karnkowski

Karoshi Uzumaki

Karoshi Uzumaki, bohaterka najbardziej nieszczęśliwej serii japońskich mang. Pierwszy komiks zdobył sporą popularność, jednak oczekiwanie na kontynuację wydłużyło się znacznie, gdy w tajemniczy sposób zaginął pomysłodawca kultowej postaci. Po prostu zniknął, zaś tajemniczej czarnowłosej dziewczyny, która prawdopodobnie ostatnia widziała go żywego, policja nigdy nie odnalazła

NIE BYŁO AUTORA, nie za bardzo wiadomo było, kto dysponuje prawami do postaci, wreszcie znalazł się chłopak, który postanowił opublikować na blogu fanfika. Tak udanego, że wydawca postanowił przenieść na papier drugą część przygód Karoshi. Po cichu liczył zresztą, że ta bezczelność sprowokuje autora oryginału do jakiejś oznaki życia, choćby i poprzez prawnika. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Co gorsza, tuż po ukazaniu się drugiego tomu okazało się, że historia zaczyna się powtarzać. Nowy rysownik przez czas jakiś jeszcze odpisywał na e-maile, jednak nie sposób było się z nim spotkać, wreszcie zniknął zupełnie. Kontynuacji tym razem nie było. Fala tajemniczych śmierci wśród fanów komiksu tłumaczona była samobójstwami osób zbyt przywiązanych do bohaterki. Niektórzy

zostawiali nawet listy, w których twierdzili, że widują kogoś podającego się za Karoshi. Kompletnie poprzestawiało im się w głowach. Wiadomo, Japończycy.

KRZYSZTOF ZRÓB, OD PEWNEGO CZASU niszowo rozpoznawalny publicysta i komentator, miał dwa sposoby na odreagowanie coraz bardziej frustrującej pracy. Czytał więc japońskie komiksy, których nikt poza nim nie znał, przynajmniej nikt z jego targetu, bo dla kogoś przecież je wydawano, czasem nawet tłumaczono. A gdy się już wkurwił – trollował sobie na Twitterze, prowadził też kilka blogów. Wkręcał ludzi, denerwował swoich, kompromitował tych drugich przesadzoną narracją. Walczył – ze złem całego świata, ze zbyt flejowatym dobrem, czasem też z własnym sumieniem i poczuciem przyzwoitości, gdy za bardzo zdarzyło mu się, głównie po wódce, popłynąć. Zaczynał jednak mieć pewien kłopot, który sprowadzał się do obserwacji o nie najwyższym poziomie rozpoznania ironii w czasach moralnego wzburzenia. Pisał coś pod nazwiskiem, przekonany, że każdy załapie żart, przecież wiedzą już, kim jest, powinni przynajmniej… A tu nie, dupa, co chwila trzeba się tłumaczyć, wykłócać, czasem wręcz zaliczyć kilka wyzwisk od kogoś, kto minutę temu był sojusznikiem. Tyle że Zrób (na Twitterze – @MrZroob) bez tego nie potrafił.

Wreszcie uznał, że najlepszym wyjściem będzie wymyślenie sobie alternatywnej tożsamości. W końcu w internecie nigdy nie wiesz, kto jest po drugiej stronie. Bywał więc swoim imiennikiem o przeciwstawnych poglądach, bohaterem powieści satyrycznej piszącym to, czego mu nie wypadało napisać pod nazwiskiem, kiedyś udawał nawet autentyczną, egzotyczną i nieznaną w Polsce aktorkę, ale było mu potem wstyd. Ostatecznie przy tym poziomie głupoty jego koszmarnie głupie, infantylne i przewrotne wpisy dla niektórych naprawdę szły na konto Bogu ducha winnej dziewczyny. Trzeba było wymyśleć coś innego.

CZY ABY KOMUŚ NIE PSUJE WIZERUNKU SWOJĄ ZABAWĄ

Czy ten komiks tu leżał? Wydawało mu się, że zostawił go na wyrze, a tu nagle jest prawie obok klawiatury, pcha się w oczy. Karoshi Uzumaki, @Karoshi3. Tego nikt nie skojarzy. Dziewczyna, czarne włosy, Japonka. Narysowana, nie aktorka, wrzuci sobie ją w awatar. Tym razem odpadnie ten idiotyczny dylemat etyczny, czy aby komuś

nie psuje wizerunku swoją zabawą. Szybkie konto mailowe, którego użyje jeden raz. I już. *Witaj na Twitterze*. A teraz do roboty. Kilka złośliwych szpilek pod wpisami rozpoznawalnych osób. Poda dalej z prawdziwego konta. Patrzcie, co za idiotka. Pierwszy followers. Drugi. Piąty. Nabierają się jak dzieci. Pisać, jak najwięcej. Kilka osób tego wieczoru chyba szlag trafi przed komputerem. Wciągnęło go to. Znowu pójdzie spać o trzeciej.

Przyśniła mu się. Kiedyś się coś takiego przytrafiło, cała seria. Dawno temu, miał może siedemnaście lat. Oglądał przed spaniem horror, śniły mu się jakieś mocno krwawe sceny. Oglądał thriller – dużo adrenaliny, jakieś ucieczki, strzelaniny i gęste intrygi. Zaczęło go to męczyć, więc czytał przed spaniem jakiś kryminał Agaty Christie. Nie pomogło, sen znów był odbiciem ostatnich dwóch godzin przed zaśnięciem. Odczarował sytuację, gdy chciał się wycwanić i zaaplikował sobie dawkę półlegalnie obejrzanej pornografii. Noc czarna, bez snów, rozczarowanie. Tamte sny nie wróciły, poza pojedynczymi sytuacjami, wszystkie dawno temu. A teraz inaczej. Czarnowłosa dziewczyna siedzi przy jego komputerze i patrzy na niego. Śpi w tym śnie i przez sen we śnie wie, że ona tam jest. Odwraca się i zerka na klawiaturę. Napisze coś, nie napisze? Czyta, śmieje się. Ten śmiech go budzi, ale jeszcze długo brzmi mu w uszach, choć pokój jest przecież pusty. Dziewczęcy, głośny śmiech. Melodyjny i bezwzględny.

TA DZISIEJSZA MŁODZIEŻ, SPORO PATRIOTYCZNEJ, MĄDREJ, ALE NIEKTÓRYM SIĘ KOMPLETNIE PRZEWRÓCIŁO W GŁOWIE

DZIEWCZĘCY ŚMIECH, melodyjny i bezwzględny był ostatnią rzeczą, jaką usłyszał w swoim długim, barwnym życiu pan Robert (@Roberto63, choć teraz to już trochę więcej). Weteran opozycji, przyzwoity człowiek, z tych, co to ani się nie ustawili, ani się nie pogodzili z tą nową Polską, gdzie te wszystkie bydlaki bezkarnie śmiały się takim panom Robertom w twarz. Kiedyś pisał do gazet, ale w końcu przestali go drukować. Syn pokazał mu internet, wtedy odżył. Założył bloga, potem następnego, pisał o historii i teraźniejszości, miał czytelników, w swoim wieku, ale i młodszych. Tylko czasami nie panował nad nerwami, gdy czytał rzeczy głupie, podłe, obrażające wszystko, co dla niego ważne. A ta gówniara – to już się nie mieści w głowie, zupełnie. Ta dzisiejsza młodzież, sporo patrio-

tycznej, mądrej, ale niektórym się kompletnie przewróciło w głowie. A ta? Chamska, potworna dziewucha. Dawno nic tak go nie zdenerwowało. Jak można napisać coś takiego, jak można? Zwrócił uwagę raz, drugi, wyśmiała go tylko. Coraz gorzej się czuł, ostatnie dni nie były najlepsze. Syn dawno nie wpadał, ledwo sam dał radę przytargać zakupy. Niedobrze z nim, niedobrze, musi wziąć lekarstwo na serce. Wstał z fotela, nie zapalał światła, drogę znał prawie na pamięć, ale jak widać, pamięci nie można ufać w tym stanie. Runął jak długi, jak gdyby ktoś podstawił mu nogę. Nie mógł wstać. Doczołgał się do półki z lekarstwami, jednak jakoś nieszczęśliwie sięgnął, wszystko poleciało, rozsypało się. Nie da rady tego zebrać. Już jej nie odpisze. Musi odpocząć, odpocząć… Śmiech. Za oknem? W drugim pokoju? Nad nim?!

REDAKTOR ZRÓB NIE MUSIAŁ NIGDZIE WYCHODZIĆ, więc odwlekał, jak mógł, moment wstania, sen go zresztą wymęczył. W końcu wstał i trochę się zdziwił, bo wydawało mu się, że zgasił komputer przed spaniem. Hm, nie przelogował się? Na pewno on to pisał? Nic nie pamięta, chyba za bardzo pojechał z dziadem… Normalnie, standard: *Ktoś mi się włamał na konto*, ale skoro i tak pisze jako @Karoshi3, to w sumie czemu nie. Może na chwilę spasuje, a potem wróci. *Pisz* – słowa jak uderzenie w głowę. *Pisz*. Pisał, jakby nie on. Uderzał celnie, atakował bezlitośnie. Powinien brać się do roboty, ale coś nie pozwalało mu przestać. Wkręcił się. Dawno tak się nie wkręcił. *Pisz*. To pisał, aż padł. Nawet nic nie zjadł, herbaty nie ruszył, nie przyniósł flaszki z kuchni. Zasnął, śniła mu się czarnowłosa dziewczyna. Siedzi przy jego komputerze i pisze, pisze, pisze…

AGATA, @POLISHHOPE96, jest dziewczyną jak z obrazka. Nie chodzi jednak o urodę, choć OK, trudno się przyczepić, chyba że na trochę dłużej. Agata chce naprawić świat, napiętnować zło i nie pójdzie spać, jeżeli ktoś nie ma racji w internecie – tak jak na krążącym po sieci popularnym rysunku satyrycznym. Idzie teraz ulicą, jest późno, jest zmęczona, dzień miała ciężki, ale co chwila patrzy w telefon. Pokłóciła się z jakimś trollem na Twitterze o sprawy zasadnicze. Już wydawało jej się, że zgasiła przeciwniczkę (o ile to dziewczyna, właściwie nie wiadomo, kto kryje

Tylu ludzi nabierało się na te głupoty, niejednemu żyłka poszła

się za tym japońskim nickiem), ale nie, do tej idiotki nic nie dociera. Czerwone, trzeba się zatrzymać, to sprawdzi, chyba znowu odpisała. Odpisała. – No nie… – aż wymyka się Agacie i wtedy słyszy za plecami ten irytujący, wysoki śmiech, w tej samej chwili jakiś wariat wyskakuje zza rogu grubo ponad 100 na godzinę, te cholerne nocne wyścigi… Śmiech, hałas, koniec, nawet nie wie, co się stało, co rzuciło ją pod ten nieszczęsny samochód. *MSPANC* – ostatnia odpowiedź na tweeta, której już nie zdąży przeczytać. MSPANC – „mogłam się powstrzymać, ale nie chciałam".

TO BYŁY BARDZO DZIWNE DNI dla redaktora Zróba. Konto @MrZroob na Twitterze praktycznie zamarło, do redakcji też niczego nie wysyłał, a jednak pisał. A może tylko wstukiwał to, co miał napisać. Jadł byle co, dużo pił, a przez większość czasu był niby nieprzytomny. Czasami wyrywał się z tej ni to choroby, ni to halucynacji, czytał, co tam nawywijał jego troll. Tak dobrze musiał się bawić, a znowu niczego nie pamięta. Tylu ludzi nabierało się na te głupoty, niejednemu żyłka poszła (nie wiedział, że dosłownie), ale nie brakowało też fanów. Trochę głupio, kilku facetów próbowało nawet poderwać tajemniczą @Karoshi3. 200 followersów, 300… 400… Zaraz go przegoni, czy ma się poczuć zazdrosny? To głupie. Czyta dalej. Znowu ktoś za bardzo przeżywa. Trzeba się przelogować. Ktoś o niego pytał, potem odpisze, teraz czuje, że znów musi wcielić się w czarnowłosą, wirtualną postać. – Nakarmić trolla – śmieje się do siebie, a w głowie słyszy oprócz swojego jeszcze inny, wysoki, dziewczęcy śmiech. Nie do wytrzymania. Musi się napić. I pisać, pisać.

Jakieś e-maile. Nie odpisał.

Telefon z redakcji. Nie odebrał.

O, ktoś napisał do Karoshi. Znów jakiś nastoletni fan japońskiej popkultury? A nie, kancelaria premiera. No, to już zaczyna być trolling roku. Zaproszenie na tweetup. Oczywiście, że przyjdzie. Sobota, za tydzień.

CO TA IDIOTKA WYPISUJE? Co wpis to samozaoranie, co zdanie to facepalm. Niczego jej nie wytłumaczysz i już nie wiesz, czy to ktoś sobie jednak robi jaja, czy to wszystko na poważnie. Ta obrona skompromitowanych polityków, ataki na ludzi przyzwoitych, przekręcanie

nazwisk i faktów. Gimbaza albo troll. Ale ktoś to czyta, sam to czyta, jest to na swój sposób uzależniające.

Co kurwa?! Wrzuciła zdjęcie zupełnie innego gościa, przypisując mu zdanie pewnego wątpliwego autorytetu moralnego, bezprawnie posługującego się tytułem naukowym, dętego chyba bardziej niż Wałęsa. I prosi o retweety. No musi coś odpisać. Gdzie ten gif z gościem, co wali głową w klawiaturę, aż dookoła zaczyna tryskać krew? Trzeba było dać do ulubionych, teraz będzie się często przydawał. Chyba że zrobi jej unfollow. Padł net, w takim momencie! A już miał wysłać, a tu dramat, trzeba wstać z krzesła i sprawdzić, czy kot nie rozłączył gdzieś kabla. Nie rozłączył. Hi, hi, hi... Śmiech. Z ulicy, zza ściany? Jakoś niepokojąco blisko. Wraca przed komputer, siada i nagle czuje, że nie jest sam w pokoju. Jakiś cień. Dziewczęca sylwetka pod światło. Gdy tylko chce się odwrócić, czuje jak ręce, cienkie, ale zaskakująco mocne, przytrzymują go na miejscu. Włosy (nie jego!) łaskoczą go po szyi. I nagle, au, o kurwa, aaaaaaaa, czuje, jak dziewczyna, to chyba dziewczyna, łapie go za głowę i uderza jego twarzą o klawiaturę. Raz, drugi raz, trzeci. Boli. Okulary w drzazgi, Krew na klawiszach. Powtórka. Czuje uderzenie o drewniany blat, chyba wybiła mu zęby. Chciałby się szarpać, walczyć, ale coś go trzyma w bezruchu. Jakby był przywiązany do obrotowego krzesła. Nagle dociera do niego myśl, że kolejnego spotkania głowy z plastikiem i drewnem może nie przeżyć. Zakrwawiony monitor. Włączona kamerka. Nowa wersja gifa zacznie rozchodzić się po sieci za kilka, kilkanaście minut. Zobaczą wszyscy. Wszyscy oprócz niego. Cisza, spokój. Już go nie uderzy. Ośmieszy, owszem, ale to wszystko już go nie dotyczy.

ZA PÓŹNO. TO OSTATNIE, CO SŁYSZY. PÓŹNIEJ JUŻ TYLKO ŚMIECH, KLAWIATURA I CIEMNOŚĆ

MEDIA NAPRAWDĘ NIE MAJĄ SIĘ CZYM ZAJMOWAĆ. *Inwazja japońskich trolli. Czy jedna z partii politycznych opłaciła trolli na Twitterze? Bezmyślna partyjna propaganda, wyzwiska wobec politycznych przeciwników i egzotyczne, japońskie nicki. Tropy prowadzą do jednej z agencji PR-owych…*. Przestał czytać te bzdury. Przelogował się.

Kochani, widzę, że o mnie piszecie. Piszcie. Serduszko. Emotikon śmiechu do łez.

DZIWNE. Chce wstać, ale czy naprawdę się obudził? Dziewczyna siedzi przy komputerze. Jest naprawdę piękna, ale doprowadza go do szału tym okrutnym, przewiercającym głowę śmiechem. Nie może się ruszyć. Walenie w klawiaturę, walenie do drzwi, czy wszystko dzieje się tylko w jego głowie? Sięga po telefon. Aplikacje padły, jakiś wirus? Jest tylko Twitter i dużo nowych wpisów. Trzy tematy. Zbliżający się tweetup (jego nikt nie zaprosił, to znaczy jego samego), pytania o tożsamość Karoshi Uzumaki i poszukiwania kilku osób, które dość nagle przestały pisać. Kojarzył te nicki, wszystkie dość mocno żarły się z nim. Z nim, a może raczej z nią? Znów próbuje wstać, ale ona popycha go na łóżko. Nie ma w tym nic z erotyzmu. Za późno. To ostatnie, co słyszy. Później już tylko śmiech, klawiatura i ciemność.

TRZEBA NASZYKOWAĆ ŻARCIE, ciepłe i zimne, napoje, kawę, herbatę, ciasta dla jakichś 200, 300 osób. Zrobi się, firma ceni sobie partyjne zamówienia. Dziś robią tu imprezę dla „liderów opinii". Przyjdą więc jacyś jeszcze rok temu nikomu nieznani goście z Twittera, może nawet kilka dziewczyn, smętni dziennikarze, którzy będą się kleić do polityków. Obsługa ma tu swoją robotę, kelnerzy pilnują stołów, bramka wejścia. Ktoś chyba czegoś nie dopilnował. W sali, w której poczęstunek czeka już na gości, pojawia się jakiś dziwny cień. Opuszcza głowę nad tacami pełnymi kanapek i roladek, nad miskami sałat, nad podgrzewanymi kociołkami z ciepłymi potrawami, wszystko zdaje się omiatać długimi, czarnymi włosami. Ktoś ją zauważa, ale ona znika już w długim korytarzu. Gonią ją, ale jakby rozpłynęła się w powietrzu. Nic nie zginęło, nic nawet nie zostało poruszone, najmniejszy kawałek wędliny. Nie będą z tego robić afery, tylko wszyscy mieliby kłopoty. Zaczynają się schodzić pierwsi goście.



BEZROBOTNA ELITA W PRZEDDZIEŃ KOLEJNEGO MINISTERIALNEGO ZACIĄGU

I już są, największe gwiazdy polityki z tej strony sceny, kąśliwi komentatorzy, bezrobotna elita w przeddzień kolejnego ministerialnego zaciągu. Gwar, śmiechy, rozmowy, kolejki do zdjęć z ministrem tym i tamtym… Nagle milknie jedna osoba, druga, kolejne, aż zapada cisza. Spomiędzy porzuconych tacek, spod pokrywek garnków, z dzbanków i ekspresów wypełzają niczym rozwijane kable lśniące, czarne włosy. Wybucha krzyk, lecz nikt nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Paraliż dotyka każdego, czy to polityk, ochroniarz czy zwykły stukacz… Gdy gaśnie światło, ponad wszystkie inne krzyki, szepty i rozmowy wnosi się wysoki, dźwięczny śmiech. Konferansjer, który w tym momencie nie odpowiada za nic, za swoje słowa również, zbliża usta do mikrofonu i teatralnie zapowiada – *Przed państwem… Karoshi Uzumaki!* I jest światło, wszystkie światła na nią. Szkło i metal zaczynają żyć własnym życiem. Nie wszyscy dobiegną do i tak zamkniętych wyjść, nim padną pod uderzeniami talerzy, sztućców, szklanek. Pewien gruby i ważny dziennikarz kulinarny skończy z głową wtłoczoną w garnek. Kogoś udusi fular, a ktoś inny ostatni raz poczuje szkło butelki, gdy ta wbije się w jego szyję. Pierwsze takie wydarzenie w historii social mediów. Tak miało być i tak też się stało.

POKÓJ WYGLĄDA DZIWNIE. Orientuje się, że patrzy na swoje meble, swoje ściany, okno, kawałek osiedla z perspektywy kamery przyczepionej do monitora. Zwariował już do końca? Jeśli to sen, to dlaczego nie może się obudzić, nie może nawet krzyknąć? Syreny za oknem brzmią bardzo realistycznie. Zgrzyt klucza w drzwiach. Czarnowłosa dziewczyna w zakrwawionym ubraniu siada na krześle przy jego biurku. Przez chwilę czyta coś, zaśmiewając się. – EOT – mówi, tak jakby do niego, i jednym ruchem gasi komputer.

PS To prawda **Ω**

WARSZAWA, *grudzień 2015 – styczeń 2016*



WOOD TRANSLATOR

Czy wiesz, że amerykańscy naukowcy udokumentowali, iż 99,9% roślin posiada życie intelektualne? Dotychczas wiedzieliśmy, że rośliny czują ból, który im zadajemy. Teraz wiemy, że cierpią nie tylko wtedy, kiedy jakieś zwierzęta, w tym i najgorsze najbardziej krwiożercze ze wszystkich – ludzie – niszczą ich strukturę. Czują również ból egzystencjonalny, nie mogą podzielić się swoim problemami z innymi istotami.

Nasze aparatury pozwalają nawiązać kontakt zarówno z kwiatami doniczkowymi, jak i z drzewami. Rośliny już nigdy nie będą samotne.

Ukraiński dom zły

Mikołaj Mirowski

Ta opowieść o dojrzewaniu do zła i rozpadzie więzi międzyludzkich jest komplementarnie zamknięta. Reżyser świadomie uderzając kastetem w widza, nie pozwala mu się z tego ciężkiego ciosu otrząsnąć. Czy nie jest to też obraz opuszczonego ukraińskiego społeczeństwa, które pokiereszowane przez komunizm nie potrafi się wyzwolić z gorzkiej pigułki w postaci zdegenerowanego i oligarchicznego kapitalizmu?

GŁOŚNA CISZA

Plemię to jeden z odważniejszych, a zarazem bardziej przerażających filmów, jakie w 2015 r. pokazano w Polsce (światowa premiera miała miejsce rok wcześniej). Już pierwsze sekundy debiutanckiego obrazu Ukraińca Myrosława Słaboszpyckiego zaskakują swoją brawurą i oryginalnym pomysłem. Oto na ekranie pojawia się informujący widza napis, że film nakręcono w języku migowym, nie jest on tłumaczony, nie ma również napisów ani lektora. Oglądający prócz obrazu i naturalnych dźwięków nie otrzymują praktycznie nic, co pozwoliłoby zrozumieć prowadzone przez bohaterów rozmowy. Użyty przez twórcę ekstremalny środek ma swój konkretny cel. Zresztą nieznajomość języka migowego nie powinna czynić najmniejszej trudności w odbiorze filmu. Początkowy niepokój i trudność z przeniknięciem w świat głuchoniemych zostają szybko przezwyciężone.

Dzieło Słaboszpyckiego przypomina najlepsze czasy kina niemego, gdzie świetnie, ale i bezkompromisowo naszkicowana narracja i obraz pozwalają bez trudu odgadnąć motywacje, żądze i uczucia bohaterów. Sam reżyser jednoznacznie potwierdza taki sąd w jednym z wywiadów, gdy mówił: *Od dawien dawna chciałem złożyć hołd kinu niememu. Chciałem zrobić film, który da się zrozumieć bez jednego słyszanego słowa. Nie chcę przez to powiedzieć, że myślałem o zrobieniu jakiegoś europejskiego filmu „egzystencjalnego", w którym bohaterowie przez połowę filmu gremialnie milczą. Warto dodać, że aktorzy w filmie niemym wcale nie byli cisi. Komunikowali się bardzo żywiołowo, dzięki całemu wachlarzowi języka ciała i wątków pobocznych. Potrafili przekazywać emocje i uczucia, nie mówiąc nawet słowa*. Bardzo podobnie jest u Słaboszpyckiego. Historia w jego filmie odkrywana jest właśnie dzięki sugestywnej ekspresji aktorów naturszczyków, ta natomiast z minuty na minutę staje się coraz bardziej czytelna. To obraz jest tu uniwersalistycznym kodem komunikacji. Sytuacja staje się tym bardziej paradoksalna, że pozbawieni dialogu, także muzyki, wydawałoby się integralnych środków wyrazu od lat przynależnych kinu, zyskujemy coś znacznie ważniejszego, niż początkowo można byłoby sądzić. Cisza u ukraińskiego reżysera jest naprawdę głośna, wręcz krzykliwa. Bez dialogowości, chcąc nie chcąc, wymusza na oglądających szczególne skupienie, wyostrza wrażliwość na obraz, ten natomiast nie daje o sobie długo zapomnieć przez swój przerażający naturalizm. Zatopienie się w fabule koresponduje z behawioralnym zapisem, jaki odmalowuje reżyser dzięki długim nieruchomym kadrom i wolnej, dokumentalnej kamerze. Działania te tworzą świat do bólu aż zanadto realny. To mieszanka prawdziwie wybuchowa. Słusznie zresztą za swoją brawurę i artystyczne ryzyko nagrodzona w 2014 roku na festiwalu w Cannes w sekcji Semaine de la critique trzema laurami, w tym nagrodą główną.

Młodzież ta nie jest jednak z racji swojego upośledzenia bezradna czy niewinna

BANALNA BRUTALNOŚĆ

Historia w *Plemieniu* wydaje się banalna, w zasadzie niewykraczająca poza znaną konwencję filmów o tzw. trudnej młodzieży. Pod tym względem przypomina trochę głośny film z lat 90. *Dzieciaki* w reżyserii Larry'ego Clarka. Nowością, i to ostro kontestującą ste-

reotyp, jest to, że obraz rozgrywa się w społeczności głuchoniemych uczniów mieszkających w mocno odbiegającym od luksusów ukraińskim internacie. Młodzież ta nie jest jednak z racji swojego upośledzenia bezradna czy niewinna. Wręcz odwrotnie – mamy do czynienia z bezwzględną tłuszczą rządzącą się swoim wewnętrznymi, brutalnymi prawami niczym tytułowe plemię. Na dobrą sprawę słowo „współczucie" wydaje się ostatnim, jakiego powinniśmy wobec tej zbiorowości użyć. Nie mam powodu nie wierzyć słowom reżysera, że jego film jest dość dobrze udokumentowany. Scenariusz to kompilacja prawdziwych historii, a problem funkcjonowania czegoś takiego jak mafia głuchoniemych na Ukrainie nie jest rzeczą wydumaną. Niemniej trudno uciec od przeświadczenia, że dzieło Słaboszpyckiego to ewidentnie mocno przerysowana wizja, świadomie obliczona na epatowanie, wręcz sponiewieranie widza nagą przemocą. Główną postacią filmu jest nowo przybyły uczeń, którego poznajemy, gdy spóźniony spieszy się na rozpoczęcie roku szkolnego. Niezaznajomiony z niepisaną hierarchią, wokół której toczy się życie w internacie, początkowo czuje się wyobcowany. Z czasem, zwłaszcza po specyficznym rytuale inicjacyjnym, awansuje do wyższej kasty. Świat przedstawiony w internacie jest jednoznacznie amoralny, bezlitosny i nihilistyczny. Starsi chłopcy (plemienna elita) „po godzinach" trudnią się głównie rozbojami, a także stręczycielstwem. Używana przez nich przemoc tak rozpowszechniona, naturalna i oczywista, z wolna staje się zwykłym „składnikiem powietrza" filmowej opowieści. Społeczne role są już tam dawno rozpisane: szkolne koleżanki uprawiają prostytucję, młodsi uczniowie trudnią się drobnymi kradzieżami, pełniąc rolę służebną wobec wyżej sytuowanych, na dole tej drabiny znajduje się poniewierany, pogardzany przez wszystkich uczeń z zespołem Downa – żywo przypominający niedotykalnych z indyjskiego systemu kastowego. Wszystko to pod kontrolą starszeństwa przy biernej akceptacji dorosłych. Główny bohater po zaakceptowaniu przez rządzącą grupę przeistacza się w jej „zbrojne ramię". Początkowo sprawdza młodszych uczniów, czy nie oszukują na drobnych kradzieżach, a jeśli tak się dzieje, stosuje prawo pięści, by doprowadzić ich do porządku. Następnie w wyniku nieszczęśliwego wypadku awansuje na eksponowaną pozycję alfonsa szkolnych prostytutek.

TRZEBA ZABIĆ TĘ MIŁOŚĆ

Naturalistyczna, odarta z jakichkolwiek słów brutalność działa na widza ze zdwojoną siłą. Główny bohater nie wzbudza i nie może wzbudzić żadnej litości czy sympatii, gdyż w gruncie rzeczy nie stanowi on dla przedstawionego świata żadnego kontrastu. W końcu także i on w ostateczności posłuży się jedynie nagą przemocą. Będzie to jednak raczej oznaka bezradności niż wyzwolenia. Sposób kręcenia filmu tylko potęguje to wrażenie. Ujęcia są coraz bardziej obce, a kolejne sceny jeszcze bardziej szokujące. W najbardziej chyba wstrząsającej oglądamy, w rzeczywistej sekwencji czasowej, dosłownie każdy detal wykonywanej w domowych warunkach aborcji, której poddaje się jedna z prostytuujących się bohaterek. Co ciekawe, gdy z rzadka, ale jednak widzimy świat zewnętrzny – świat ludzi słyszących – dalej pozostajemy odseparowani. Nasza percepcja się nie zmienia. Kamera sprytnie oddala się od wydobywających dźwięki osób, sugerując alienację. Kolejnym objawem beznadziejności, którą serwuje nam Słaboszpycki, jest zupełna niefunkcjonalność instytucji, które choćby teoretycznie powinny chronić bohaterów *Plemienia* przed złem lub bezprawiem. Tymczasem szkoła, nauczyciele czy policja w najlepszym razie są obojętni, chciałoby się powiedzieć: głusi, na ich los. Co gorsza, część z nich (przykładem beznamiętny nauczyciel techniki, dorabiający sobie kierowca podwożący do „pracy" tirówki) jest w kryminalny proceder uczniów uwikłana i czerpie z niego niemałe zyski. Świat dorosłych jest zobojętniały i cyniczny. Zwycięża w nim materialistyczny utylitaryzm sprowadzający się do wykorzystywania młodych. Nauczyciele nie wychowują i nie są jakimkolwiek drogowskazem. To tylko świadkowie nieingerujący w plemienne zasady, tak jakby z góry wiedzieli, że nic w tej rzeczywistości zmienić nie można, lepiej więc się przystosować. Wydawałoby się, że możliwością ucieczki z mrocznego świata *Plemienia* będzie miłość. Tli się iskierka nadziei, że dla wspólnoty uzależnionej od strachu i wyzysku miłość będzie tym dynamitem, który ją rozsadzi. Jako niewygodna odskocznia, chwila zapomnienia, otworzy oczy głównemu bohaterowi na wszechogarniające zło. I rzeczywiście to miłość rodzi u niego bunt, wywołuje sytuację, gdzie narusza on usankcjonowaną hierarchię. Uczucie, jakim obdarza jedną z mło-

OGLĄDAMY, W RZECZYWISTEJ SEKWENCJI CZASOWEJ, DOSŁOWNIE KAŻDY DETAL WYKONYWANEJ W DOMOWYCH WARUNKACH ABORCJI

docianych prostytutek, faktycznie będzie stanowić istotny punkt zwrotny w jego karierze. Cóż z tego, skoro reżyser *Plemienia* nie dał mu nawet najmniejszej szansy, by mógł wyjść z tego pojedynku zwycięsko. Słaboszpycki uznał, że „trzeba zabić tę miłość", oczywiście czyniąc to w skrajnie realistyczny i brutalny sposób. Dlaczego? Być może uznał, że w tym ukraińskim „domu złym", idealnej mikrokuźni dla przyszłego dorosłego już półświatka, jego bohater jest do tego niezdolny. A jedyne, co może zrobić, to oddać się kolejnej finałowej i ostatecznej już feerii ultraprzemocy.

BAŁABANOW, KUBRICK, KIEŚLOWSKI

Gdy myślę o filmie *Plemię*, wracam pamięcią do jednego z najbardziej nihilistycznych i mrocznych obrazów wschodnioeuropejskiego kina ostatnich lat, czyli do *Ładunku 200* nieżyjącego już rosyjskiego reżysera Aleksieja Bałabanowa. Ale nawet na jego tle film Słaboszpyckiego jest wyjątkowo bezalternatywny i niezwykle dołujący. U Bałabanowa ostatecznie człowieczeństwo nie zostało zanegowane, choć świetnie widać, pod jak wyjałowioną glebą przyszło mu się rozwijać. Niestety w *Plemieniu* takiej nadziei nie ma. Ta ukraińska opowieść o dojrzewaniu do zła i rozpadzie więzi międzyludzkich jest komplementarnie zamknięta. Reżyser, świadomie uderzając kastetem w widza, nie pozwala mu się z tego ciężkiego ciosu otrząsnąć. Bohater, który wchodzi w nowe, zdegenerowane środowisko, nie ma żadnych własnych, autonomicznych, wyniesionych z domu bądź skądkolwiek indziej, zasad moralnych. Łatwo poddaje się i dość szybko ulega procesowi plemienizacji. Upodobnienie się do otoczenia polega na prostej i bezrefleksyjnej afirmacji zastanego stanu rzeczy. Zresztą nikt z bohaterów *Plemienia* nie funkcjonuje jako jednostka niezależna. Coś takiego po prostu nie istnieje! Śmierć lub poważny wypadek pod kołami ciężarówki jednego z ochroniarzy szkolnych prostytutek po wszystkich członkach grupy dosłownie spływa. Ot, był człowiek, nie ma człowieka, cóż, będzie następny. Instynkt przetrwania, samozachowawczość, potrzeba przynależności do grupy, a zarazem totalna amoralność to wartości nadrzędne. Następuje w tym filmie również powszechne ujednolicenie społecznych zachowań. Służy temu paradokumentalna, śledząca kamera podążająca tuż za postaciami,

CZY FAKTYCZNIE INSTYNKT STADNY POTRAFI KIEROWAĆ LUDZKIM ZACHOWANIEM, DEPRECJONUJĄC HUMANIZM, TRADYCJĘ CHRZEŚCIJAŃSKĄ

które poruszają się prawie identycznie, porozumiewają się znanym sobie kodem (język migowy świetnie spełnia tę rolę), nawet wyglądają i ubierają się podobnie. Ci ludzie nie mają żadnych autorytetów (dorośli abdykowali), a pozostawieni sami sobie dostosowują się do zastanej rzeczywistości najlepiej, jak potrafią. Tyle że uderzający widza hiperrealizm powoduje konstatację, że obraz ten jest przypowieścią, metaforą lub pewną przerysowaną, ale jednak diagnozą społeczną. Wszystkim chciałoby się powiedzieć, że nie jest prawdą! Stąd być może moje, zapewne dość odległe, luźne skojarzenie tego filmu z *Mechaniczną pomarańczą* Stanleya Kubricka. Z drugiej stronny bezwstydny i drażniący naturalizm Słaboszpyckiego przypomina *Krótki film o zabijaniu*. Tylko że bohater Krzysztofa Kieślowskiego jest niewinny i nieprzesiąknięty demoralizacją. Na tym polega jego dramat.

KONIEC HUMANIZMU?

Pamiętajmy też, że ważne w filmie Słaboszpyckiego jest nie tylko to, co z rosnącym przerażeniem oglądamy, ale również to wszystko, czego nie wiemy. Możemy się jedynie domyślać, skąd pochodzą przedstawieni nam młodzi ludzie i jak się znaleźli w tym piekle. Z jakich wywodzą się domów? Kto się nimi zajmował, zanim trafili do internatu? Czy naprawdę nie wierzą w jakiekolwiek wartości, a nade wszystko, co będzie z nimi dalej? A jeśli to jest przypowieść, czy nie możemy mieć do czynienia z obrazem opuszczonego ukraińskiego społeczeństwa, które pokiereszowane przez komunizm nie potrafi się wyzwolić z gorzkiej pigułki w postaci zdegenerowanego i oligarchicznego kapitalizmu? Co począć z myślą, że może świat przedstawiony w *Plemieniu*, znihilizowany i bez zasad, wcale nie musi się aż tak bardzo różnić od naszej codzienności? Czy faktycznie instynkt stadny potrafi kierować ludzkim zachowaniem, deprecjonując humanizm, tradycję chrześcijańską, na czele z miłością bliźniego, tysiące lat rozwoju? Ten wybitny, ale i niebezpiecznie igrający z prawdą obraz prowokuje do takich pytań. Maltretując przemocą, zmusza, by znowu je sobie zadać, tym bardziej że nie tak daleko od nas znajdują się ludzie gotowi innym ludziom odcinać głowy… Tyle że to zupełnie inna opowieść. Ω



Sprawa na „u”.

CZYLI DLACZEGO LEWICA JEST MĄDRA I DOBRA, A PRAWICA GŁUPIA I ZŁA

Magda Osińska

Czy Europa to przedmurze cywilizowanego świata? Dlaczego mamy zbawiać świat? Gdzie leży granica naszej powinności? Czy Polska ma jakieś długi do spłacenia? To naprawdę świetny czas i na filozoficzny namysł, i racjonalną analizę

Z uchodźcami mamy sytuację wymarzoną. Swoje dziurawe pontony zostawiają nie nad Bałtykiem, ale nad Morzem Śródziemnym. Forsują przejście w Roeszke, a nie w Dorohusku. Podszczypują niewiasty w niemieckiej Kolonii, a nie na Lubelszczyźnie, wzruszające historie opowiadają dziennikarzom w Atenach, a nie w Warszawie. Mamy czas, którego nie mają Węgrzy, Włosi, Niemcy. U nas uchodźców z krajów afrykańskich nie ma. Jest ich widmo, jakaś przydzielona liczba, która może się zmaterializuje, a może nie. Jest presja Unii, ale na razie tylko na sucho, tak pro forma, bo lubią nas czasem zdyscyplinować. Można powiedzieć, że jesteśmy w komfortowej sytu-



Sprawa na „i”

acji: w niektórych państwach europejskich sceny jak z apokalipsy, na naszych ulicach co najwyżej licytacja na patriotyzm z KOD-owcami. Widzimy skutki określonych zachowań, błędy, wypaczenia i dobre mechanizmy – widzimy, do czego doprowadziło wiele gestów i decyzji Angeli Merkel, a do czego Viktora Orbána. Mamy czas, żeby pomyśleć o losie Europy, o naturze islamu, o stanie Starego Kontynentu, ale także o miejscach noclegowych dla ewentualnych przybyszów, o przystosowaniu szkół do przyjęcia dzieci, które z polskiego znają tylko wyrażenie „którędy do Reichu?”. Czy Europa to przedmurze cywilizowanego świata? Dlaczego mamy zbawiać świat? Gdzie leży granica naszej powinności? Czy Polska ma jakieś długi do spłacenia? To naprawdę świetny czas i na filozoficzny namysł, i racjonalną analizę.

Gdzie leży granica naszej powinności?

Ale nie, w sumie nie, po co to wszystko – przecież mądry i dobry nie przetłumaczy głupiemu i złemu, który w dodatku strzela do uchodźców ze statku Frontexu.

RAJ TAKI RACJONALNY

Wyobraź sobie, że nie ma nieba ani piekła. Nie ma państw, ludzie żyją sobie z dnia na dzień, nie ma wojen ani niczego, za co można by zabijać. Nie ma religii, własności, chciwości. Głodu też nie ma. Jest za to braterstwo. Możesz sobie mówić, że jestem marzycielem, ale jestem tylko jednym z wielu. Mam nadzieję, że Ty również do nas dołączysz, a wtedy świat stanie się jednością. Tak sobie na chybcika przetłumaczyłam słowa piosenki legendarnego Johna. Nie zrobiłabym tego, gdyby nie Agnieszka Kołakowska, która w jednym ze swoich esejów, w tomie *Wojny kultur i inne wojny*, za punkt rozmyślań o dzisiejszej poprawności politycznej obrała właśnie ten utwór. Lennon w tej głupiutkiej, prościutkiej piosence pokazuje coś na kształt ziemskiego raju, o którym marzy… kto właściwie? Lewica? Nowa lewica? Mainstream? Na pewno ci, którzy na gruzach postmodernistycznego świata próbują stworzyć nowy świat. Nowy wspaniały świat.

JĘZYK MIŁOŚCI, CZYLI O POLITPOPRAWNOŚCI

Poprawność polityczna ma wiele wspólnego z nowomową, tą w rozumieniu całkiem klasycznym, którą opisał Michał Głowiński. Głowiński określił nowomowę jako quasi-język, który ma tendencje uniwersalistyczne (chce wejść w każdy zakamarek ludzkiej mowy) i którego cechą podstawową jest **narzucanie znakowi językowemu wyrazistej oceny**. Ocena ta jest z natury swej zmienna (zależy od mądrości etapu), ale stanowi najważniejszy komponent wypowiedzi. Nieważne zatem, co dane słowo oznacza (jego znaczenie może być niejasne, zmienne, migotliwe – jak powiedziałby Derrida), ważne natomiast, jak ma się je rozumieć i oceniać. Poza tym narzucana wartość jest nie do podważenia, *nie może ulec zakwestionowaniu, nie stanowi przedmiotu dyskusji, jest – już na tym poziomie* [doprecyzowałabym: w chwili użycia] – *ustabilizowana*.

Poprawność polityczna to z jednej strony unikanie negatywnych opinii o konkretnych, chronionych grupach osób (mniejszości narodowe, seksualne, religijne, kobiety), a więc autocenzura, z drugiej zaś posługiwanie się właśnie takimi **ustabilizowanymi wartościami**. Przymiotnik „prawicowy” znaczy zły – nie trzeba nawet tego tłumaczyć, dopowiadać, bo cały ocenny ładunek przyrósł już do tego słowa

dawno. Nad znaczeniem (w które wpisuje się przecież ogromna tradycja myśli konserwatywnej, narodowej, patriotycznej etc.) góruje wartość. Oczywiście negatywna. O mediach prawicowych wiadomo, że są nieobiektywne, o publicystach prawicowych – że są nienormalni. Partie prawicowe są populistyczne i groźne. Prawicowość to ciemnota. Nawet konserwatywni internetowi hejterzy w tej kwestii są bardziej uczciwi od tych, którzy mówią nowomową – kiedy chcą negatywnie wyrazić się o polskiej lewicy, mówią „lewak" (okraszając to określenie wieloma soczystymi epitetami, takimi jak jebany, jebany w dupę, jebnięty etc.). Lewak to skrajny, lewicowy typ. Takie jest znaczenie tego słowa (patrz: definicja PWN-u). Przymiotnik „lewicowy" jest sam w sobie neutralny i oznacza określone poglądy; żeby komuś werbalnie przyłożyć, trzeba posłużyć się wyrazem specjalnie na tę okazję stworzonym. Przymiotnik „prawicowy" nie jest neutralny i oznacza pewnego rodzaju poglądową niestosowność (a nawet naganność). Tu właśnie uwidacznia się ta podstawowa różnica między zwykłą mową (choćby nawet bardzo chamską i wulgarną) a nowomową.

Poprawność polityczna posługuje się także **manipulacją** – określając pewne zjawiska fałszywie. Na przykład ktoś, kto dostrzega niezaprzeczalny związek islamu z terroryzmem, a w niekontrolowanej fali muzułmanów widzi zagrożenie dla stabilności regionu, jest islamofobem. Żeby była jasność – nie chodzi o ocenę, do której każdy ma prawo. To nie jest jakieś tam rozpoznanie rzeczywistości, z którym się nie zgadzam. To celowe posługiwanie się słowem na wyrost, żeby zdezawuować czyjeś poglądy. To właśnie stanowi istotę manipulacji. Tak ujmowana poprawność polityczna wali pałą po łbie wszystkich, którzy choć trochę odbiegają od przyjętej linii i mają wątpliwości. Choć muszę przyznać, że jest to domena również co bardziej krzykliwej prawicy. Inflacja pojęć – taki termin podchwyciły ostatnio mądre głowy.

POZA TYM NARZUCANA WARTOŚĆ JEST NIE DO PODWAŻENIA

Głowiński pisze o tym, że nowomowa *nie jest dziedziną wolności także dla tych, którzy ją praktykują*, a przecież – łatwo to dostrzec – pochodzi od władzy, dystrybutorów wolności. Podobnie jest ze

środowiskami politpoprawności. Niby też nadają ton, kreują go i wymuszają na innych określony styl, ale jednak poddają się autocenzurze. Prowadzi ona do pominięcia podstawowych, ale niewygodnych faktów i eksponowaniu tych, które są „właściwe”. W kręgach tych świat staje się więc czarno-biały. Rzecz dotyczy zwłaszcza kwestii uchodźców. Tutaj role są podzielone – przybysze są zawsze godni współczucia, ci zaś, którzy próbują usystematyzować ich przepływ (jak na przykład Orbán), są wcieleniem podłości i małości ludzkiej. Skoro więc istnieje taki podział, warunkujący postrzeganie świata, oczywiste jest, że wpływa to na mówienie o rzeczywistości. Ci, którzy mówią – posługują się przede wszystkim językiem miłości. Autocenzura (pewnie nawet nieuświadomiona), która zabrania dostrzegania oczywistych faktów, w złym świetle stawiających imigrantów, wymusza więc posługiwanie się językiem miłości. Skoro nie widzę złego, widzę samo dobro, a więc o nim będę mówił. Tam, gdzie pojawia się miłość, musi znaleźć się nienawiść. Naturalnym rewersem poprawnościowego języka miłości jest język nienawiści. Tak więc ustawiona jest debata o kryzysie imigracyjnym – jedni są dobrzy i mądrzy (bo mądrość z dobroci wypływa) i takim językiem się posługują, drudzy – źli i głupi, szerzący mowę nienawiści.

JAK USTAWIĆ DEBATĘ O UCHODŹCACH W POLSCE

Analizy wypowiedzi postaram się dokonać w sposób chronologiczny. Nie chodzi mi o kronikarską dyscyplinę, ale o coś, o czym pisała Kołakowska w przywołanym już eseju. Zauważa ona mianowicie, że liberalna (lewicowa) wizja natury ludzkiej jest ahistoryczna i abstrakcyjna; można poza tym powiedzieć – należy do przyszłości. Konserwatyści natomiast pojmują rzeczywistość przede wszystkim historycznie (często mówi się przecież o nich, że są zapatrzeni w przeszłość, nie lubią zmian, bo wolą rzeczy sprawdzone). W pierwszym przypadku mamy więc do czynienia z pewnym teoretycznym założeniem, które opiera się nie na przesłankach, ale na idealnej wizji. Kiedy więc lewica liberalna podejmuje decyzje polityczne, chce realizować projekt, którego w przeszłości zrealizować się nie dało, czyli – raj na ziemi. Wnioskowanie o przyszłości na podstawie utopijnych projekcji jest – moim zdaniem – jednym z podstawowych błędów wyznawców

AUTOCENZURA WYMUSZA WIĘC POSŁUGIWANIE SIĘ JĘZYKIEM MIŁOŚCI

politpoprawności. Konserwatyści spoglądają w przyszłość z dużą nieufnością i o wiele podejrzliwiej patrzą na wszelkie rewolucyjne zmiany – wynika to właśnie z myślenia historycznego (i z pamięci o wszelkich ludzkich fuckupach) oraz z wiary w to, że owszem, jest raj, ale nie na ziemi.

KILKA MIESIĘCY PO ZAMACHACH w redakcji „Charlie Hebdo", po manifestowaniu solidarności z pracownikami pisma satyrycznego i po #JeSuisCharlie w przestrzeni internetowej stopniowo zaczęły pojawiać się antyislamskie treści. Po nasileniu się kryzysu imigracyjnego w maju, kiedy to Komisja Europejska zaproponowała rozdział uchodźców między kraje unijne, sceptycyzm wielu środowisk wobec mahometan wzrósł jeszcze bardziej. Już wówczas na łamach polskiej prasy zaczęły pojawiać się głosy urabiające polską opinię publiczną i przekonujące, że przyjęcie uchodźców to nasza powinność. Wówczas to Adam Leszczyński na łamach „Gazety Wyborczej" (tekst opublikował również brytyjski „Guardian") piętnował Polaków za żerowanie na innych i wsobność:

> *To postawa uderzająca w kraju, który od trzech dziesięcioleci garściami bierze pieniądze od obcych. W czasach stanu wojennego wielu z nas dostawało paczki z Zachodu. W latach 90. umorzono Polsce dużą część długów, a międzynarodowe instytucje dały nam pieniądze m.in. na stabilizację waluty. W ostatniej dekadzie dostawaliśmy dziesiątki miliardów euro od Unii – które faktycznie są pomocą rozwojową (chociaż nazywają się funduszami strukturalnymi).*

A nieco wcześniej:

> *Polską wsobność – warto dodać – widać też w innych dziedzinach związanych z pomaganiem obcym (choćby po to, by było mniej imigrantów). Według statystyk OECD – organizacji zrzeszającej najbogatsze kraje świata – Polska znalazła się w 2014 r. na ostatnim miejscu pod względem proporcji dochodu narodowego brutto przeznaczanego na pomoc rozwojową (po to by w biednych krajach żyło się trochę lepiej).*

Cóż, co do zarzutów merytorycznych: nie od dziś wiadomo, że Niemcy (największy płatnik UE) z każdego euro przeznaczonego dla państw Grupy Wyszehradzkiej (w tym Polski) zyskują 125 eurocentów. To element miękkiej kolonizacji, czyli lokacji swojego kapitału na nowych, mało rozwiniętych rynkach i maksymalnego wykorzystania ich dla swojej korzyści. To normalna sprawa (gdybyśmy byli krajem zamożniejszym, pewnie to samo robilibyśmy na Ukrainie), jednak trudno oczekiwać, żebyśmy byli wdzięczni komuś, kto na nas zarabia. Istotne jest jednak to, że wobec zwykłych ludzi już na tym wczesnym etapie (maj to nie był okres szczególnie intensywnej debaty na ten temat) próbuje się wzbudzić poczucie winy. Że zawsze braliśmy, że paczki z kawą i świerszczykami w stanie wojennym, że w dodatku nie zrzucamy się w takim samym stopniu, jak inne kraje na pomoc rozwojową. Politpoprawni zwracają uwagę, że byliśmy biedni i pomagano nam, a teraz **przyszła pora na rewanż** i ratowanie ludzkości. Interesy państwa nie są istotne.

Z biegiem czasu publicyści zaczęli jednak stosować cięższe działa i odwoływać się do lubianej przez siebie metody przeczołgiwania godności zwykłych ludzi. W politpoprawnościowej logice nie mieści się bowiem prawdziwy „inny”, którym jest własny krajan. Obnosimy się ze swoją tolerancją wobec bardziej atrakcyjnych obcych, ale już nie w stosunku do pana Józka z Chełma, od którego tak naprawdę się alienujemy. Jacek Żakowski we wrześniowej „Wyborczej” pisze (wrzesień był ważnym miesiącem, jeśli chodzi o polską debatę o uchodźcach; wówczas miało miejsce m.in. specjalne posiedzenie Sejmu RP i nadzwyczajny szczyt Rady Europejskiej w tej sprawie, a także ustalanie konkretnych kwot imigrantów):

> *W lustrze uchodźców zobaczyliśmy naszą straszną twarz. Nie tylko ksenofobiczną, rasistowską i islamofobiczną. Także – bez względu na kontekst – egoistyczną, samolubną, okrutną, tchórzliwą, agresywną i paranoiczną. Złą w niemal każdym wyobrażalnym sensie.*

Zaraz pod tekstem informacja od redakcji, która pojawia się pod większością artykułów o imigrantach:

> *Z powodu wyjątkowo agresywnych treści propagujących przemoc, sprzecznych z prawem, wzywających do nienawiści rasowej, etnicznej i wyznaniowej zamykamy możliwość komentowania pod naszymi tekstami o uchodźcach.*

Język miłości i wyrozumienia – tylko dla innego-egzotycznego. Dla innego-swojaka już nie. Niechęć do wszystkiego, co nasze, redaktora Żakowskiego widać było także w programie telewizyjnym *Bez retuszu*. Żakowski zabiera głos i udowadnia, że każda religia, nie tylko islam, rodzi terrorystów. Na pytanie Pawła Lisickiego, ilu chrześcijan było terrorystami, ten odpowiada:

> *Ideał śmierci za ojczyznę jest jednym z głównych polskich ideałów.*

A kilka chwil dalej:

> *Są różne szczeble obłędu; ekspresją patriotyzmu (to nie jest patriotyzm, ale jego ekspresja) może być wysadzenie się w powietrze, może być bój skazany na porażkę – te nasze powstania bez szans. Społeczeństwa arabskie mają trochę podobną historię jak Polska.*

Lisicki tłumaczy, że kluczowy w rozróżnieniu chrześcijaństwa i islamu jest ich stosunek do jednostki i godności ludzkiej. Z tego, że Pismo Święte mówi o stworzeniu człowieka na obraz i podobieństwo Boga, naczelny „Do Rzeczy" wywodzi, że życie ludzkie jest uświęcone i jedyne w swoim rodzaju. W islamie tej korelacji między Bogiem a jego dziełem nie ma, stąd też akceptuje się śmierć samobójczą.

Żakowski na to: *Kto ma więcej szacunku dla życia – chrześcijański nazizm czy…* [tu urwał, bo Lisicki przerwał oburzony, choć mógłby równie dobrze dać mu w papę…]. Nakłada się w tym fragmencie kilka chwytów: manipulacja (łączenie ze sobą zupełnie nieporównywalnych faktów), wybielenie islamistów (w ten sposób, by zerwać wszelkie powiązania między religią a motywowanymi nią terro-

W politpoprawnościowej logice nie mieści się bowiem prawdziwy „inny", którym jest własny krajan

rystami) i przyłożenie przeciwnikowi poprzez skojarzenie wartości, jakie reprezentuje, z nazizmem. Żakowski może tak robić, w końcu wobec zła nie należy stosować taryfy ulgowej…

Redaktor „Gazety Wyborczej" Paweł Wroński w słynnym już wydaniu *Loży prasowej* z 13 września 2015 roku mówił o rodzących się w kraju nacjonalizmie i ksenofobii, a także braku racjonalnego podejścia u ludzi kierujących się strachem. Po mniej czy bardziej zagmatwanej odpowiedzi Piotra Skwiecińskiego, redaktora „wSieci", Wroński, uprawiając język miłości, rzecze tak:

> *Jeśli w przyszłości nasze jednostki będą zaangażowane w misję Frontexu, czyli ochronę Morza Śródziemnego, to ja chciałbym, aby pan redaktor Skwieciński ze swoimi przekonaniami stanął na tym statku i zobaczył kolebiącą się, tonącą łódkę pełną ludzi. Co by im powiedział? Więc w tym momencie pan redaktor dojdzie do wniosku – chrześcijanie na pokład, wszyscy inni toną. Prawda?*

Skwieciński jeszcze bierze udział w dyskusji – powołuje się na praktykę Australijczyków i odpowiada o odholowaniu łajby na wody terytorialne Algierii.

Wroński raz jeszcze:

> […] *i zostaną odholowani na granice wód terytorialnych Algierii z całym miłosierdziem chrześcijańskim i… bul, bul, bul. I może strzelanko od razu, co? Szybciej będzie.*
>
> […] *Ale strzelamy czy tylko topimy?*

Tego chyba nawet nie trzeba komentować. Nie trzeba komentować słów wciąż zapraszanego i czytywanego Stefana Niesiołowskiego polskiego dziennikarstwa, który widzi świat w kategoriach czarno-białych i z którym wszelka wymiana poglądów staje się niemożliwa.

FOBIA NIE BYŁABY FOBIĄ, GDYBY ISTNIAŁY DLA NIEJ RACJONALNE UZASADNIENIA

Ciekawe jest także, jak eksperci opisują stan polskiego ducha i stosunek do cudzoziemców. Profesor Krystyna Szafraniec (socjolog) w wywiadzie udzielonym „Kulturze Liberalnej” pod koniec września próbuje wytłumaczyć niechęć Polaków do obcych:

> *Podłoże ksenofobiczne wśród Polaków zawsze istniało. Zasysa je każde pokolenie w trakcie socjalizacji rodzinnej, a media, politycy i Kościół doprawiają na ostro.*

Kościół to jedno, drugie to wykształcenie – albo niepełne, albo niewartościowe:

> *Widać wyraźnie, że ci z relatywnie niskim wykształceniem – na poziomie szkoły zawodowej lub średniej – przejawiają szczególnie wysoki poziom nieufności i lęku, że w życiu im się nie uda.* […] *Osoby te są podatnym materiałem dla upraszczających rzeczywistość ideologii i chętniej zwracają się w kierunku rozwiązań politycznych, które stawiają sprawy prosto – potrzebny jest silny przywódca, partia, która cię weźmie w obronę. Ty nas poprzyj, a my już uporządkujemy ten świat.* […] *Nie wykluczyłabym jednak, że taka retoryka przebija się także do studentów czy absolwentów uważających, że dyplom wyższej uczelni powinien być dla nich automatyczną przepustką do dobrej pracy. I to nawet jeśli wybrali studia na oślep, nie mając żadnych zainteresowań i nie patrząc na to, co może przynieść przyszłość. Tacy młodzi idą na łatwiznę. Nie zdziwiłabym się zatem, gdyby w grupie ksenofobicznej znajdowali się nie tylko studenci, ale i posiadacze niepełnowartościowych dyplomów.*

POZIOM TEJ DEBATY – PONIŻANIE, PATERNALIZM, INSYNUACJE, WZBUDZANIE POCZUCIA WINY

Magda Melnyk, związana z portalem Liberte.pl, na stronach Tok FM diagnozuje:

> *Rasizm jest wśród nas. Coraz częściej tłumaczyć się trzeba z tolerancji, a nie rasizmu. Przegraliśmy, jeśli dziś publicznie musimy udowadniać, że Arab to też człowiek, że tak samo czuje, że tak samo się boi, że trzeba mu pomóc.*

I dodaje:

Od zakończenia II wojny światowej mamy status pokrzywdzonych, niesprawiedliwie napadniętych, jesteśmy ofiarą, więc to nie do nas, tylko do naszych oprawców należał obowiązek skruchy, autorefleksji, zmiany… Niemcy tę lekcję odrobili, sama mając bezpośredni kontakt z rówieśnikami zza Odry, byłam poruszona ich proeuropejską postawą, poczuciem obowiązku wynikającego z bycia częścią wspólnoty europejskiej. My z przeszłością nigdy nie mieliśmy zamiaru się rozliczać.

Odrobioną lekcję przez Niemców widać szczególnie dzisiaj, kiedy piszę ten tekst (czyli w pierwszej połowie stycznia 2016 roku). Federalne ministerstwo spraw wewnętrznych podało, że do połowy grudnia miało miejsce 850 ataków na ośrodki dla uchodźców.

Jak zauważają obserwatorzy europejskiej sceny politycznej, popularność w wielu krajach partii prawicowych, które kładą akcent na zagrożenie ze strony napływającej fali emigrantów, jest znamienna. Front Narodowy we Francji, Front Narodowy Szwajcarskiej Partii Ludowej, Duńska Partia Ludowa, holenderska Partia Wolności, brytyjska Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa, Szwedzcy Demokraci – notowania tych wszystkich partii w ciągu ostatnich miesięcy idą w górę. Może więc to nie jest jedynie polska przypadłość?

Radykalizacja zachowań związana jest rzecz jasna z listopadowymi zamachami w Paryżu. W piątkowy wieczór, 13 listopada 2015 roku, zginęło sto kilkadziesiąt osób. Oto, jak zamachy i wzrost niepokojów społecznych ocenia Sławomir Sierakowski, redaktor naczelny „Krytyki Politycznej”:

Nie pozwólmy prawicowym hejterom wykorzystać zamachu do atakowania uchodźców. […] *Uchodźcy, którzy uciekli przed mordercami z Państwa Islamskiego – mocodawcami paryskich zamachowców – stają się ponownie ofiarami ich i autorów polityki strachu ze skrajnej prawicy.*

> […] *Pod wpływem emocji łatwo wskazuje się winnych. Już padają pierwsze oskarżenia wobec uchodźców, a w mediach społecznościowych relacje z Francji przeplatają się z chorym triumfalizmem prawicy, wykorzystującej ten straszny zamach jako dowód na swoje teorie. Właśnie w tych godzinach należy podkreślić, że uchodźcy są ofiarą, a nie źródłem terroryzmu.* […] *Nacjonaliści i inni hejterzy, którzy wykorzystują temat uchodźców do uprawiania swojej polityki strachu, będą teraz wmawiać swoim polskim, czeskim, słowackim czy węgierskim wyborcom, że oto znaleźli empiryczne uzasadnienie swoich poglądów. Ale fobia nie byłaby fobią, gdyby istniały dla niej racjonalne uzasadnienia. Hejterzy są nie tylko niemoralni, ale też niebezpieczni, bo utrudniają prowadzenie skutecznej polityki bezpieczeństwa, którego od państwa oczekują obywatele.* […] *Nie byłoby Państwa Islamskiego bez takiej polityki i być może nie byłoby zamachów w Paryżu.*

***

Tak, dyskusja toczona w Polsce ma charakter teoretyczny. Tzn. taki, który jest oparty nie na praktyce własnej, ale na obserwacji, wyobrażeniach, spekulacjach itd. Tym bardziej dziwić może poziom tej debaty – poniżanie, paternalizm, insynuacje, wzbudzanie poczucia winy. Patrząc na argumenty piewców nowego wspaniałego multikulturowego świata, można dostrzec, że z trudem przechodzą one próbę czasu. Okazuje się, że lęk przed obcym kulturowo wcale nie jest bezpodstawny. Dowodzi tego choćby sytuacja z Kolonii i innych niemieckich miast, gdzie setki mężczyzn w noc sylwestrową molestowało, gwałciło i lżyło bawiące się Europejki. Fakt, że sprawa przez kilka dni była tuszowana i niemieckie media, mimo że były w posiadaniu materiałów reporterskich, nie podały tego do publicznej wiadomości, rodzi szczególne wkurzenie. Znów pojawia się jednak kwestia pocieszająca – wszystkie te zdarzenia mają miejsce poza naszymi granicami, powinniśmy więc mieć i czas, i dystans, aby spokojnie wszystko ocenić. Ale nie. Nagle pojawia się Renata Kim, publicystka „Newsweeka”, która w radiowej

Lewicowe naiwniactwo to wyraz nie obserwacji, ale projekcji

Trójce usprawiedliwia milczenie niemieckich mediów troską o to, aby nie wywołać paniki. Cenzura uświęca środki.

Okazuje się, że polityka strachu, o której pisze Sierakowski, która wyraża się w irracjonalnej podejrzliwości opartej na polskiej (typowo polskiej) ksenofobii, a także we wsobności i w braku moralności, może mieć bardzo dużo wspólnego z rzeczywistością. Więcej w każdym razie niż projekt alternatywnej wizji świata lewicowych intelektualistów. Nie jest to wyraz chorego tryumfalizmu, ale konkluzja kilkumiesięcznej debaty, która przetoczyła się przez Polskę i toczy się nadal. Konserwatywne czarnowidztwo, związane z upadkiem Europy, które lata temu uprawiał Jean Raspail, a ostatnio Houellebecq, oparte jest na świadomości historyczności i procesów cywilizacyjnych. Lewicowe naiwniactwo to wyraz nie obserwacji, ale projekcji. Projekcji zbawienia świata, w którym uchodźcy traktowani są w sposób jednak instrumentalny.

Przewaga natomiast w debacie publicznej stylistyki politpoprawnościowej wynika z bardzo prostej polaryzacji: lepiej być po dobrej (choć naiwnej) stronie mocy niż po stronie chrześcijańskiego nazizmu, nieczułych dowódców Frontexu i ksenofobicznej, niewykształconej polskiej dziczy. W czarno-białym świecie tak to właśnie wygląda. **Ω**

BIAŁA PERŁA

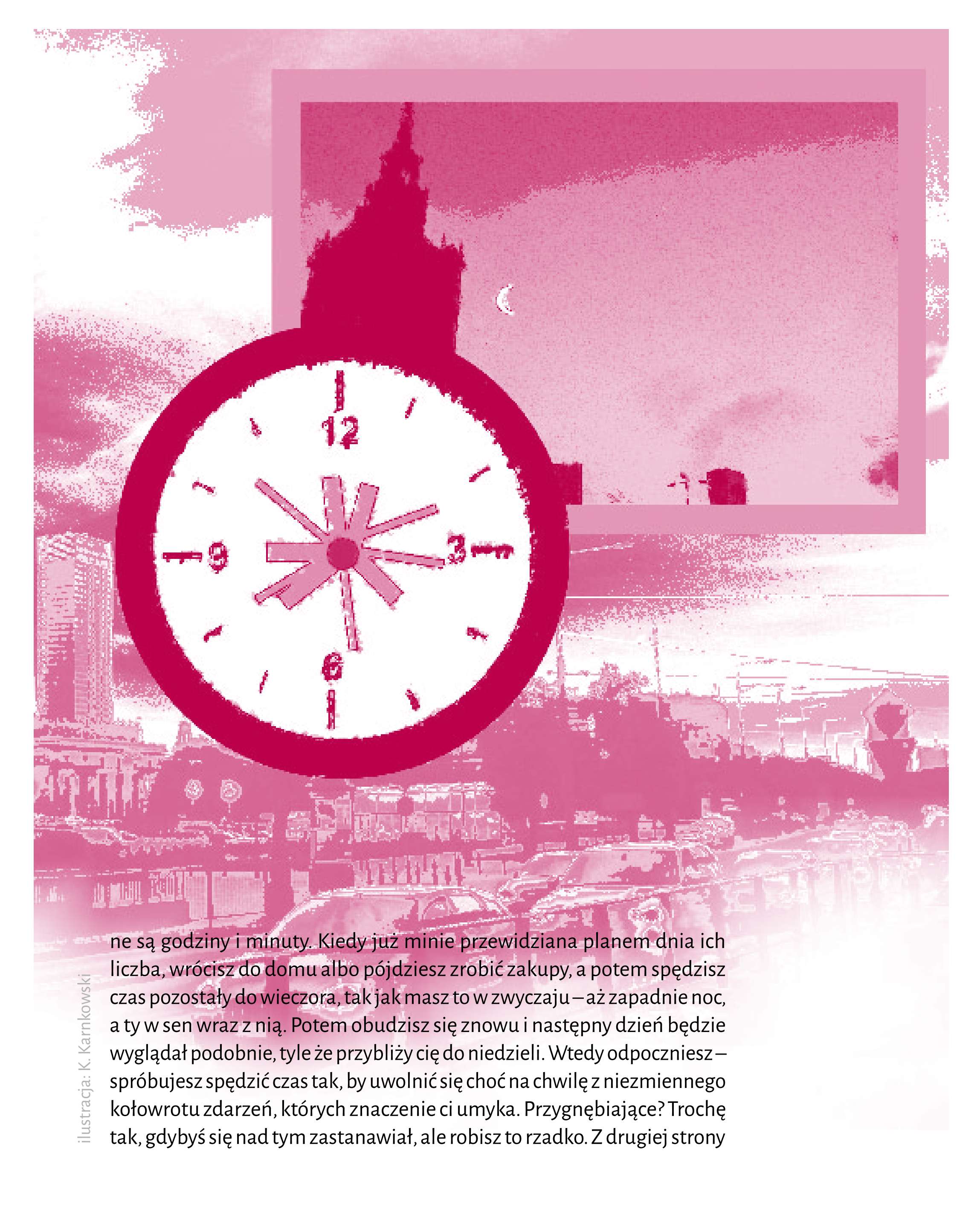
CZAS RÓWNOLEGŁY

Martyna Ochnik

Wiele, wiele razy młody księżyc wschodził na niebie, gdy Al-Kisa, kuzyn Mahometa, badał z nabożną skrupulatnością pisma i starodawne opowieści. Oto do jakiego wniosku doszedł po latach studiów. Na początku Allah stworzył *Durra Bajda*, Białą Perłę. Była tak wielka jak niebo i ziemia i była światłością. Z niej Allah wywiódł Tablicę sięgającą od wschodu do zachodu. Z niej wywiódł Pióro, które świetlistym atramentem zapisało na Tablicy wszystko, co było, jest i będzie, imię każdego, kto żył i żyć będzie. Potem wyschło. Wszystko już bowiem zostało ustalone.

W innych wersjach Perła obdarzona została olbrzymimi oczami i 70 tys. języków, którymi wielbi Allaha na tyleż sposobów. Jest rozumem wszechświata i przenikającym go boskim światłem. W islamie symbolizuje kobietę, dziecko, czystość i świętość. A najcenniejsza jest ta ukryta.

Wyobraź sobie – jest 4 stycznia 2016 roku. Poniedziałek. Polska. Niech to będzie Warszawa, tak jest mi łatwiej, bo tu mieszkam. Pomyśl – wstałeś rano, wziąłeś prysznic, wypiłeś poranną kawę, zjadłeś śniadanie lub nie, a teraz wyjdziesz do pracy, do szkoły, na uczelnię. Spędzisz tam kilka godzin, z których każda będzie liczyła 60 minut, a ta 60 sekund. Można ten czas dzielić na jeszcze mniejsze odcinki, teoretycznie do nieskończoności, ale praktycznie to nie jest do niczego potrzebne, chyba tylko fizykom kwantowym i astronomom – nawet rekordy w sporcie podaje się z dokładnością do co najwyżej tysięcznej części sekundy. Tobie potrzeb-



ilustracja: K. Karnkowski

ne są godziny i minuty. Kiedy już minie przewidziana planem dnia ich liczba, wrócisz do domu albo pójdziesz zrobić zakupy, a potem spędzisz czas pozostały do wieczora, tak jak masz to w zwyczaju – aż zapadnie noc, a ty w sen wraz z nią. Potem obudzisz się znowu i następny dzień będzie wyglądał podobnie, tyle że przybliży cię do niedzieli. Wtedy odpoczniesz – spróbujesz spędzić czas tak, by uwolnić się choć na chwilę z niezmiennego kołowrotu zdarzeń, których znaczenie ci umyka. Przygnębiające? Trochę tak, gdybyś się nad tym zastanawiał, ale robisz to rzadko. Z drugiej strony

ta stałość i względna przewidywalność dają poczucie oparcia w strukturze czasu uporządkowanego. Jeżeli nawet wyruszysz w podróż, to właśnie czas będzie ci punktem odniesienia – bo czy znajdziesz się w Londynie, Pradze, Nowym Jorku, Melbourne, Kielcach, zmieni się tylko otoczenie, ewentualnie godziny zależne od długości geograficznej miejsca – na kartce kalendarza dzień pozostanie ten sam. Chyba że przekroczysz linię zmiany daty – wtedy w ułamku chwili przeniesiesz się do dnia następnego lub cofniesz do poprzedniego zależnie od kierunku podróży. I już to wystarczy, żebyś poczuł dreszcz emocji, przeniesienie w czasie tak pobudzające wyobraźnię.

A teraz pomyśl – za dwa dni zasiądą do Wigilii ludzie należący do kościoła prawosławnego. Według kalendarza juliańskiego dopiero za trzy dni nadejdzie 25 grudnia. A gdyby obowiązywał nadal francuski kalendarz rewolucyjny, to mielibyśmy dziś du Tridi: 13. Nivôse 224, czyli trzeci dzień tygodnia, a zarazem trzynasty miesiąca Śnieżnego roku 224. Rewolucja zburzyła stary porządek, na jego miejsce ustanawiając nowy, a znakiem tego miał być czas liczony od jej początku i nazywany inaczej. Ten eksperyment trwał zaledwie cztery lata i został przywrócony na krótko w 1871 roku przez Komunę Paryską. Względy praktyczne przeważyły. Odmienne datowanie stanowi przeszkodę w komunikacji między krajami i umiejscawia je w odmiennych porządkach czasowych. Konsekwencje są jednak też inne i o wiele poważniejsze. Metoda określania czasu warunkuje sposób postrzegania rzeczywistości, a to wiąże się ściśle ze strukturą języka, którym opowiada się świat. Przypadkiem szczególnym i dobitnym tego przykładem jest życie plemienia Amondawa z Amazonii. Chris Sinha, profesor psychologii z Uniwersytetu w Portsmouth, badając język tych Indian, stwierdził ze zdumieniem, że plemię to *nie ma konceptu czasu jako czegoś mierzalnego, odliczanego czy stanowiącego przedmiot abstrakcyjnych rozważań*. Dla Amondawa istnieją tylko dzień i noc oraz pory deszczowa i sucha. Ludzie nie mają wieku. Przechodzą kolejne etapy egzystencji, zmieniając tylko imiona – imię nieoddające istoty aktualnej sytuacji jest przekazywane osobie, do której ono bardziej pasuje (np. noworodkowi), a przybierane jest odpowiednie na dany moment. To teraz pomyśl – jak zagubiony byłbyś w świecie, gdzie człowiek zmienia imię co kilkanaście lat, nie istnieje dla niego wczoraj ani jutro, a tym bardziej stała pora, o której moglibyście się umówić. To zaledwie ciekawostka niemająca dla ciebie praktycznego znaczenia. Czy jednak na pewno?

Wyobraź więc sobie, że idziesz Marszałkowską, skręcasz w prawo, po kilkunastu metrach otwierasz drzwi sklepu, wchodzisz do środka i hop! – przenosisz się w inny wymiar czasu. Albo umawiasz się z przyjaciółmi w restauracji lub w pośpiechu wpadasz do baru z fast foodem i znowu hop! – inny wymiar. Niemożliwe? No bo jak to – przecież tylko kupujesz humus, cieciorkę, dżem figowy, syrop różany, bo chcesz urozmaicić swoje menu, przydać mu smaku i aromatu egzotyki – ach, jak to lubisz! – płacisz i wychodzisz. Albo – wpadasz zgłodniały na kebab, spieszysz się, zjadasz go, idąc ulicą, i już nie pamiętasz twarzy faceta, który dużym, ostrym nożem skrawał dla ciebie mięso obracające się powoli na rożnie. Albo – zapraszasz znajomych, dziewczynę, chłopaka do dobrej restauracji orientalnej, zamawiasz coś pysznego i pachnącego, spędzasz czas, słuchając muzyki, w której wybijają się tony *oud* i *rebab*. Wspomnienie wieczoru niesiesz potem ze sobą na sen, ale do głowy ci nie przyjdzie, że byłeś o krok… Albo – kumpel ma urodziny, więc wpadasz na pomysł, żeby dać mu w prezencie sziszę. Uprzejmy sprzedawca pokazuje ci rozmaite wzory fajek wodnych. Może zakręcić się w głowie od wielości form, kształtów i rozmiarów dzbanów ze szkła, mosiądzu, ceramiki. Kolory chwytają spojrzenie, zdobienia misterne i fantazyjne nie pomagają w decyzji. Koniec końców zdajesz się na sprzedawcę i wychodzisz z pakunkiem pod pachą. Już się cieszysz, że zrobisz taką niespodziankę. I nawet nie pomyślisz, że właśnie przed chwilą otarłeś się o inny wymiar czasu. I że mógłbyś… gdybyś wiedział i chciał, przekroczyć niewidoczną granicę między środą 6 stycznia 2016 roku a 24 dniem miesiąca Rabi' al-awwal 1437 roku liczonego od 622 roku n.e. To właśnie wtedy, zależnie od sposobu obliczania, 15 lub 16 lipca, miała miejsce hidżra Mahometa i jego zwolenników z Mekki do Medyny. Odtąd datuje się era muzułmańska, czyli era hidżry, gdzie kolejne lata określa się często skrótem A.H. (Anno Hegirae). Prorok Mahomet zreformował solarno-lunarny kalendarz arabski, zastępując go prostym kalendarzem księżycowym, gdzie rok ma 12 miesięcy synodycznych. Każdy z nich liczy średnio 29 dni, 12 godzin, 44 minuty i 3 sekundy. To średni czas pomiędzy kolejnymi nowiami Księżyca. Rok lunarny jest krótszy o około 11,25 dnia w stosunku do roku słonecznego. W miarę upływu lat różnica ta się pogłębia, powodując stopniowe przesuwanie się miesięcy w stosunku do pór roku. Zatem nie dość, że Rabi' al-awwal nie będzie trzymał się rygorystycznie pory roku, to mamy zupełnie inny rok. W państwach, gdzie islam jest religią państwową, obowiązującą czy

tylko dominującą, funkcjonowanie według takiego kalendarza jest czymś zwyczajnym. Gregoriańska miara czasu potrzebna jest tam jedynie do kontaktów z kafir (niewiernymi) – politycznych i handlowych.

A jak sobie radzą z tym muzułmanie, którzy mieszkają i pracują za granicą, w krajach, w których obowiązuje kalendarz gregoriański, jak w Polsce? Stosują go we wszystkich praktycznych kwestiach życiowych, tam gdzie konieczna jest interakcja z niewiernymi – praca, szkoła, biznes. Jednak w kwestiach wiary i praktyk religijnych przestrzegają kalendarza islamu. Według niego datowane są święta, które wyznaczają roczny rytm życia muzułmanina. Ich pory określa na każdy rok Rada Imamów na podstawie zaleceń Koranu. Równie ważne jest wyznaczenie *kibli* dla każdego punktu globu, tak by wierni zamieszkujący najbardziej nawet zapomniany zakątek świata orientowali się, gdzie leży Mekka. I pozostaje tylko określić czasy „salat na każdy dzień danego roku". Modlitwa bowiem jest obowiązkiem każdego muzułmanina i jednym z pięciu filarów islamu, a w ciągu doby salat należy odprawić pięciokrotnie. Ustalenie ich pór stanowi skomplikowaną operację, której wynik zależy od pozycji słońca na niebie danego dnia i określonego miejsca globu. Podstawą obliczeń są skrupulatne obserwacje astronomiczne prowadzone od czasów Mahometa, a precyzyjne wskazówki zawarto w Koranie i Sunnach. Obecnie harmonogram modlitw na każdy dzień roku dekretowany jest przez Radę Imamów, publikowany na stronach internetowych i ogłaszany w meczetach. Obliczenia dokonywane za pomocą programów komputerowych mogą być pewną wskazówką, ale bez decyzji Rady Imamów nie posiadają wartości.

W Warszawie pierwszy salat odprawia się w czerwcu o godz. 1.53, w styczniu o 6. W czerwcu – ostatni o 23, a w styczniu o 17. Widać więc, jak w ciągu roku zmienia się długość islamskiej nocy. Porządnie wyspać się można zimą.

Opisany system określania czasu i stałych punktów roku wydaje się w zestawieniu ze znanym nam kalendarzem i skomplikowany, i kłopotliwy – a jednak muzułmanie żyjący w kraju europejskim przekraczają granicę między czasami kilka razy na dobę.

Może też byś chciał – raz tu, raz tam? Byłaby to chyba ekscytująca przygoda. Jednak o ile wyznawcy Mahometa mogą tak czynić bez szkody dla siebie, bo nieprzeliczone fatwy opisują sposób życia i postępowania w kraju kafir, tak żeby nie uchybiając precyzyjnym nakazom islamu,

dawać sobie radę w obcej rzeczywistości, to dla ciebie skok przez granicę czasów będzie podróżą w jedną stronę. Wyrzekniesz się wielu kontaktów towarzyskich, bo już nie pójdziesz do pubu ani do dyskoteki; podejmiesz tylko taką pracę, w której wolno ci będzie odprawiać regularnie salat i nie będziesz zmuszany do zajęć haram; wyrzucisz wszystkie zdjęcia bliskich, bo nie wolno trzymać w domu żadnych wizerunków – haram; do schroniska oddasz psa, który jest zwierzęciem nieczystym, i może tylko na spacerze spotkasz to zwierzę. Podbiegnie do ciebie, zapraszając do zabawy, ale nie wolno ci będzie go pogłaskać – haram. Może otrze się o ciebie i zostawi na ubraniu sierść – to nic, nie będzie potrzebne obmycie, bo sama sierść nie jest nieczysta. Jeżeli jednak to cię nie zniechęca, możesz przejść do innego świata. To bardzo proste. Wystarczy, że publicznie – trzykrotnie, świadomie i celowo – wypowiesz szahadę, wyznanie wiary: *la ilaha illa Llah wa Muhammad rasul Allah* (Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem). I już. Prawda, jakie to łatwe? Potem tylko będziesz musiał żyć inaczej niż dotąd, inaczej niż twoi przyjaciele, rodzina. Ale wolno ci. Tylko pamiętaj – szahada to bilet w jedną stronę. Oczywiście – zawsze możesz wrócić, o ile zostaniesz w którymś z krajów europejskich – bo w krajach islamskich dla renegata przewidziano karę śmierci. Zatem nie zawsze można bezkarnie przekraczać granicę czasów. Zatrzasnąć się mogą za tobą żelazne wrota.

SALAT

1. Fadżr (modlitwa poranna) – między świtaniem a wschodem słońca.

Przed modlitwą zalecana jest ablucja wudu, której etapy są skrupulatnie określone – liczba obmyć każdej części ciała, kolejność – zawsze najpierw prawa ręka, noga, ucho. Wypowiada się przy tym basmalę, formułę – *bi-ismi Allāhi ar-Raḥmāni ar-Raḥīm* (w imię Boga, Allaha miłosiernego, litościwego).

Galija (Pachnąca) wstaje po szóstej. Jej mąż odprawił już poranny salat – dla niej to nie jest obowiązkowe. Ona poda śniadanie, przygotuje dzieci do szkoły. Mąż zawiezie je tam w drodze do pracy. Chłopiec ma siedem lat, dziewczynka dziewięć. W apartamencie na Mokotowie zapanuje cisza. Jak teraz; dlatego możemy spokojnie rozmawiać. Chciałabym zobaczyć fotografie dzieci. To niemożliwe, kręci głową, nie ma. Nie wolno

w domu trzymać żadnych wizerunków, nawet w albumie. Haram. Galija ma uśmiechniętą, piękną twarz o nieskazitelnej, jasnej cerze. Szczelnie okolona ciemnobłękitną chustą, wyziera z niej jak drogocenny klejnot, jak perła. Muzułmanka taka właśnie być powinna – nieskazitelna fizycznie i moralnie, czysta jak perła, którą Allah stworzył u zarania świata, której piękno i cnota zakryte są przed spojrzeniami i tylko mąż ma prawo oglądać ten skarb. Ogromne wyraziste oczy nie potrzebują makijażu. Na chwilę smutek gasi ich blask – Galija tęskni za dniami, kiedy dzieci psociły w domu jak małe kocięta. Miała wtedy pełne ręce roboty – teraz ma czas dla siebie. Czym się zajmuje? Gotuje. Sprząta dom, chociaż nie musiałaby tego robić – codziennie przychodzi dziewczyna do pomocy, muzułmanka oczywiście. Ale Galija lubi, kiedy to dzięki jej pracy dom lśni i pięknieje na powrót bliskich. Jak ona sama. To daje jej poczucie spełnienia.

Mąż jest libańskim dyplomatą. W Warszawie mieszkają od czterech lat. Za oknem ołowiane niebo, a na nim czarne splątane kreski bezlistnych gałęzi. Latem jest inaczej – widok na zielony park. Ale i tak brakuje jej słońca i ostrych kolorów. Czasami czuje się samotna. Na szczęście jest meczet, teraz nawet dwa. Raz w tygodniu spotyka się tam z siostrami, żonami innych muzułmanów mieszkających w Warszawie. Do miasta sama nie wychodzi. Po co? Wszystko, co się dla niej liczy, ma tutaj – miękkim gestem obejmuje swój tymczasowy dom. Mąż, dzieci, jeszcze współwyznawcy w meczecie. Po polsku nie mówi ani słowa, za to świetnie zna angielski i francuski – dzięki temu jesteśmy w stanie się porozumieć. Galija nie wie, jak tu jest – nie jest tego ciekawa. Tyle że zimno, czasami bardzo. Wtedy trzeba założyć płaszcz. Trochę to niewygodne, kiedy pod spodem abaja. Zdarza się jej wybrać na zakupy z mężem i dziećmi. Rozgląda się wtedy po centrum handlowym, ale wszystko wydaje jej się szare. Nie to, co w domu, to znaczy w Libanie, już lepiej było we Włoszech, chociaż i tak tęskniła. Tak, poznała kilka Polek, które konwertowały na islam, miłe są, przyznaje powściągliwie.

Ożywia się, otwierając żaluzjowe drzwi szafy. Ciemne, czerwonawo połyskujące listewki. Palisander. Wnętrze pachnie drzewem sandałowym i jaśminem. Galija zdejmuje z wieszaków długie luźne spódnice, jedwabne, ciasno skrojone bluzeczki, tuniki i dopasowane do nich spodnie. Rzuca na fotel szale i chusty we wszystkich możliwych kolorach – połyskujące i matowe, mięsiste, grube i lekkie jak mgiełka. Kaskady omdlałych tkanin spływają z foteli i taboretów na podłogę. Kuszą barwami, fakturą i dese-

niem. Niedopuszczalne są sylwetki ludzi i zwierząt. Jednak wzornictwo islamu wypracowało przez wieki taką mnogość stylizacji motywów roślinnych i geometrycznych, że ograniczenie przekształciło w formę niezwykle wyrafinowanej sztuki zdobniczej. Patrzę więc na to bogactwo, spełnienie kobiecych snów i pożądliwość zaciska mi szczęki. Czy nie szkoda jej ukrywać tych wspaniałości? Nie, perła ukryta jest najcenniejszym skarbem. Jej blask przeznaczony jest dla męża. Obcy, szczególnie kafir, nie mają prawa domyślać się nawet, co kryje czarna abaja, którą Galija narzuci, wychodząc z domu. Nie wolno jej zwracać na siebie uwagi i budzić pożądliwości – haram. Oczywiście, lubi się stroić, jak każda kobieta, ale piękna ma być tylko dla męża. Bielizna, nie, to zbyt intymne, śmieje się zażenowana. Ale mąż lubi ładną bieliznę, zwierza mi się na ucho. On zapewnia jej opiekę i byt. I jej dzieciom. Dla niego są więc podkreślone kohlem oczy i ciężki zapach jaśminu, i ta bielizna, której nie zobaczę. Kiedy przeglądam imponującą kolekcję perfum na toaletce, nie pytam więc, których używa na jaką okazję.

2. Duhr (modlitwa południowa) – gdy słońce zejdzie z zenitu, a zanim cień zrówna się z rzutującym go obiektem.

Są miejsca i okoliczności, kiedy dokładne dokonanie wudu nie jest możliwe. Na pustyni wodę zastępuje piasek, a nawet żwir.

Pewna amerykańska firma zwolniła ostatnio 160 pracowników – muzułmanów. Domagali się oni możliwości odprawiania salat w porach przewidzianych prawem koranicznym. I nie tylko się domagali – zamiar swój wprowadzili w życie. Ograniczenie praktyk wyznaniowych może oburzać. Jednak wyobraźmy sobie przedsiębiorstwo spedycyjne pracujące pełną parą, gdzie o pewnych godzinach zawiesza działania mniej więcej jedna czwarta pracowników – nie odbierają telefonów ani mejli, nie przyjmują zleceń, zatrzymują samochody przewożące towary. Właściciel traci konkretne zyski wynikające z terminowości i dostępności przez całą dobę. Traci też reputację, a to w każdej branży strzał samobójczy.

Czy to zdarza się w Polsce? Raczej nie, przynajmniej nie udało mi się znaleźć żadnego przykładu podobnej sytuacji. Wynika to po części ze stosunkowo niewielkiej liczby muzułmanów w naszym kraju. Jeżeli jakiś

pracownik zrobi sobie kilkunastominutową przerwę, to zwykle nie ma to większego wpływu na funkcjonowanie przedsiębiorstwa – tyle zająć może też przecież przygotowanie i wypicie kawy. Jednak opowiadano mi o pewnych przykrościach – wytykanie palcami, kąśliwe uwagi – pewien znajomy Senegalczyk odszedł z pracy właśnie z tego powodu. Co prawda dość szybko założył własną firmę handlową, więc mogę przypuszczać, że w procesie decyzyjnym odegrały rolę oba czynniki.

Nabeel (Szlachetny) ma w Śródmieściu niewielki sklep z przyprawami i żywnością orientalną, jak zwykliśmy to nazywać. Początkowo niechętny do rozmowy, zasłania się nieznajomością języka. Sprzedawca, młody Polak, chce służyć za tłumacza. Wyjaśniam najlepiej, jak potrafię, że nie zamierzam rozmawiać o polityce. Biorę z półki wodę różaną i pytam, jak używają jej w Syrii – to ostatecznie przełamuje lody. Okazuje się, że Nabeel całkiem dobrze zna angielski – pomoc nie jest potrzebna. Nabeel jest Syryjczykiem, od trzech lat mieszka w Warszawie, ale po polsku zna ledwo kilka słów. Dlaczego Polska? Interesy, uśmiecha się tajemniczo – to niewiele wyjaśnia. Sklep jest niewielki, ale schludny. Na półkach stoją porządnie ustawione słoiki, puszki, celofanowe opakowania – chałwa, humus, harisa i jeszcze wiele innych, których nazw nie znam. Lubię polską kuchnię, ewentualnie włoską, eksperymenty gastronomiczne nie dla mnie. Za to bardzo interesują mnie kosmetyki – olejki do ciała, mydła, glinki, odżywki do włosów, henny. Sporo tego, ale chyba nie tyle, żeby robić na tym poważny biznes. A Nabeel posłał dzieci do prywatnego gimnazjum amerykańskiego – to kosztuje. Jest też dobrze ubrany – tweedowa marynarka; koszula OCBD, kaszmirowy sweterek, wełniany krawat – wszystko w świetnym gatunku. Czarniawy, starannie ogolony, o regularnych rysach i zręcznej sylwetce świetnie się prezentuje – po europejsku, żadnych akcentów mogących sugerować przynależność wyznaniową. Nie kryję ciekawości, bo wiem, że przepisy określające strój muzułmanina są raczej rygorystyczne. Tak, jest wierzący, do meczetu chodzi, odprawia zalecone salat. Jednak muzułmaninowi wolno ubierać się tak jak mieszkańcom kraju, w którym przebywa, o ile wymagają tego jego osobiste bezpieczeństwo lub korzyść materialna. A prowadzenie sklepu to taka właśnie sytuacja. Zatem interes idzie dobrze, ale tu nie zostaną, chcą jechać do Niemiec. Żona nie wychodzi z domu, boi się; nie zna polskiego ani angielskiego, tylko arabski. A niemiecki zna? Nie, kręci głową z uśmiechem. A on

sam? Nie podoba mu się w Polsce, słyszał różne przykre słowa, nie powie jakie; Polacy nie są tolerancyjni; trudno o żywność halal i bardzo droga. Na koniec Nabeel marszczy brwi i pyta: powiedz mi, dlaczego Rosjanie nas bombardują? Mieli przecież walczyć z ISIS. Próbuję tłumaczyć to, jak sama rozumiem, że Asad, że geopolityka, że bazy na Bliskim Wschodzie. Kręci głową z powątpiewaniem.

Później w domu czytam o *takijja* (słowo oznaczające lęk, ostrożność, choć często tłumaczone jako obłuda); to ukrywanie i przyzwolenie na ukrywanie prawdziwych wierzeń w wypadku prześladowań religijnych (lub osobistego niebezpieczeństwa) obowiązujące w islamie.

Muzułmanin ma więc prawo nie tylko nie afiszować się ze swoją wiarą, ale i ukrywać ją, jeżeli groziłyby mu niebezpieczeństwo lub choćby utrata korzyści. Ma prawo wprowadzać w błąd niewiernych, ma prawo ich okłamywać. Mówi o tym hadis Sahih Bukhari:

> *To usłyszał apostoł Allaha mówiąc: Ten, który czyni pokój pomiędzy ludźmi poprzez wymyślanie dobrych informacji lub mówienie dobrych rzeczy, nie jest kłamcą.*

Tak, prowadzenie sklepu to poważne wyzwanie.

Na parterze Ośrodka Kultury Muzułmańskiej przy ulicy Wiertniczej sklep spożywczy. Dużo więcej towaru niż u Nabeela. Sięgam po paczkę kawy libańskiej, ciekawa jestem, jak smakuje. Za ladą poważny młody mężczyzna z gęstą czarną brodą. To szczególnie ceniony w ortodoksyjnym islamie atrybut męskości. Równo przyciętą i zadbaną brodę zalecają Bracia Muzułmanie. Raszid (idący drogą prostą, prawowierny) pracuje tu od lat czterech. Czy podoba mu się w Warszawie? Tak, kiwa głową, jest dobrze. A jaką część miasta lubi? Wzrusza ramionami. Nie zna. Nie jeździ tam. Pracuje w sklepie przy meczecie, mieszka tuż obok. Nie jest ciekaw ani miasta, ani ludzi. Tu ma wszystko, czego mu trzeba: pracę, dom. Więc po co do miasta? Żonaty z Polką. Muzułmanka? Nie – kręci głową – ale będzie – stwierdza ze spokojnym przekonaniem – *in sza' Allah* – jeśli taka wola Boga. A co potem? Jeszcze nie wie, może wyjadą *in sza' Allah.* Zna tylko kilka słów w języku kraju, gdzie mieszka od czterech lat – jak Galija, jak Nabeel. Wciąż jeszcze mnie to dziwi.

3. 'Asr (modlitwa popołudniowa) – od czasu gdy cień jest tej samej długości co obiekt, do chwili gdy pomarańczowe słońce zaczyna zachodzić.

W miejscach publicznych dopuszczalna jest wersja skrócona wudu – obmycie rąk i twarzy.

Kamal (Doskonałość) na sweter w brązowo-czarne paski założył dres z kapturem, a na głowę wełnianą czapeczkę. Zimno, uśmiecha się do mnie zza kontuaru budki z kebabem. Ostatnio chwycił mróz, a tu nie ma dobrego ogrzewania. Ale on już się przyzwyczaił. Pyta, co zamówię. Wybieram pitę z surówką warzywną i łagodnym sosem. Kamal ma okrągłą pogodną twarz. Jest Berberem pochodzącym z Algierii. Nie Arabem, lecz Berberem, podkreśla. Kiedy miał cztery lata, rodzice przenieśli się do Paryża. Tam dorastał i zaczął pracować jako sprzedawca w sklepie spożywczym u stryja. Na wakacje wybrał się do Algierii. W samolocie, w drodze powrotnej poznał Polkę. Zakochał się. Przyjechał dla niej do Warszawy, wzięli ślub. Jest szczęśliwy, uśmiecha się, skrawając ostrym nożem obracające się na rożnie mięso. Żona, dwie córki. Nawet na zebrania do szkoły chodzi, bo żona pracuje, nie zawsze zdąża. Nie, do meczetu nie chodzi. Religia go nie interesuje. Jest źródłem wojen, a on chce mieć spokój. Żona jest katoliczką, starsza córka już przystąpiła do Pierwszej Komunii. On Kościoła też nie jest ciekawy. Żyje szczęśliwie – nic go nie obchodzą światowe zawieruchy. Pewnie, tęskni za rodzicami i braćmi, którzy są nadal w Paryżu, ale nie wróciłby tam. Nigdy. Polska piękny kraj, mówi; dobry kraj, spokojny, ludzie dobrzy, nie spotkało go tu nigdy nic przykrego. Francja, Niemcy? Nie, krzywi się kręcąc głową, tam niedobrze, biją się. Zostanie tutaj. Jak zarobi więcej pieniędzy, pojedzie odwiedzić Algierię, bardzo by chciał; ale jeszcze nie teraz. Tymczasem pracuje w tej budce z kebabami. Właściciel katolik, dobry człowiek, uczciwy, spokojny. Dogadują się. Czasem idą razem na piwo. Tak, Polska jest najlepsza, powtarza. Dużo przyjaciół. Tu jest szczęśliwy, uśmiecha się szeroko.

Maleńki murowany pawilon przy szpitalnym parkingu. Walid (nowo narodzone dziecko) sprzedaje tu kebab. Właściciel pochodzi z Sudanu, dlatego nad kontuarem wisi proporczyk – pasy: czerwony, biały i czarny, z ciemnozielonym trójkątem. Co chwila ktoś zagląda – do szpitala przychodzi wielu ludzi, odwiedzają chorych, przychodzą na badania, czasem muszą tu spędzić dużo czasu, wychodzą głodni, więc w barze ciągle ruch.

Walid skrawa mięso, przyrządza kebab, przyjmuje pieniądze, sprawdza, czy nie brakuje warzyw i sosów. Siadam przy plastikowym stoliku; czekam. Nareszcie robi się pusto. Walid dołącza do mnie. Przyjechał trzy lata temu z Egiptu, bo nie chciał żyć w dyktaturze. Tam był nauczycielem, z wykształcenia informatykiem, w Warszawie pracuje w skromnej budce przy szpitalu. Rozmowa jest trudna, bo choć Walid mieszka w Warszawie od kilku lat, zna zaledwie kilka polskich słów. Angielski? Kręci głową, nie. Rozglądam się po niewielkim pomieszczeniu. Na lodówce mata z wersetami arabskimi. Koran? To rozumie. Nie, śmieje się. Jakoś udaje mi się domyśleć, że to coś jak nasze kuchenne makatki w rodzaju: „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi". Jednak sensu napisu Walid dokładnie nie przetłumaczy – bariera językowa. Porozumiewamy się za pomocą paru polskich wyrazów, nielicznych angielskich oraz gestów i rysunków. Wpatrujemy się w siebie uważnie, starając się przeniknąć znaczenie słów, bardziej odgadując go, niż rozumiejąc. To stwarza klimat niezamierzonej intymności. Walid pochyla się nad blatem – zrobię ci kebab od siebie w prezencie, chcesz, proponuje. Odmawiam, tłumacząc, że w domu będę gotowała obiad dla męża. Walid prostuje się. Ma niecałe 30 lat. *Astagh-firullah* – mruczy (niech mi Allah wybaczy). Czy ma polskich znajomych? Uśmiecha się, kręcąc głową, raczej nie, brak czasu; pracuje 8–12 godzin, potem spać, trochę Facebook. Tymczasem wynajmuje pokój na Woli – jest tanio. Chodzi do meczetu w piątki. Jak może, modli się w ciągu dnia, ale nie zawsze, bo klienci. Nie ma żony, za wcześnie, uśmiecha się, najpierw musi zarobić. Kiedyś założy własny biznes. Tak, w Polsce, tu dobrze, spokój. Jak znosi fakt, że z takim wykształceniem sprzedaje kebaby? Takie życie, wzrusza ramionami. Zamierza zostać w Polsce. Niemcy? Francja? Macha ręką, krzywiąc się. Nie, przecież czyta wiadomości. Tu dobrze, bo spokój, powtarza kolejny raz. Polki piękne kobiety, uśmiecha się ośmielony rozmową. I nie musi być muzułmanką, to nie jest konieczne. Zresztą *Allahu 'alam* (Allah wie najlepiej), czego człowiekowi trzeba. Przyjdź kiedyś jeszcze – mówi – dostaniesz ode mnie kebab, zrobię dla ciebie specjalny, najlepszy.

W sieci warszawskich restauracji Amrit Kebab można spróbować nie tylko kebabu w wielu odmianach, ale też rozmaitych innych dań kuchni orientalnej. Właścicielem jest Syryjczyk, który w 2007 roku wraz z żoną Polką postanowił odtworzyć w Warszawie atmosferę Orientu. Firma ma stronę internetową, na której można zapoznać się z bogatą ofertą kuli-

narną. Podstawą jest pieczone mięso. Powinna być jagnięcina, wołowina lub drób. W Polsce najpopularniejsze są kurczaki. Pochodzący z Tunezji Iram śmieje się, że niedługo wyrosną mu skrzydła, będzie biegał w kółko i wołał ko-ko-ko. Na szczęście wkrótce wraca do domu.

W restauracjach Amrit podaje się nie tylko kebab z chlebem tureckim czy pitą. Ustępstwem na rzecz naszych upodobań smakowych są frytki i kasze, które można zamówić do wybranego mięsa. I surówki. To chyba dobra decyzja, bo restauracje cieszą się powodzeniem. Na deser można dostać arabskie bardzo słodkie ciastko i kawę po turecku. Tutaj nikt nie proponuje mi kebabu w prezencie.

4. Maghrib (modlitwa wieczorna) – od zachodu słońca do chwili, gdy czerwona łuna zniknie za horyzontem.

Asija ma na imię Joanna – zdrobniale Asia. Jeżeli doda się jedną literę, powstanie nowe imię, Asija – ta, która kocha słabszych i ich uzdrawia. Asija jest Polką. Ma 23 lata, cztery lata temu konwertowała na islam. Na pewnym etapie młodości pojawia się często potrzeba dotarcia do głębszego sensu egzystencji, jej duchowego wymiaru. Świat dany nie wystarcza. Asija zaczęła się rozglądać, szukać, dużo czytała na temat różnych religii, a kiedy poznała zasady islamu i zagłębiła się w Koran, poczuła, że odnalazła swoją drogę. Dlaczego nie chrześcijaństwo, pytam, to wydaje się w naszej kulturze najbardziej oczywistą odpowiedzią na pytania egzystencjalne. Nie, chrześcijaństwo, katolicyzm są duchowo puste. Wychowała się w rodzinie katolickiej, gdzie religijność ograniczała się do celebracji świąt, pustej duchowo i nazbyt rozbudowanej. A na co dzień – wiadomo – życie toczyło się swoim torem. To było zniechęcające. Islam ma tyle do ofiarowania człowiekowi, entuzjazmuje się. To głębokie poddanie się woli Allaha, to poczucie wspólnoty. Rygorystyczne przepisy modlitewne pomagają utrzymać w ryzach charakter. Chrześcijanie też się modlą, zauważam. Ale nieregularnie, jak się komu chce, a to niedobrze. Lepiej jest, kiedy człowiek ma powiedziane dokładnie, co kiedy i jak ma robić, stwierdza z przekonaniem Asija.

Jest miła, otwarta i pełna entuzjazmu. Pełną twarz okala bladoniebieska chustka zakrywająca szyję i jednym końcem spływająca z ramienia. Poza tym Asija ma na sobie raczej obcisły T-shirt z dekoltem i rękawami do łokci. Ten ubiór uwydatnia pełne ramiona słowiańskiej hurysy.

Zalecenia co do zakrywania aury, czyli części ciała, których nie wolno odsłaniać, są nieco odmienne w różnych szkołach koranicznych. Niektóre z nich do aury zaliczają nawet nadgarstki i palce stóp; inne nakazują zakrywać dolną część twarzy, a nawet całą twarz. Wszystko to opisują fatwy. Spory dekolt i odsłonięte przedramiona wydają mi się więc zaskakującym widokiem. I chociaż ciężkie biodra skrywa spódnica zasłaniająca niemal stopy, to jednak pytam o strój. Asija śmieje się – bo wy, niemuzułmanie, myślicie, że islam jest bardzo restrykcyjny, a to nieprawda. Islam to radość poddania się Allahowi. Nie spieram się z nią, chyba wie, co mówi, a ja nie dość uważnie czytałam fatwy.

Rozmawia chętnie, chce być pomocna; oprowadza mnie po nowym meczecie na warszawskiej Ochocie. Został otwarty pół roku temu. Budowę rozpoczęto w 2010 roku, ale prace były kilkakrotnie przerywane. Najpierw zbankrutował wykonawca firma Azbud; następny Elektrobudowa SA nie wywiązywał się z terminów. W roku 2014 niewykończony meczet ostrzelano z broni pneumatycznej. Muzułmanie nie chcieli sprawie nadawać rozgłosu, żeby nie opóźniać prac. Przeciwko budowie od wielu lat protestowali mieszkańcy Ochoty, Stowarzyszenie Europy Przyszłości. Meczet miał stanąć na terenie Reduty Ordona. To dla Polaków ważne miejsce. Nie tylko jako teren pamięci historycznej, ale i cmentarz tych obrońców Reduty, którzy oddali życie podczas walk o nią. Przez lata domagano się postawienia tam choćby tablicy upamiętniającej bohaterski czyn. Władze miasta nie były zainteresowane tym projektem. Staraniem społecznym ustawiono kamień z odpowiednim napisem. Tam kości umarłych same wychodzą z ziemi. To przecież cmentarz, stwierdza jedna z osób, które dbają, by to miejsce całkiem nie zarosło chwastami i ludzką niepamięcią. Petycje w sprawie odgrodzenia terenu nie zostały wzięte pod uwagę przez ratusz. Ostatecznie na części tego cmentarza stanął meczet. Jego budowę sfinansowali oskarżana o wspieranie terroryzmu Liga Muzułmańska oraz sponsorzy z Zatoki Perskiej.

Budynek pełni funkcję siedziby Związku Wyznaniowego Ligi Muzułmańskiej. Mocno przeszklony, żeby do środka wpadało jak najwięcej światła. Ale na tej szerokości geograficznej jest ono blade i nie tak ostre jak na południu, więc w oknach nie są potrzebne transenny tak charakterystyczne dla Orientu. Przed ośrodkiem na parkingu zmieszczą się 32 samochody. Obok wejścia recepcja. W niej dobrze wyeksponowana flaga Polski. Poruszamy się swobodnie; jest pusto, jeszcze nie nadeszła pora salat.

Białe ściany holu kontrastują z ciemnymi panelami podłóg. Zostawiam na półce w szatni buty – czyściutko. Ruszamy na górę. Stopy zapadają się w miękki dywan. Podejrzewam, że to prawdziwa wełna, tak jest ciepły. Na ciemnozielonym tle powtarzający się wzór stylizowanych ostrołuków i minaretów. Ten sposób zdobienia jest charakterystyczny dla wzornictwa islamu. Podobnie jak arabeska, czyli stylizowany, coraz bardziej odchodzący od naturalnych wzorców ornament roślinny, wici winorośli, palmety i akantu. W połączeniu z motywami geometrycznymi wywodzącymi się od owoców (np. granatu) i kaligraficznymi arabeską dekorowano budynki i przedmioty artystyczne, pokrywając wzorem jak największe powierzchnie. Powtarzalność wyrafinowanych deseni ma z jednej strony przypominać wiernym o nieskończoności Allaha, z drugiej wspomaga koncentrację.

W meczecie są sale modlitewne – osobno dla mężczyzn i kobiet, które mogą też korzystać z antresoli, aby z góry patrzeć na imama, nie przebywając przy tym w towarzystwie mężczyzn. W salach lekcyjnych stoją ławki i krzesła. Na pierwsze i drugie piętro można pojechać windą.

Meczet to przede wszystkim ośrodek kultury, miejsce spotkań ummy. Przychodzi się tutaj na modlitwę, lekcje języka arabskiego, czytanie Koranu i Biblii, zajęcia z kultury arabskiej. Cieszą się dużym zainteresowaniem, mówi Asija, trzeba tworzyć nowe grupy. Kobiety, nie tylko muzułmanki, spotykają się tu na naukę piosenek tureckich, arabskich, rozmawiają o zasadach ubioru, tajnikach pielęgnacji ciała. Wymieniają się doświadczeniami wychowawczymi.

Prawidłowe uformowanie muzułmanina to wielka odpowiedzialność – tłumaczy poważnie Asija – świadoma i nieustanna praca. Dziecko, już nawet roczne, uczy się, by przed każdym posiłkiem powiedzieć *bismillah*. To skrócona forma basmali (w imię Allaha miłosiernego, litościwego). Bardzo cenne zalecenia wychowawcze zawarto w książce *Nasîhatî lin nisâ* (*Moje rady dla kobiet*), autor: Umm Abdullah al-Waadi'iyyah. Przedstawione tam 21 zasad wychowania dzieci stanowi bezcenną wskazówkę dla rodziców. Asija nie ma dzieci, jeszcze nie jest mężatką, ale będzie, na pewno, to powołanie kobiety. Już szukają dla niej odpowiedniego kandydata. Kończymy spotkanie, zbliża się pora modlitwy. Asija poprawia spinkę przytrzymującą chustę na głowie. Spinka jest zakończona majolikowym kwiatuszkiem o płatkach różowych i niebieskich.

Zaglądam na stronę, gdzie znajduję wyjątki z książki, o której wspominała Asija. Niektóre ze spostrzeżeń są uniwersalne i niezależnie od

wyznania warto o nich pamiętać, np. kwestia dostosowania poziomu nauczania do wieku i indywidualnych możliwości dziecka czy zapewnienie mu towarzystwa ludzi prawych i mądrych. Jednak większość zaleceń ma charakter jednoznacznie religijny i niewiele tam ducha tolerancji, którą tak sobie cenią ludzie Zachodu. Na tym tle ćwiczenie maluchów w prawidłowym wykonywania wudu przed salat czy nakaz jedzenia z talerza tego, co położone najbliżej, albo nauka pamięciowa Koranu wydają się zaledwie ciekawostkami.

5. 'Isza (modlitwa nocna) – odkąd zapadnie całkowita ciemność do połowy nocy.

Meczet w Warszawie przy Wiertniczej jest adaptowaną w 1993 roku willą. Nie posiada minaretu. Mieszczą się tu sale modlitewne, siedziby islamskich instytucji kulturalnych oraz biura muzułmańskiej gminy wyznaniowej w Warszawie. Liczba muzułmanów w Warszawie wciąż wzrasta. Dlatego tak ważne było zbudowanie nowego meczetu. Przyjeżdżają nowi, a muzułmańskie małżeństwa starają się mieć po kilkoro dzieci. Płodność kobiet jest wyznacznikiem ich wartości i darem na rzecz ummy. Imam nie jest w stanie powiedzieć, ilu jest wyznawców proroka. To zmienia się z czasem, odpowiada niejasno, a też nie wszyscy zgłaszają się do wspólnoty. Niektórzy pozostają poza nią jak Kamal, więc czy należy ich zaliczać do ummy, nawet jeżeli urodzili się jako prawowierni? Fatwy nie rozstrzygają tej kwestii.

Przy braku oficjalnych danych pozostaje szacowanie na podstawie niepewnych przesłanek. Można więc na przykład znaleźć informację, że w 2008 roku w Warszawie mieszkało 10–12 tys. muzułmanów. W roku 2013 miałoby ich mieszkać w Warszawie 4–8 tys. Pomijając już nawet tak wielką rozpiętość liczbową danych, wydaje się to mało prawdopodobne. Wiadomo, że muzułmanie z różnych krajów wciąż przyjeżdżają do Polski na dłużej lub krócej, a o ich wzrastającej liczbie świadczyć może potrzeba zbudowania nowego meczetu. Koniec końców – nic pewnego nie da się ustalić. *Takijja*? Imam uśmiecha się i rozkłada ręce gestem, który mogę rozumieć, jak chcę.

Wspominam o swoich rozmówcach – że nie są chyba zainteresowani otoczeniem, w jakim przyszło im żyć. Imam to rozumie – przecież dla nich rodzina i umma są całym światem. Po cóż mieliby się przykładać do

nauki języka świata, do którego nie przynależą? Inaczej niż wy – mówi – wy chcielibyście być wszędzie. Naciągam rękawy swetra tak, by przykryły nadgarstki. Na twarzy imama pojawia się przelotny uśmiech. Zanim przyszłam na spotkanie, pomyślałam o ubiorze odpowiednim do sytuacji – nie chciałabym urazić ani zgorszyć imama. Mój hidżab składa się z luźnych dżinsów, długiego swetra i szala, którym starałam się otulić głowę i szyję jak najszczelniej. Żegnając imama, wyciągam do niego rękę. Ach, zapomniałam! – haram. Przepraszam zażenowana. Imam uśmiecha się – nic się nie stało. To prawda – zręcznie uniknął kontaktu naszych dłoni, a przecież już zbliża się pora modlitwy. Musiałby powtórzyć wudu.

Wychodząc, myślę, że faktem, z którego istnienia i konsekwencji nie do końca zdajemy sobie sprawę, jest podział na „wy" i „my". Fundamentalna kwestia określająca tożsamość muzułmanów. Czy możliwe jest jego zniesienie? Czy istnieje taka potrzeba i wola? Nie wiem. Bo z jednej strony zachęcani jesteśmy do udziału w ciekawych zajęciach w meczecie, a przed Bożym Narodzeniem odbyła się tam konferencja poświęcona świętom chrześcijańskim i muzułmańskim, połączona ze wspólnym czytaniem Biblii i Koranu. Jednocześnie nie możemy podawać sobie rąk – to znaczy muzułmanie powinni tego unikać. A przecież ten gest w kulturze Zachodu oznacza otwartość, przymierze, zobowiązanie – dla muzułmanina jest kontaktem z nieczystym. Czy to w ogóle da się pogodzić?

Po ostatnim salat zapada noc. Na niebie, o ile jest pogodne, błyszczą gwiazdy. Konstelacje nad Polską są inne niż na niebie proroka, ale sen jest ten sam. To „mniejsza śmierć", bo dusze Allah zabiera wtedy do siebie. Jedne zatrzyma – ci już się nie obudzą – inne powrócą do uśpionych ciał, które powstaną do życia o świtaniu. Może pamiętać będą swoje sny.

Mohamed bin Sirin powiedział: *Mawiano „Istnieją trzy rodzaje snów:* nafsâani, *odzwierciedlenie własnych myśli i doświadczeń, których się doznało za dnia;* szajtani, *to co podszeptuje szatan, aby przestraszyć śpiącego; lub* rahmani, *dobre wieści od Allaha". Zatem jeśli ktoś będzie miał sen, który go zaniepokoi, nie powinien o nim opowiadać nikomu, lecz wstać i pomodlić się*.

A Sahih Buchari i Sahih Muslim twierdzą: *Sny prawdziwe, odkrywające zdarzenia są jedną z czterdziestu sześciu części Proroctwa*.

Kto pragnie takich snów, powinien starać się być prawdomówny, jeść jedynie to, co jest halal, przestrzegać praw szariatu, unikać wszystkiego tego, czego zakazał Allah i Jego Posłaniec (pokój i błogosławieństwo Allaha z nim), sypiać w stanie całkowitej czystości, w pozycji odwróconej

w stronę *kibli*, jak przy modlitwie, i myśleć o Allahu, aż poczuje, że powieki mu się zamykają. Jeśli będzie przestrzegał tego wszystkiego, wówczas jego sny nie wprowadzą go w błąd. A najważniejsze sny pojawiają się tuż przed brzaskiem, gdyż jest to pora, w której Allah zniża się, a miłosierdzie i przebaczenie są blisko. O tej porze szatany cichną, inaczej niż w porze czasu ciemności, tuż po zachodzie słońca, gdy diabły i złe duchy się rozprzestrzeniają. (Madaridż as-Salikin, tom 1, str. 50–52)

Sny przepływają przez ciała *muslim* i *kuffar* (pol. kafir) tak samo. Tak samo *szajtani* napełniają ich lękiem, tak samo *rahmani* niosą nadzieję i pocieszenie. Jednak *nafsâani* podobne być nie mogą, bo codzienność jest różna i różne są pragnienia. To niby znaczy niewiele, a przecież jest wyrazem podziału. Może więc dusze błądzące nocą pożyczą choć trochę blasku od Światłości i powrócą do ciał, by napełnić je zrozumieniem, że Biała Perła lśni dla wszystkich tym samym blaskiem. **Ω**

Uwaga: W powyższym tekście pominęłam celowo Tatarów. Mimo iż wyznają islam, stanowią grupę na tyle odrębną pod wieloma względami, że prezentacja ich wymaga osobnego artykułu.

ŹRÓDŁA

http://www.muzulmanie.com/
www.allislam.pl
https://sites.google.com/site/bankfatw
www.centrumislamu.pl
http://muzulmanki.blogspot.com/
http://www.planetaislam.com/
www.opoka.org.pl
http://www.islamicalendar.co.uk/

When Time is not Space: The social and linguistic construction of time intervals and temporal event relations in an Amazonian culture, Chris Sinha (University of Portsmouth), Vera da Silva Sinha (University of Portsmouth), Jörg Zinken (University of Portsmouth), Wany Sampaio (Federal University of Rondônia); Language and Cognition, 3(1): 137–169.

Większość sformułowań w języku arabskim została zapisana zgodnie z wytycznymi *Słownika ortograficznego* PWN.



POCZTÓWKA ZNAD DUNAJU

O DZISIEJSZYCH WĘGRZECH, KRYZYSIE MIGRACYJNYM Z PERSPEKTYWY BUDAPESZTU ORAZ NOWYM MODELU PRZYWÓDZTWA VIKTORA ORBÁNA Z **DOMINIKIEM HÉJJEM** ROZMAWIA JAKUB DYBEK

István Bibó, jeden z najwybitniejszych węgierskich myślicieli politycznych XX wieku w swojej klasycznej już książce *Nędza małych państw wschodnioeuropejskich* stwierdził, że: *Uprawnienia małych narodów środkowoeuropejskich odnoszą się jedynie do pewnego, pożądanego albo posiadanego terytorium, a jedynym ich celem jest przeciwstawianie się dążeniom mniejszości etnicznych, wspólnot innojęzycznych do oderwania się od państwa. Tout proportion gardes,* wydaje się, że ten stan rzeczy uległ zmianie. Szczególnie gdy spojrzymy na dzisiejsze Węgry…

– W 2013 roku, na forum Rady Parlamentu Europejskiego, głosowano uchwałę dotyczącą sytuacji demokracji na Węgrzech, tzw. raport Tavaresa. Wydaje się, że był to moment wprowadzenia nowej retoryki przez Viktora Orbána, do tej pory zdeklarowanego euroentuzjasty, który powiedział wprost, że Węgry nie po to przystąpiły do UE, żeby mieć szefa, tylko przystąpiły jako kraj suwerenny. Dziś jest to powszechny dyskurs w polityce Budapesztu. Nie trzeba już oglądać konferencji premiera dotyczących Unii Europejskiej, by wiedzieć, co powie, ponieważ od lat konsekwentnie powtarza to samo. W tym wymiarze Orbán wykorzystuje dzisiejsze problemy wewnętrzne UE związane m.in. z kryzysem migracyjnym, próbując wypracować taki model przywództwa w ramach krajów Grupy Wyszehradzkiej, który pozwoli przeciwstawić się polityce – m.in. niemieckiej – polegającej na rozgrywaniu kartą małych państw. Wobec tego, w kontekście nędzy małych wschodnioeuropejskich państw, uważam, że Orbán – w którego absolutnie zapatrzony jest m.in. Robert Fico – bezapelacyjnie stoi na czele pewnego wewnętrznego ruchu w ramach UE, który mówi otwarcie: To jest koniec Unii, jaką znamy.

Ważny jest tu kontekst. Rozmawiamy u schyłku roku 2015, naznaczonego atakami terrorystycznymi wymierzonymi w religijną i laicką Europę, bezprecedensową od czasu II wojny światowej migracją ludów w kierunku Starego Kontynentu, targaną kryzysem przywództwa Unię Europejską. Jaką rolę w tej rzeczywistości przyjęły na siebie Węgry?

– O wiele donioślejszą, niż dostrzega się to w Europie. Pierwszy wymiar to postrzeganie Węgier przez inne kraje jako państwa, przez które przepływała fala uchodźców; kraju, który powiedział „sprawdzam” zarówno Niemcom,

fot. flickr.com/photos/tordremme

jak i Austrii, podrzucając pod granicę w Hegyeshalom kolejnych migrantów i mówiąc: „skoro tak bardzo chcecie ich przyjąć, to ich sobie zabierzcie". Przypominam, że to wtedy w nocy kanclerz Werner Faymann i Angela Merkel podjęli decyzję o tym, że otworzą granicę. Odnoszę wrażenie, że Orbán postrzega rolę Węgier na kilka sposobów. Po pierwsze: jako obrońców granic zewnętrznych UE. Po drugie: strefy Schengen. Po trzecie: chrześcijańskiego dziedzictwa Europy przed tą „hordą Arabów". Tak, taką retorykę również można znaleźć. Jeżeli porównuje się to, co dzieje się teraz bezpośrednio z wojnami XV-wiecznymi i bitwą pod Belgradem, w której Hunyadi pokonał Turków, to jest to w mojej ocenie niezwykle symptomatyczne. Trzeba tu też powiedzieć o postrzeganiu Węgier przez same siebie. W Narodowym Wyznaniu Wiary, będącym częścią nowej konstytucji, parafrazując, napisano tam, że Węgrzy są dumni z tego, iż niejednokrotnie uratowali Europę. Wydaje się, że co najmniej do tych tradycji Viktor Orbán próbuje nawiązywać.

Czy chce pan powiedzieć, że Węgry wypracowały pewien unikalny model postępowania z mniejszościami narodowymi oraz mają skuteczną receptę na dzisiejszą sytuację dotyczącą migrantów, którą chcieliby zaproponować Europie?

– Jeżeli mówimy o narodowościach zamieszkujących Węgry, a jest ich aż trzynaście, to myślę, że jest to na swoją skalę unikalny model. Cieszą się oni zadziwiająco szerokimi przywilejami. Natomiast jeżeli spojrzeć na kryzys imigracyjny, Węgrzy od dawna mówią, że trzeba go powstrzymać „tam" i „na miejscu". Władze w Budapeszcie były za tym, by przeznaczyć potężny budżet wspierający Jordanię, Liban, Turcję i inne kraje, tak aby uchodźcy tam pozostali. Sami zadeklarowali aż procent PKB – miliard euro. A pamiętajmy, że – wypracowany w bólach – system budżetu na pomoc uchodźcom całej UE wynosi ostatecznie 700 mln… czyli mniej, niż zaoferowały same Węgry. Proponowano też utworzenie wspólnej straży granicznej, która broniłaby granic Europy, a także – jeżeli zajdzie taka potrzeba – odgrodzenie się płotem.

Skoro doszliśmy do dyskusyjnych rozwiązań, to teraz drobna zagadka. Czy wie pan, który z europejskich przywódców na pytanie dziennikarza o to, co trzyma na swoim nocnym stoliku, odpowiada, że Biblię?

– I nie mieszka w hotelu? (*śmiech, zastanowienie*)

Mowa o Viktorze Orbánie.

– Tak! Był, był taki wywiad.

Ten człowiek to zagadka dla europejskiej elity politycznej oraz opinii publicznej. Na europejskich salonach mówi się o nim jak o dyktatorze wyhodowanym na własnym podwórku. Z drugiej strony, ten sam establishment, który nazywa faszystowskimi jego pomysły na rozwiązanie trudnych dla Unii Europejskiej problemów, tylnymi drzwiami je implementuje. Z czego wynika ta zagadkowość Orbána? Z tego, że premier małego państwa europejskiego, chciałoby się powiedzieć: aspirującego do miana dojrzałej demokracji w ocenie Zachodu, pozwala sobie na tak zdecydowaną politykę?

– Proszę się nie obrazić, ale prawda jest taka, że współcześnie bardzo trudno zrozumieć specyfikę węgierskiej polityki w ogóle. Taką barierą jest m.in. język. Tym bardziej że w tym niezrozumieniu pomaga sam rząd Fideszu, którego komunikaty w języku angielskim i węgierskim to niejednokrotnie różne wypowiedzi… a szum informacyjny, z jakim mieliśmy do czynienia np. przy budowie płotu na granicy z Serbią, bardzo Fideszowi odpowiada. To następująca logika: im więcej się o nas mówi, tym lepiej. Mówienie o Węgrzech nawet w niepochlebnym kontekście jest im na rękę. Zawsze można wtedy powiedzieć: zobaczcie, zachodnia prasa mówi o nas tak i tak. Ja byłbym daleki od tego, żeby pokazywać, jakie to Węgry są kopane, a Viktor Orbán genialny. Dlatego że nie możemy być ślepi i głusi na to, co dzieje się w wewnętrznej polityce węgierskiej. To jest m.in. ograniczenie roli Trybunału Konstytucyjnego. Trudno winić za to sam rząd Fideszu, ale obserwujemy na Węgrzech niebywałą apatię społeczną, a także bagatelizowanie przez rząd niektórych społecznych inicjatyw. Warto przypomnieć w tym kontekście protesty związane z wprowadzeniem tzw. podatku internetowego. Na Węgrzech nie ma teraz żadnej poważnej alternatywy dla Fideszu. A co to oznacza? To, że Viktor Orbán jest mocny nie tyle swoją własną siłą, co rozbiciem obozu lewicowego. Co do postrzegania premiera Węgier na arenie międzynarodowej, to rzeczywiście obserwujemy pewien paradoks. Z jednej strony mamy Viktoratora, złego przywódcę o zapędach totalitarnych, ale już niedaleko znajduje się Jobbik. No i co? Czego bardziej lękają się europejscy politycy? Orbána, który jest, jaki jest, ale nazwijmy to, że jest „przewidywalny", czy wspomnianego wcześniej Jobbiku?

Orbanizacja to polityczny epitet, tymczasem serwis Politico w swoim zestawieniu 28 ludzi, którzy trzęsą i nadają kształt europejskiej polityce, na pierwszym miejscu wymienia premiera Węgier. Gdzie Angela Merkel i François Hollande? Gdzie inne gwiazdy europarlamentu?

– Dobrze, że pan to przywołuje, bo już wkrótce może się okazać, że Węgry będą

miały ze sobą zasadniczy problem. Polityka kreowana przez Viktora Orbána jest w pewnych kręgach postrzegana jako „wielka", tylko należy pamiętać o tym, że kraj, jakim rządzi, jest zbyt mały, żeby odgrywać jakąkolwiek większą rolę na arenie międzynarodowej. Można się zabawić we wróżkę i postawić pytanie: czy jeżeli w 2019 roku odbędą się kolejne wybory europejskie, to Orbán będzie chciał w nich odegrać jakąś istotną rolę? Niewykluczone. Tym bardziej jeżeli dostrzeżemy pewien trend związany z dochodzeniem do władzy partii skrajnych: greckiej Syrizy czy osiągającej dziś w sondażach niezłe wyniki partii Podemos z Hiszpanii. Pytanie zasadnicze, jakie stawiałbym w tym kontekście, jest następujące: czy ten nowy model przywództwa, retoryki, która domaga się większej podmiotowości narodowej na arenie europejskiej, przyjmie się, czy nie? A gdzie jest Merkel i Hollande? Pokazali, że podejmując ważne decyzje, można się pomylić. Oczywiście, nie przyznać się do tego, ale pomylić bardzo. Orbán od kwietnia 2015 roku zawsze występuje z tymi samymi postulatami. I przebił się z nimi...

Zaraz, zaraz. Człowiek oskarżany o dyktatorskie zapędy wchodzi do głównego nurtu unijnej polityki?

– Obnaża unijne sprzeczności i znakomicie na nich gra. Przykładem kwestia uchodźców. Zapraszamy ich? No, to partnerzy z Niemiec i Austrii, rejestrujcie ich. Orbán bardzo szybko uporał się z problemem, zaostrzając prawo w połowie września. Jakie było wobec niego ostrze krytyki? Uchodźcy zapełnią węgierskie więzienia. A tu nic z tych rzeczy. Tych ludzi, i są do tego narzędzia, po prostu się odsyła. Jeżeli mówimy o skuteczności, to wystarczy przywołać jeden wskaźnik. Spadek liczby uchodźców przekraczających granicę ze średniej wynoszącej 10 000 osób dziennie spadł do... 21–24. Nawet przed kryzysem tych ludzi było więcej. Orbán uporał się z tym w taki sposób, że jako pierwszy wprowadził pojęcie kraju bezpiecznego. Tutaj przykładem może być Serbia. I teraz, jeżeli przyjeżdżasz z Turcji przez jakikolwiek kraj bezpieczny UE, mówi Orbán, to dlaczego tam nie występujesz o azyl? My ciebie u nas nie chcemy. Co się dzieje dwa miesiące później? Angela Merkel mówi: mamy listę krajów bezpiecznych i jeśli z niego przyjechałeś, to nie możesz już prosić o azyl w Niemczech. Pewne rzeczy, które mówił Orbán – i to jest dopiero chichot polityki – są wdrażane w kolejnych krajach. Ile razy słyszeliśmy: jak można stawiać płot na własnej granicy?! A kto się dziś tymi płotami grodzi?

Słowenia, Austria, niemiecka policja wspomina nieśmiało o potrzebie takiego rozwiązania...

– A Viktor Orbán jest zbyt wytrawnym politykiem, by zadowolić się w tej sytuacji zwykłym: a nie mówiłem. On za

każdym razem, gdy mamy do czynienia z takim mechanizmem, powtarza mniej więcej coś takiego: *Cieszymy się, że sposób wypracowany przez Węgry w sprawie imigrantów przyjmowany jest w kolejnych państwach. Warto pamiętać, że radzenie się innych krajów przynosi efekty*. Nie ma większego policzka dla tej wielkiej, zachodniej polityki. Premier Węgier, by pozostać przy temacie migracji, pokazuje, że suwerenne państwa mają prawo decydować, z kim chcą żyć na swoim terytorium. Tu posługuje się często przykładem Cyganów na Węgrzech, mówiąc, że skoro oni się nie zasymilowali, to w jaki sposób chcemy zasymilować Arabów? Wreszcie, co miało być najmocniejszym argumentem w dyskusji o imigracji, podważył on kwoty przyjmowanych uchodźców jako niedemokratyczne.

Orbán reprezentuje nowy model przywództwa, jakiego nie znała Unia Europejska?

– Przyjmuje model punktowania słabości i proponowania realnej alternatywy.

Dąży do dekompozycji Unii Europejskiej?

– Przebudowy...

Na zmienionych zasadach?

– Zgadza się. Na Węgrzech nawet Jobbik nie chce już wyjścia z Unii Europejskiej.

Pozostanie w jej strukturach to konieczność?

– Dla Węgrów zdecydowanie tak. Wszędzie, gdziekolwiek pan spojrzy, stoją tablice informacyjne oznajmujące, że dana inwestycja została wykonana w całości bądź częściowo z gigantycznych rozmiarów funduszy europejskich.

A Orbán doskonale zdaje sobie z tego sprawę...

– Oczywiście, że tak. I z roku na rok chwali się, że Węgry coraz lepiej wydają to dofinansowanie. Co nie przeszkadza mu w tym, żeby flaga Unii Europejskiej nie powiewała już przed gmachem parlamentu w Budapeszcie.

Pragmatyzm? Unii Europejskiej świeczkę, a obywatelom ogarek?

– Orbán wychodzi z takiego, dobrego lub nie, założenia, że historia oraz wzajemne sympatie bądź antypatie nie mogą przeszkadzać w robieniu interesów. Możemy się nie zgadzać z Angelą Merkel, Barackiem Obamą czy Władimirem Putinem, zdaje się mówić, ale musimy prowadzić taką politykę, żeby wiedzieli, że współpraca z nami w wymiarze ekonomicznym się opłaca. Audi, Suzuki, Mercedes – trzy olbrzymie fabryki na Węgrzech niewyobrażalnie się rozwijające, pompujące węgierską gospodarkę, nie zamierzają znad Dunaju uciekać. Dlaczego? Bo

im się to nie opłaca. O Unii Europejskiej Orbán wypowiada się zawsze w sposób ideologiczny, o pieniądzach z Unii – tylko i wyłącznie pragmatycznie.

Jak w takim razie udaje mu się łączyć politykę historyczną – akcentującą narodową podmiotowość – z tym de facto prounijno-reformatorskim zacięciem w polityce zagranicznej?

– To żyje w dwóch niezależnych od siebie światach. Na tym Węgry, mówiąc kolokwialnie, przejechały się w lutym bieżącego roku podczas wizyty Władimira Putina. Na cmentarzu złożył kwiaty pod pomnikiem żołnierzy radzieckich, którzy zginęli, tłumiąc węgierskie powstanie w 1956 roku. Niewyobrażalny policzek dla Węgrów. Tyle że zaraz minister spraw zagranicznych skomentował to wydarzenie słowami, że nie rozumie, jak można nie współpracować z Rosją nawet wobec tego typu ekscesów. Dlatego mówię o tym, że to dwa różne światy. Polityka historyczna jest na Węgrzech bardzo mocno rozwinięta. Wkrada się nawet w ustawodawstwo. Nazwa dzisiejszego Sądu Najwyższego czy określenia dotyczące narodowości zamieszkujące Węgry to terminy XIX-wieczne. Wiele innych zmian w sferze publicznej nawiązuje dziś do tradycji tzw. Wielkich Węgier. Co jeszcze mam na myśli, mówiąc o tych dwóch światach? Spójrzmy na stosunki z Turcją, które dziś są wyjątkowo przyjazne, a przecież pamiętamy, że Imperium Osmańskie to dla Węgrów synonim tego, co najgorsze. My pamiętamy, ba, my obchodzimy 29 sierpnia – rocznicę przegranej bitwy pod Mochaczem – jako ważne święto. To nie przeszkadza nam rozwijać w najlepsze stosunków gospodarczych.

Wspomniał pan o słabości opozycji. Węgry przez najbliższe lata są skazane na Orbána?

– On, oprócz wielu – obiektywnie rzecz ujmując – działań mających na celu poprawienie stanów finansów państwa, jawi się jako ten, który w szczycie kryzysu imigracyjnego nie zawiódł. To było dość niespotykane, gdy w prasie węgierskiej, nawet tej tradycyjnie uważanej za nieprzychylną Fideszowi, pojawiały się artykuły nie tyle proorbánowskie, ile dostrzegające, że to, co on robi dla Węgrów, jest spójne. Stoi za tym jakiś plan.

Narodowy konsensus?

– Zdecydowanie. Po raz kolejny udało się na Węgrzech współpracować w taki sposób, że projekty np. zaostrzające prawo imigracyjne poparł nie tylko Fidesz, ale również część socjalistów. To ogromny zwrot. Ten konsensus podobnie wygląda na gruncie opinii publicznej, choć tutaj muszę dodać pewne zastrzeżenie. Rząd trochę miesza tamtejszym obywatelom w głowach, m.in. kolejnymi kampaniami informacyjnymi na ulicach Budapesztu.

Oni czują się często zdezorientowani. A jeżeli czują się zdezorientowani, to chcą, by ktoś ich wziął za rękę i przeprowadził przez trudne czasy. Orbán mówi: nie bójcie się, zrobimy tak, że tego kryzysu nie odczujecie. Postawimy płot i nie przekroczą naszej granicy. Oczywiście, taki pomysł spotkał się z dość głośnym sprzeciwem, ale... płot powstał, a notowania rządu poszybowały w okolicach 80% społecznego poparcia. Wie pan, to wszystko, o czym rozmawiamy, nie jest takie proste, bo zdajemy sobie przecież sprawę, że kwestia migracji to wielkie pytanie o całą aksjologię, jaka przyświeca tożsamości Europy...

A Orbán zachowuje się tak, jakby pozbawiony był kagańca politycznej poprawności, która – choćby we Francji – osiąga spektakularne rozmiary?

– Teraz już tak. A jeszcze bardziej motywowało go do tego to, że mimo zewnętrznej krytyki jego polityki przez wielkich graczy w unijnej polityce nie poniósł z tego tytułu żadnych, najmniejszych nawet konsekwencji. I teraz, kiedy pojawia się inicjatywa wszczęcia procedury zawieszenia Węgier w prawach członka Unii Europejskiej, to nie wierzę, by ktokolwiek myślący – po tym, co zrobił Orbán z kryzysem imigracyjnym – pozbawił w tym momencie Węgry prawa głosu w tej organizacji. Nie wierzę, że ktoś ma taką moc i dar przekonywania.

W Europie Środkowo-Wschodniej, przy całej mglistości tego terminu, wieje wiatr z prawej strony. Prawica ledwie kilka tygodni temu zaczęła rządy w Polsce, a już byliśmy świadkami bodaj czterech spotkań liderów krajów Grupy Wyszehradzkiej. To wyraźny komunikat. Czy V4 ponownie zabierze wspólny głos na arenie europejskiej i kto wyrośnie na nieformalnego lidera tego czworoboku?

– Zaczynając od końca. Kto będzie liderem? Wydaje się, że Polska z nadania predestynowana jest do tej roli, choć nie wiem, czy na dzień dzisiejszy jest to jej żywotnym interesem. Czesi i Słowacy zapatrzeni są w zdecydowaną politykę Węgrów. Oczywiście bój o przywództwo rozegra się między Warszawą i Budapesztem. Czy będzie to liczący się głos całości? W pewnym wymiarze tak. Spójrzmy na Nord Stream 2 czy zagadnienia związane z polityką klimatyczną. Natomiast w szerszym spektrum nie wierzę, by w najbliższym czasie połączyła nas jakaś wielka wspólnota interesów. Taka jaka wytworzyła się w 1998 roku, gdy staraliśmy się wejść do Unii Europejskiej i NATO.

Dlaczego?

– Wie pan, ja mam od pewnego czasu taki papierek lakmusowy, który dobrze się sprawdza pod kątem tego, co nad Dunajem jest ważne, a co nie, z perspek-

tywy elit politycznych. Patrzę, kto jeździ na poszczególne szczyty. Na Węgrzech prezydent nie posiada żadnych uprawnień. Kto jedzie na szczyt klimatyczny w Paryżu? János Áder. Gdzie w tym czasie był Viktor Orbán? W Iranie. Robił interesy dotyczące programu nuklearnego. Faktem jest, że stanowisko Polski w wielu wymiarach polityki zagranicznej jest naznaczone w pewien sposób ideologicznie. W Budapeszcie już tylko i wyłącznie pragmatycznie. To może utrudniać współpracę w pewnych obszarach.

Czyli koncepcja Budapesztu nad Wisłą z perspektywy węgierskich elit politycznych to…

– Z wielu powodów jest niemożliwa.

Dlatego że Polacy mają inne postrzeganie prowadzenia polityki niż Węgrzy?

– To też. A przede wszystkim dlatego, że Polacy mają odwieczny problem tego, że są zbyt dużym państwem, by traktować jak równe sobie pozostałe kraje V4, i zbyt małym, by stawiać zdecydowane warunki w ramach Trójkąta Weimarskiego. To jest także duży problem PR-u polskiej dyplomacji, która ma problemy z komunikowaniem pewnych treści. Proszę spojrzeć, że do tej pory nie umie ona zarazić Polaków – skądinąd słuszną – polityką antyputinowską w inny sposób niż poprzez przywołanie roku 1939 albo 1920. Natomiast w przypadku węgierskim, szczególnie po tej gorzkiej wizycie Putina w Budapeszcie związanej z obchodami 1956 roku, retoryka nad Dunajem nie może przybrać innego wektora niż „przeszłość to jedno, ekonomia to drugie". Wtedy po raz pierwszy tak potężnie to się objawiło.

Czy w takim razie węgierska klasa polityczna przeprowadziła społeczną reedukację pod kątem pragmatycznego oraz idealistycznego podejścia do stosunków międzypaństwowych?

– Orbán wyszedł z założenia, że potrzeba czegoś dla serca i czegoś dla rozumu. Dla rozumu gospodarka. Dla serca te wszystkie symbole: przebudowy placów w stylu XIX-wiecznym, retoryka oraz inne, pomniejsze, lecz niezwykle wymowne, patriotyczne gesty. Nie zapominajmy natomiast, że wizerunkowo, to co zrobił Putin w Budapeszcie podczas obchodów 1956 roku to była katastrofa. Już samo to, że ktokolwiek pozwolił, by on tam przyjechał, było nie do pomyślenia. Co powinien wtedy zrobić prezydent lub premier Węgier? Być jak Hugh Grant w *To właśnie miłość*, który odgrywał rolę premiera Wielkiej Brytanii. Jest tam taka scena, gdy w obliczu dominacji amerykańskiego prezydenta powiedział, że być może Wielka Brytania to mały kraj, ale kraj Harry'ego Pottera, lewej nogi i Davida Beckhama itd. Czyli obrócił wszystko w żart, może jakoś zakpił. Tymczasem

podczas konferencji prasowej w Budapeszcie nie powiedziano nic. A skoro nic nie powiedziano, to Putin dobił Węgrów, mówiąc, że jest wdzięczny im za to, że pozwolili bohaterom Armii Czerwonej spocząć z godnością na węgierskiej ziemi. Bardziej dać w twarz uczestnikom tych obchodów już nie mógł. Orbán się nawet do tego nie odniósł.

I Węgrzy to przeboleli?

– Przeboleli, ale będą pamiętać. Choć zapewniam pana, że to się nie przełożyło na wspólne interesy. Nowe reaktory atomowe w Paks muszą się budować…

Śmiech przez łzy i powoli do przodu…

– Tak. Bardzo natomiast przestrzegam na spoglądanie na Węgry jako kraj mlekiem i miodem płynący. Choćby ostatnie zmiany wyglądają na absolutnie niezrozumiałe. Minister sprawiedliwości wprawdzie wszystkim przypomina o tym, że prawo zamówień publicznych jest na Węgrzech najostrzejsze w całej Europie, choć w tym samym czasie dopuszcza się do startów w przetargach rodziny ministrów. To również liczne afery, zamiatane pod dywan przez rząd, z otwierającą czołówkę aferą Quaestora. Gigantyczna piramida finansowa, która moim zdaniem przewyższyła rozmiarami Amber Gold.

Czyli zapatrzonym w dzisiejszą politykę naddunajską jako rycerza wjeżdżającego na białym koniu należy pokazać, że ten koń jest już nieźle ufajdany?

– Trzeba z dużą dozą rozsądku patrzeć na to, co dzieje się dziś na Węgrzech. Trudności z językiem, analizą zawiłości historycznych i niebywała powierzchowność dyskursu dotyczącego Węgier lansowana w mediach, nie pozwalają na dostrzeganie tego, co czasami Węgrzy chcieliby ukryć… nawet przed samymi sobą. **Ω**

Warszawa, 10 grudnia 2015 r.
(wywiad autoryzowany)

Dominik Héjj – politolog, dziennikarz, ekspert ds. węgierskich, doktorant, wykładowca. Redaktor naczelny portalu Kropka.hu – rzetelnie o węgierskiej polityce. Obywatelstwo polskie, narodowość węgierska.



Nikołaj Trubieckoj

O rasizmie

I

Z powodu różnych przyczyn, przy których nie będziemy tutaj się zatrzymywać, antysemityzm podczas rewolucji, wojny domowej, pierwszego okresu komunizmu i NEP-u ogarnął stosunkowo szeroką warstwę inteligencji rosyjskiej. Upadek Trockiego i powiązane z tym zdarzeniem usunięcie wielu czołowych Żydów komunistów z zajmowanych wysokich stanowisk kierowniczych nieco zachwiały przekonaniem o identyczności komunizmu i żydowskiego panowania. Wielu inteligentów rosyjskich w ZSSR i na emigracji, przyjrzawszy się bliżej Żydom i wydarzeniom, porzuciło nastroje antyżydowskie, jakim jeszcze do niedawna ulegali. Ale mimo wszystko znaczna część inteligentnych i ćwierćinteligentnych Rosjan pozostaje antysemitami. W ostatnim czasie ten rosyjski antysemityzm intensywnie podtrzymuje się w Niemczech. Znaczna część emigracji rosyjskiej w Niemczech i w krajach, które ulegają wpływowi kultury niemieckiej, marzy o wprowadzeniu w Rosji porządków hitlerowskich. Idee rasizmu propaguje się mocno w środowisku rosyjskim, przy tym, oczywiście, nie wbrew woli rządu niemieckiego. Przygotowując atak na ZSSR w celu zagarnięcia Ukrainy, niemiecki sztab generalny jest zainteresowany tym, żeby w Rosji i na Ukrainie mieć jak najwięcej przychylnych elementów. A ponieważ idea niemieckiego panowania w czystej postaci nikogo, oprócz samych Niemców (i niektórych już zbyt egoistycznie nastawionych obszarników), zachwycić nie może, to jako środka przyciągającego Rosjan do współczesnych Niemiec używa się antysemityzmu. Większość Rosjan i Ukraińców wciągniętych do tej polityki i propagujących rasowe teorie wśród swoich współplemieńców oczywiście nawet nie podejrzewa, że są zwykłym narzędziem, zabawką w rękach niemieckiego imperializmu, któremu potrzebna jest tylko jedna rzecz – ukraiński czarnoziem. Ale taki już jest los wszystkich agentów każdego imperializmu: większość z nich zawsze, nawet nieświadomie, troszczy się jedynie o interesy swojego własnego narodu...

Jakkolwiek by to było, antysemityzm typu niemieckiego obecnie rozpowszechnia się wśród Rosjan. A ponieważ przedsięwzięto próbę wciągnięcia do tej akcji również eurazjatyzm, to warto porozmawiać na ten temat na łamach wydawnictw eurazjatyckich.

II

Rozważania tych rosyjskich antysemitów, którzy próbowali przyciągnąć na swoją stronę eurazjatyzm, mają wspólny

mianownik. Rdzenna ludność większej części ZSSR składa się z przedstawicieli trzech ras (według Egona F. von Eickstedta): wschodnioeuropejskiej, turańskiej i tungidzkiej. Te trzy rasy, mocno przemieszane i spokrewnione ze sobą, mają wiele wspólnych cech psychologicznych, które określają całą historię i oblicze kulturalne Rosji-Eurazji. Tymczasem Żydzi nie należą do żadnej z tych ras i są dla Rosji-Eurazji całkowicie postronnym ciałem. Cechy psychiczne właściwe ich rasie są obce historii i obliczu kulturalnemu Rosji-Eurazji i wywierają destrukcyjny wpływ na rdzenną ludność. I dlatego należy Żydom zakazać zajmowania w Rosji-Eurazji jakichkolwiek stanowisk, zaś rdzennej ludności zabronić wstępowania w związki małżeńskie z Żydami i reprezentantami jakichkolwiek obcych Eurazji ras, na przykład z Murzynami, Hindusami i in. (ponieważ podczas krzyżowania się cechy rasowe tylko rozszczepiają się zgodnie z prawami Mendla, ale nie przestają istnieć jako takie).

Cały ten wywód jest naukopodobny i jego autorzy podkreślają z naciskiem, że opierają się na danych „ustalonych przez naukę". Zostawiając na boku pewność danych współczesnej antropologii, która – jak większość nauk współczesnych – przeżywa kryzys (przy czym właśnie klasyfikacja von Eickstedta bynajmniej nie może zostać uznana za ogólnie przyjętą), należy zauważyć, iż w danej kwestii decydujące słowo należy nie do antropologii, lecz innej nauki, a mianowicie psychologii. Istotnie, antysemici odrzucają Żydów nie z powodu budowy ich nosów, szczęk lub kości policzkowych, lecz z powodu cech psychologicznych, jakoby właściwych rasie żydowskiej. I dlatego sprawdzianowi naukowemu winien być poddany właśnie ten związek określonych cech psychologicznych z określonymi oznakami rasowymi.

NIKOŁAJ SIERGIEJEWICZ TRUBIECKOJ

(1890–1938) – jeden z najwybitniejszych lingwistów XX w., twórca nowoczesnej fonologii. Syn filozofa religijnego, księcia Siergieja Nikołajewicza Trubieckoja. Od 1922 roku profesor slawistyki na Uniwersytecie Wiedeńskim.

Oprócz filologii zajmował się historią kultury rosyjskiej, ujmując ją w szerszej perspektywie historiozoficznej i traktując jako rodzaj samopoznania narodowego. Podobnie jak inni przedstawiciele tzw. eurazjatyzmu utrzymywał, iż kultury rosyjskiej nie można zrozumieć bez uwzględnienia jej ścisłych związków z azjatyckim Wschodem (a nie tylko z Bizancjum i Zachodem).

Artykuł *O rasizmie* pochodzi z 1935 roku. Powstał w reakcji na niepokojące wydarzenia mające miejsce w Niemczech i ZSRR, których wspólną cechą był antysemityzm (jawny w hitlerowskich Niemczech, bardziej zakamuflowany w stalinowskiej Rosji). Artykuł demaskuje ideologię antysemityzmu, tę ufundowaną na „materializmie antropologicznym" (nazistowskie Niemcy), jak i na „materializmie ekonomicznym" (bolszewicka Rosja). Czyni to poprzez trzeźwą „akademicką" analizę samego zjawiska „psychologii emigranckiej", bardziej zależnej od relacji diaspory żydowskiej (i wszelkiej innej) z otoczeniem niźli od wrodzonych „rasowych" predyspozycji jej członków.

Tymczasem w tej dziedzinie sprawa nie wygląda tak prosto, jak to się wydaje „rasistom". Nie ulega wątpliwości, że część cech psychicznych każdego człowieka jest dziedziczona po przodkach, zaś inna część jest nabywana własną pracą. Można uznać za udowodnione, że tak zwane „talenty" i „temperamenty" należą do cech dziedzicznych, a nie nabytych. Ale w ogóle nie zostało dowiedzione, żeby samo ukierunkowanie „talentu" lub „temperamentu" było przekazywane dziedzicznie. Jest raczej odwrotnie: współczesna psychologia indywidualna i badanie biografii wybitnych ludzi prowadzą do wniosku, że ukierunkowanie talentu jest uwarunkowane biografią.

W ten sposób związek cech psychicznych z dziedzicznością jest znacznie bardziej złożony, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Badając taki skomplikowany problem jak charakter narodowy, nie można opierać się na ogólnej przesłance o rasowym uwarunkowaniu wszystkich cech danego charakteru narodowego, podobnie jak nie można tłumaczyć też wszystkich cech danego charakteru indywidualnego wyłącznie dziedzicznością.

III

Z tego, co powiedzieliśmy, wynika jasno, że w żydowskim charakterze narodowym jedne cechy są warunkowane dziedzicznością, a inne są nabyte. Po to, aby określić, jakie cechy charakteru żydowskiego są dziedziczone, a jakie są nabyte, trzeba by było przeprowadzić dużo eksperymentów i systematycznych obserwacji Żydów, od dzieciństwa odizolowanych od środowiska żydowskiego i niepodejrzewających swojego żydowskiego pochodzenia. W jakiejś znaczącej skali tego rodzaju doświadczeń i obserwacji, o ile nam wiadomo, nigdy nie prowadzono. Systematycznie nie opracowano nawet materiałów o żydowskich kantonistach, którzy (zgodnie z pomysłem Mikołaja I) powinni byli być wychowani poza wszelkimi związkami ze środowiskiem żydowskim. Trzeba zadowolić się przypadkowymi obserwacjami pojedynczych (ma się rozumieć, rzadkich) przypadków tego rodzaju. Nie można na podstawie takiego materiału budować żadnych uogólnień.

Jeśli liczba osób żydowskiego pochodzenia od dzieciństwa pozbawionych kontaktu ze środowiskiem żydowskim jest bardzo niewielka, to liczba osób urodzonych w małżeństwach mieszanych lub mających jedną „żydowską babcię" jest dosyć znaczna i ten materiał dla obserwacji psychologicznych jest dostępny dla każdego. Co prawda i w tej kwestii systematycznych obserwacji do tej pory nie prowadzono, ale wydaje się, że każdy z nas, obserwując swoich znajomych „pół-Żydów" i „ćwierć-Żydów", powinien zauważyć, iż żadnego paralelizmu pomiędzy zachowaniem fizycznego typu i zachowaniem typowych cech cha-

rakteru żydowskiego nie ma. W szczególności te cechy psychologiczne, które antysemici uważają za szczególnie niebezpieczne i szkodliwe, pojawiają się u Żydów półkrwi bardzo rzadko, przy czym w każdym oddzielnym wypadku prawie zawsze można było ustalić szczególne okoliczności biograficzne, które uwarunkowały ściślejszy związek danej osoby ze swoimi czysto żydowskimi krewnymi lub ze środowiskiem żydowskim. W olbrzymiej zaś większości wypadków u ludzi mieszanego pochodzenia oznaki „krwi żydowskiej" zachowują się w ciągu wielu pokoleń, a cechy charakteru żydowskiego po prostu nie mogą być wykryte.

Tłumaczy się to tym, że cechy charakteru przekazywane dziedzicznie same w sobie są moralnie neutralne (z wyjątkiem pojedynczych cech patologicznych, które naturalnie mogą się pojawiać u przedstawicieli różnych ras, ale w żaden sposób nie mogą być rozpatrywane jako cechy określonej rasy). Dziedzicznie można przekazywać na przykład aktywność umysłową lub bierność, zdolności muzyczne, matematyczne lub ich brak, poczucie humoru lub jego brak i tak dalej. Ale taki czy inny kierunek aktywności umysłowej lub humoru dziedzicznie przekazywany nie jest. A tymczasem, jeśli w żydowskim charakterze są cechy szkodliwie i destrukcyjnie oddziałujące na „rdzenną ludność", to cechy te przejawiają się właśnie w tym szczególnym ukierunkowaniu, jaki obierają odziedziczone przez Żydów predyspozycje. Nie będąc wrodzonym, lecz nabytym, to szczególne deprawujące ukierunkowanie talentu żydowskiego, temperamentu żydowskiego i humoru żydowskiego nie ma żadnego związku z rasą, lecz określa się przez „środowisko", czyli przez to szczególne położenie, jakie zajmują Żydzi w środowisku danego narodu, i wypływające z tego położenia warunki bytowe. Gdy tylko to szczególne położenie jest naruszane, czyli gdy tylko radykalnie zrywa się więź pojedynczego Żyda (lub pół-Żyda) z tradycją żydowską, natychmiast wrodzone cechy jego psychiki zyskują możliwość rozwoju w zupełnie innych kierunkach.

IV

By prawidłowo zrozumieć specyficzne ukierunkowanie żydowskich cech charakteru, należy pamiętać o tym, że Żydzi są emigrantami od dwóch tysięcy lat z mocną tradycją emigracyjną. Obserwując emigrację rosyjską, nietrudno zauważyć w niej zarodkowe formy tych cech psychicznych, które przy „sprzyjających" warunkach powinny doprowadzić do typowych cech żydowskich. Pomimo znanych wewnętrznych podziałów emigranci rosyjscy w swojej masie demonstrują w stosunku do obcokrajowców zadziwiającą zwartość. Wystarczy, że jeden emigrant rosyjski zdobędzie dobre miejsce w jakiejkolwiek obcej placówce lub przedsiębiorstwie, by już zaczął ciągnąć tam swoich rodaków,

tak że po jakimś czasie w tej placówce można już mówić o „rosyjskiej dominacji”. U emigrantów rosyjskich istnieją dwie normy etyczne: jedna dla swoich, druga dla rdzennej ludności (Jugosłowian, Czechów, Niemców, Francuzów i tak dalej); dokładnie tak jak u Żydów istnieją dwie różne moralności, jedna dla synów Izraela, druga dla gojów. Oszukać „cudzego”, nie-Rosjanina (goja) nie uważa się za coś nagannego, za to ze środowiska emigranckiego się nie wyklucza, a nawet odwrotnie – czasem ludzie, o których się wie, że oszukują tubylców i z tego czerpią korzyści, cieszą się w środowisku emigrantów szacunkiem. Ale wystarczy, że taki człowiek naciągnie swojego, Rosjanina, by został uznany za łajdaka, szubrawca i wykluczony ze wspólnoty emigranckiej. Stosunek Rosjan do tych obcokrajowców, wśród których żyją na zewnątrz, jest nie tylko pełen szacunku, ale czasem nawet uniżony. Kiedy zaś o tych obcokrajowcach mówią w swoim gronie, przy drzwiach zamkniętych, to okazuje się, że są oni niższymi istotami, godnymi pogardy.

U emigrantów starszego pokolenia wszystko to jeszcze było bardzo proste. Pod tym względem (podobnie jak pod wieloma życiowymi względami) przypominają zwykłych miasteczkowych Żydów. Ale u młodych emigrantów rosyjskich można już zauważyć oznaki pewnej komplikacji tych kompleksów psychologicznych, komplikacji przypominającej psychologię inteligentnych



Żydów. Ich samoświadomość i stosunek do otaczającej rdzennej ludności stanowi złożoną mieszankę wzajemnie sprzecznych emocji, sympatii i niechęci. Z jednej strony jakby wstydzą się być Rosjanami, z drugiej zaś jakby tym się szczycą; z jednej strony namiętnie chcą być „takimi jak wszyscy", zespolić się z otaczającym i znanym im od dzieciństwa środowiskiem, z drugiej jakoś odpychają się od tego środowiska, gardzą nim. Wszystko to wytwarza w młodym pokoleniu emigracji rosyjskiej tę psychologiczną sytuację, która w połączeniu z pewną duchową aktywnością prowadzi do przejawów „rozkładowych". Wystarczy, że emigrant, który wyrósł wśród danego narodu, posługujący się jego językiem jak ojczystym, całkowicie wtopiony w jego kulturę, zarazem nie podziela patriotycznych uniesień tego narodu i na wszystko, co dla tego narodu jest szczególnie drogie, patrzy obojętnie, „z obiektywnego punktu widzenia". Taki obiektywny punkt widzenia nieuchronnie odsłania tę niedorzeczność i nieumotywowaną teatralność, jaka jest właściwa wszelkiemu przejawowi cudzego, nieprzeżywanego przez nas i niewspółbrzmiącego z nami uczucia (por. choćby ulubiony chwyt Lwa Tołstoja – opisywać jedynie zewnętrzne szczegóły tego, czemu się nie współczuje, i nie robić przy tym różnicy pomiędzy istotnym i nieistotnym). A to nie może nie wzbudzać ironii – tej ostrej, niszczącej ironii, która jest charakterystyczna dla Żydów. Ironia ta z jednej strony jest zemstą za to, że „oni" (obcokrajowcy, goje) mają swój narodowy entuzjazm, swoją prawdziwą konkretną świętość – ojczyznę, podczas gdy młode pokolenia emigracji rosyjskiej wszystko to utraciły, z drugiej strony ironia ta jest instynktowną samoobroną, ponieważ gdyby jej nie było, to emigrant przestałby być sobą i zostały wchłonięty przez obcy naród.

Tę ostatnią okoliczność należy szczególnie podkreślić. Emigrant z „nie pierwszego pokolenia" może zachować swoją narodową odrębność jedynie w tym wypadku, jeśli psychologiczne odpychanie się od otaczającego narodu będzie w jego duszy przeważać nad tendencją do zespolenia się z tym narodem. Zaś przeważanie elementu odpychania tworzy tę cyniczno-ironiczną, destrukcyjną psychologię, o której dopiero co mówiliśmy. Czyż nie można nie uznać za destruktora człowieka żyjącego wśród danego narodu, w pełni zaadaptowanego do jego kultury (praktycznie niemającego żadnej innej kultury) i jednocześnie nieprzyjmującego elementów tej kultury i stylu życia, które danemu narodowi są szczególnie intymnie bliskie i drogie? Destrukcyjna psychologia jest tą ceną, którą trzeba zapłacić za zachowanie narodowej odrębności nie pierwszych pokoleń emigracji.

V

Emigracja rosyjska, ma się rozumieć, żyje w warunkach szczególnie nie-

sprzyjających dla zachowania narodowej odrębności. Od narodów, z którymi musi żyć, nie odgradzają ją żadne wyraźne przegrody, które mogłyby przeszkodzić w asymilacji, i prawdziwych prześladowań ze strony tych narodów ona nie doświadcza.

Żydzi zaś od samego początku swojego „wielkiego rozproszenia" byli oddzieleni od innych narodów religijnymi barierami, a później do tego dołączyły też rozmaite prześladowania. Pomimo tego wszystkiego wśród Żydów znajdowało się dość dużo ludzi, u których pęd ku pełnej integracji z otaczającym ludem okazywał się silniejszy od emigracyjnej izolacji. Ale ludzie ci żegnali się z żydostwem, roztapiali się w obcym środowisku i teraz ich potomkowie nie uważają się już za Żydów. Żydami pozostali zaś tylko ci, u których wspomniana psychologia emigrancka była dostatecznie mocna. Ta psychologia emigrancka przekazywana tradycją z pokolenia na pokolenie jest właśnie tym rozkładowym elementem, który Żydzi, zdaniem antysemitów, wnoszą do życia innych narodów. Psychologia ta z rasą w żaden sposób nie jest związana i dziedzicznie nie jest przekazywana. Jest ona produktem z jednej strony wpływu środowiska żydowskiego, z drugiej zaś – identycznych warunków psychologicznych, do jakich zazwyczaj trafia każdy Żyd stykający się z nie-Żydami. Dziedzicznie u Żydów przekazuje się ruchliwość umysłu, zdolności kombinatoryczne („obrotność", „spryt") i namiętny temperament, czyli cechy, które – pominąwszy wspomnianą nabytą emigrancką psychologię – byłyby nie tylko nieszkodliwe, ale nawet pożyteczne dla narodów, które udzieliły schronienia Żydom.

VI

Błędem byłoby negować istnienie u Żydów destrukcyjnej psychologii, jak to chętnie czyni wielu filosemitów. Trzeba przyznać, że wielu właśnie typowych Żydów rzeczywiście znajduje przyjemność w demaskowaniu obcych ideałów, w zamianie wzniosłych idealnych pobudek na cyniczne chłodne wyrachowanie, w odsłanianiu niskich ukrytych stron wszystkiego, co wysokie, w czystej negacji pozbawiającej życie wszelkiego sensu[1]. Ale dla wyjaśnienia takiego kierunku działalności Żydów pośród innych narodów wcale nie trzeba wysuwać hipotezy jakiegoś ogólnoświatowego żydowskiego spisku lub planu, który realizuje tajny żydowski rząd. Wystarczy po prostu uwzględnić fakt emigracyjnej tradycji, mającej za sobą dwa tysiące lat, i jej nieuchronnych psychologicznych skutków. Nie ulega wątpliwości, że do pewnego stopnia destabilizująca działalność Żydów może być korzystna dla współżyjących z nimi narodów. Dialektyka procesu historycznego wymaga nie tylko akceptacji, ale i negacji; bez kwestionowania autorytetów, bez burzenia ogólnie przyjętych przekonań żaden ruch naprzód nie jest możliwy.

Ale zarazem należy przyznać, iż żydowska destrukcja zazwyczaj przekracza ten stopień, do którego mogłaby ona być korzystna, i w większości wypadków jest czymś złym. Więcej, należy uznać, iż ta rozkładowa psychologia jest złem nie tylko dla innych narodów, lecz także dla samych Żydów. Przecież jest ona symptomem tego niezdrowego stanu duchowego, w jakim znajduje się prawie każdy Żyd od samego dzieciństwa, będąc jakby rozładowaniem bolesnych podświadomych kompleksów i duchowych niepokojów.

Niemoc należy leczyć. A do tego konieczna jest prawidłowa diagnoza. Dla neuroz często wystarczy jedna diagnoza, czyli wystarczy, żeby pacjent sam głęboko uświadomił sobie przyczynę tego stanu i nabrał prawdziwej chęci walki z nim. Żydowska destrukcja jest właśnie neurozą, szczególną neurozą, powstającą na gruncie odczucia nienormalności relacji między Żydem i gojami, wzmacnianej oddziaływaniem środowiska żydowskiego, cierpiącego na tę samą neurozę.

VII

Sposób leczenia tej neurozy jest zagadnieniem złożonym, nad którym należy poważnie się zastanowić. Podstawę „leczenia" powinna oczywiście stanowić zmiana tych warunków bytowych, które tę neurozę generują. Ale w każdym razie środki proponowane przez rosyjskich sprzymierzeńców narodowych socjalistów bynajmniej nie rozwiązują problemu. Odbudowanie ograniczeń i wzmocnienie barier między Żydami i nie-Żydami może prowadzić tylko do intensyfikacji rozkładowych cech psychologii żydowskiej, tak że przy najmniejszej sprzyjającej okazji cechy te mogą natychmiast przynieść maksymalną szkodę „rdzennej ludności". Jeśli o celowości takich działań może myśleć tylko słabo uświadomiona młodzież niemiecka, to my, Rosjanie, powinniśmy być bardziej dalekowzroczni i pamiętać o tym, że to ograniczanie praw Żydów miało miejsce w Rosji do samej rewolucji lutowej i nie dało żadnych dobrych rezultatów. Jeszcze mniej celowe jest zakazywanie mieszanych małżeństw. Przecież sam zamiar wstąpienia w taki związek dowodzi, że u danego Żyda lub Żydówki dążenie do zespolenia się z narodem-gojem jest silniejsze od izolowania się od tego narodu. Zakazywanie takich małżeństw tylko wzmacniałoby ten drugi element i sprzyjałoby rozwojowi destrukcyjnych kompleksów w psychologii danego indywiduum[2].

VIII

Co się tyczy tych punktów programu „rasistowskiego", które nie dotyczą Żydów, to byłoby rzeczą śmieszną, gdyby Rosjanie zaczęli o nich mówić. Murzyni w ogóle rzadko mieszali się z Rosjanami, ale w tych rzadkich wypadkach, kiedy miało to miejsce, Rosjanie nie mieli powodu, by się na to skarżyć:

w żyłach naszego największego poety, Aleksandra Puszkina, płynęła murzyńska krew. Śluby rosyjskich szlachciców z Cygankami nie należały kiedyś do rzadkości: szczególną genialnością ich potomkowie, o ile mi wiadomo, nie wyróżniali się, ale też w niczym nie byli gorsi od przeciętnych Rosjan bez domieszki cygańskiej (czyli hinduskiej) krwi. Co się zaś tyczy związków Rosjan z kaukaskimi góralami, Gruzinami i Ormianami, to dawały one zawsze jak najlepsze rezultaty i zakazanie ich oznaczałoby wzniesienie między Kaukazem i Rosją-Eurazją jakiegoś muru chińskiego, sztuczne wzmocnienie stosunku do Kaukazu jako do kolonii, jaki żywili niektórzy przedrewolucyjni administratorzy, ale który obecnie został na szczęście przezwyciężony. Podsunąć taką mądrą radę chyba mógłby tylko niemiecki imperialista marzący o oderwaniu od Rosji nie tylko Ukrainy, ale i Kaukazu.

Niemiecki rasizm jest ufundowany na antropologicznym imperializmie, na przekonaniu, że ludzka wola nie jest wolna, że wszystkie czyny człowieka w ostatecznym rachunku są określane przez jego cielesne osobliwości, przekazywane dziedzicznie i że drogą planowego krzyżowania można wypracować typ człowieka szczególnie sprzyjający triumfowi danej jednostki antropologicznej zwanej narodem. Eurazjatyzm, odrzucający ekonomiczny materializm, nie widzi żadnych podstaw, aby przyjąć materializm antropologiczny, filozoficznie jeszcze bardziej mniej uzasadniony niż ekonomiczny. W kwestiach kultury stanowiącej dziedzinę wolnej celowej twórczości woli ludzkiej ostatnie słowo powinno należeć nie do antropologii, lecz do nauk o duchu – psychologii i socjologii. **Ω**

Przełożył BOGUSŁAW ŻYŁKO

Podstawa przekładu: *Pis'ma i zamietki N.S. Trubieckogo*, Moskwa 2004.

PRZYPISY:

1 Żydom często zarzuca się „materializm". Jest to niesłuszne. Typowy Żyd jednako znajduje przyjemność zarówno w negowaniu ducha, jak i w negowaniu materii. Również we współczesnej cywilizacji Żydzi odnoszą szczególne sukcesy właśnie tam, gdzie idzie o eliminację materialnej substancji i zastąpienie jej abstrakcyjną relacją (tak w fizyce, jak i w finansach). Oderwani od wszelkiej gleby emigranci o dwutysiącletniej historii ciążą nie ku materializmowi i nie ku spirytualizmowi, lecz ku relacjonizmowi.

2 Mówiąc o kwestii żydowskiej, celowo pomijam religijny punkt widzenia, żeby swoją argumentację uczynić dostępną również ludziom niepodzielającym moich przekonań religijnych.

Berlin murem podzielony

Joanna Wal

Mur berliński pozostał niezabliźnioną raną, którą do dziś trudno się leczy. Betonowa ściana podzieliła mapę Europy, historię, naród, rodzinę, męża i żonę. Zresztą zapowiadano już, że brat stanie przeciwko bratu. Z tym problemem nasi sąsiedzi nie są jednak odosobnieni. Tu Polacy i Niemcy mogą razem śpiewać utwory Kazika i podać sobie ręce. Ten pierwszy z Polski A mieszkańcowi RFN-u, ten z Polski B – enerdowcowi

Miał 156 kilometrów długości. Kiedyś był jeden, dziś jest już w wielu częściach. Kiedyś stał tylko w Berlinie, dziś wędruje po całym świecie i nadal robi furorę. Kiedyś oddzielał Wessis od Ossis, dziś jest skazą, która nadal budzi zainteresowanie. Ale co ważne, nadal jest kopalnią, w której co jakiś czas można znaleźć prawdziwe perły.

W związku z tym 13 polskich i niemieckich reporterów spisuje historie ludzi, na których życie miał wpływ nieszczęsny mur. Efektem tej pracy jest *Mur* Agnieszki Wójcińskiej, która odkurza trudną historię zimnej wojny, poznając dzięki swoim bohaterom prawdę o zdarzeniach z tamtych lat.

Kiedy w letnią noc 1961 roku w Berlinie stanął mur, nagle zmieniło się wszystko. *Miasto przecięto na pół. Podzielono ulice, linie tramwajowe*

i metro, skwery i place. Podzielono rodziny, kolegów szkolnych i współpracowników. Wcześniej między strefami sowiecką i aliancką można się było poruszać, mieszkać w jednej, a pracować albo uczyć się w drugiej. O pierwszej w nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 roku, w ścisłej tajemnicy i z doskonałym przygotowaniem, granice miasta zostały zamknięte. Na początku rozwinięto drut kolczasty, następnego dnia element po elemencie zaczęła się budowa muru. Zdarzało się, że lewa strona ulicy była zachodnia, a prawa wschodnia, jak na Bernauer Straße. W budynkach po wschodniej stronie władze zamknęły drzwi i zamurowały zachodnie okna, bo ludzie skakali z nich na stronę wolności. Życie Berlina stanęło w miejscu.

Mur był szczelny. Nic poza ptakami nie było w stanie się przez niego przedostać. Jakakolwiek próba przejścia na drugą stronę groziła śmiercią. Mimo to często zdarzały się ucieczki. Tam, gdzie buduje się mur, powstają też tunele. Według danych w ten sposób łącznie życie straciło 98 osób. Bywały też przypadki osób, którym udało się wydostać tunelem wykopanym pod murem. Takich kanałów powstało 75, z czego 19 wykorzystywano z powodzeniem. Tą metodą udało się uciec ok. 300 osobom.

Gdy zburzono mur, mówiono: *Musicie przejść na drugą stronę, na pewno zamkną z powrotem!*

Mur rozłożono na części. Burzenie rozpoczęło się wiosną 1990 roku przy udziale 13 buldożerów, 55 koparek, 65 dźwigów, 175 ciężarówek.

Potem mur powędrował we wszystkie strony świata. Jedna jego część znajduje się przy wejściu do bazyliki fatimskiej, dwa fragmenty zostały zatopione w betonie w Fort Gordon w stanie Georgia w USA. Cztery kolejne kawałki stały w parku Bedok Reservoir w Singapurze – namalowano na nich buddyjskich władców. Kolejny fragment znaleźć można w męskiej toalecie w kasynie Main Street w Las Vegas. Pozostałe części skruszono i użyto do budowy dróg. W Sosnówce, wsi w gminie Twardogóra w powiecie oleśnickim, na łące pod lasem stoi 30 fragmentów muru ustawionych w kształcie paraboli – to największa jego część znajdująca się poza Berlinem Zachodnim.

PRZYPADKI OSÓB, KTÓRYM UDAŁO SIĘ WYDOSTAĆ TUNELEM WYKOPANYM POD MUREM

Okazuje się, że na upadku muru można było też całkiem nieźle zarobić. Byli tacy, którzy kilka dni po jego zburzeniu sprzedawali kawałki turystom za kilka dolarów. Najbardziej jednak biznes tury-

styczny rzuca się w oczy przy Checkpoint Charlie, gdzie znajdzie się wszystko, co tylko kojarzy się z murem. Można kupić tam koszulki, czapki, szaliki, kubki, znaczki, pocztówki, przewodniki, książki, broszury. Pamiątki sprzedawane są na ulicy, w budkach obok kiełbasy, kebabu, piwa czy kawy. *Straż nad tym wszystkim trzyma trzech kolesi w amerykańskich mundurach, pozujących za pieniądze na tle granicznej budki*.

Kawałki muru udało się sprzedać na licytacjach. Pierwsza miała miejsce w kwietniu w 1990 roku w hotelu Intercontinental w dawnym Berlinie Zachodnim. Trzy części muru licytowano *częściowo jako obiekty historyczne, a częściowo jako sztukę współczesną*. Inne aukcje odbyły się w Paryżu i Monako – tam sprzedano 70 fragmentów za 900 tysięcy marek. Na największej aukcji w Monte Carlo wystawiono 81 fragmentów muru z certyfikatami autentyczności firmy Limex-Bau (firmy, która zajmowała się burzeniem muru) i sprzedano za 2 miliony marek. W książce Agnieszki Wójcińskiej czytamy: *To się tak ładnie mówi, że obchodzimy dwudziestopięciolecie zjednoczenia, ale są problemy, o których w Reichstagu nikt nie chce rozmawiać. Od 1989 roku na pomoc dla byłego NRD przeznaczono w sumie dwa biliony euro, głównie w postaci podatku solidarnościowego. Od zjednoczenia Niemiec musi go płacić każdy obywatel Zachodu – teraz to pięć i pół procent – i nikt nie myśli, żeby go znieść. Ile można pomagać?*

KAWAŁKI MURU UDAŁO SIĘ SPRZEDAĆ NA LICYTACJACH

Po 9 listopada 1989 roku ze wschodu na zachód wyjechało 400 tys. osób. Wkrótce potem Helmut Kohl ogłosił unię walutową, która miała zjednoczyć Niemcy monetarnie. Niestety niemiecka marka nie stała się symbolem powrotu starego ładu społecznego. Przyjęty kurs waluty był przyczyną szybkiego wzrostu cen we wschodnich Niemczech. Wiele ówczesnych firm upadło, załamała się gospodarka. Do 1997 roku bezrobocie na wschodzie wzrosło do 17,7%. Młodzi i wykształceni wyjechali na zachód, aby szukać lepszego świata. Do dziś we wschodnich landach przewagę mają głównie małe i średnie przedsiębiorstwa. Duże korporacje powstają na zachodzie i kuszą wielu ludzi lepszym poziomem życia. Nawet dziś płace we wschodniej części Niemiec są o 10–15% niższe niż na zachodzie.

NAWET DZIŚ PŁACE WE WSCHODNIEJ CZĘŚCI NIEMIEC SĄ O 10–15% NIŻSZE NIŻ NA ZACHODZIE

Wydawać by się mogło, że zburzenie muru przyniosło upragnioną

wolność, zapowiadało stabilizację i przywrócenie jedności państwa. Nic bardziej mylnego. Zmieniło się wszystko. Mur co prawda zniesiono, ale różnice społeczne trwale podzieliły Niemcy. Burzenie muru z betonu szybko dało początek powstaniu kolejnego – tym razem takiego, który opierał się na wzajemnej niechęci i uprzedzeniach. Jak to możliwe, że w ciągu niespełna 30 lat ludzie mogli się tak zmienić?

W 1989 roku w Berlinie coś się skończyło. We wspomnieniach bohaterów *Muru* czytamy: *To paradoks: mur sprawiał, że miasto było otwarte dla każdego.* Jego upadek wszystko zburzył. Nie da się już odbudować starego Berlina z jego niepowtarzalnym charakterem. To miasto kiedyś nie było nudne. *Do Berlina przyjeżdżał Rainer Werner Fassbinder i udawał trupa na parkiecie dyskoteki Dschungel, przyjeżdżał Iggy Pop i zamykał się w budce telefonicznej, by łomotać pięściami w jej ściany: taki performance.* [...] *Berlinem rządzili anarchiści, punki, artyści, lewacy i geje.* Od lat 90. Berlin to stolica hipsterstwa, która przyciąga rzesze młodych, szukających wolności i przygody ludzi.

Pod względem zróżnicowania poziomu życia Niemcy nie muszą daleko szukać sojusznika. Już za swoją wschodnią granicą mają Polaków, którzy dużo wcześniej zostali podzieleni, a skutki tych dysproporcji obserwujemy do dziś. Wszystko sprowadza się do niełatwej historii, która odcisnęła piętno na późniejszych losach kraju.

Od lat 90. Berlin to stolica hipsterstwa, która przyciąga rzesze młodych, szukających wolności i przygody ludzi

Zabory i podział polskich ziemi pomiędzy trzech agresorów kształtowały świadomość i oddziaływały na poziom życia. Ziemie będące pod panowaniem pruskim rozwijały się prężnie – infrastruktura, oświata, życie kulturalne były bardziej zaawansowane niż w zaborze rosyjskim, w którym panowały stagnacja i marazm, a co za tym idzie, brak reform i bieda.

Współcześnie nadal widoczna granica podziału przebiega mniej więcej wzdłuż Wisły. Nowoczesny i liberalny zachód, otwarty na Unię Europejską i postęp, nie do końca przystaje do wschodnich, bardziej konserwatywnych realiów, opartych na sile małych i średnich firm. U nas też, podobnie jak w RFN, giganci z zachodu kuszą lepszym życiem i wielu młodych, świadomych ludzi ulega tym zachętom, podążając przetartym szlakiem w poszukiwaniu spełnienia. **Ω**

Michał Przeperski

Zychowicz jak narkotyk, Zychowicz jak Gross

Czesław Miłosz powiedział podczas jednego ze swoich gościnnych wykładów na KUL-u, że są ludzie, którzy dzielą czas na normalną przeszłość, nienormalną teraźniejszość i fatalną przyszłość. W wypadku Piotra Zychowicza normalna jest tylko bardzo dawna przeszłość, sięgająca czasów jagiellońskich, bo później było już tylko gorzej

Na ten przykład lata 1918–1921 to już czas wyjątkowo nienormalny – czas zdrady, zaprzańśtwa, ludzkiej małości. A przynajmniej takie wrażenia można mieć po lekturze jego ostatniej książki *Pakt Piłsudski–Lenin*.

Polscy historycy mają nie od wczoraj problem z Zychowiczem. Co prawda on sam konsekwentnie definiuje samego siebie jako publicystę historycznego, to jednak nie kryje pewnych szerszych ambicji kształtowania opinii na temat historii najnowszej naszego kraju. Zaczęło się od *Paktu Ribbentrop-Beck*, prawdziwego manifestu polskiej historii alternatywnej, w której Zychowicz próbował dowieść, jak korzystne dla Polski byłoby porozumienie się z Hitlerem w 1939 r. Potem przyszedł *Obłęd '44*, książka jednoznacznie krytykująca decyzję o wybuchu powstania warszawskiego. Trzecim dzieckiem płodnego publicysty okazała się *Opcja niemiecka*, kreślił w niej sylwetki tych, którzy pomimo wszystko zdecydowali się na jakiś rodzaj taktycznej współpracy z Hitlerem w czasie II wojny światowej. Te trzy książki zyskały mu w kraju pozycję czołowego historycznego rewizjonisty, reprezentanta specyficznej – korzystając z określenia Nietzschego – „historii krytycznej". A więc takiej, która ma stawiać przed sąd błędy popełnione przez naszych przodków.

Pakt Piłsudski-Lenin jest dla Zychowicza skokiem w nieco inną przestrzeń historyczną. Opuszczając chronologiczne ramy okresu II wojny światowej, zajął się początkami II Rzeczypospolitej, a ściślej: wojną polsko-bolszewicką z lat 1919–1921 oraz jej następstwami. Na ponad 400 stronach Zychowicz próbuje rozprawić się z rzekomym mitem polskiego zwycięstwa w tej wojnie. W jego przekonaniu Rzeczpospolita (a wraz z nią cała cywilizacja europejska) przegrała z kretesem, a wszystko dlatego, że Józef Piłsudski nie zdecydował się w odpowiednim momencie wesprzeć wojsk „białych" walczących z bolszewikami. Najpierw mógł to zrobić jesienią 1919 r., gdy powinien wesprzeć generała Antona Denikina walczącego z bolszewikami na południu. Zdecydował się jednak wówczas wstrzymać postępy wojsk polskich, co umożliwiło bolszewikom powstrzymanie groźnie rozwijającej się ofensywy „białych". Podobna sytuacja miała miejsce rok później, gdy Piłsudski odmówił wsparcia wojskom generała Piotra Wrangla. Tym wydarzeniom poświęcone są dwie pierwsze części

Pakt Piłsudski-Lenin jest dla Zychowicza skokiem w nieco inną przestrzeń historyczną

książki. W trzeciej znajdziemy zajadłą krytykę traktatu ryskiego z marca 1921 r., kończącego wojnę polsko-bolszewicką, a w czwartej – opis tragicznych losów, jakie stały się udziałem Polaków, którzy znaleźli się po sowieckiej stronie kordonu granicznego.

Książka, jako się rzekło, jest pozycją publicystyczną. Autor oparł się co prawda na niemałej bibliografii, ale na każdym kroku zastrzega, że jego tezy nie aspirują do miana naukowych. A więc to jedynie publicystyka? Nie mam pełnego przekonania. Czytając najnowszą książkę Piotra Zychowicza, nie potrafiłem wyzbyć się wrażenia, że autor poczyna sobie swobodniej niż zwykle – źródła i fakty traktuje bardziej wybiórczo i dowolnie, niż to bywało w jego poprzednich publikacjach. Weźmy za przykład tytuł książki. *Pakt Piłsudski-Lenin*? Takiego porozumienia nigdy nie było. Formalnie nie istnieje taki dokument lub jakiś rodzaj najbardziej chociaż wstępnego porozumienia, które dałoby się nazwać w taki sposób. Ktoś może zapytać: czy to rzeczywiście taki problem? Przecież paktu Ribbentrop-Beck też nie było. Tylko że książka poświęcona alternatywnej wersji wydarzeń z roku 1939 była wyraźnie osadzona w realiach dziejów alternatywnych. Czytelnik nie mógł mieć wątpliwości, że takiego porozumienia nie było. A tym razem? Na okładce książki widzimy zasępionego Lenina pilnie studiującego jakiś tekst, a obok niego skupiony Józef Piłsudski. Może więc jednak był jakiś pakt? Takie niewyraźne sugestie pojawiają się u Zychowicza we fragmencie, w którym opisuje tajne negocjacje w Mikaszewiczach jesienią 1919 r. Ostatecznie zostają one zerwane, ale autor nie mówi wprost: był pakt, nie było go lub nie wiemy, czy był. Po prostu sprawę zostawia osądowi czytelnika. Kiepski to pomysł, żeby istnienie lub nieistnienie faktu pozostawiać czytelnikowi.

Sam Zychowicz przyznaje, że inspiruje się dziełami Józefa Mackiewicza, Władysława Studnickiego, Stanisława Cata-Mackiewicza oraz Adolfa Bocheńskiego. W wypadku *Paktu Piłsudski-Lenin* kluczowa jest oczywiście fascynacja pierwszym z wymienionych twórców. Nie kto inny bowiem, ale właśnie Józef Mackiewicz w *Lewej wolnej* jako pierwszy tak sugestywnie przedstawił wojnę polsko-bolszewicką jak prawdziwą tragedię narodową. W te same tony uderza Zychowicz. Przedstawia siebie samego jako Litwina, z zachowawczych pozycji atakuje nacjonalizm za jego małość, przedstawia siebie jako zwo-

lennika imperializmu. Pal sześć, że jest to ton trochę niedzisiejszy. Przede wszystkim jest za dużo Mackiewicza w Zychowiczu. Nie sposób znaleźć w *Pakcie Piłsudski-Lenin* pomysłów, których wcześniej nie przedstawiłby „Ptasznik z Wilna". Tak jest z pomysłem wskrzeszenia Wielkiego Księstwa Litewskiego, który Zychowicz z uporem maniaka przedstawia jako realne wyjście z trudnego geopolitycznego położenia Polski. Mackiewiczowi mogę to wybaczyć, ale Zychowicz w tych samych butach – to już zbyt wiele. Trzeba tu też podkreślić, że jako przenikliwy umysł i jednocześnie gorący antykomunista Mackiewicz konsekwentnie stawiał tezę o jakimś rodzaju spisku zawiązanego wspólnie przez Lenina i Piłsudskiego. Zychowicz i w tym elemencie konsekwentnie kontynuuje ducha powieści Mackiewicza. Momentami zapomina zresztą chyba, że publicystyka to mimo wszystko nie literatura piękna. Ten drugi gatunek pozwala wszak na nieskrępowane kształtowanie świata przedstawionego. Publicysta nie może być tak swobodny. O historyku nawet nie wspominajmy.

Co ciekawe, z dzisiejszej perspektywy słabo udokumentowane hipotezy Mackiewicza wyglądają znacznie solidniej. Badania polskich naukowców – przede wszystkim Andrzeja Nowaka – potwierdzają fakt prowadzenia rozmów polsko-bolszewickich. Co jednak z tego wynika? Nowak uchyla się od jednoznacznych stwierdzeń. Wskazuje jednak równocześnie, że odpowiedź na pytanie o stosunek Piłsudskiego do bolszewików była jednoznaczna – przyszły Marszałek uważał ich za przeciwników. Tylko że „białych" uważał za przeciwników gorszych. Zychowicz wyśmiewa – czy może raczej, używając języka popkultury: masakruje – takie poglądy. Dysponując znakomitą wiedzą o 70 latach komunistycznych zbrodni zarzuca Piłsudskiemu i wielu jego współczesnym ślepotę polityczną i nieumiejętność przewidywania. Piłsudczycy będą zgrzytać zębami, przeciwnicy Piłsudskiego być może przyklasną. Ale zwolennicy trzymania się standardów dyskusji o historii złapią się za głowę. Józef Mackiewicz nie dość, że pisał *Lewą wolną* na emigracji, jako rozgoryczony uchodźca ze świata, który przestał istnieć, to jeszcze tworzył z mocno ograniczonym dostępem do źródeł. Chodziło mu zresztą o stworzenie dzieła literackiego, choć o pewnych szerszych ambicjach. Dziś jednak źródeł jest więcej,

Jeżeli Zychowicz nie jest gotów do polemiki, a jego koncepcje są w całości zmałpowane od Mackiewicza, to może zamiast *Paktu Piłsudski-Lenin* należało opublikować nowe wydanie *Lewej wolnej*?

powstało też sporo opracowań o polskiej polityce z lat 1918–1920. One wszystkie stanowią korpus wiedzy, do którego należałoby się odnieść z otwartą przyłbicą. Tego u Zychowicza nie znajduję. Zamiast tego powołuje te fragmenty książki Andrzeja Nowaka, które nie podważają jego tez. Jeżeli Zychowicz nie jest gotów do polemiki, a jego koncepcje są w całości zmałpowane od Mackiewicza, to może zamiast *Paktu Piłsudski-Lenin* należało opublikować nowe wydanie *Lewej wolnej*?

Upraszczanie świata i wyostrzanie podziałów jest powołaniem publicystów. To dzięki nim mają się kształtować poglądy, to oni mają tworzyć wizje i zażarcie dyskutować. Z kolei rolą historyka jest trzymać się wiernie zasad warsztatu badawczego. Umożliwiają one po pierwsze maksymalne zbliżenie się do obiektywnej prawdy, a po drugie – weryfikację postawionych tez. Mogą nam się one podobać lub nie, ale musimy się z nimi pogodzić, dopóki nie jesteśmy w stanie ich obalić. Ale co począć wtedy, gdy tezy postawione są tak, że nie da się ich zweryfikować? Zawsze można bronić się jeszcze tym, że historia alternatywna to wspaniałe ćwiczenie intelektualne. Celem uprawianego przez Piotra Zychowicza rewizjonizmu historycznego jest łamanie stereotypów, zachęcanie do myślenia, a przy tym stawianie niewygodnych, nieoczywistych pytań. Znajdziemy to w każdej jego książce, również w tej najnowszej. Stawianie trudnych pytań na ważne tematy z dziejów naszego kraju to bardzo dobry pomysł. Problem widzę w tym, że pod pozorem realistycznego spojrzenia na własne dzieje Zychowicz patrzy na nie skrajnie nierealistycznie. Przede wszystkim z powodu wspomnianego już prezentyzmu. Ale nie tylko.

CZY MY TU PRZYPADKIEM NIE MAMY DO CZYNIENIA Z JAKĄŚ FORMĄ MARKSISTOWSKIEGO OBRAZU HISTORII À *REBOURS*?

Autor prezentuje poglądy konserwatywne – stawia się w roli adwokata interesów polskiej szlachty kresowej. To jego dobre prawo. Ustrojony w takie szaty domaga się respektowania interesów tej grupy, która została poszkodowana poprzez ostateczny kształt granicy ryskiej. Kilkaset tysięcy Polaków pozostało za kordonem po sowieckiej stronie, gdzie padli ofiarami brutalnej, planowej eksterminacji. Wykorzeniono na tych ziemiach ślady polskiej kultury. To wszystko wielkie narodowe tragedie. Sęk w tym, że ogromem tych klęsk okłada jak cepem ówczesnych polityków. Sporo dostaje się Piłsudskiemu,

ale znacznie więcej Janowi Dąbskiemu i Stanisławowi Grabskiemu – głównym negocjatorom pokoju ryskiego. Dobrym bohaterem tej opowieści jest szlachcic i arystokrata, złym – butni chłopi i przewrotni reprezentanci polskiej burżuazji… Czy my tu przypadkiem nie mamy do czynienia z jakąś formą marksistowskiego obrazu historii *à rebours*? Na to zdawałyby się wskazywać również liczne przemilczenia. Jak choćby takie, że z książki nie dowiemy się o „korytarzu Grabskiego", który oddzielił Litwę od Sowietów, przynajmniej w pewnym stopniu poprawiając sytuację strategiczną Polski.

Na tym jednak nie koniec. Zychowicz skupia się na tym, co można nazwać mieszaniną historii politycznej i dziejów wojskowości. To każe mu np. stawiać tezę, że wystarczyłby tydzień więcej, a wojska polskie prące na wschód osiągnęłyby granice Polski z 1772 r. To każe mu lekceważyć siłę nacjonalizmu litewskiego i ukraińskiego, które w jego przekonaniu nie przeszkodziłyby powrotowi do formy ustrojowej znanej z czasów I Rzeczypospolitej. W końcu takie podejście każe mu kreślić odważne tezy o tym, że Polskę stać było na stworzenie imperium ciągnącego się od Estonii po Ukrainę. Czy to rzeczywiście było możliwe? W publicystyczno-rewizjonistycznej wersji dziejów może się wydawać, że tak. *Pakt Piłsudski-Lenin* nie stawia jednak podstawowych – także z punktu widzenia historii politycznej – pytań o ekonomiczną stronę konfliktu. Poprzestawanie na utyskiwaniu, że Polacy nie chcieli większych wyrzeczeń i domagali się zakończenia wojny 1920 roku, jest niepoważne. Kto miał płacić za tę wojnę? Pójdźmy dalej: kto miał dać kredyty na budowę owego wymarzonego polskiego imperium? Warto tu jeszcze dodać perspektywę polityki szerszej niż regionalna: co na takie imperium powiedzieliby Niemcy? Co powiedziałyby Francja i Wielka Brytania? Europa Zachodnia nie chciała silnej Polski. A sama Polska nie była dość silna i zamożna, by walczyć dalej. Bez postawienia tych kwestii okładanie po głowie Piłsudskiego, Daszyńskiego czy Witosa argumentami o tragicznym losie rodaków w Sowietach jest – mówiąc łagodnie – nieuczciwe.

SEKS, PRZEMOC, SKANDALE, ZDRADY – TO TRADYCYJNIE NAJSILNIEJSZE NARKOTYKI. ALE NA DŁUŻSZĄ METĘ – JAK KAŻDY NARKOTYK – PROWADZĄ DO ŚMIERCI

Konstrukcyjnie książka jest jak groch z kapustą. Jej czytanie staje się po pewnym czasie męczące, za co odpowiedzialne są w znacznej mierze liczne i bardzo długie cytaty. Były fragmenty, gdy czułem

się, jakbym studiował wypisy z Mackiewicza, a kiedy indziej z Woyniłłowicza czy Korwin-Milewskiego. Cytaty są oczywiście rzeczą niezbędną, ale pojawia się pytanie: jaką książkę da się zbudować z cytatów oraz komentarzy do nich? Odpowiedź nasuwa się sama: wtórną. Z kolei język książki jest barwny, ale napastliwy. Jest to język publicystyki, ale tej brutalnej, brukowej. Ze smutkiem obserwuję taką brutalizację języka w debacie publicznej, gdzie właściwie nie ma już miejsca na wyważone argumenty, różne odcienie szarości i półcienie. Tymczasem historia niezbędnie potrzebuje spokojnego tonu. Nie nudnego jak flaki z olejem, ale spokojnego. Takiego, jaki znajdziemy u Jasienicy, Wieczorkiewicza czy Wołoszańskiego. A tymczasem u Zychowicza co krok przeczytamy o tym, co jest najbardziej szokujące, o niesłychanej hańbie lub o politykach, którzy sprzedali Polskę za posady. Tego rodzaju brutalizacja wypowiedzi nie służy historii i w efekcie oddaje też niedźwiedzią przysługę dziełu jej popularyzacji. Językiem rynsztokowym można popularyzować głównie rynsztokowe wartości.

Zychowicz jako model popularyzacji historii wydaje się szczególnym problemem. Co bowiem we współczesnym świecie sprzedaje się najlepiej? Seks, przemoc, skandale, zdrady – to tradycyjnie najsilniejsze narkotyki. Ale na dłuższą metę – jak każdy narkotyk – prowadzą do śmierci. Im więcej będzie w historii podobnie taniego podejścia, tym większa szansa, że uśmiercimy też zainteresowanie historią, że zatraci ona swoje znaczenie. Już dziś, przeglądając półki z literaturą quasi-historyczną (lub odwiedzając quasi-historyczne portale internetowe), mam wrażenie, że czytam kolorową prasę w historycznym opakowaniu. A tymczasem historia nie jest prosta i „szokująca" jak kolejne bezwartościowe wyznanie celebryty. Ona rzadko kiedy jest prosta, łatwa i przyjemna, a na dodatek tak przejrzysta jak publicystyczne tezy. Zychowicz oczywiście pisze znacznie lepiej niż większość autorów, których mam na myśli. Ale też z uwagi na jego pozycję środowiskową spoczywa na nim większa odpowiedzialność. Tymczasem on zdaje się tego nie dostrzegać, upraszczając historię, ile wlezie, i w iście sprinterskim tempie wypuszczając kolejne pozycje. To groźna tendencja.

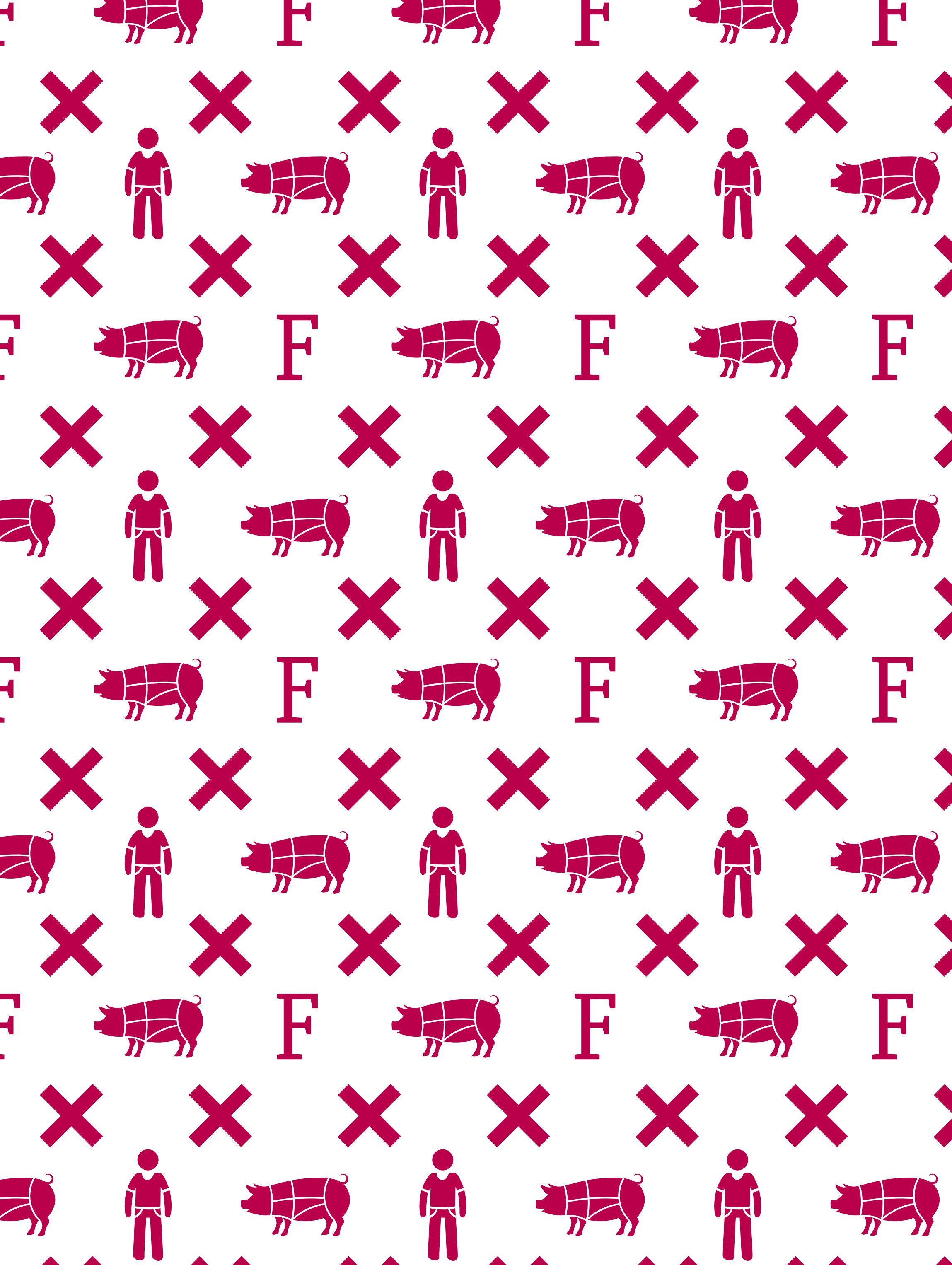
A jak ma się Zychowicz do projektów polskiej polityki historycznej? Najkrócej mówiąc: nijak. Ten autor programowo unika wpisywa-

nia się w jakąś szerszą narrację, a tradycję historiograficzną wywodzi od wspomnianych wcześniej samotnych wilków: braci Mackiewiczów, Studnickiego czy Wieczorkiewicza. Szuka własnej ścieżki i to – jak mi się wydaje – za wszelką cenę. Samo w sobie nie jest to jeszcze żadnym zarzutem. Ale jednocześnie warto zapytać: jakie będą konsekwencje takiego spojrzenia? Zychowicz szermuje zarzutami lakiernictwa i mitotwórstwa pod adresem historyków (niewymienionych zresztą z imienia i nazwiska), ale czy w swoim krytycznym paradygmacie jest w stanie zaoferować coś nowego? Czy potrafi zaproponować jakieś szersze i bardziej ugruntowane spojrzenie na dzieje narodu polskiego w XX wieku? On sam zapewne powiedziałby, że nie ma takich ambicji i nie zamierza pisać żadnej systematycznej pracy na ten temat. Oczywiście nie ma takiego obowiązku. Ale kąsanie niemal wszystkich dotychczasowych uczestników debaty historycznej przez publicystę historycznego ma sens tylko wtedy, gdy będzie on proponował twórcze, wartościowe rozwiązania lub podejmował tematy zupełnie nowe, nieznane. Jeżeli nie, to czeka go los Jana Tomasza Grossa.

Pierwsza książka Grossa poświęcona stosunkom polsko-żydowskim, czyli *Sąsiedzi*, wywołała w Polsce bardzo ostrą debatę. Jej efekty okazały się jednak – w moim przekonaniu – wartościowe. Badacze z Instytutu Pamięci Narodowej przygotowali ważne opracowanie *Wokół Jedwabnego*, rozpoczęły się też dalsze pogłębione badania. Ale każda kolejna książka Grossa była zaledwie marnym odblaskiem pierwszej, próbą odcinania kuponów. Śmiem twierdzić, że jego ostatnia książka *Złote żniwa* przyniosła już zdecydowanie więcej złego niż dobrego. Próbowała upraszczać rzeczywistość bez oparcia źródłowego, a tezy w niej postawione nie wytrzymywały krytyki. Ten przykład obrazowo pokazuje, gdzie kończy się użyteczność grubo ciosanej literatury okołohistorycznej.

Jeżeli nie, to czeka go los Jana Tomasza Grossa

Do tej pory na kolejne książki Piotra Zychowicza czekałem z ciekawością i zainteresowaniem. *Pakt Piłsudski-Lenin* uważam jednak za niewypał, który pokazuje głębszy problem, jaki leży w sposobie pisania o historii wybranym przez naczelnego „Historia. Do Rzeczy". Mam nadzieję, że przystopuje, przetrawi swoje pomysły i powróci za dłuższy czas, ale ze znacznie lepszą książką. Tego życzę jemu, czytelnikom i samemu sobie. **Ω**





XXII TARGI
WYDAWCÓW
KATOLICKICH

XXII TARGI
WYDAWCÓW KATOLICKICH

7–10 kwietnia 2016

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE
ARKADY KUBICKIEGO

Nagroda
FENIKS 2015



Informacje i zgłoszenia
swk@swk.pl
www.swk.pl



INDEKS 380202
NAKŁAD 2000 EGZ.

ORGANIZATOR



WSPÓŁORGANIZATOR

